

LIND&CO

Tomasz Wandzel

SOPOCKIE TANGO



TOMASZ WANDZEL

Sopockie tango

Tom 1

LIND&CO

LIND&CO

@lindcopl

e-mail: info@lindco.se

Tytuł oryginału:

Sopockie tango

Tom 1 Sopockie tango

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Wydawnictwa Lind&Co Polska sp. z o o.

Wydanie I, 2023

Projekt okładki: Paweł Pytel

Copyright © dla tej edycji:

Wydawnictwo Lind&Co Polska sp. z o o, Gdańsk, 2023

ISBN 978-83-67718-07-3

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek

[Waterbear Graphics](#)

PROLOG

Przebudziła się nagle, tak jakby usłyszała drażniący uszy sygnał budzika, ale w pokoju panowała błoga cisza. Tej ciszy, w którą wplatały się jedynie dochodzące z za okna zawodzenia listopadowego kanadyjskiego wiatru wiejącego znad Atlantyku, towarzyszyła ciemność. Mrok w przeciwieństwie do płytkiego snu, z którego została wyrwana, był głęboki i gęsty jak lepka smoła. Karolina najpierw usiadła na łóżku, potem wstała i bez zapalania światła na pamięć ruszyła do otwartych drzwi. Kiedy poczuła pod nagimi stopami próg, zatrzymała się nagle, oparła czoło o chłodną futrynę i zaczęła płakać. Gorące łzy, słone jak wody Atlantyku, spływały po policzkach, obmywając jej zaspaną twarz z resztek snu. Właśnie wtedy usłyszała ciche wewnętrzne napomnienie:

– Karolinko, nigdzie nie musisz iść, mnie już nie ma – ten melodyjny, spokojny głos należał do jej matki. Karolina wzięła kilka głębokich oddechów, wolno zawróciła i podeszła z powrotem do łóżka. Jednak, zamiast się położyć, usiadła, podciągnęła nogi pod brodę i czekała, aż sen skleci ciepłe wilgotne powieki. Chociaż od pogrzebu matki minęły już trzy dni, Karolina budziła się kilka razy w nocy jak zaprogramowany robot i szła do pokoju obok, aby sprawdzić, czy matce niczego nie trzeba. Ten rytuał został zapoczątkowany pół roku wcześniej, gdy lekarze bezradnie rozłożyli ręce. Karolina nie zamierzała ukrywać przed matką niczego. To byłoby nie w porządku. Uważała, że zawsze powinno się mówić prawdę,

nawet jeśli jest ona niewygodna albo, tak jak w tym przypadku, zapowiadała śmierć.

– Nie chcę tutaj zostać – usłyszała od matki, gdy w kwietniowy poranek, siedząc przy szpitalnym łóżku, powiedziała jej o braku możliwości dalszego leczenia i trzech miesiącach życia, jakie według lekarzy miała jeszcze przed sobą.

– Wiem, że jedyną pewną rzeczą na tym świecie jest śmierć, ale tutaj jest zły klimat do umierania – dodała matka, teatralnie zaciskając nos palcami.

Cała mama, nawet ze śmierci potrafi sobie żartować – pomyślała Karolina, wychodząc z sali, aby zorganizować transport matki do domu.

Pierwsze dni, a nawet tygodnie nie zapowiadały tego, co przewidywali lekarze. Matka, zamiast niknąć w oczach, tryskała witalnością. Miała nawet siłę, aby schodzić do plaży, nad którą stał jej dom. Siadała wtedy na jednym z głązów i wpatrywała się w wody zatoki Hillsborough. Jednak już dwa miesiące później mogła tylko wyjść na taras za domem. Karolina doskonale pamiętała ich długie wieczorne rozmowy. Prawie każdego dnia siadały na tarasie, a gdy pogoda nie pozwalała, przy dużym kolonialnym stole w salonie, i rozmawiały. Obie wiedziały, że ich czas z każdym dniem się kurczy. Nie licząc kilku przyjaciół matki, głównie Polaków, którzy tak jak ona opuścili Polskę przed trzydziestu laty, miały tylko siebie. Co prawda Karolina miała jeszcze Olivera, ale coraz częściej dochodziła do wniosku, że ich związek nie ma ani sensu, ani przyszłości. On był w Toronto, ona przy umierającej matce na wyspie Edwarda. Choć kilkukrotnie zapraszała go na weekend, to Oliver zawsze znajdował jakąś wymówkę.

– Może to ty powinnaś do niego pojechać? – zasugerowała matka pewnego dnia. Propozycja wydała się Karolinie niedorzeczna. Po pierwsze

teraz jej obowiązkiem była opieka nad chorą matką. Nie wyobrażała sobie, że może ot, tak wyjechać na kilka dni i zostawić matkę samą lub pod opieką wynajętej pielęgniarki. Po drugie Karolina miała w sobie kobiecy honor, który mówił, że to facet powinien się starać, wychodzić z inicjatywą i stawać na głowie, aby choć przez chwilę mogli być razem w tak trudnym dla niej czasie. Skoro więc Oliver odrzucał jej zaproszenia, to widocznie nie zależało mu na ich związku.

– Mamo, tyle razy mi powtarzałaś, że jeśli sama nie będę się szanowała, to nikt inny też nie będzie mnie szanował – przypomniała Karolina – a dla mnie fakt, że facetowi nie chce się wsiąść w samolot i przylecieć, jest ewidentną oznaką braku szacunku – dodała, ucinając tym samym kwestię jej ewentualnego wyjazdu do Toronto.

Temat Olivera już nigdy nie pojawił się w ich rozmowach, a i on sam dzwonił coraz rzadziej. Czarę goryczy przelała jego nieobecność podczas pogrzebu. W ten listopadowy wietrzny dzień Karolina potrzebowała wsparcia. Chciała, by podczas pogrzebu był przy niej ktoś, na kogo może liczyć, kto okaże jej wsparcie, pocieszy i wypełni pustkę, która nagle stała się wszechobecna. Niestety, Oliver na wiadomość o śmierci jej matki zareagował krótkim „Tak mi przykro” i wymawiając się obowiązkami, oznajmił, że nie będzie mógł przyjechać. Karolina nie nalegała, nie pozwalała jej na to kobieca duma. Zdawała sobie sprawę z tego, że pogrzeb będzie trudnym przeżyciem, ale jednocześnie miała świadomość swojej siły. Wiedziała, że nawet bez pomocy poradzi sobie. Zresztą nie miała innego wyjścia.

Dzień pogrzebu, jak przystało na początek listopada, był pochmurny, mroźny i wietrzny. Karolina czuła, jak zimny kanadyjski wiatr owiewa jej twarz, szarpie niesforne kosmyki jasnych włosów i wdziera się w każdą szczelinę odzieży. Mimo zimna stała nad płytkim grobem, w którym

spoczywała urna z prochami jej matki. Patrząc na jasną kamienną urnę, przypomniła sobie słowa, jakie usłyszała od matki na kilka tygodni przed jej śmiercią. Siedziały wtedy w salonie, przy ciężkim kolonialnym stole, który matka przywiozła z Afryki.

– Córeczko, pamiętaj, że gdy umrę, masz mnie spopielić. Nie chcę, aby ktoś oglądał moje martwe ciało, a później opowiadał przy obiedzie o tym, jak żałośnie wyglądałam w trumnie.

Wola matki nie była prośbą, ale poleceniem. Tyle że matka nawet po śmierci zachowała szlachetne rysy twarzy, świadczące o tym, że kiedyś musiała być piękną kobietą. Potwierdzały to kolorowe i czarno-białe zdjęcia, na których uśmiechnięta, odważnie i naturalnie spoglądała w obiektyw aparatu.

Kiedy wreszcie starszy, prawie łysy ksiądz zakończył ceremonię, do Karoliny zaczęli podchodzić ludzie i składać jej kondolencję. Jednych znała dość dobrze, innych tylko z widzenia, a byli też tacy, których zupełnie nie kojarzyła.

Do domu nad zatoką dotarła przemarznięta do szpiku kości. Natychmiast zaparzyła herbatę, dołała do niej kieliszek rumu i otulając się ciepłym kocem, usiadła w fotelu przy oknie. Popijając gorący napój, obserwowała grube, ciężkie płyty śniegu, pokrywające kamienny taras. Słabe światło lampy delikatnie rozpraszało panującą w salonie ciemność, wydobywając z niej niewyraźne zarysy mebli. Karolinę zawsze zastanawiało, dlaczego matka, choć była archeologiem i brała udział w wykopaliskach na kilku kontynentach, nie miała w domu prawie żadnych archeologicznych pamiątek. Jedynie na kominku stała niewielka figurka z brązu. Wiele razy chciała matkę o to zapytać, ale jakoś zawsze o tym zapomniała, a teraz nie mogła już tego zrobić i pozostawały tylko domysły.

Będę musiała zabrać się za domowe porządki – pomyślała, wstając z fotela. Gorąca herbata z rumem i ciepły koc rozgrzały ją do tego stopnia, że czuła rumieńce na policzkach. Matka, przewidując zbliżający się koniec, przekazała Karolinie wyraźne polecenia dotyczące jej majątku. Wszystkie ubrania miały zostać oddane dla potrzebujących. Natomiast przyszłość domu pozostawiła w rękach Karoliny. Mogła go sprzedać, wynajmować albo w nim zamieszkać. Każdą z opcji należało dokładnie przeanalizować, ale na razie Karolina nie miała głowy do myślenia o tym, co zrobi z domem. Najchętniej o niczym by nie myślała, tyle że myśli niczym natrętne ćmy leciały do niej, jak do lampy, którą ktoś zapomniał zgasić przed pójściem spać.

– Jeśli nie chcesz myśleć, to weź się do roboty – powtarzała często matka i właśnie to motto Karolina postanowiła teraz wykorzystać. Wstawiła kubek do zmywarki, z szuflady wyjęła duże grube worki na śmieci i przeszła do sypialni. Garderoba matki zajmowała tylko jedną szafę, jednak to wystarczało, aby zawsze była ubrana stosownie do okoliczności. Prócz urody matka posiadała gust i dobry smak. Obu tych rzeczy nie można się było nauczyć. Albo się je miało, albo nie. Może właśnie dlatego Karolina tak lubiła zakupy z matką, która zawsze umiała jej doradzić i nigdy nie owijała w bawełnę.

– Wyglądasz w tym jak sierotka Marysia – to było ulubione określenie matki, gdy Karolina przymierzała coś, co ewidentnie do niej nie pasowało. Z kolei, gdy było odwrotnie, matka porównywała ją do egipskiej królowej. Zapakowanie wszystkich ubrań zajęło Karolinie ponad trzy godziny. Pewnie, gdyby nie przywoływała wspomnień związanych z konkretnymi ubraniami, zrobiłaby to znacznie szybciej.

– Teraz jeszcze buty – westchnęła, wiedząc, że z obuwiem upora się bardzo szybko, bo matka prócz gustu i dobrego smaku uwielbiała

porządek. Każda para jej butów, niezależnie czy kupiona dwa miesiące czy dziesięć lat temu, miała swoje pudełko. Karolina zazdrościła matce tych wszystkich cech, których ona sama nie posiadała, a o których marzyła. Nie była wierną kopią swojej rodzicielki i obie z matką doskonale o tym wiedziały. Biorąc kolejny karton z butami, poczuła, że jest on znacznie lżejszy od pozostałych.

Czyżby nic w nim nie było? – pomyślała, unosząc tekturową pokrywkę. Jednak pudełko nie było puste, a zamiast butów na jego dnie leżały dwa grube bruliony.

– A to co? – zdziwiła się, wyjmując pierwszy z zeszytów, który, sądząc po wytartych okładkach, musiał mieć sporo lat. Otworzyła notatnik na przypadkowej stronie i zobaczyła tak dobrze znajome pismo. Kanciaste litery mogłyby sugerować, że zapisków dokonywał mężczyzna, ale Karolina nie miała wątpliwości, kto jest ich autorem. To było pismo jej matki. Mimowolnie zaczęła czytać fragment, na który właśnie patrzyła.

– Anka, co ty tu robisz? Czy coś się stało? – zapytał, patrząc na mnie, jakbym była duchem.

– Jesteś sam? – wyszeptałam, ignorując jego zaskoczenie i troskę.

– Tak.

– A kochasz mnie? – zadałam pytanie, które przez kilka popołudniowych godzin ćwiczyłam przed lustrem, jak aktorka rolę do najważniejszego spektaklu swojego życia.

– Zdziwienie Karola stało się jeszcze większe, a jego wzrok podejrzliwy.

– Czy ty coś piłaś?

– Możesz mi, do cholery, odpowiedzieć na proste pytanie, zamiast przeprowadzać jakieś dziwne śledztwo – poprosiłam, wbijając w jego twarz wyczekujące spojrzenie.

– Tak, kocham cię – oświadczył i wciągając mnie do mieszkania, zmiążdżył moje usta pocałunkiem. Oparta o zamknięte drzwi odwzajemniałam pocałunki, rozpinając jednocześnie jego koszulę, podczas gdy on mocował się z guzikami mojego płaszcza, zamkiem od sukienki i haftkami stanika. Kiedy walka o uwolnienie naszych ciał z krępujących je ubrań zakończyła się zwycięstwem, Karol ukląkł przede mną, rozchylił moje uda i zaczął pieścić w sposób, którego się po nim nie spodziewałam. Jego zachłanny język dotykał każdego zakamarka mojej kobiecości. Odurzona rozkoszą i wypitym winem nie protestowałam, pragnąc, by ta chwila trwała bez końca. Gdy wreszcie przeniósł mnie do pokoju i położył na łóżku, jego pieczyoty stały się jeszcze bardziej zaborcze. Już nie tylko język, ale i palce muskały najbardziej wrażliwe miejsca.

– Chodź, chcę cię poczuć – poprosiłam, czując, że fala ekstazy zbliża się nieuchronnie. Karol posłusznie przerwał pieczyoty i spełnił moje życzenie. Wtedy dopiero poczułam, jak coś we mnie rośnie, aby kilka chwil później wybuchnąć zduszonym krzykiem. Tej nocy kochaliśmy się jeszcze kilka razy, ale w tych zbliżeniach nie było już aż takiej dzikości, zachłanności i żaru. Przypominały one żeglowanie po spokojnych wodach, podczas gdy pierwszy raz można było porównać do rejsu w szalejącym sztormie.

Co to jest? – pomyślała Karolina, czując, że policzki palą ją, jakby została właśnie przyłapana na czymś niestosownym. Najpierw przemknęło jej przez głowę, że matka postanowiła spróbować swoich sił jako pisarka. Jeśli tak było, to przeczytany właśnie fragment z pewnością nie należał do grzecznej literatury. Może właśnie dlatego bruliony były schowane na dnie szafy, w pudełku po butach. Jednak kiedy przeszła do salonu, usiadła przy lampie i otworzyła zeszyt na pierwszej stronie, zauważyła, że tam pismo było mniej wyrobione, jakby trochę dziecinne. U góry strony widniała data

22 lipca 1967. Poniżej matka zapisała zdanie, które Karolina bardzo często słyszała z jej ust: „Jedyną pewną rzeczą na tym świecie jest śmierć”, i wtedy ją olśniło. To nie była żadna powieść, ale pamiętnik jej matki, który zaczęła prowadzić, mając siedemnaście lat. Karolina ponownie przeczytała pierwsze zdanie pamiętnika. Brutalna prawda, ukryta w tych kilku wyrazach, sprawiła, że poczuła łzy gromadzące się pod powiekami. Zamknęła zeszyt, przetarła oczy chusteczką i głośno westchnęła. Przez kolejne kilkanaście minut zadawała sobie jedno i to samo pytanie: „Czy mam prawo to przeczytać?”. Nie czy chcę, bo akurat tego była pewna. Pragnęła poznać zapiski matki, których próbka jasno wskazywała, że jej życie, szczególnie to w Polsce, skrywało wiele tajemnic. Pierwszą był mężczyzna o imieniu Karol, o którym matka nigdy nawet słowem nie wspomniała, a przecież potrafiły rozmawiać o wszystkim. Dla matki nie było tematów tabu. To ona, a nie pisma dla nastolatek wprowadziły Karolinę w świat dojrzewania, seksu i tego wszystkiego, o czym najchętniej rozmawia się z przyjaciółkami. Dla Karoliny taką przyjaciółką była matka. Matka, która mimo swej ogromnej otwartości i tolerancyjności, ukrywała pewną część swojego życia. Chociaż kilka razy zabrała Karolinę do Polski, aby odwiedzić uroczą ciocię Lenę, mieszkającą w Sopocie, a także groby dziadków i prababci na sopockim cmentarzu, to nigdy nie wracała do przeszłości. W końcu Karolina uznała, że teraz, gdy matka już nie żyje, ma pełne prawo poznać całe jej życie. Zdając sobie sprawę, że lektura zeszytu zajmie jej nie kilka minut, ale godzin, zaparzyła duży kubek kawy, dorzuciła do kominka kilka dębowych polan i zatopiła się w historii, spisanej przez matkę.

22 lipca 1967, sobota

„Jedyną pewną rzeczą na tym świecie jest śmierć”. Tak właśnie pomyślałam dwa dni temu, gdy w radiowych wiadomościach podano informację o katastrofie lotniczej w Hendersonville, która pochłonęła życie osiemdziesięciu ośmiu ludzi. Informacja była straszna, zwłaszcza w zestawieniu z okolicznościami, w jakich ją usłyszałam. Leżałam wtedy na plaży, niedaleko sopockiego molo, żar lał się z nieba, rozwrzeszczane dzieciaki biegały po gorącym piasku, a w wiadomościach o jedenastej mówiono o śmierci prawie setki osób. Jakby tego było mało, następną informacją była zapowiedź imprez, jakie z okazji święta 22 lipca miały się odbyć w całym kraju. Czy dla otaczających mnie wczasowiczów wszystkie te nowiny o oddanych do użytku szkołach, basenach i mieszkaniach oraz obietnicach nowych inwestycji miały jakieś znaczenie? Szczerze wątpiłam, tym bardziej że spiker, mówiąc o całym narodzie, biorącym udział w uroczystościach państwowych, mijał się z prawdą. No, chyba że wygrzewanie się na słonecznej plaży i wskakiwanie w słone wody Bałtyku zasługiwało na miano uroczystości państwowych. Wiedziałam, że ojciec z pewnością świętuje na stadionie dziesięciolecie, bo gdy wczoraj rozmawiałam z nim przez telefon, wspominał o przemówieniu, które miał tam wygłaszać. Ja w ramach świętowania Odrodzenia Polski, zapoczątkowanej ogłoszeniem manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, próbowałam szlifować hiszpański, czytając *Sto lat samotności*. Książkę przywiózł mi ojciec z ostatniej podróży do Buenos Aires. Polecił mi ją jeden z argentyńskich znajomych, twierdząc, że dla siedemnastoletniej dziewczyny, uczącej się hiszpańskiego, będzie to

doskonała lektura. Jednak zupełnie nie mogłam przekonać się do powieści. Może dlatego, że mój hiszpański nie był jeszcze tak dobry i wielu słów zwyczajnie nie rozumiałam. Mimo to cierpliwie od dziewiętnastu dni mojego pobytu u ciotki Celiny strona po stronie wytrwale brnęłam przez tytułowe sto lat.

– Anno, ja kompletnie nie rozumiem, dlaczego uparłaś się na ten hiszpański – stwierdziła ciotka, kiedy pokazałam jej książkę – przecież prócz angielskiego mogłaś wybrać włoski albo francuski – przekonywała – i jeszcze ten przygnębiający tytuł – dodała protekcyjnym tonem.

– Tato sugerował, że powinnam uczyć się rosyjskiego, a w przyszłości pojechać na studia do Moskwy – odpowiedziałam, wiedząc, że właśnie wkładam kij w rodzinne mrowisko.

– Twój ojciec jest dobrym człowiekiem, ale niestety ma złe poglądy – oświadczyła ciotka, składając dłonie jak do modlitwy i unosząc oczy ku niebu. Jej zachowanie było o tyle dziwne, że deklarowała się jako zagorzała ateistka, więc te gesty były bardziej teatralne niż autentyczne.

Ciotka miała sześćdziesiąt dwa lata i jako jedyna, odkąd pamiętam, zwracała się do mnie „Anno”. Zaraz po zakończeniu wojny razem z wujkiem aptekarzem opuściła Wilno, o którym jeszcze teraz mówiła, że powinno należeć do Polski, i przyjechała do Sopotu. Niestety wujek zmarł kilka lat później, a ciotka, choć była jeszcze atrakcyjną kobietą, wolała zostać wdową, niż panną młodą. Kiedy skończyłam dziesięć lat, jeden miesiąc wakacji zawsze spędzaliśmy u ciotki. Najczęściej przyjeżdżałam z mamą, a ojciec wpadał do nas na sobotę i niedzielę. Jednak teraz po raz pierwszy przyjechałam sama, a wszystko przez drobny wypadek rodziców. Pewnego styczniowego popołudnia oboje zawstydzeni jak uczniacy oświadczyli, że mama jest w ciąży i będę miała braciszka lub siostrzyczkę. Termin porodu lekarz określił na koniec lipca, więc wyjazd mamy do

Sopotu nie wchodził w grę. W ten oto sposób po raz pierwszy wyrwałam się spod opiekuńczych skrzydeł rodziców.

– Anno, ja tam nie zamierzam bawić się w twoją opiekunkę – zapowiedziała ciotka, gdy tylko przekroczyłam próg jej mieszkania – jesteś prawie dorosła, więc wiesz, co możesz, a czego nie powinnaś robić. Poza tym liczę na twoją mądrość, bo na robienie głupot masz całe życie – zakończyła, a ja odniosłam wrażenie, że ostatnie zdanie było aluzją do ciąży mamy. Przestrogi ciotki uważałam za zbędne, bo po pierwsze nikogo w Sopocie nie znałam, nie licząc ciotki, a po drugie nawiązywanie nowych znajomości zawsze przychodziło mi z trudem. Tak więc głównymi moimi zajęciami było wylegiwanie się na piasku, bo lipiec był wyjątkowo łaskawy, czytanie o losach rodziny Buendiów, żyjącej w wiosce Macondo, oraz wysłuchiwanie monologów ciotki Celiny. Ciotka narzekała bez przerwy i na co tylko mogła, począwszy od tego, że przed wojną wszystko było lepsze, a skończywszy na tym, że komuniści są złem wcielonym. Chcąc przetrwać ostatni tydzień pobytu u ciotki, postanowiłam pisać pamiętnik. Może kiedyś, gdy doczekam się dzieci, będę im go czytała przed snem, aby szybciej odpłynęły w ramiona Morfeusza.

25 lipca 1967, wtorek

Kiedy dzisiaj otworzyłam notatnik i zobaczyłam początek swojego pierwszego wpisu, poczułam zimny, nieprzyjemny dreszcz przebiegający po moim ciele. Rzeczywiście, śmierć jest jedyną pewną rzeczą na tym świecie, a jej cień towarzyszy mi od wczoraj. Czuję jej lodowaty oddech i boję się, że zabierze mi tych, których kocham. Zaczęło się od tego, że wczoraj rano zadzwonił ojciec, informując, że mama źle się poczuła i jedzie z nią do szpitala.

No to za kilka godzin będę miała braciszka lub siostrzyczkę, a nasza rodzina się powiększy – pomyślałam, odkładając słuchawkę i wracając do

łóżka. Poranek był pochmurny i wietrzny, tak jakby limit pogodnych dni już się wyczerpał, więc postanowiłam jeszcze trochę poleżeć i poczytać. Jednak nie potrafiłam skupić się na lekturze, bo moje myśli biegły ku mamie. Gdybym mogła wybierać, wolałabym brata, tak dla rodzinnej równowagi. Poza tym tato zawsze powtarzał, że miałam być chłopcem, więc narodziny syna i dla niego byłyby w pewnym sensie spełnieniem marzeń.

Gdy dwie godziny później znowu zadzwonił telefon, zerwałam się z łóżka, chcąc odebrać go przed ciotką. Co prawda w jej domu panowała zasada, że to ona odbiera telefony, ale tym razem, nie bacząc na jej karcące spojrzenie, postanowiłam ją złamać. Ważniejsza od gniewu ciotki, który i tak bardzo szybko mijał, była chęć dowiedzenia się nowin, jakie miał dla mnie ojciec. Jednak w słuchawce zamiast jego radosnego głosu, usłyszałam głos jego sekretarki. Znałam go doskonale, bo pani Małgosia często dzwoniła na nasz warszawski domowy numer.

– Aniu, twoi rodzice mieli wypadek – oznajmiła kobieta, gdy rozpoznała, że to ja odebrałam telefon.

– Jaki wypadek? – wyjąkałam zdziwiona, przysiadając na krześle obok komody, na której stał aparat telefoniczny. Zawsze uważałam, że ojciec jeździ bardzo ostrożnie. Nigdy nie przekraczał dozwolonej prędkości i bacznie obserwował, co robią inni kierowcy.

– Gdy jechał z twoją mamą do szpitala, na skrzyżowaniu uderzyła w nich ciężarówka – wyjaśniła sekretarka.

– Czy oni... – zaczęłam, wyobrażając sobie, jak musi wyglądać zderzenie samochodu osobowego z ciężarowym.

– Żyją, ale są ciężko ranni – uspokoiła pośpiesznie kobieta, nie pozwalając mi dokończyć pytania. – Powinnaś jak najszybciej wrócić do

Warszawy – dodała, choć dla mnie było jasne, że w obecnej sytuacji mój powrót jest rzeczą oczywistą.

– Anno, co się stało? – Stojąca obok ciotka wyglądała na zdezorientowaną.

– Tato i mama mieli wypadek samochodowy – odpowiedziałam, przysłaniając dłonią słuchawkę. Z twarzy ciotki w jednej chwili odpłynęła cała krew. Wyglądała jak zjawa.

– Pani Małgosiu, a w którym szpitalu leżą rodzice? – zapytałam, wracając do rozmowy z sekretarką ojca.

– Na Wołowskiej, to znaczy teraz na Władimira Komarowa – poprawiła się szybko, przypominając sobie, że niedawno zmieniono nazwę ulicy, przy której stał szpital z oddziałami dla partyjnych dygnitarzy.

– Przyjadę do Warszawy najszybciej, jak to będzie możliwe – zapewniłam, zastanawiając się, o której godzinie mam najbliższy pociąg do stolicy.

– Zarezerwowałam dla ciebie i twojej cioci bilety na ekspres o dwunastej czterdzieści pięć – oznajmiła sekretarka, jakby czytając w moich myślach. – Odbierzesz je w kasie na sopockim dworcu – poinstruowała. – Jak dojedziecie, będzie na was czekał samochód z ministerstwa – dodała na zakończenie rozmowy.

Do odjazdu pociągu miałyśmy jeszcze prawie dwie godziny, więc spokojnie mogłyśmy spakować walizki. Na szczęście ciotka po pierwszym wstrząsie wywołanym wiadomością o wypadku doszła do siebie. Znowu wykazywała się inicjatywą, wydając mi polecenia, zamawiając taksówkę i załatwiając opiekę nad swoim mieszkaniem w osobie pani Jadzi, sąsiadki z parteru.

Kiedy po pięciu godzinach jazdy pociągiem dotarłyśmy do Warszawy i wyszłyśmy przed dworzec, nikt na nas nie czekał.

– Takie to są obiecanki tych sekretarek – prychnęła pogardliwie ciotka i stwierdziła, że musimy same poszukać taksówki. Już miałam przystać na jej propozycję, gdy obok nas zatrzymał się lśniący czarny mercedes.

– Bardzo przepraszam za spóźnienie – powiedział barczysty kierowca, którego znałam z widzenia, ponieważ czasami zawoził mnie i ojca w różne miejsca. Pamiętałam, że ostatnim razem wioził nas na koncert The Rolling Stones do sali kongresowej.

– Musiałem odwieźć towarzysza Gomułkę – wyjaśnił, chowając nasze walizki do bagażnika.

– No tak, towarzysz Wiesław jest ważniejszy, niż córka jednego z jego ministrów, która śpieszy się do ciężko rannego ojca – odburknęła ciotka.

Miałam już zamiar jakoś zareagować, ale w ostatniej chwili zrezygnowałam, wiedząc, że to tylko zaogni całą niezręczną sytuację. Kierowca również zignorował uwagę. Chciałam jak najszybciej dojechać do szpitala i teraz tylko to się liczyło. Przekonania ciotki i jej złośliwości nie miały dla mnie żadnego znaczenia.

W szpitalu czekał już na nas sam dyrektor. Jeden rzut oka na jego twarz wystarczył, abym pojęła, że stan rodziców jest bardzo poważny.

– Jakie są rokowania? – ciotka od razu przeszła do rzeczy.

– Będę z paniami zupełnie szczery – zaczął mężczyzna, prowadząc nas na oddział, gdzie leżeli rodzice. Szliśmy zatłoczonymi korytarzami, na których kłębili się pacjenci i szpitalny personel. – Siła uderzenia ciężarówky w samochód pana ministra była bardzo duża. Co za tym idzie obrażenia, jakich doznał on i jego żona, są bardzo ciężkie – oświadczył lekarz, zatrzymując się przed zamkniętymi drzwiami. Otworzył je kluczem wyjętym z kieszeni i wprowadził nas w zupełnie inny świat. Tutaj korytarze były niemal puste, podobnie jak część z mijanych sal.

– Proszę mi powiedzieć, czy przeżyją – przerwała zniecierpliwiona ciotka, gromiąc mężczyznę surowym spojrzeniem.

– W tej chwili jest za wcześnie, aby mówić o tym, jakie mają szanse. Jednak powinny być panie przygotowane na każdą ewentualność, również tę najgorszą – odparł dyrektor, zatrzymując się przed salą, w której na szpitalnych łóżkach, owinięte bandażami jak egipskie mumie, leżały dwie postacie. Z ich ramion, szyi i nóg zwisały dziwne rurki i kable, które były podłączone do dużej maszyny, przypominającej szafę.

– Pani rodzice musieli być bardzo pilnie operowani, konieczne było przeprowadzenie kilku skomplikowanych operacji, a teraz są utrzymywani w czymś, co nazywamy sztucznym snem – wyjaśnił lekarz, widząc, jak przerażonymi oczami patrzę na całą tę medyczną aparaturę. – Jest to najnowsza metoda, stosowana głównie w przypadku ciężkich obrażeń – kontynuował mężczyzna, podsuwając krzesła dla mnie i ciotki. Usiadłam ciężko i zbolałym wzrokiem patrzyłam na ojca i matkę.

– Te urządzenia kontrolują funkcje życiowe pani rodziców, a także pomagają im oddychać – wyjaśnił, wskazując dwie metalowe szafy, stojące obok łóżek. Każda z nich miała na środku coś w kształcie telewizora, tyle że zamiast obrazu migwały na nim dziwne kreski.

– A co z dzieckiem? – zapytałam, choć podświadomie znałam już odpowiedź na to pytanie.

– Musieliśmy przeprowadzić cesarskie cięcie. Choć stan pani matki już wtedy był bardzo poważny, dziecku jakimś cudem nic się nie stało. Dziewczynka wygląda na zupełnie zdrową – odparł lekarz, a na jego poważnej dotąd twarzy zagościł cień uśmiechu. – Oczywiście całkowitą pewność uzyskamy za kilka dni, jednak w jej przypadku jestem dobrej myśli – dodał, spoglądając znacząco na rodziców, jakby chciał powiedzieć, że oni nie mają szans.

26 lipca 1967 środa

Wczoraj po powrocie ze szpitala do domu obie z ciotką byłyśmy tak zmęczone, że nawet nie jadłyśmy kolacji. W kuchni na stole zobaczyłam tylko karteczkę od sekretarki taty, informującą o tym, że w lodówce są świeże zakupy, a gdybym czegoś potrzebowała, to mam do niej zatelefonować. Wzięłam szybką kąpiel i natychmiast poszłam spać. Dopiero dzisiaj rano, a właściwie przed południem, jeszcze leżąc w łóżku, mogłam na spokojnie przemyśleć wydarzenia ostatnich kilkudziesięciu godzin. Na wspomnienie tego, co poprzedniego dnia zobaczyłam w szpitalu, poczułam łzy zbierające się pod powiekami. Szlochając, zaczęłam rozumieć, że mimo starań lekarzy i – jak powiedział dyrektor szpitala – najnowocześniejszego sprzętu, moi rodzice mogli umrzeć. Jedynym światełkiem w tej czarnej rozpaczce była moja maleńka siostrzyczka. Chociaż jeszcze niedawno marzyłam o braciszku, to teraz płeć przestała mieć znaczenie. Liczyło się tylko życie i zdrowie tej małej, kruchej istotki, która, jak to ujął lekarz, cudem przeżyła cały ten koszmar. Wiedziałam, że w jakimś stopniu będę musiała poświęcić dla niej część swojego życia. Przecież dyrektor szpitala jasno stwierdził, że nawet jeśli rodzice przeżyją, to nigdy nie będą tak sprawni, jak przed wypadkiem. Moje rozmyślenia przerwało ciche pukanie do drzwi. Nim zdążyłam powiedzieć „proszę”, do pokoju wkroczyła ciotka Celina.

– Anno, musisz coś zjeść, bo za chwilę jedziemy do szpitala – powiedziała, stawiając na stoliku przy łóżku tacę, na której stał talerzyk z kanapkami i szklanka z herbatą. Gdy ja, siedząc w łóżku, jadłam śniadanie, ciotka stanęła przy oknie i zapatrzyła się w widoczną z naszego mieszkania Wisłę.

– Co będzie, jeśli rodzice umrą? – zapytałam, upijając łyk gorącej gorzkiej herbaty. Ciotka nigdy nie używała cukru i próbowała do tego

samego przekonywać innych.

– Anno, teraz nie ma sensu o tym myśleć – odparła, nie odrywając wzroku od widoków za oknem – ale jeśli tak się stanie, to czeka nas sporo zmian – dodała, głośno wzdychając.

Całe popołudnie i większość wieczoru spędziłyśmy w sali, gdzie leżeli rodzice. Ich stan nie uległ poprawie, ale jak ostrożnie zaznaczył dyrektor, też się nie pogorszył, co według niego działało na ich korzyść. Przed opuszczeniem szpitala pozwolono nam zobaczyć moją siostrzyczkę.

– Trzeba jej nadać imię – stwierdziła ciotka, spoglądając na małą z pewnym rozczeniem, które widziałam u ciotki po raz pierwszy w życiu.

– To raczej powinni zrobić rodzice – odparłam, gładząc palcem małą, zaciśniętą w piąstkę rączkę.

– Nie, Anno, oni tego nie zrobią i nie ma sensu się oszukiwać – ton ciotki znowu był zasadniczy, a spojrzenie twarde.

28 lipca 1967 piątek

Dziś mogę napisać tylko tyle, że sprawdził się najczarniejszy scenariusz. Mama odeszła dzisiejszej nocy, a tato kilka godzin później. Chociaż nawet lekarze otwarcie mówili, że rodzice mogą umrzeć, to podświadomie liczyłam na jeszcze jeden cud, podobny do tego, który pozwolił przeżyć Zosi, bo właśnie takie imię postanowiłam nadać swojej siostrzyczce. Zrobiłam to poprzedniego wieczoru, gdy przed powrotem ze szpitala do domu znowu odwiedziłyśmy oddział noworodków. Głaszcząc malutki nosek mojej siostrzyczki, powiedziałam do niej:

– Od dzisiaj będziesz Zosią.

Ciotka, choć sama na to nalegała, nie była z mojego wyboru zadowolona.

– Skąd ci takie wiejskie imię przyszło do głowy?

– Ciociu, nie wiejskie, tylko greckie, a poza tym jest sporo słynnych kobiet o tym imieniu, Zofia Kossak, Zofia Nałkowska, Zofia Stryjeńska – wymieniłam pierwsze osoby, jakie potrafiłam skojarzyć z tym imieniem. Szczególnie Zofia Stryjeńska zapadła mi w pamięć, bo w mieszkaniu ciotki wisiał jeden z jej obrazów, a ciotka powtarzała, że z wszystkich kobiet, które malowały, Stryjeńska była najlepsza. Wiele osób chciało nawet odkupić płótno, jednak mimo korzystnych propozycji, ciotka zawsze odmawiała, tłumacząc, że to rodzinna pamiątka.

O śmierci rodziców zostałyśmy powiadomione kilka minut po ósmej. Jadłyśmy właśnie śniadanie i planowałyśmy kolejny dzień, kiedy zadzwonił telefon.

– No odbierz, Anno – ponagliła ciotka, uważając, że skoro teraz jesteśmy w Warszawie, a nie w jej mieszkaniu w Sopocie, to ona nie ma prawa odbierać telefonów.

– Ciociu, możesz ty? – poprosiłam, wskazując błagalnym wzrokiem na dzwoniący aparat. Ciotka nic nie odpowiedziała, tylko podniosła słuchawkę.

– Słucham – odezwała się, tym swoim zasadniczym tonem. – Tak, przy telefonie – dodała po chwili zmienionym głosem. Słuchała przez chwilę, a później podziękowała za informację i odłożyła słuchawkę.

– Krystyna zmarła w nocy, a Tadeusz godzinę temu – zakomunikowała. Na jej twarzy nie pojawiły się łzy, a jedynie smutek, któremu towarzyszyło westchnienie.

Zastanawiałam się, czy wyraża ono żal, a może ulgę, że jest już po wszystkim. Sama również nie płakałam. Choć przecież po śmierci rodziców powinnam rozpaczać i zalewać się łzami, ja czułam jedynie wielką próżnię, która wypełniała mnie jak powietrze balon. W pewnym sensie tak właśnie się czułam. Byłam balonem, wewnątrz pustym, na

zewnątrz smutnym. Podejrzewałam, że łzy przyjdą później, i rzeczywiście całe popołudnie spędziłam w swoim pokoju, kryjąc zapłakaną twarz w poduszce. Ciotka w tym czasie krzątała się po mieszkaniu, telefonowała do bliższych i dalszych znajomych, informując ich o dacie pogrzebu, a ten miał się odbyć pierwszego sierpnia. Na szczęście jego organizacją miało się zająć ministerstwo, więc nie musiałyśmy z ciotką odwiedzać zakładu pogrzebowego, wybierać trumny czy miejsca na cmentarzu. Nie wiem, czy podołałabym temu wszystkiemu. Jedyłą ulgą w tym koszmarze było przelewanie swoich myśli na papier, wspomnianie szczęśliwych chwil, spędzonych wspólnie z rodzicami, i mała iskra radości w osobie małej Zosi.

1 sierpnia 1967, poniedziałek

Teraz to już naprawdę po wszystkim. Siedzę na naszym balkonie, wpatrzona w uśpione miasto. Gdzieś w dole słychać cichy nurt Wisły i nieliczne samochody jeżdżące po ulicach. Próbuję przypomnieć sobie pogrzeb, ale pamiętam niewiele i właśnie dlatego zapisuję każdą chwilę utrwaloną w swojej pamięci. Tak naprawdę nawet nie wiem, dlaczego to robię. Może nie dla siebie, ale małej Zosi, która gdy dorośnie, będzie chciała znać takie szczegóły, jak kolor trumien, w jakich zostali pochowani jej rodzice. Trumny były jasne owinięte flagą narodową, bo pogrzeb miał rangę państwową. Co prawda nie było na nim towarzysza Gomułki, co ciotka skrupulatnie odnotowała, gdy wróciliśmy do domu.

– Gomułka widocznie jest zajęty wyłapywaniem Żydów niż pożegnaniem jednego ze swoich ministrów – prychnęła, oglądając Dziennik Telewizyjny, w którym Gomułka nazwał Żydów mieszkających w Polsce piątą kolumną. – Ale za to widziałam Cyrankiewicza – dodała tonem, w którym pobrzmiwała nuta sympatii. Było to o tyle niezrozumiałe, że ciotka uważała komunistów za największe zło.

Ja podczas pogrzebu nie zwracałam uwagi na otaczających mnie ludzi. Patrzyłam na trumny i ze wszystkich sił powstrzymywałam łzy cisnące się uparcie do oczu. Po kilku przemówieniach i pośmiertnym odznaczeniu ojca za działalność na rzecz socjalizmu trumny zostały opuszczone, a marmurowa płyta nagrobna zamknęła się nad nimi z cichym stuknięciem. Później przez prawie kwadrans przyjmowałam kondolencje od obcych ludzi, z których jedynie dwie lub trzy osoby wydały mi się znajome. Wszyscy powtarzali, że ojciec był wspaniałym człowiekiem, a niektórzy dodawali również, że oddanym socjalistą. Dla mnie był jednak tatą, z którym jako mała dziewczynka chodziłam na lody i plac zabaw, który czasami odbierał mnie z przedszkola, a kiedy podrosłam, zabierał na koncerty.

Po ceremonii pogrzebowej ruszyliśmy do czekającego przed cmentarzem samochodu, ale kierowcy w nim nie było. Dopiero po chwili zobaczyliśmy go, jak kilkanaście metrów dalej machając dużym pędzlem, pomaga milicjantowi zamalowywać napis na cmentarnym murze. Choć robili to bardzo szybko, zdołałam przeczytać „CZEŚĆ I CHWAŁA BOHATEROM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO”. Nad napisem umieszczono kotwicę Polski Walczącej, jednak rysunek był za wysoko, aby można go było dosięgnąć i zamalować.

– Widzą panie, te reakcyjne, wrogie świnię nawet po tylu latach potrafią mącić i zakłamywać historię – powiedział mężczyzna i wrzucając pędzel do wiadra z farbą, podbiegł do nas, zostawiając milicjanta, który bezradnym wzrokiem wpatrywał się w kotwicę.

– Gdy oni walczyli z Niemcami, to ty, gówniarzu, srałeś w pieluchy – wycedziła czerwona ze złości ciotka.

– Ciociu, daj spokój – wyszeptałam, dotykając jej ramienia.

– Co daj spokój, co daj spokój? – burknęła obruszona. – Najpierw niech się szczeniak dobrze historii nauczy, a później miele tym swoim czerwonym jęzorem.

– Przed chwilą pochowałam rodziców, więc proszę, uszanuj ich pamięć – powiedziałam głośniej, niż zamierzałam.

– Tak, Anno, masz rację, nie warto w takim dniu spierać się o historię – przyznała ciotka, opanowując złość. – Ale trzeba o niej pamiętać – dodała, posyłając kierowcy lodowate spojrzenie, i wsiadła do samochodu. Z cmentarza pojechaliśmy do szpitala, zobaczyć Zosię, która według lekarzy była zupełnie zdrowa i za kilka dni mogła opuścić szpital.

5 sierpnia 1967, piątek

Za trzy tygodnie muszę opuścić warszawskie mieszkanie. Jak się bowiem okazało, nie było ono własnością rodziców. Ojciec otrzymał je, kiedy sześć lat temu zaczął pracę w ministerstwie jako lokal słuźbowy. Co prawda ministerstwo obiecywało, że otrzymam przydział na inne mieszkanie, ale zdaniem ciotki było to tylko mydlenie oczu.

– Jakoś nie wierzę, że dadzą ci mieszkanie, skoro nawet przemilczeli śmierć twojego ojca – stwierdziła, kiedy powiedziałam jej o telefonie z ministerstwa.

– Aniu, przepraszam, że dzwonię do ciebie za ledwie w dzień po pogrzebie twojego ojca, ale takie polecenie otrzymałam od przełożonych – zaczęła pani Małgorzata, która była sekretarką taty, a ja już wtedy poczułam, że kobieta nie ma dla mnie dobrych wiadomości. Zdradzał to jej głos, zażenowany i drżący. Wysłuchałam jej cierpliwie, a gdy na zakończenie rozmowy ponownie zaczęła mnie przeproszać, zapewniłam, że nie musi tego robić.

– Widzisz o suszy, o tym, że ktoś tam pobił rekord polski w bieganiu czy o wygranej naszych piłkarzy to potrafią pisać, ale żeby choć słowem

wspomnieć o śmierci jednego z ministrów, to już nie potrafią – żaliła się ciotka, pokazując mi przyniesione z kiosku gazety.

– Ciociu, a jakie to ma teraz dla nas znaczenie?

– Teoretycznie żadne, ale dobre wychowanie nakazuje choć słowo napisać na ten temat.

– Lepiej pomyślmy, co teraz zrobimy z Zosią – zmieniłam temat rozmowy.

– Jak to, co zrobimy? Wystąpimy do sądu o przyznanie mi nad nią opieki, a gdy ją uzyskam, wracamy do Sopotu i zamieszkacie u mnie – oświadczyła ciotka. – Już rozmawiałam ze znajomym adwokatem i obiecał się tym zająć – dodała.

Inicjatywa ciotki trochę mnie zaskoczyła. Jednak z drugiej strony byłam jej wdzięczna, że potrafiła odnaleźć się w sytuacji, która była dla nas zupełnie nowa. Co prawda nie wyobrażałam sobie ciotki w roli matki zastępczej, ale innego wyjścia nie było. Nie chodziło nawet o jej wiek, bo jak na swoje sześćdziesiąt dwa lata, ciotka tryskała zdrowiem i energią. Choć od dwóch lat mogła być już na emeryturze, to nadal uczyła matematyki w jednym z sopockich liceów. Jednak wątpiłam, aby ze swoim zasadniczym charakterem potrafiła zaopiekować się małym dzieckiem. Tyle że innego rozwiązania nie było. Ja kończyłam osiemnaście lat dopiero za kilka miesięcy, więc teraz formalnie nie mogłam przejąć opieki nad siostrą. Poza tym nawet gdybym mogła to zrobić, to musiałabym zrezygnować z nauki.

10 sierpnia 1967, środa

Od trzech dni Zosia jest już z nami. Odebrałyśmy ją w poniedziałek rano. Nigdy nie miałam do czynienia z tak małym dzieckiem. Pewnie dlatego wszystko mnie dziwi, począwszy od tego, że Zosia bardzo dużo śpi. Zdaniem ciotki to normalne u niemowląt i nie ma się czym martwić.

Problemem jest natomiast karmienie. Mleko, jakie zalecił nam lekarz, nie przypadło Zosi do gustu i musieliśmy zmienić je na mleko z zagranicy, dostępne jedynie w sklepach dewizowych. Na szczęście ojciec zostawił sporo bonów, dzięki którym ciotka zrobiła zapas mleka na cały rok. Udało się też uzyskać tymczasową opiekę nad Zosią, co pozwalało na naszą przeprowadzkę do Sopotu. Ciotka chciała wyjechać jak najszybciej.

– Nie możemy tutaj siedzieć, bo trzeba zapisać cię do nowej szkoły, a ja muszę załatwić formalności z przejściem na emeryturę – tłumaczyła.

Dla mnie wyjazd na wybrzeże oznaczał zerwanie z życiem, jakie do tej pory wiodłam. Po pierwsze zmiana szkoły. Ciotka, która była nauczycielem w Liceum Ogólnokształcącym imienia Marii Curie Skłodowskiej w Sopocie, uważała, że właśnie tam powinnam kontynuować edukację. Mnie w gruncie rzeczy było wszystko jedno, gdzie pójdę do szkoły, przecież każda z nich była dla mnie nowym miejscem, o którym nic nie wiedziałam. Postanowiłam więc zaufać ciotce. Tym bardziej że od Grunwaldzkiej, gdzie mieszkała ciotka, do Książąt Pomorskich, gdzie mieściła się szkoła, było zaledwie kilkaset metrów. Nie musiałam też obawiać się niezręcznej sytuacji, że będę uczennicą szkoły, w której uczy moja ciotka. Przerabiałam już to, będąc uczennicą własnej matki w podstawówce, i nie miałam dobrych wspomnień z tego okresu. Po drugie opuszczenie Warszawy wiązało się z zerwaniem wszystkich moich znajomości. Oczywiście w Sopocie mogłam nawiązać nowe przyjaźnie, więc tą kwestią za bardzo się nie przejmowałam. Najbardziej jednak bolał mnie fakt, że będę musiała porzucić zajęcia taneczne. Taniec, choć traktowałam go jako pasję, był nieodłącznym elementem mojego życia. Tańczyłam od sześciu lat i trudno mi było sobie wyobrazić, że nagle to wszystko się skończy. Dlatego też zamierzałam wymóc na ciotce zgodę na

udział w podobnych zajęciach w Sopocie, o ile w ogóle ktoś je tam prowadził.

21 sierpnia 1967, poniedziałek

Właśnie jedziemy do Sopotu. Wyjechałyśmy dwie godziny temu samochodem ministerstwa. Ciocia czyta gazetę, Zosia śpi, a ja piszę. Jutro mają dojechać nasze rzeczy. Z mieszkania rodziców zabrałam niewiele, jedynie pamiątki osobiste, ubrania i książki. Zostawiłam meble, bo zwyczajnie nie byłoby ich gdzie wstawić. Mieszkanie ciotki ma co prawda trzy pokoje, ale ciotka stwierdziła, że woli swoje stare meble z prawdziwego drewna, niż te nowoczesne z płyty.

– Wiesz, Anno, zamówiłam u znajomego stolarza kołyskę dla Zofii, ale taką prawdziwą drewnianą – oznajmiła wczoraj przy kolacji.

Mam coraz większe wątpliwości, czy ciotka nadaje się do wychowywania małego dziecka. Już sam fakt, że mówi do niej Zofia, unikając jakichkolwiek zdrobnień, nie wróży niczego dobrego. Po licznych naleganiach uzyskałam od ciotki wstępną zgodę na udział w zajęciach tanecznych.

– Dobrze, Anno, zgadzam się na te twoje zajęcia taneczne, ale pod warunkiem, że będą się odbywały w Sopocie – zakomunikowała, kiedy kilka dni temu znowu skierowałam naszą rozmowę na ten temat. Z jednej strony jestem zadowolona, ale z drugiej zastanawiam się, czy ta zgoda nie wynika z faktu, że w Sopocie takich zajęć nie znajdę.

25 sierpnia 1967, piątek

Ostatnie kilka dni było bardzo pracowitych. We wtorek musiałyśmy pójść do urzędu, aby zameldować mnie i Zosię, a w środę poszłyśmy zapisać mnie do szkoły. Rzeczywiście mieściła się ona zaledwie pięć minut spacerem od kamienicy ciotki. Samo liceum wyglądało bardzo okazale. Był

to trzypiętrowy budynek w kształcie litery L, zbudowany z czerwonej cegły. Uwagę zwracały duże okna oraz błyszczący w sierpniowym słońcu napis: „Liceum Ogólnokształcące nr. 1 im. Marii Curie Skłodowskiej w Sopocie”, umieszczony centralnie nad wejściem. Jak opowiedziała ciocia, budynek szkoły został zbudowany jeszcze przed wojną i początkowo miał być szpitalem, ale ostatecznie urządzono w nim szkołę. Jednak środek z przestronnymi korytarzami, dużymi salami o szerokich drzwiach przypominał szpital i przez ostatnie trzy lata wojny rzeczywiście pełnił taką funkcję. Wewnątrz budynku panował przyjemny chłód i wakacyjna cisza. Szerokim korytarzem przeszliśmy do sekretariatu, a następnie do gabinetu dyrektora, który przyjął nas bardzo serdecznie. Ciotka w kilku zdaniach nakreśliła mu całą sytuację. Mężczyzna słuchał cierpliwie.

– Pani Celino, szkoda, że nas pani opuszcza. To wielka strata dla naszej szkoły i jej uczniów – oznajmił autentycznie zmartwiony – ale rozumiem sytuację, w jakiej się pani znalazła, i bardzo pani współczuję – dodał i dopiero wtedy przeniósł spojrzenie na mnie. – Oczywiście z przyjęciem pani bratanicy nie będzie żadnego problemu – zapewnił, dodając, że zrobi wszystko, abym czuła się dobrze w jego szkole.

– Proszę pana, a czy w szkole są prowadzone zajęcia taneczne? – zapytałam. Mężczyzna zmarszczył grube brwi, przetykane tu i ówdzie siwizną. Moje pytanie musiało go nie tylko zaskoczyć, ale i zdziwić.

– Taneczne niestety nie, ale mamy sporo innych pozalekcyjnych zajęć artystycznych, między innymi kółko teatralne, wokalne, plastyczne czy poetyckie, więc, drogie dziecko z pewnością coś dla siebie wybierzesz – odpowiedział po chwili.

– Anno, to jest porządna szkoła z tradycjami i tutaj takich błazeństw się nie praktykuje – ofuknęła mnie ciotka, kiedy wyszliśmy ze szkoły. Już miałam zamiar odpowiedzieć, że taniec nie jest żadnym błazeństwem, ale

uznałam, że teraz kiedy musimy z sobą mieszkać, nie warto dolewać oliwy do ognia.

Następnego dnia poszłam na pocztę, aby z książki telefonicznej wypisać adresy i telefony wszystkich domów kultury, jakie znajdowały się w Sopocie. Początkowo miałam zamiar do nich zadzwonić, lecz kiedy okazało się, że jest tylko jeden i to w dodatku niedaleko, bo na ulicy 20 października, po prostu tam poszłam. Trafiłam właśnie na przesłuchania chętnych do zespołu muzycznego, który szukał wokalistki. Informował o tym duży plakat wiszący na drzwiach wejściowych. Minęłam ogonek kilkunastu dziewcząt w różnym wieku i weszłam do środka.

– Na przesłuchanie? – usłyszałam za sobą kobiecy ochryply głos. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że w drzwiach do jednego z pomieszczeń stoi niska, nieco zasuszona kobieta.

– Nie, szukam jakiegoś pracownika.

– W takim razie dobrze trafiłaś, nazywam się Maryla Muszyńska i jestem kierownikiem – odparła kobieta i gestem zaprosiła do pokoju, z którego wyszła. Posłusznie zawróciłam i weszłam do niewielkiego gabinetu o białych ścianach, którego wyposażenie stanowiło małe drewniane biurko, duży stół roboczy ustawiony pod oknem, kilka szaf i portrety Gomułki oraz Cyrankiewicza, wiszące na ścianach.

– Chciałam się dowiedzieć, czy prowadzicie państwo zajęcia taneczne?

– Co wy wszyscy uparliście się na ten taniec? – westchnęła kierowniczka, przewracając oczami.

– Przeprowadziłam się do Sopotu z Warszawy i tam takie zajęcia były.

– Z Warszawy mówisz. – Kobieta spojrzała na mnie z zaciekawieniem i przyglądała mi się tak przez dłuższą chwilę. – Ty jesteś bratanicą Celiny – kierowniczka bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Zna pani moją ciocię?

– Tak, drogie dziecko. Sopot to w gruncie rzeczy bardzo małe miasto, ale wracając do tych zajęć tanecznych, to takich nie prowadzimy. Jednak jesteś kolejną młodą osobą, która pyta o takie zajęcia i dlatego może od września lub października je rozpoczniemy. O ile znajdę instruktora – zaznaczyła pani Maryla i porzucając temat tańca, zapytała, jak mi się mieszka w Sopocie. Odpowiedziałam, że po kilku dniach trudno wyrobić sobie zdanie o jakimś miejscu.

– A może spróbujesz swoich sił w śpiewaniu? – zaproponowała kierowniczką, kiedy pożegnałam się i skierowałam do wyjścia.

– Nie, to raczej nie dla mnie – odparłam i opuściłam dom kultury. Gdy wracałam do ciotki, niedaleko molo zaczepił mnie dziwny człowiek. Widziałam go już wielokrotnie i zawsze wyglądał inaczej. Jednym razem był przebrany za pierrota, kiedy indziej za kobietę z brodą, a teraz miał na sobie strój wikinga. Jedynym rekwizytem, który zawsze mu towarzyszył, był parasol.

– Przepraszam, młoda damo – zagaił, posyłając mi serdeczny uśmiech – chciałbym pani powróżyć z tej oto chmurki – dodał, wskazując czubkiem parasola na jeden z obłoków.

– Niestety nie wierzę we wróżby, a poza tym nie mam pieniędzy.

– Ależ ja zawsze wróżę za darmo – obruszył się i przez kolejny kwadrans opowiadał, jak będzie wyglądało moje życie. Kiedy wróciłam do domu, zapytałam ciotkę o tego dziwnego człowieka.

– Spokojnie, Anno, akurat jego nie musisz się obawiać. Parasolnik, bo tak go wszyscy nazywają, jest zupełnie nieszkodliwy. Owszem zachowuje się ekscentrycznie i ma swoje dziwne przyzwyczajenia, ale nikomu krzywdy nie zrobi – zapewniła ciotka Celina.

1 września 1967, piątek

Za mną pierwszy dzień w nowej szkole. Dzień pełen wrażeń i mieszanych uczuć. Zaczęło się od wspólnego apelu, na którym dyrektor przedstawił mnie wszystkim obecnym w auli. Początkowo sądziłam, że to taka szkolna tradycja, ale kiedy dyrektor zaczął mówić, że jestem córką tragicznie zmarłego ministra, który wiele dobrego uczynił dla krzewienia w Polsce socjalizmu, miałam ochotę zapaść się pod ziemię. Nie, żebym wstydziła się tego, co robił i kim był mój ojciec, bo przecież rodziców się nie wybiera, ale sądziłam, że będę traktowana jak wszyscy pozostali uczniowie, a tymczasem dyrektor swoimi słowami przykleił mi łatkę ucznia pod szczególną ochroną, a tego nie chciałam. O tym, że miałam rację, myśląc w ten sposób, przekonałam się już na pierwszej lekcji, kiedy po wejściu wszystkich uczniów do klasy nasza wychowawczyni oznajmiła:

– Ponieważ Ania jest u nas nowa, pozwólm jej wybrać ławkę, w której będzie siedziała.

– Bardzo dziękuję, ale to nie będzie konieczne – odparłam, nim kobieta skończyła mówić. – Przez trzy lata siedzieliście w ustalonym porządku i ja jako nowa nie zamierzam go burzyć – dodałam, spoglądając na klasę.

Nauczycielka wzruszyła ramionami i kazała uczniom zająć swoje stałe miejsca. Po chwili przy drzwiach zostałam ja i dwie inne dziewczyny. Pierwsza była niską blondynką o rumianej twarzy. Natomiast druga znacznie od niej wyższa i szczuplejsza miała czarne, krótko obcięte włosy z nieco dłuższą grzywką, która opadała na duże brązowe oczy.

– No Krysiu i Haniu siadajcie na swoje miejsca – zwróciła się do dziewcząt nauczycielka.

– Ja nie będę z nią siedziała – oznajmiła butnie, niemal bezczelnie blondynka, spoglądając pogardliwie na brunetkę.

– A to dlaczego, Krysiu? – zapytała zaskoczona wychowawczyni.

– Bo ona jest Żydówką – odpowiedź dziewczyny sprawiła, że nauczycielka najpierw poczerwieniała, a w następnej chwili pobladła.

– Krysiu, a jakie to ma znaczenie?

– Dla mnie ma i nie będę z nią siedziała.

– W takim razie ja usiądę z Hanią – odezwałam się i spojrzałam pytająco na wyższą z dziewczyn. Ta w odpowiedzi skinęła głową. Zajęłyśmy miejsca w drugiej ławce, a Krysią usiadła na końcu klasy. Zastanawiałam się, czy w warszawskim liceum taka sytuacja mogłaby mieć miejsce. Jeszcze rok wcześniej pewnie nie, ale teraz, gdy władza, radio, telewizja i gazety prowadziły nagonkę przeciw Żydom, nie byłam tego taka pewna. Przecież te dziewczyny przez ostatnie trzy lata siedziały w jednej ławce i Krysi jakoś nie przeszkadzało, że Hania jest Żydówką.

Kiedy wreszcie zadzwonił dzwonek na przerwę i wyszliśmy na korytarz, od razu dało się zauważyć, że część klasy popiera postawę Krysi, a druga część jest z Hanią. Hania Nowik była córką nauczyciela języka polskiego, który pracował w innym sopockim liceum.

– Chciałam pójść do tamtej szkoły, ale ojciec zażartował, że nie chce mnie oglądać dwadzieścia cztery godziny na dobę – powiedziała rozbawiona Hania, kiedy po lekcjach wracałyśmy razem do domu, bo jak się okazało, mieszkaliśmy w tej samej okolicy. Gdy opowiedziałam cioci o całym zajściu, ta z niedowierzaniem pokręciła głową.

– I pomyśleć, że tak zachowała się Krystyna Wolska, córka dyrektora wodociągów, a ja miałam ją za porządną, kulturalną, dobrze wychowaną dziewczynę – westchnęła z takim żalem, jakbym to ja coś takiego zrobiła.

– A co do Hanny Nowik, to nie wiem, czy jest to odpowiednie towarzystwo dla ciebie – dodała po chwili namysłu. Jej słowa były dla mnie szokujące. Ciotka, która nigdy nie zdradzała niechęci do innych narodowości i tylko o komunistach wprost mówiła, że ich nienawidzi,

nagle ostrzega mnie przed kontaktami z żydowską dziewczyną, która jest moją koleżanką ze szkolnej ławki.

– Ciociu, ja nie mam antysemickich przekonań – oświadczyłam zdecydowanym tonem.

– To nie chodzi o antysemityzm, ale o jej zachowanie, a także podejście do szkoły i życia. Hanna to bardzo wesoła, rozrywkowa i nowoczesna dziewczyna. Nie jest głupia, lecz obowiązki szkolne traktuje z nienależytą starannością. Nie chciałabym, aby sprowadziła cię na złą drogę – wyjaśniła ciotka.

– Może ciocia być spokojna – zapewniłam, dodając, że w Warszawie przyjaźniłam się z uczniami, którzy ledwie otrzymywali promocję do kolejnej klasy, a jakoś nie poszłam w ich ślady.

3 września 1967, niedziela

Wczoraj po raz pierwszy zabrałam Zosię na spacer. Ciocia ku mojemu zaskoczeniu wcale nie miała nic przeciwko, co więcej – uznała to za dobry pomysł.

– Powinnaś, Anno, nauczyć się zajmowania małym dzieckiem. W ten sposób nie tylko mi pomożesz, ale i sama przygotujesz się do roli matki – stwierdziła ciotka, pomagając mi znieść wózek po schodach. Na szczęście mieszkanie ciotki znajdowało się na pierwszym piętrze, więc miałyśmy do pokonania tylko kilkanaście schodów. Dzień był wyjątkowo ciepły i bezwietrzny, mogłam zatem bez obaw pójść na sopockie moło, które, choć wakacje już się skończyły, wciąż było wypełnione spacerowiczami. Ustawiłam wózek przy drewnianej poręczy i usiadłam na ławce. Ludzki gwar mieszał się z krzykiem nisko szybujących mew, po lekko pofalowanej tafli morza płynęło kilka większych i mniejszych statków.

– Cześć, Anka – nagle usłyszałam za sobą dziewczęcy głos. Gdy odwróciłam głowę, zobaczyłam Hanię w towarzystwie innej, trochę

starszej dziewczyny.

– O, Hania, co za niespodzianka – ucieszyłam się na jej widok.

– To twoje? – zapytała koleżanka, nachylając się i zaglądając do wózka.

– Tak – potwierdziłam i dopiero gdy zobaczyłam minę Hani, uświadomiłam sobie, że źle sformułowałam swoją odpowiedź.

– To moja siostra – uściśliłam.

– A ja już sądziłam, że jesteś mamusią – zachichotała Hania, której zawtórowała jej towarzysza.

– Poznaj moją kuzynkę Sarę – powiedziała, opanowując śmiech. – Sara od października rozpoczyna studia na uniwerku w Gdańsku – dodała. Kuzynka Hani była mniej więcej jej wzrostu, ale bardziej szczupła. Miała piękną twarz o regularnych rysach, lekko skośnych brązowych oczach oraz fryzurę podobną do tej, jaką nosiła Hania. Obie dziewczyny miały na sobie krótkie wzorzyste sukienki, a na nogach skórzane botki, Sara brązowe, a Hania czarne. Po chwili do naszej trójki dołączył średniego wzrostu blondyn.

– O, tu jesteście, a ja was wszędzie szukam – odezwał się z lekką pretensją.

– Przecież mówiłam, że będziemy na molo – odpowiedziała Sara.

– Mówiłaś, że na początku molo, a tu jest jego środek.

– Oj, Karol nie bądź taki drobiazgowy – mruknęła Hania. – Lepiej poznaj Ankę, moją koleżankę ze szkolnej ławki. Anka jest tu nowa, przeprowadziła się do Sopotu z Warszawy.

– To ta Anka? – wyrwało się Karolowi, a ja pomyślałam, że chyba cały Sopot zna moją historię. Jego niebieskie oczy patrzyły na mnie z zainteresowaniem. Jednak po chwili, jakby uświadamiając sobie, że jego pytanie i spojrzenie mogły być dla mnie krępujące, odwrócił wzrok. Chcąc

wybrnąć z niezręcznej sytuacji, sięgnął do kieszeni marynarki, z której wyciągnął paczkę papierosów i metalową lśniąca zapalniczkę.

– Zapalicie? – zaproponował. Dziewczyny chętnie wzięły po papierosie, a Karol podał im ogień.

– A ty, Aniu? – Wysunął paczkę w moją stronę.

– Dziękuję, ale nie palę.

– To bardzo dobrze, bo podobno palenie powoduje raka płuc, przyczynia się do zawałów serca i ogólnie skraca życie – stwierdziła Sara, zaciągając się głęboko.

– Ja już będę uciekać, bo niedługo Zosia musi dostać jedzenie – powiedziałam i wstałam z ławki.

– To może wpadniesz wieczorem do Karola na prywatkę? Jego starzy wyjechali, więc chata wolna – zaproponowała Hania.

– Tylko pamiętaj o przyniesieniu butelki wina – dodała Sara.

– Spokojnie, bez butelki też będziesz mile widziana – zapewnił Karol.

– Dzięki za zaproszenie, ale mam sporo zajęć.

– W takim razie do zobaczenia w szkole – pożegnała mnie Hania i razem z Sarą i Karolem ruszyła na koniec moło.

– To jej dziecko? – usłyszałam za sobą pytanie Karola skierowane do dziewczyn.

– Nie, to jej siostra – wyjaśniła Hania. W drodze do domu przyszło mi do głowy, że ciocia ma rację co do Hani, przynajmniej jeśli chodzi o jej rozrywkowy charakter. Mnie jednak wcale on nie przeszkadzał. W Warszawie też miałam znajomych, którzy palili czy chętnie brali udział w prywatkach, na które wypadało przyjść z butelką wina.

4 września 1967, poniedziałek

Nie sądziłam, że dyrektor szkoły aż tak poważnie potraktuje deklarację, jaką złożył mojej ciotce podczas naszej sierpniowej rozmowy, gdy

powiedział, że zrobi wszystko, abym czuła się dobrze w jego szkole. Zaczęło się od tego, że w trakcie lekcji matematyki do klasy weszła sekretarka.

– Przepraszam, panie profesorze, ale Anna Jawor jest proszona do dyrektora – zakomunikowała kobieta.

Słyszając swoje imię i nazwisko, trochę się zdziwiłam. Wstałam i odprowadzana ciekawskimi spojrzeniami uczniów i nauczyciela wyszłam za sekretarką z klasy. Po drodze próbowałam podpytać ją o powód mojego wezwania do dyrektora, ale kobieta oznajmiła, że nie wie, o co chodzi. Jakoś jej nie wierzyłam, bo pamiętałam z Warszawy, że szkolna sekretarka wie więcej niż dyrektor. Kiedy zostałam zaprowadzona do gabinetu dyrektora, zastałam tam jeszcze trzy inne dziewczyny. Po ich mundurkach zorientowałam się, że każda z nas jest z innej klasy. Po chwili przyszedł dyrektor i usiadłszy za swoim biurkiem, zlustrował nas od stóp do głów.

– No dobrze, dziewczęta, pewnie zastanawiacie się, dlaczego was tutaj zaprosiłem – odezwał się swoim tubalnym głosem. Wszystkie jak na komendę skinęłyśmy głowami.

– Otóż, jak zapewne wiecie, za kilka dni przyjeżdża do Gdańska prezydent Francji Charles de Gaulle – zaczął, rozsiadając się wygodnie w fotelu. O wizycie de Gaulle’a wiedzieli chyba wszyscy, ponieważ prasa i radio poświęcały temu wydarzeniu bardzo wiele uwagi. Mnie jednak zastanawiało, po co nas wezwał.

– Pewnie zastanawiacie się, co wy możecie mieć wspólnego z wizytą francuskiego prezydenta – ciągnął, jakby czytał w moich myślach. – Waszym zadaniem będzie przywitanie pary prezydenckiej bukietami kwiatów. Zrobicie to ubrane w tradycyjne regionalne stroje kaszubskie. Dlatego też jutro krawcowe pobiorą z was miarę i za kilka dni dostaniecie stroje. Dziewiątego września od południa na lotnisku w Pruszczu

Gdańskim odbędą się próby, a samo przywitanie nastąpi wieczorem. Czy wszystko jasne? – upewnił się dyrektor, skupiając na nas pytające spojrzenie. Znowu jak na komendę skinęłyśmy głowami. – W takim razie możecie wrócić na lekcje – zakończył i nie czekając, aż opuścimy gabinet, zabrał się do czytania leżących na stole dokumentów.

– Czego chciał? – zapytała szeptem Hania, kiedy wróciłam do klasy.

Już miałam zamiar odpowiedzieć, ale dostrzegłam, że nauczyciel przygląda nam się badawczo. Napisałam więc w zeszyte: „Powiem ci na przerwie”. Kiedy lekcja dobiegła końca i wyszliśmy na korytarz, natychmiast zostałam otoczona. Wszyscy chcieli wiedzieć, dlaczego byłam u dyrektora. Kiedy poznali powód, większość z nich zrobiła zawiedzione miny. Jednak kilka dziewczyn nie kryło zaskoczenia.

– No tak jakaś tam warszawianka to może występować w stroju kaszubskim i podawać kwiaty prezydentowi – prychnęła Krystyna tonem, w którym pobrzmiwała zazdrość.

– No ty, Kryśka, to raczej nie masz prezencji na taką okoliczność – rzucił jeden z kolegów i zaniósł się głośnym śmiechem, do którego dołączyło jeszcze kilku innych uczniów.

Kiedy po powrocie do domu oznajmiłam cioci nowinę, ta nie okazała zaskoczenia.

– Wiem, wiem, Teresa już do mnie dzwoniła – powiedziała, nalewając mi zupy pomidorowej.

– No tak, jednak sekretarki wszędzie są takie same. Niby nic nie wiedzą, a jak przychodzi co do czego, okazują się najlepiej poinformowane, a na dodatek dzielą się tą wiedzą – pomyślałam, zabierając się do jedzenia.

– Nie wiem, Anno, czy ci opowiadałam, ale twój wujek w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku osobiście spotkał de Gaulle’a – powiedziała ciocia, siadając w fotelu z Zosią, która łapczywie spoglądała na trzymaną

przez ciocię butelkę. – To było na kilka tygodni przed Bitwą Warszawską. De Gaulle był jednym z francuskich oficerów, którzy w ramach misji wojskowej szkolili polskich oficerów. Wiesz, Francji zależało, aby ta bolszewicka zaraza nie rozlała się po Europie, więc szkolili naszych, dawali sprzęt wojskowy i trzymali kciuki za nasze zwycięstwo.

Opowieść cioci bardzo mnie zainteresowała, ponieważ nigdy wcześniej nie wspominała, aby jej mąż, którego nie znałam, miał takie znajomości.

– Oczywiście nie przeszkodziło im to w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku wypiąć się na nas i pozwolić, żeby Hitler wraz z bolszewikami podzielili Polskę – ciągnęła dalej, a Zosia ssała mleko i patrzyła na ciotkę takim wzrokiem, jakby wszystko rozumiała. – Może gdyby wiedzieli, że za kilka miesięcy spotka ich podobny los, wysłaliby nam pomoc – zakończyła smutno.

8 września 1967, piątek

Myśl o tym, że jutro będę wręczała kwiaty francuskiej parze prezydenckiej, nie pozwala mi zasnąć. Co chwilę oglądałam ułożony na stole, starannie wyprasowany strój kaszubski. Kiedy wczoraj ubrałam go po raz pierwszy, czułam się dość dziwnie w niebieskiej, gęsto marszczzonej spódnicy za kolana, wykonanej z wełny, białej bluzce z falbaniastymi rękawami, niebieskim aksamitnym gorsecie, wyszywanym złotą nicią, białych pończochach oraz czarnych butach na obcasie zapinanych na pasek. Chociaż nasza rola ma się sprowadzić jedynie do wręczenia kwiatów, to próby trwały przez wszystkie dzisiejsze lekcje. Historyczka i matematyk udawali parę prezydencką, a nasza czwórka podchodziła do nich, lekko dygała i wręczała bukiet czerwonych i białych goździków z bibuły, które na co dzień zdobią portrety Cyrankiewicza i Gomułki wiszące w auli.

– Mam tylko nadzieję, że jutro dostaniemy prawdziwe kwiaty – zażartowała jedna z dziewcząt, gdy po skończonej próbie szłyśmy do

szatni.

10 września 1967, niedziela

Nawet teraz, kiedy jest już po wszystkim, trudno mi uwierzyć, że prezydent Francji i jego żona uścisnęli mi ręce. Co więcej, nie umiem znaleźć słów, aby opisać towarzyszące mi wtedy uczucie. Już łatwiej mogę opowiedzieć, jak wyglądało samo powitanie de Gaulle'a. Choć przylot samolotu z francuską delegacją był zaplanowany na dziewiętnastą, wszystko było już gotowe na godzinę wcześniej. Obok pasa startowego stała scena z mównicą. Nad sceną umieszczono duży transparent z dwujęzycznym napisem: „Serdecznie witamy Prezydenta Republiki Francuskiej, Generała de Gaulle'a” i „Bienvenue Cordiale au Général de Gaulle, Président de la République Française”. Jeszcze wyżej zawieszono portrety de Gaulle'a, Edwarda Ochaba, Władysława Gomułki i Józefa Cyrankiewicza. Nad tym wszystkim na wysokich masztach łopotały flagi narodowe. Ponieważ dzień był pochmurny i mglisty, całą tę dekorację oświetlono mocnymi reflektorami. Kiedy wreszcie kilka minut po dziewiętnastej nadleciał samolot, huk był tak głośny, że nawet orkiestra wojskowa przestała grać i wznowiła grę, dopiero kiedy pilot wyłączył silniki. Gdy de Gaulle wraz z małżonką wyszli z samolotu, podeszliśmy do nich z dwoma bukietami kwiatów. Prezydencka para uścisnęła nam dłonie, podziękowała po polsku i ruszyła w stronę czekających pod sceną oficjeli.

– Na żywo jest jeszcze wyższy niż w telewizji – usłyszałam za sobą szept jednej z dziewcząt. Rzeczywiście de Gaulle imponował wzrostem. Po oficjalnym przywitaniu i krótkim przemówieniu kolumna samochodów ruszyła w kierunku Gdańska, a my zostałyśmy rozwieszone do domów.

11 września 1967, poniedziałek

Ledwo przekroczyłam próg szkoły, a zostałam zasypana gradem pytań o de Gaulle'a. Wszyscy chcieli wiedzieć, jak się zachowywał, co mówił, a niektóre koleżanki interesowało nawet, jakich perfum używał. Nawet nauczyciele, którzy dyżurowali na przerwach, podchodzili do mnie i pytali o spotkanie z francuską parą prezydencką. Okazało się, że spora część z nich była w niedzielę na Długim Targu w Gdańsku, gdzie de Gaulle miał spotkanie z mieszkańcami. Wszyscy, nawet władze, wypowiadali się pozytywnie o wizycie de Gaulle'a i o samej Francji. Było to o tyle dziwne, że przecież Francja należała do państw Europy Zachodniej. Co prawda wystąpiła z NATO, ale nie rządziła w niej komuniści. Moje polityczno-geograficzne rozważania przerwała Hania, która pojawiła się w szkole dopiero na trzeciej lekcji.

– Anka, Karol i Sara chcieliby z tobą pogadać – oznajmiła. Już miałam zapytać, co kuzynka Hani i jej chłopak, bo wydawało mi się, że Karol i Sara są parą, mogą ode mnie chcieć, ale nauczyciel fizyki nakazał ciszę i rozpoczął lekcję. Dlatego dopiero na przerwie wypytałam Hanię o powód spotkania.

– Dokładnie nie wiem, ale mówili coś o zajęciach tanecznych w domu kultury – odparła i patrząc na mnie z zaciekawieniem, zapytała, nie kryjąc ironii: – Czyżby jeden występ w stroju kaszubskim sprawił, że zapalałaś miłością do tej ziemi i postanowiłaś wstąpić do regionalnego zespołu tańca?

– Nie, chodzi o taniec nowoczesny – wyjaśniłam, choć sugestia koleżanki też nie była pozbawiona sensu. Przecież już w Warszawie podczas zajęć w domu kultury kilkoro uczestników miało propozycje wstąpienia do Mazowsza. Jednak trudno mi było sobie wyobrazić Sarę i Karola w strojach ludowych.

Gdy po lekcjach wyszłam ze szkoły, para już na mnie czekała.

- To ty byłaś w domu kultury pytać o zajęcia taneczne? – zapytała Sara.
- Tak, ale kierowniczka dała mi do zrozumienia, że raczej takich nie będzie – odpowiedziałam.
- To się jeszcze okaże – mruknął Karol z zagadkowym uśmiechem.
- Żeby wszystko było jasne, mnie nie interesują tańce ludowe – uprzedziłam. Moje słowa tak rozbawiły Karola, że aż papieros wypadł mu z ust.
- To, co szanowna dziewczyna z Warszawy chciałaby tańczyć? – zapytał ironicznie, opanowując śmiech.
- Nie wiem, czy takie nazwy, jak samba, rumba, walc i tango mówią coś chłopcom z Sopotu – odpowiedziałam tym samym kpiącym tonem.
- Nie zwracaj na niego uwagi – poradziła Sara – a co do tańca, to widzę, że mamy podobne gusta – dodała, obiecując, że za kilka dni postara się zorganizować spotkanie wszystkich, którzy chcieliby brać udział w zajęciach tanecznych.

23 września, 1967 sobota

Ojciec zawsze powtarzał, żeby walczyć o swoje marzenia, bo tylko one i oczywiście socjalizm dają człowiekowi szczęście. Jeszcze do dzisiejszego popołudnia myślałam, że moje marzenie o tańcu się nie spełni. Nadzieję dała mi Sara, która dwa dni temu za pośrednictwem Hani powiadomiła mnie o spotkaniu w domu kultury, na którym miały zostać ustalone szczegóły zajęć tanecznych. Podobno pani kierownik dała się przekonać, znalazł się również instruktor, ale – co najważniejsze – było kilkanaście osób zdecydowanych na udział w takich zajęciach. Nic więc dziwnego, że idąc na spotkanie, byłam dobrej myśli. Rzeczywiście w domu kultury na krzesłach ustawionych pod sceną siedziała grupa młodzieży, wśród której byli także Sara i Karol. Sara pomachała do mnie, pokazując na wolne krzesło obok siebie.

– Musimy poczekać na instruktora, więc zaczniemy trochę później, niż było w planach – uprzedziła Sara.

Instruktor spóźnił się prawie pół godziny, więc miałam sporo czasu, aby przyjrzeć się obecnym i podsłuchać rozmów. Wynikało z nich, że część ma jakieś pojęcie o tańcu towarzyskim, ale było też sporo osób, które chciały się dopiero nauczyć.

Trudno będzie prowadzić tak zróżnicowaną grupę – pomyślałam, wiedząc, że nawet niewielka różnica w umiejętnościach tanecznych mogła być dla prowadzącego zajęcia dużym wyzwaniem, a co dopiero taka grupa, jak ta, gdzie obok osób z pewnym doświadczeniem były osoby niemające o tańcu zielonego pojęcia. Moje rozważania przerwało wejście instruktora. Okazał się nim nauczyciel ze Studium Nauczycielskiego Wychowania Fizycznego w Gdańsku.

– Przepraszam za spóźnienie, ale po drodze zepsuł się autobus – powiedział na powitanie, a wszyscy zgromadzeni skwitowali jego słowa śmiechem.

– Mam na imię Jurek – przedstawił się i zwinnie wskoczył na scenę. – Jak widzę, jest sporo chętnych do nauki tańca – ciągnął, a jego szare ruchliwe oczy prześlizgiwały się po nas, jakby chciały ocenić, z kim mają do czynienia. Sposób, w jaki się poruszał, zdradzał, że taniec nie jest mu obcy. Poza tym miał klasyczną sylwetkę tancerza. Mój warszawski instruktor uważał, że tancerz nie powinien być ani za niski, ani zbyt wysoki. Poza tym ważna była proporcjonalna budowa i wszystkie te cechy Jurek posiadał.

– No dobrze najpierw sprawdzimy, kto co umie – zapowiedział, siadając na krawędzi sceny. – Proszę, aby osoby, które już kiedyś uczestniczyły w zajęciach tanecznych, podniosły ręce – poprosił. Podniosłam rękę i ze zdziwieniem stwierdziłam, że byłam jedyna, która to zrobiła.

– Dobrze, to teraz podnoszą ręce ci, którzy lubią tańczyć na domówkach – poleciał i tym razem w górę wystrzelił las kilkunastu rąk.

– A czy jest ktoś, komu taniec jest zupełnie obcy? – zapytał, rozglądając się po sali. Okazało się, że są dwie takie osoby. – W porządku, to teraz proszę dobrać się parami, bo jak wiecie, do tańca trzeba dwojga – zażartował. Jednak mnie ten żart wcale nie rozbawił. Uświadomił mi natomiast, że nie mam pary. Rozejrzałam się w poszukiwaniu kogoś, kto był w takiej samej sytuacji, ale nikogo takiego nie było.

– Jak ci na imię? – zapytał Jurek, kierując spojrzenie w moją stronę.

– Anna – odpowiedziałam i czując na sobie wzrok kilkunastu par oczu, oblałam się rumieńcem.

– W takim razie, Anno, na następne zajęcia przyjdź z partnerem – poprosił i zmieniając temat, przeszedł do informacji organizacyjnych. Zajęcia rozpoczynały się od października i miały odbywać się dwa razy w tygodniu. Korciło mnie, aby wyjść, przecież doskonale wiedziałam, że nie znajdę partnera, i wysłuchiwanie tego wszystkiego, co miał do powiedzenia Jurek, wcale mnie nie interesowało. Jednak takie zachowanie mogłoby zostać odebrane jako brak dobrego wychowania. Doczekałam więc do końca i dopiero razem z wszystkimi opuściłam salę. Wracając do domu, chciało mi się płakać.

Gdy powiedziałam ciotce o swoim problemie, ta tylko wzruszyła bezradnie ramionami.

– Mogłabym popytać wśród swoich rówieśników, ale ty pewnie wolałabyś kogoś w swoim wieku – powiedziała po chwili namysłu.

Nie wiedziałam, czy ciotka mówi serio, czy też sobie ze mnie drwi. Jednak nawet gdyby jej propozycja była poważna, to ja nie byłam aż tak zdesperowana, aby zjawić się na zajęciach w towarzystwie partnera, który mógłby być moim dziadkiem. Poza tym podświadomie czułam, że ciotka

jest zadowolona z takiego obrotu spraw. Dla niej taniec był przecież błazeństwem. Potwierdziły to zresztą jej słowa:

– Może to i lepiej, że tak wyszło. Będziesz miała więcej czasu na naukę i przygotowanie się do matury – stwierdziła, kiedy wróciłam z Zosią z popołudniowego spaceru.

Nie skomentowałam jej słów, bo cóż miałabym powiedzieć. Wiedziałam, że muszę pogodzić się z sytuacją i ją zaakceptować.

29 września, 1967 piątek

Czasami jedno wyjście do kina, jedno spotkanie i jedna rozmowa mogą stać się punktem zwrotnym. Tak właśnie było dzisiejszego popołudnia, gdy postanowiłam pójść do kina na premierę *Jowity*, filmu opartego na powieści Stanisława Dygata, którego książkami zachwycała się moja mama. Chciałam zobaczyć, czy filmowa adaptacja historii Marka Arensa, młodego architekta i sportowca, zmagającego się z rzeczywistością, który owładnięty obsesją odszukania tajemniczej Jowity poznanej na balu, nie umie odnaleźć swojego miejsca w świecie, na dużym ekranie będzie tak samo ciekawa, jak na kartach powieści. Jednak najważniejszym powodem, dla którego chciałam obejrzeć ten film, był fakt, że występował w nim Zbyszek Cybulski, a ja podobnie jak dziesiątki tysięcy innych dziewcząt podkochiwałam się w aktorze. Kiedy w styczniu zginął, próbując wskoczyć do odjeżdżającego pociągu, poczułam, jakbym straciła kogoś bliskiego. *Jowita* była ostatnim filmem, w jakim zagrał Cybulski, co także było dla mnie symboliczne. Chociaż film reklamowano jako dramat, to widownia była wypełniona po brzegi. Zajmując swoje miejsce, przypomniała mi się premiera komedii *Sami swoi* sprzed kilkunastu dni, na której również były tłumy. W pewnym momencie mimo tylu ludzi, dostrzegłam w drzwiach znajomą sylwetkę instruktora zajęć tanecznych. Jakież było moje zdziwienie, gdy Jurek zajął miejsce obok mnie.

– Cóż za nieoczekiwane spotkanie – przywitał się i było widać, że tak samo, jak ja, jest zaskoczony.

– Czyli przysłowie, że świat jest mały, ma w sobie sporo prawdy – odpowiedziałam.

– Znalazłaś już partnera? – nawiązał do zajęć tanecznych.

– Nie i prawdopodobnie nie znajdę.

– No chyba żartujesz?

– Mówię zupełnie serio. Dopiero od kilku tygodni mieszkam w Sopocie i nie znam tu nikogo, kto byłby zainteresowany tańcem, a ci, którzy są, mają już swoich partnerów – wyjaśniłam.

Jurek chciał coś powiedzieć, ale właśnie wtedy zgaszono światła i rozpoczęto wyświetlanie kroniki filmowej.

– Porozmawiamy po seansie, mam pewien pomysł – wyszeptał, nachylając się do mnie.

W odpowiedzi kiwnęłam głową. Przez pierwsze kilka minut trwania kroniki próbowałam zgadywać, jaki to pomysł może mieć Jurek, jednak gdy na ekranie zobaczyłam dziewczynę ubraną w kaszubski strój, zupełnie zapomniałam o filmie, siedzącym obok instruktora tańca i jego pomysłach. Oto patrzyłam na swoją uśmiechniętą twarz.

– Dziewczęta ubrane w tradycyjne stroje kaszubskie witają prezydenta Francji i jego małżonkę bukietami kwiatów – informował lektor. Wiedziałam, że Jurek też mnie rozpoznał i choć na sali było ciemno, czułam na sobie jego badawcze, pytające spojrzenie. Sam film nie zrobił na mnie takiego wrażenia, jakiego oczekiwałam. Nie chodziło wcale o grę Cybulskiego, bo ten jak zwykle grał doskonale, ale sposób interpretacji powieści. Jak dla mnie, przesłanie zawarte w książce zostało ledwie zarysowane i z tego powodu czułam pewien niedosyt.

– Co sądzisz o filmie? – zapytał Jurek, kiedy po seansie szliśmy w stronę kawiarni, do której zaprosił mnie na kawę.

Powiedziałam mu o swoich odczuciach, czym wprowadziłam go w konsternację.

– Wiesz, ja nie czytałem książki Dygata – wyznał.

– Ja, gdyby nie mama, też bym po nią nie sięgnęła – przyznałam otwarcie. W kawiarni, choć było już po sezonie, panował duży ruch. Na szczęście jakaś para właśnie wychodziła i dzięki temu upolowaliśmy wolny stolik. Ledwie usiedliśmy, zjawił się kelner i przyjął zamówienie.

– Nie wiedziałem, że znasz de Gaulle’a – uwaga Jurka, nawiązująca do kroniki filmowej szczerze mnie rozbawiła.

– Jeśli spotkanie kogoś sławnego twarzą w twarz można uznać za znajomość, to znam również The Rolling Stones i Cyrankiewicza – odparłam z uśmiechem.

– Jednym słowem bardzo międzynarodowe towarzystwo – podsumował – ale nie zaprosiłem cię, aby rozmawiać o twoich znajomych, lecz o tańcu – dodał.

– W takim razie słucham.

– Zanim przedstawię ci swój pomysł, chciałbym, abyś opowiedziała mi o swojej karierze tanecznej.

– Kariera to za duże słowo. Po prostu przez kilka ostatnich lat uczęszczałam na zajęcia tańca towarzyskiego w jednym z warszawskich domów kultury – wyjaśniłam i przez kolejne kilka minut opowiadałam, jakie znam tańce i w których czuję się najlepiej.

Jurek słuchał uważnie i tylko co jakiś czas kiwał w zamyśleniu głową. Nie wiedziałam, czy ten gest ma mnie zachęcić do mówienia, czy też wyrażał zadowolenie z tego, co usłyszał.

– No więc mój pomysł jest następujący – odezwał się, gdy skończyłam swoją opowieść – chciałbym, abys mi pomagała podczas prowadzenia zajęć.

– To ma być żart? – weszłam mu w słowo.

– Nic podobnego! Mówię całkiem poważnie. Ty nie masz partnera na zajęcia, a ja nie mam partnerki, z którą mógłbym pokazywać uczestnikom poszczególne kroki i figury – wyjaśnił, a ja zrozumiałam, że jego propozycja ma sens. Przecież w Warszawie instruktor również miał partnerkę, z którą prowadził zajęcia. Pewnych elementów tańca nie da się pokazać w pojedynkę i dlatego Jurek musiał znaleźć kogoś do pomocy.

– Przepraszam, że zapytam, ale jak sobie wyobrażałeś samodzielne prowadzenie zajęć?

– Jeszcze kilka dni temu nie złożyłbym ci takiej propozycji, ale dziewczyna, która miała być moją partnerką, nagle zrezygnowała.

– Czyli mam być kimś w rodzaju koła ratunkowego?

– Tak bym tego nie nazwał. Zgadając się na moją propozycję, będziesz mogła doskonalić swoje umiejętności taneczne, a poza tym, o czym jeszcze nie wspomniałem, będziesz otrzymywała wynagrodzenie, ponieważ umowa z domem kultury obejmuje dwie osoby – zakomunikował Jurek. Jeśli sądził, że pieniądze przekonają mnie do tego, bądź co bądź, szalonego pomysłu, to był w błędzie. Mnie zależało wyłącznie na tańcu.

– Umówmy się tak, że za dwa dni dam ci odpowiedź – zaproponowałam, dopijając kawę.

– Innego wyjścia nie mam – stwierdził i chociaż do mieszkania ciotki było z kawiarni zaledwie kilkaset metrów, nalegał, że mnie odprowadzi. Początkowo wzbraniałam się, ale w końcu uległam. Po drodze nie poruszaliśmy już tematów tanecznych. Ja mówiłam o szkole i o tym, że po maturze chciałabym studiować historię, a w przyszłości zostać

archeologiem. Jurek przyznał, że kiedyś chciał być marynarzem, tak jak jego ojciec, ale wyszło zupełnie inaczej. Kiedy rozstaliśmy się pod drzwiami kamienicy i zaczęłam wchodzić po schodach, dotarło do mnie, że czeka mnie jeszcze rozmowa z ciotką, która co prawda zgodziła się, abym chodziła na zajęcia tańca, ale jako uczestnik, a nie prowadzący.

1 października 1967, niedziela

To była pierwsza tak stanowcza wymiana zdań między mną a ciotką. Nie nazwałabym tego kłótnią, bo z uwagi na to, że za ścianą spała Zosia, mówiłyśmy niemal szeptem. Jednak nie zmieniało to faktu, że towarzyszyły nam takie emocje, jakbyśmy na siebie wrzeszczały.

– Anno, rozmawiając o zajęciach tanecznych, nie było mowy o tym, abyś to ty je prowadziła.

– Tak, ale, jak już cioci tłumaczyłam, ja będę jedynie pomagała instruktorowi w pokazywaniu kroków i figur tanecznych.

– Nie zmienia to faktu, że będziesz jednym z prowadzących, a nie uczestnikiem, a na coś takiego nie wyrażałam zgody!

– Ciociu, nie przypominam sobie, abyśmy tak szczegółowo omawiały mój udział w zajęciach – przypomniałam – i dlatego zamierzam przyjąć propozycję instruktora – dodałam twardo. Ciotka, widząc moje zawzięcie, poczerwieniała ze złości.

– Przecież ty wcale nie znasz tego człowieka – wytoczyła argument bardziej pasujący do sytuacji, gdybym wybierała się z kimś nieznanym w podróż żaglówką dookoła świata.

– Ciociu, wiem, jak się nazywa, gdzie pracuje, a poza tym twoja koleżanka, która jest kierownikiem domu kultury, wie, w czyje ręce powierza młodzież.

– Tylko nie mieszaj do tego Maryli – rzuciła ciotka, zdając sobie sprawę, że tym razem nie ustąpię – i pamiętaj, że ja byłam przeciwna tej

blazenadzie – dodała i poszła uspokoić Zosię, która nagle zaczęła płakać.

3 października 1967, wtorek

Po dzisiejszym dniu jestem tak zmęczona, że zwyczajnie padam z nóg. Najchętniej poszłabym spać, ale muszę poczekać, aż Zosia na dobre zaśnie. To nasza pierwsza noc, kiedy zostajemy same, i mówiąc szczerze, trochę się boję. Obecność cioci zawsze mnie uspokajała. Jednak teraz, kiedy jest ona w szpitalu, musimy sobie radzić same. Gdyby wczoraj ktoś mi powiedział, że znajdę się w takiej sytuacji, pewnie bym go wyśmiała. Przecież ciocia była przysłowiowym okazem zdrowia. Nawet jeszcze dzisiaj rano, gdy wychodziłam do szkoły, nie skarżyła się na żadne dolegliwości. Dlatego kiedy podczas trzeciej lekcji sekretarka zabrała mnie z klasy i zaprowadziła do gabinetu dyrektora, byłam przekonana, że znowu chodzi o jakąś uroczystość, na której będę musiała wystąpić w regionalnym stroju. Jednak tym razem już sam wyraz twarzy dyrektora wskazywał, że chodzi o coś zupełnie innego.

– Aniu, proszę, usiądź – powiedział, wskazując krzesło naprzeciw swojego biurka. Wykonałam prośbę i czekałam na rozwój wypadków. – Przed chwilą poinformowano mnie, że twoja ciocia trafiła do szpitala – zakomunikował zatroskanym głosem. Słowo szpital od czasu wypadku rodziców budziło we mnie wyłącznie złe skojarzenia. Nic więc dziwnego, że w pierwszej chwili zaniemówiłam, a gdy minął pierwszy szok, zaczęłam drżeć na całym ciele. – Ale nie martw się, wszystko z nią w porządku – dodał, widząc, co się ze mną dzieje.

– Jak to trafiła do szpitala? – wyjąkałam, gdy dotarł do mnie sens ostatnich słów dyrektora.

– Jakąś godzinę temu wyszła z Zosią na spacer i zasłabła niedaleko kamienicy, w której mieszkacie. Na szczęście jedna z sąsiadek wracała

właśnie z zakupów i natychmiast wezwała pogotowie. W tej chwili ciocia przechodzi badania, ale lekarze mówią, że to potrwa kilka dni.

– A co z Zosią? – weszłam dyrektorowi w słowo.

– Twoja siostra jest obecnie u tej sąsiadki, która pomogła cioci, więc nie musisz się o nią martwić. Niemniej jednak postanowiłem, że do końca tygodnia otrzymasz zwolnienie ze szkolnych zajęć, abyś mogła zająć się ciocią – oznajmił dyrektor.

Wracając do domu, zachodziłam w głowę, co też mogło się stać. Zaczęłam nawet podejrzewać, że ciocia symuluje, abym tylko nie poszła na zajęcia taneczne, ale po chwili uznałam tę teorię za idiotyczną. Sąsiadką, która pomogła cioci i przygarnęła Zosię, okazała się pani Jadzia, mieszkająca na parterze. To ona opiekowała się mieszkaniem cioci, gdy po wypadku rodziców pojechaliśmy do Warszawy.

– Zosia śpi – powiedziała na przywitanie i zaprowadziła mnie do kuchni. – Siadaj, zaraz naleję ci zupy, ugotowałam ogórkową, ale jest jej tyle, że i dla ciebie wystarczy – oznajmiła gospodyni, wyjmując z drewnianego rzeźbionego kredensu biały talerz, ozdobiony złotym wzorem. Posłusznie usiadłam na krześle, nasłuchując jednocześnie, czy zza ściany nie słychać płaczu Zosi.

– Pani Jadziu, co właściwie stało się cioci? – zapytałam, kiedy kobieta postawiła przede mną talerz z parującą zupą i koszyk z pachnącym chlebem.

– Nie mam pojęcia, drogie dziecko – odparła kobieta, wruszając bezradnie ramionami. – Wracałam właśnie z targu, kiedy zobaczyłam, że na chodniku obok naszej kamienicy stoi dziecięcy wózek. W pierwszej chwili nie poznałam, że to wasz, bo takie wózki widać na każdym kroku, ale gdy podeszłam bliżej, dostrzegłam, że obok wózka leży Celina. Trzymała się za pierś i charczała. Natychmiast zabrałam wózek,

wprowadziłam go do swojego mieszkania i polecałam do szewca, aby zatelefonować po karetkę – relacjonowała przejęta kobieta. – Kiedy ją zabierali, lekarz powiedział, że to najprawdopodobniej zawał – zakończyła i przysiadła na krześle po drugiej stronie stołu.

Wersja sąsiadki była mniej optymistyczna od tej, jaką przedstawił mi dyrektor, ale doszłam do wniosku, że on miał bardziej aktualne wiadomości, niż pani Jadzia. Jedząc zupę, rozmyślałam nad tym, co teraz muszę zrobić. Po pierwsze należało pojechać do szpitala i na miejscu wypytać o stan cioci.

– Pani Jadziu, czy Zosia mogłaby jeszcze zostać tutaj kilka godzin? Chciałabym pojechać do szpitala.

– Ależ oczywiście, drogie dziecko. Ja i tak nie mam nic do roboty, więc chętnie zaopiekuję się Zosią – zapewniła.

Wiedząc, że zostawiam Zosię w dobrych rękach, podziękowałam za obiad i poszłam na przystanek autobusowy. Pół godziny później byłam już w szpitalu. Ciocią opiekował się brodaty lekarz w średnim wieku. Nazywał się Bolesław Piechocki i mógł mieć około pięćdziesięciu lat. Uwagę przykuwały duże szare oczy, upodabniające go trochę do sowy. Gdy usiedliśmy w gabinecie lekarskim, usłyszałam od niego, że ciocia miała niegroźny zawał serca, ale konieczna jest obserwacja i wykonanie kilku dodatkowych badań.

– Panie doktorze, a jak długo ciocia zostanie w szpitalu?

– Myślę, że nie dłużej niż pięć dni.

– A czy mogłabym ją teraz zobaczyć?

– Oczywiście, zaraz panią do niej zaprowadzę. – Fakt, że mężczyzna zwrócił się do mnie jak do kobiety, a nie dziewczyny, mile mnie zaskoczył.

Ciocia nie wyglądała najlepiej. Choć starała się bagatelizować swój stan, to było widać, że coś jej dolega.

– Anno, ja zupełnie nie wiem, dlaczego mnie tu jeszcze trzymają? Przecież czuję się zupełnie dobrze.

– Ciociu, lepiej będzie, jak dokładnie ciocię przebadają.

– Ale ty i Zosia nie dacie sobie same rady!

– Oczywiście, że damy – zapewniłam. – Tym bardziej że dyrektor zwolnił mnie z kilku dni szkoły, a pani Jadzia obiecała pomoc – dodałam, choć o pomocy z panią Jadzią jeszcze nie rozmawiałam. Moje wyjaśnienia trochę ciocię uspokoiły, ale i tak, gdy wychodziłam, kilkakrotnie instruowała mnie, jak przygotowywać mleko dla Zosi i jak sprawdzać, czy woda do kąpeli ma odpowiednią temperaturę. Miałam ochotę przypomnieć jej, że przecież już wielokrotnie robiłam to wszystko, ale ostatecznie nic nie powiedziałam, tylko obiecując, że odwiedzę ją następnego dnia, opuściłam szpital.

Zosia wydawała się niespokojna, jakby wiedziała, że coś jest nie tak jak zawsze. Czujnie wodziła po pokoju swoimi dużymi niebieskimi oczami w poszukiwaniu cioci. Jednak ani z jedzeniem, ani z kąpielą nie było żadnego problemu. Tylko nie potrafiła usnąć. Nawet teraz, kiedy piszę te słowa, słyszę zza ściany jej ciche gaworzenie.

7 października 1967, sobota

Nawet nie przypuszczałam, że opieka nad dzieckiem może być tak wyczerpująca. Co prawda do tej pory pomagałam cioci, ale to ona przez większą część dnia zajmowała się Zosią. Fakt, że nie musiałam chodzić do szkoły, pozwalał mi ogarniać nowe obowiązki. Rano karmienie Zosi, spacer, pranie pieluch. Później wizyta u cioci w szpitalu, a po południu znowu zajmowanie się Zosią. Liczba obowiązków sprawiła, że zupełnie zapomniałam o zajęciach tanecznych. Przypomniał mi o nich telefon Jurka, który zadzwonił w czwartek wieczorem.

– Aniu, wybacz, że zawracam ci głowę, lecz obiecałaś mi dać odpowiedź w ciągu dwóch dni. Jutro pierwsze zajęcia, a ja nie wiem, na czym stoję.

– Przepraszam, ale ostatni tydzień miałam mocno zajęty, a co do zajęć to zgadzam się – powiedziałam bez zastanowienia.

– To fantastycznie! – wykrzyknął uradowany Jurek. – Czyli widzimy się jutro o dziewiętnastej – dodał tym samym wesołym tonem.

– Tak – potwierdziłam i nagle uprzytomniłam sobie, że piątek to jedyny dzień, w którym nie mogłam liczyć na pomoc pani Jadzi.

– Jeśli możesz, to przyjdź pół godziny wcześniej, omówimy wtedy szczegóły – poprosił i nagle zamiast jego głosu, usłyszałam w słuchawce komunikat: „Proszę wrzucić monetę”, a w następnej chwili połączenie zostało przerwane. To oznaczało, że Jurek telefonował z budki i prawdopodobnie zabrakło mu drobnych. Czekałam jeszcze kilka minut, mając nadzieję, że zadzwoni ponownie, ale telefon milczał.

No to masz babo placek – pomyślałam, przypominając sobie ulubione powiedzenie mamy. Jurek nie miał telefonu, nie wiedziałam też, gdzie mieszka. Co prawda zawsze mogłam zadzwonić do studium nauczycielskiego, w którym pracował, i tak też postanowiłam zrobić.

W piątek rano zaraz po nakarmieniu i przebraniu Zosi zatelefonowałam do sekretariatu studium. Telefon odebrała jakaś kobieta, która sądząc po głosie, mogła mieć nie więcej niż trzydzieści lat. Początkowo była miła, ale gdy poprosiłam o rozmowę z Jurkiem, stała się opryskliwa.

– Pana Barona nie ma dzisiaj w pracy – odparła chłodno – a poza tym trochę za dużo tych telefonów. Pan Jurek ma tutaj pracować, a nie prowadzić miłosne pogaduszki – dodała i przerwała połączenie. Przez chwilę stałam oszołomiona, wpatrując się w trzymaną w dłoni słuchawkę.

O co tej kobiecie chodziło? Przecież nigdy wcześniej nie telefonowałam do Jurka – pomyślałam i zaczęłam przygotowywać Zosię do spaceru. Dzień jak na początek października był dość ciepły i bezwietrzny. Idąc w kierunku moła, zastanawiałam się, jak rozwiązać problem z dzisiejszymi zajęciami tanecznymi. Z tego, co mówił lekarz, ciocia miała zostać wypisana ze szpitala w poniedziałek, więc na wtorkowe zajęcia mogłam pójść, ale co z dzisiejszymi? Gdybym tylko wczoraj podczas rozmowy z Jurkiem naświetliła mu sytuację, teraz nie byłoby żadnego problemu, a tak wyjdzie na to, że jestem niesłowna. Kiedy dotarłam na moło, Zosia spała w najlepsze. Ustawiłam więc wózek obok jednej z ławek i usiadłam, wystawiając twarz do słońca. Przymknęłam powieki, a delikatne promienie muskały moje policzki, czoło i nos. Gdy tak siedziałam, nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. W pierwszej chwili wydała się szalona, ale im dłużej ją analizowałam, tym bardziej byłam do niej przekonana. W końcu uznałam, że zabranie Zosi na zajęcia taneczne jest najlepszym wyjściem z sytuacji. Oczywiście należało nieco zmienić jej plan dnia. Dlatego po południu zamiast zwyczajowej drzemki zabawiałam ją grzechotkami, których odgłosy wręcz uwielbiała. Mój fortel przyniósł oczekiwany efekt i Zosia zasnęła dopiero kilka minut po osiemnastej, kiedy pchając wózek, byłam w drodze do domu kultury. Co prawda przewidywałam, że w nocy nie będzie chciała spać, ale taki scenariusz był wpisany w mój pomysł.

Kiedy weszłam do domu kultury, usłyszałam hałas, dobiegający z sali, w której miały się odbywać próby. Podejrzewałam, że to Jurek przygotowuje salę na zajęcia, i miałam rację. Kiedy mnie dostrzegł z wózkiem, o mało nie wypuścił z rąk krzesła, które właśnie prznosił pod ścianę, robiąc miejsce dla tancerzy.

– Cicho, bo ją obudzisz – uprzedziłam, podjeżdżając wózkiem obok sceny. Osłupiały Jurek patrzył to na mnie, to na wózek. Wreszcie wolno

odstawił krzesło, podszedł do wózka i zajrzał ostrożnie do środka.

– To jest małe dziecko – wyszeptał, przysuwając twarz do mojego ucha.

– A spodziewałaś się pingwina? – zapytałam, nie potrafiąc ukryć rozbawienia.

– No, nie, ale skąd masz ten wózek?

– Stał przed jednym ze sklepów, więc zabrałam, żeby małeństwo nie zmarzło.

Oczy Jurka zrobiły się duże i okrągłe jak spodki.

– Żartujesz sobie? – zapytał, odzyskując mowę.

– Tak – potwierdziłam i w kilku zdaniach nakreśliłam mu swoją obecną sytuację.

– Przecież mogłaś zadzwonić do mnie do pracy i mnie uprzedzić.

– O tym, że nie będę mogła przyjść, bo ciocia jest w szpitalu, czy o tym, że mam zamiar zabrać tutaj Zosię? – weszłam mu w słowo. W odpowiedzi Jurek tylko wzruszył ramionami.

– Dzwoniłam dziś rano – przyznałam, zdejmując płaszcz i przewieszając go przez oparcie krzesła – ale niezbyt miła pani poinformowała mnie, że po pierwsze nie ma cię w pracy, a po drugie, według niej za dużo kobiet do ciebie dzwoni, przez co, zamiast pracować, prowadzisz miłosne pogawędki – dodałam. Jurek poczerwieniał i uciekł spojrzeniem gdzieś w bok. – Mnie nie interesuje twoje prywatne życie, powtórzyłam tylko to, co mi powiedziano – oznajmiłam i zmieniając temat, zapytałam, co zaplanował na pierwsze zajęcia. Okazało się, że chciał zobaczyć, jaki poziom prezentują poszczególne pary i nie przewidywał, abyśmy pokazywali jakiegokolwiek kroki czy figury.

Gdybym wiedziała o tym pręcej, to nie musiałabym urządzać tego całego cyrku z zabieraniem Zosi – pomyślałam. Teoretycznie mogłam

wrócić do domu, ale skoro już tu byłam, postanowiłam również przyjrzeć się temu, jak tańczą inni.

– Aniu, a moglibyśmy schować twoją siostrę za scenę? – zapytał Jurek. – Nie, żebym miał coś przeciwko jej obecności na zajęciach, ale mogłaby trochę rozpraszać tańczących – wyjaśnił.

Właściwie miał rację – pomyślałam, zdając sobie sprawę, że widok wózka z pewnością wzbudziłby sensację. Przetawiałam więc wózek za kurtynę, a chwilę później przyszli Sara z Karolem. W sumie na zajęciach zjawiły się tylko cztery pary, czyli o trzy mniej niż na pierwszym spotkaniu organizacyjnym. Nie wróżyło to niczego dobrego, bo jak przed zajęciami powiedział mi Jurek, kierowniczka postawiła warunek, że w zajęciach musi brać udział co najmniej osiem osób. Gdyby więc któraś z tych czterech par postanowiła zrezygnować, to oznaczałoby koniec zajęć.

– Nie wiecie co z pozostałymi parami?

Na pytanie Jurka nikt z obecnych nie znał odpowiedzi.

– No dobra w takim razie zaczynamy bez nich – zdecydował. – Na wstępie chciałem was poinformować, że Ania będzie mi pomagała w prowadzeniu zajęć. Dzięki temu będziecie dokładnie widzieli, jak wyglądają poszczególne kroki i figury. – Kilka osób spojrzało na mnie z zainteresowaniem, a Sara przesłała mi zagadkowy uśmiech. – Teraz każda z par zatańczy to, co jej zdaniem wychodzi im najlepiej. Może jako pierwsi Ewa i Piotrek. – Jurek wskazał na blondynkę w okularach i chudego wysokiego szatyna. Onieśmielona para wyszła na środek sali.

– Co zatańczycie? – zapytał Jurek, podchodząc do stojącego na stoliku gramofonu.

– Może twista? – zagadnęła Ewa swojego partnera.

– Dobra, zaraz coś dla was znajdę – zapewnił Jurek, przerzucając stertę płyt. Po chwili wybrał jedną z nich i ułożył na talerzu gramofonu.

– Gotowi? – upewnił się, spoglądając na Ewę i Piotra, a kiedy para skinęła głową, opuścił ramię urządzenia. Z głośników popłynął mocny dźwięczny głos Heleny Majdaniec, śpiewającej o rudym rydzu. Jurek uważnie śledził wszystkie ruchy tancerzy i choć starał się ukrywać emocje, to dostrzegłam na jego twarzy wyraz zawodu. Jak mi później powiedział, nie przepadał za gatunkami tańca, w których partnerzy mają z sobą kontakt wyłącznie wzrokowy, a nie cielesny. Drugą parą wywołaną na parkiet była Sara i Karol.

– A wy co zatańczycie?

– Tango – odpowiedziała Sara. Jurek wydawał się zaskoczony wyborem, ja z resztą także.

– Może być *Tango d`amore* z repertuaru Anny German?

Sara i Karol ledwie dostrzegalnie skinęli głowami. Ich wyprostowane sylwetki, mocno objęte ramionami i spojrzenia utkwione w jeden punkt uświadomiły mi, że ten taniec nie został wybrany przypadkowo. Ledwie rozbrzmiały pierwsze takty melodii, a para ruszyła z taką gracją, jakby trenowali do tego występu. Z prawdziwą fascynacją i zazdrością obserwowałam, jak tańczą. Płynność, z jaką przechodzili przez podstawowe kroki w przód i tył, oraz perfekcja w wykonywaniu promenady i wirowania wręcz zapierały dech w piersiach. Nawet ich stroje, które zupełnie nie pasowały do tanga, nie potrafiły zepsuć tego cudownego spektaklu.

– To było mistrzostwo – oświadczył Jurek, kiedy po zajęciach odprowadzał mnie do domu.

9 października 1967, poniedziałek

Powrót do domu, zdaniem cioci, był dla niej lepszy niż wszystkie przyjmowane w szpitalu leki.

– Anno, ja nie mogę beczynn timer leżeć, a tam nawet nie pozwalali mi wyjść do parku otaczającego szpital – narzekała, przygotowując mleko dla Zosi.

Jednak wypis i dokumentacja medyczna nie pozostawiała wątpliwości, że ciocia zaczyna mieć problemy z sercem. Zalecenia były wyraźne – mniej wysiłku i koniecznie pobyt w sanatorium. Znając ciotkę, wiedziałam, że przekonanie jej do tych zaleceń będzie niezwykle trudne. Już samo to, że poprosiłam dyrektora szkoły o kilka dni zwolnienia z zajęć szkolnych, ciotka uznała za niepotrzebne. Ja jednak wolałam być przy niej, tak na wszelki wypadek.

O swojej eskapadzie z Zosią na zajęcia taneczne nawet ciocie nie wspominałam. Jednak istniało ryzyko, że zrobi to kierowniczk a domu kultury. Co prawda w piątkowy wieczór zamiast niej był tam jakiś pracownik, ale mógł jej donieść. Dlatego kiedy zatelefonowała, sądziłam, że wszystko się wyda. Nie bałam się tego, że dostanę od ciotki burę, ale że wiadomość o moim wybryku może jej zaszkodzić. Na szczęście kierowniczk a o niczym nie wiedziała, a i sama ciocia nie dopytywała, czy byłam na zajęciach. Zapewne uważała, że cały piątkowy wieczór spędziłam z Zosią w domu.

14 października 1967, sobota

Wczoraj po prawie dwóch tygodniach przerwy wróciłam do szkoły. Zdziwił mnie idealny porządek przed budynkiem i dziwne poruszenie w środku. Nagle przypomniałam sobie, że to właśnie dzisiaj w naszej szkole będzie gościła delegacja uczniów i nauczycieli z Moskwy. Do tej wizyty cała szkoła przygotowywała się od dwóch tygodni. Na szczęście ja nie brałam czynnego udziału w planowanych uroczystościach. Kulminacyjnym momentem wizyty była akademia w auli. Niestety kilku dowcipnych chłopaków postanowiło urozmaicić ją własnymi występami artystycznymi,

a dokładniej rzecz biorąc, wykorzystano do tego celu portrety Cyrankiewicza i Gomułki wiszące w auli. Ich plan był genialny w swej prostocie, ale miał bardzo przykre konsekwencje. Chłopcy przywiązali do obrazów sznurki i gdy uczniowie deklamowali wiersze wychwalające przyjaźń polsko-radziecką, portrety dygnitarzy zaczęły się kręcić jak na karuzeli. Większość zgromadzonych w auli nie wytrzymała i jak na komendę parsknęła śmiechem. Dyrektor, który stał na scenie, dopiero po chwili zrozumiał powód tego rozbawienia. Natychmiast przerwał akademię, przeprosił naszych gości, a winowajców wyrzucił ze szkoły.

– Mam nadzieję, że ty nie byłaś zamieszana w tę aferę z wirującymi komunistami? – zapytała ciocia, gdy tylko przekroczyłam próg mieszkania. Mimo poważnego wyrazu twarzy, wiedziałam, że żart przypadł jej do gustu, bo socjalizm i jego wyznawców uważała za największe zło, jakie spotkało polski naród.

– Niestety ciociu nie zostałam wtajemniczona – odparłam zawiedzionym głosem.

– Niech cię ręka boska broni brać udział w podobnych prowokacjach – ostrzegła ciotka, grożąc mi palcem. – Ty masz zdać maturę, skończyć porządne studia...

– No i wyjść dobrze za mąż – dokończyłam za ciotkę.

– Tak i wyjść dobrze za mąż – potwierdziła.

17 października 1967, wtorek

Echa piątkowej afery dotarły do komitetu wojewódzkiego PZPR, a to z kolei wywołało nowe konsekwencje. Dyrektor zdecydował, że wszystkim uczniom obniży sprawowanie o jeden stopień. Nie zrobiło to na nas specjalnego wrażenia, ale podobno uspokoiło władze, dla których taki wybryk był prawie jak zamach stanu na „socjalistyczne wartości, wpisane w tradycję polskiego narodu”. Właśnie takich słów użył dyrektor podczas

apelu, na którym ogłosił decyzję o obniżeniu ocen z zachowania. Tym razem również ciotka była dobrze poinformowana, bo kiedy wróciłam ze szkoły, oznajmiła, że trzeba się od tej decyzji odwołać.

– Jak to odwołać? – zdziwiłam się.

– Normalnie Anno, przecież ciebie prawie dwa tygodnie nie było w szkole, więc jak mogłaś cokolwiek wiedzieć o planowanym spisku?

– Ciociu, dla mnie nie ma znaczenia, czy będę miała zachowanie wzorowe, czy bardzo dobre. Chcę tylko bez problemów podejść do matury, więc lepiej zostawić tę sprawę w spokoju.

– Anno, jesteś już na tyle dorosła, że nie będę cię prowadziła za rączkę, ale wiedz, iż czasami trzeba się postawić systemowi, zwłaszcza wtedy, gdy jest niesprawiedliwy. Konformistyczne postawy prędzej czy później odbijają się społeczeństwu czkawką – zawyrokowała ciotka.

Podświadomie czułam, że ma rację, ale jakoś nie potrafiłam znaleźć w sobie odwagi. O wiele łatwiej było walczyć o realne marzenia niż o oceny, które w gruncie rzeczy nie miały większego znaczenia dla tego, co będę w przyszłości robiła lub jakim będę człowiekiem.

– Czy dowiadywała się już ciocia o termin wyjazdu do sanatorium? – zmieniłam temat, choć zdawałam sobie sprawę, że właśnie poruszam drażliwą kwestię. Nie zamierzałam jednak tak łatwo odpuścić i każdego dnia zadawałam cioci to jedno, denerwujące ją pytanie. Miałam nadzieję, że tak jak kropla draży skałę, tak ja przekonam ciocię do zajęcia się na poważnie swoim zdrowiem.

– Anno, czy ty masz problemy z pamięcią? Przecież mówiłam ci wczoraj, że zajmę się tym w przyszłym tygodniu.

– Rzeczywiście, zupełnie zapomniałam – skłamałam, posyłając cioci przepraszający uśmiech.

– À propos zapominania, to przed południem telefonował do ciebie jakiś Jerzy Baron.

– To ten instruktor tańca, z którym współpracuję – wyjaśniłam, wchodząc cioci w słowo.

– No więc ten dżentelmen o arystokratycznym nazwisku prosił, abym ci przekazała, iż dzisiaj wyjątkowo nie będzie zajęć tanecznych.

– Może to i lepiej – uznałam i całe popołudnie oraz większą część wieczoru poświęciłam na wkuwanie matematycznych wzorów.

19 października 1967, czwartek

Kiedy dziś po powrocie do domu ciotka wręczyła mi kopertę z pieczętą ministerstwa, w którym pracował ojciec, byłam zaskoczona. Przez chwilę obracałam list w dłoniach, patrzyłam na czerwoną pieczęć oraz znaczek pocztowy, upamiętniający setną rocznicę urodzin Marii Skłodowskiej-Curie i zastanawiałam się, co może być w środku.

– Anno, otwórz wreszcie ten list! Inaczej nie dowiesz się, czego od ciebie chcę – ponagliła ciotka, jakby czytała w moich myślach.

Wsunęłam koniec paznokcia w miejsce zaklejenia koperty i jednym ruchem rozerwałam biały papier. W środku znalazłam pismo informujące o wpisaniu mnie na uprzywilejowaną listę osób oczekujących na mieszkanie. Jak wynikało z dokumentu, przewidywany termin otrzymania mieszkania wyznaczono na tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty rok.

– Tutaj napisali, że w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku dostanę mieszkanie – powiedziałam, podając cioci dokument. Ta wzięła go i dokładnie przeczytała.

– Dostaniesz albo nie dostaniesz – skwitowała, oddając mi list. – Za siedem lat, Anno, wiele może się zmienić – dodała i wróciła do swoich zajęć. W pewnym sensie ciocia miała rację. Przecież jeszcze rok temu do

głowy by mi nie przyszło, że zostanę sierotą. Jednak sam fakt, że w ministerstwie pamiętano o danej mi obietnicy, przyjąłam z wdzięcznością.

21 października 1967, sobota

Na wczorajszych zajęciach tanecznych po raz pierwszy odbywała się prawdziwa nauka tańca. Jurek zdecydował, że na pierwszy ogień pójdzie cha-cha. Jego zdaniem była ona bardziej uniwersalna niż rumba czy samba, a poza tym znacznie od nich prostsza. Kiedy zaczęliśmy demonstrować poszczególne kroki, uświadomiłam sobie, że bycie partnerką instruktora to nie to samo, co bycie uczestnikiem zajęć. Owszem tańczyłam, ale przez cały czas musiałam koncentrować uwagę na właściwym przeprostowywaniu kolan, co w cha-chy ma wpływ na ruch pozostałych partii ciała, między innymi bioder. Nie było więc mowy o rozluźnieniu, a dokładniej rzecz ujmując, to ja nie potrafiłam się wyluzować. Jurek za to tańczył z pełną naturalnością.

– Aniu, powinnaś wyobrazić sobie, że nie pokazujesz kroków, które ktoś musi powtarzać, tylko jesteś na imprezie i tańczysz dla przyjemności – poradził, gdy po zajęciach omawialiśmy ich przebieg.

– Łatwo mówić, ale trudniej zrobić – westchnęłam.

– W takim razie chodźmy potańczyć dla przyjemności – zaproponował.

– Teraz? – zapytałam zdziwiona jego propozycją.

– Tak, w piątek większość klubów jest otwarta do północy.

– Dzięki za zaproszenie, ale dzisiaj nie mogę – odmówiłam, wiedząc, że gdybym nie przyszła do dwudziestej pierwszej, to ciocia zaczęłaby się denerwować, a przy jej stanie zdrowia mogła nawet dostać kolejnego ataku serca.

– Żaden problem, może innym razem dasz się namówić – odparł Jurek, chowając płyty do plecaka.

25 października 1967, środa

Dziś mogę napisać, że moje starania, aby ciotka na poważnie zajęła się swoim zdrowiem, zaczynają przynosić owoce. Przy obiedzie, kiedy już miałam zadać swoje zwyczajowe pytanie o sanatorium, ciocia sama wywołała ten temat.

– Byłam dzisiaj w szpitalu, u doktora Piechockiego – oznajmiła. Wspomnienie brodatego lekarza wzbudziło we mnie niepokój.

– Czyżbyś źle się poczuła? – zapytałam, uważnie ją obserwując.

– Ależ gdzie tam. Czuję się wspaniale, ale dla świętego spokoju postanowiłam w końcu załatwić sprawę tego sanatorium.

– I bardzo dobrze, bo zdrowie, ciociu, jest najważniejsze – pochwaliłam i zapytałam, czego się dowiedziała.

– Wyobraź sobie, Anno, że ten lekarz od razu zatelefonował do Ciechocinka i załatwił mi turnus – oznajmiła z nieukrywanym zdziwieniem – a pani Jadzia mówiła, że na sanatorium to się miesiącami czeka – dodała.

1 listopada 1967, środa

Właśnie wracam z Warszawy, gdzie pojechałam odwiedzić grób rodziców. Ciotka jechać nie chciała, zasłaniając się Zosią, ale stwierdziła, że ja jako córka powinnam w tym dniu być na cmentarzu.

– Wiesz, ciociu, że to jest święto kościelne?

– Kościelne czy nie kościelne, szacunek zmarłym, zwłaszcza rodzicom się należy – ucięła dalszą dyskusję. Tak naprawdę już wcześniej chciałam pojechać na grób rodziców, ale dziwnym trafem, zawsze coś stawało mi na przeszkodzie.

Z Sopotu wyjechałam wczesnym rankiem i przed południem byłam już w stolicy. Na Powązkach panował taki tłok, jak na plaży w Sopocie podczas wakacji. Nawet do kiosku, w którym sprzedawano znicze i kwiaty,

musiałam odstać swoje. Nim odnalazłam grób rodziców, minęło prawie pół godziny. Na marmurowej płycie stało już kilka zniczy i dwie doniczki z chryzantemami. Zastanawiałam się, kto je tutaj postawił. Jeśli to znajomi rodziców, to znaczyło, iż tylko nieliczni wciąż o nich pamiętali. Zapaliłam kupione znicze i ustawiłam je na środku mogiły. Zamiast się modlić, zaczęłam wspominać czas, kiedy mój świat wyglądał zupełnie inaczej. Nie wiem, jak długo stałam zamyślona nad grobem, ale w pewnej chwili poczułam czyjąś obecność. Odwróciłam głowę i zobaczyłam niską, szczupłą kobietę, ubraną w elegancki płaszcz z futrzanym kołnierzem. Choć widziałyśmy się zaledwie kilka razy w życiu, natychmiast ją rozpoznałam. Ona również musiała mnie poznać, bo posłała mi ciepły uśmiech.

– Witaj, Aniu – odezwała się ciepłym, miękkim głosem, podobnym do głosu mojej matki.

– Dzień dobry, babciu – odpowiedziałam, odwzajemniając uśmiech. Fakt, że babcia Irena przyszła na grób swojej córki, nie był dla mnie niczym dziwnym. Co prawda, gdy mama jeszcze żyła, ich relacje ograniczały się wyłącznie do kurtuazyjnych spotkań z okazji urodzin i imienin. Babcia nie potrafiła wybaczyć, że mama wyszła za mąż za komunistę.

– Od dawna tu stoisz? – zagadnęła, dostawiając kolejny znicz. Nie wiem, czy celowo, czy też przypadkiem miała tylko jeden. Postawiła go po stronie, po której była pochowana mama, tak jakby tym gestem chciała zamanifestować, że nawet śmierć ojca nie zmieniła jej podejścia do zięcia.

– Jakież pół godziny – odparłam, spoglądając na zegarek.

– Przyjechałaś sama?

– Tak, bo ciocia musiała zostać z Zosią.

– To może wpadniesz do mnie na obiad? – Zaproszenie było ostatnią rzeczą, jakiej się po babci spodziewałam. – W końcu jesteś moją wnuczką

i może najwyższy czas spróbować naprawić nasze relacje – wyjaśniła. Wahałam się tylko przez chwilę. Pociąg miałam dopiero za kilka godzin, a przesiadywanie w jakiejś kawiarni czy restauracji specjalnie mi się nie uśmiechało.

– Bardzo chętnie – odpowiedziałam. Stałyśmy jeszcze przez kilka minut pogrążone we własnych myślach, a później pojechałyśmy do babci.

Babcia Irena mieszkała w kamienicy niedaleko szpitala Praskiego. Zajmowała małe mieszkanie na pierwszym piętrze, składające się z pokoju, kuchni i łazienki. Nigdy wcześniej tam nie byłam, dlatego z ciekawością rozglądałam się po gustownie urządzonej wnętrze. Pokój był dość duży, a dwa wysokie okna wpuszczały sporo światła. Na środku pomieszczenia stał okrągły stół z czterema krzesłami. Pod jedną ścianą zobaczyłam wysoką biblioteczkę, wypełnioną książkami. Tuż przy niej stała niska komoda i szafa, a na przeciwległej ścianie kanapa obita ciemnozielonym pluszem. Obok kanapy stał potężny kaflowy piec.

– Ogrzej się, Aniu, a ja zrobię herbatę – powiedziała babcia, znikając w kuchni.

Usiadłam blisko pieca, od którego było przyjemne ciepło. Wsłuchując się w odgłosy dochodzące z kuchni, prześlizgiwałam wzrokiem po cytrynowych ścianach, na których wisiało kilkanaście fotografii w drewnianych ramkach. Jedna z nich szczególnie mnie zainteresowała. Przedstawiała parę młodą. Zaintrygowana podeszłam bliżej. Zdjęcie musiało zostać wykonane w jakimś ogrodzie, bo w tle było widać drzewa i krzewy. Najpierw przyjrzałam się mężczyźnie. Jego owalna twarz o dużych, szarych oczach wydała mi się dziwnie znajoma. Kiedy po chwili zrozumiałam, na kogo patrzę, nie potrafiłam ukryć zaskoczenia.

– Czy to jest Bolesław Piechocki? – zapytałam, odwracając się do babci, która właśnie stawiała na stole tacę z imbrykiem, filiżankami i talerzykiem

pełnym ciasteczek. Chciałam się upewnić, bo choć podobieństwo było uderzające, to człowiek poznany w szpitalu był jakby starszą i smutniejszą wersją mężczyzny ze ślubnej fotografii, a poza tym miał brodę.

– Tak – przyznała babcia i zaczęła rozstawiać naczynia. Z powrotem spojrzałam na zdjęcie, ale tym razem zwróciłam uwagę na pannę młodą, ją także znałam. Szok był tak duży, że aż zasłoniłam usta dłonią, aby nie krzyknąć.

– Czy to jest moja mama? – zapytałam, zdejmując zdjęcie ze ściany i podchodząc z nim do stołu.

– No tak, to Krystyna – potwierdziła babcia, a wyraz jej twarzy wskazywał, że nie rozumie, czemu pytam o coś, co jest dla niej oczywiste. Jednak dla mnie nic nie było jasne.

– Ale dlaczego oni na tym zdjęciu są razem? – wyjąkałam, zupełnie nie wiedząc, co to wszystko ma znaczyć.

– To ty o niczym nie wiesz – westchnęła smutno babcia i odbierając ode mnie fotografię, położyła ją na stole, między filiżankami.

– Sądziłam, że ci powiedziano, ale skoro nie, to ja opowiem ci całą historię – dodała, nalewając do filiżanek parujący bursztynowy płyn. Następnie usiadła i gestem zachęciła, abym uczyniła to samo. – Widzisz, Aniu, Krystyna, Bolesław i Tadeusz mieszkali w Wilnie w sąsiadujących z sobą kamienicach – zaczęła babcia głosem drżącym z emocji. – Rodzice Bolesława byli moimi dobrymi znajomymi. Oboje pracowali w tym samym szpitalu co ja, więc nasze rodziny znały się, a nawet przyjaźniły. Nic więc dziwnego, że Bolesław i Krystyna, mimo różnicy wieku, zaczęli okazywać sobie sympatię. Natomiast Tadeusz był ich wspólnym kolegą, a dokładniej mówiąc przyjacielem Bolesława. Przyjaźnili się pomimo tego, że twój ojciec miał zupełnie inne poglądy polityczne. Kiedy wybuchła wojna, Bolesław był na czwartym roku medycyny. Potem nastąpiły ciężkie lata

okupacji, najpierw sowieckiej, później hitlerowskiej i nikomu nie było łatwo. Mimo to w tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, gdy Krystyna skończyła osiemnaście lat, Bolesław poprosił ją o rękę. Ślub odbył się w połowie lipca. Niestety młodym niedane było cieszyć się długo swoim szczęściem. Za ledwie rok później, kiedy Armia Radziecka zajęła Wilno, Bolesław i mój mąż zostali aresztowani przez NKWD i wywiezieni na Syberię, ale o tym dowiedziałam się dopiero po kilku latach. W międzyczasie wojna się skończyła, a Polacy z Wilna uciekli na Zachód. Ja i Krystyna trafiłyśmy do Warszawy. Tutaj też odnalazł nas Tadeusz, który początkowo starał się wspierać Krystynę, ale po pewnym czasie zaczął czynić jej awanse. Przez długi czas jego zaloty nie odnosiły skutku, ale mniej więcej pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku Krystyna zmęczona czekaniem na męża, o którym nic nie wiedziała, uległa. Ślub wzięli na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku. W grudniu urodziłaś się ty, a dwa miesiące później Bolesław wrócił z Syberii. Niestety mój mąż został tam na zawsze – zakończyła babcia, ocierając ukradkiem oczy.

– Dlaczego to przede mną ukryli? – wyszeptałam, upijając łyk letniej już herbaty.

– Nie wiem, drogie dziecko, naprawdę nie wiem – westchnęła babcia.

– A skąd wiedziałaś, że na tym zdjęciu jest Bolesław? – zapytała, opanowując drżenie głosu.

– Spotkałam go kilkanaście dni temu w sopockim szpitalu – wyjaśniłam i opowiedziałam o tym, jak ciocia trafiła do szpitala.

– Czyli teraz pracuje nad morzem, a ja myślałam, że po opuszczeniu Warszawy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku wyjechał do Wrocławia – powiedziała w zamyśleniu.

10 listopada 1967, piątek

Od powrotu z Warszawy biję się z myślami. Mam wielką ochotę porozmawiać z ciotką o tym, czego dowiedziałam się od babci Ireny. Jestem przekonana, że ciotka coś wie, a może nawet zna powody, dla których rodzice zataili przede mną swoją przeszłość. Zdaniem Hani, której opowiedziałam całą historię, powinnam wprost zapytać ciotkę o tę sprawę. Jednak boję się o jej reakcję. Nie darowałabym sobie, gdyby dostała kolejnego ataku.

12 listopada 1967, niedziela

Wiem już wszystko, a raczej to, co wiedziała ciotka, która sama sprowokowała okazję do poruszenia tego tematu.

– Anno, od powrotu z Warszawy jesteś jakaś zamyślona, nieobecna – stwierdziła wczoraj, kiedy obserwowała mnie, jak zmywam naczynia po obiedzie. Jej słowa uznałam za coś w rodzaju zaproszenia i postanowiłam z niego skorzystać.

– Na cmentarzu spotkałam babcię Irenę – wyznałam, odkładając umyty talerz na suszarkę.

– I co u niej słyhać? – W pytaniu ciotki pobrzmiwało pewne zdenerwowanie.

– Chyba wszystko dobrze. Zaprosiła mnie do siebie na obiad i przy herbacie trochę sobie porozmawialiśmy.

– Wciąż mieszka niedaleko szpitala? – przerwała mi ciotka, jakby tym pytaniem chciała skierować rozmowę na inne tory. Jednak ja nie zamierzałam już zbaczać z obranej właśnie drogi.

– Dlaczego rodzice ukrywali przede mną pierwsze małżeństwo mamy? – zapytałam, patrząc ciotce prosto w oczy.

– A więc Irena ci powiedziała – westchnęła z wyrzutem.

– Prędzej czy później i tak bym się dowiedziała, więc nie obwiniaj babci.

– Pewnie tak – przyznała, upijając łyk kawy z błękitnej filiżanki. Odwróciła twarz i spojrzała przez okno na grube ciężkie płatki śniegu, pokrywające parapet.

– Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? – powtórzyłam pytanie.

– Anno, twoi rodzice uważali, że tak będzie lepiej. Nie pytaj mnie, dlaczego tak postanowili, bo ja tego nie wiem. Poprosili jedynie, abym nie poruszała tego tematu przy tobie.

– Ciociu, a czy mama kochała tatę?

– Nie mam pojęcia, ale wiem jedno, że powrót Bolesława z Syberii był dla niej ogromnym wstrząsem, po którym długo nie potrafiła dojść do siebie. Pamiętam doskonale, w jakim była stanie. Możesz mi wierzyć albo nie, ale wyglądała jak cień człowieka. Lekarze ostrzegali Tadeusza, że Krystyna może mieć myśli samobójcze i podejmować próby odejścia z tego świata. Myślę, że gdyby nie ty, to na pewno by z sobą skończyła. Przy życiu trzymała ją wyłącznie świadomość twojej obecności i wrodzony instynkt macierzyński.

Słuchając cioci, uświadomiłam sobie, z jak wielkim ciężarem musiała się zmierzyć mama. Do tej pory nie rozpatrywałam tej historii pod kątem uczuć jej głównych bohaterów, tylko z punktu widzenia dorastającego dziecka, które nagle dowiaduje się o rodzinnej tajemnicy, a to przecież emocje mamy, Bolesława i ojca były w tej historii najważniejsze. Tak naprawdę to oni zostali skrzywdzeni, a nie ja.

– A jak Bolesław zareagował na wiadomość, że jego żona ma nowego męża i jest nim jego najbliższy przyjaciel?

– Z tego, co opowiedział mi Tadeusz, Bolesław podszedł do sytuacji w bardzo rozsądny sposób. Nie potępiał Krystyny, nie oceniał jej decyzji. Rozumiał, że winę za wszystko ponosi jedynie przewrotny los. Zupełnie inaczej widziała to Irena, która przekonywała Krystynę, aby ta wystąpiła

o unieważnienie małżeństwa z Tadeuszem i wróciła do Bolesława. Kiedy Krystyna odmówiła, jej relacje z matką stały się czysto formalne. Oficjalnie Irena dawała do zrozumienia, że nie akceptuje zięcia komunisty, ale wszyscy wiedzieli, o co tak naprawdę chodziło.

– Wszyscy, tylko nie ja – skwitowałam, posyłając cioci smutny uśmiech, i wróciłam do zmywania naczyń.

18 listopada 1967, sobota

Ciocia wyjechała do sanatorium i od trzech dni znowu jesteśmy z Zosią same. Mimo to nie boję się tak, jak wtedy, kiedy nagle znalazła się w szpitalu. Może dlatego, że teraz wszystko zostało dokładnie rozplanowane, niemal godzina po godzinie. Tak więc najbliższy miesiąc będzie podporządkowany małej Zosi. Gdy wychodzę do szkoły, Zosią zajmuje się pani Jadzia. Po szkole to ja przejmuję opiekę i tak jest do godziny osiemnastej, kiedy Zosia na dwie godziny znowu trafia do pani Jadzi. W tym czasie sprzątam mieszkanie i odrabiam lekcje. W piątek i wtorek, gdy mam zajęcia taneczne, do Zosi przychodzi Hania. Początkowo ciotka nie bardzo chciała się na to zgodzić.

– Przecież ta dziewczyna nie ma zielonego pojęcia o opiece nad małym dzieckiem.

Wiedziałam, że to będzie pierwszy argument, jakiego ciotka postanowi użyć, i byłam na niego przygotowana.

– Kilka razy w tygodniu zajmuje się swoim dwuletnim siostrzeńcem, więc chyba jednak ma – odparłam.

– Anno, dwulatek to nie to samo co kilkumiesięczny niemowlak.

– Tak, ale Hania zajmuje się nim od urodzenia – dodałam, wiedząc, że właśnie pozbawiam ciocię najważniejszego argumentu, jakim było niedoświadczenie przyjaciółki. Co prawda jeszcze próbowała, sugerując, że Hania może mieć zły wpływ na Zosię, ale widząc mój upór, zrezygnowała.

Przewidywania ciotki okazały się zupełnie bezpodstawne, bo kiedy wczoraj wróciłam do domu po zajęciach tanecznych, zastałam Hanię czytającą *Życie towarzyskie i uczuciowe* Leopolda Tyrmanda, a Zosia spała w najlepsze w swoim łóżeczku.

– Skąd to masz? – zdziwiłam się, widząc książkę, którą Tyrmand niedawno wydał we Francji i w Polsce nie można było jej kupić, a wiadomości o jej wydaniu pochodziły jedynie z Radia Wolna Europa.

– Ojciec dostał od znajomego, który niedawno wrócił z Paryża.

– To, czym dzisiaj pachniesz, też jest z Paryża? – zapytałam, nachylając się nad Hanią.

– Tak, to Miss Dior, pożyczyłam sobie od matki – wyszeptała, uśmiechając się znacząco.

– Ja mam jeszcze jakieś Chanel, które kiedyś przywiózł mi tato, ale jakoś nie potrafię się do nich przekonać – wyznałam.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– Bo nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale zaraz ci je pokażę – odparłam, wychodząc do swojego pokoju. Po chwili wróciłam z pudełkiem, w którym trzymałam perfumy, szminki i inne kosmetyki. Większość z nich należała do mamy i wszystkie ojciec przywiózł z zagranicy. Hania na widok tego, co znajdowało się w pudełku, szeroko otworzyła oczy.

– Masz takie skarby, a wcale ich nie używasz – zdziwiła się, wyjmując flakony z perfumami, szminki, lakiery do paznokci i kremy.

– Jeśli chcesz, to możesz to sobie wziąć – zaproponowałam.

– Nie, no co ty, przecież to musiało kosztować sporo dewiz.

– Pewnie tak, ale ja tego nie używam, więc szkoda, żeby leżało w szafie i pokrywało się kurzem.

– Naprawdę dajesz mi to wszystko? – upewniła się Hania i aż zapiszczała z radości.

Kiedy po jej wyjściu przygotowywałam się do snu, zobaczyłam, że na stole leży egzemplarz książki, którą czytała. Bardziej z nudy, niż ciekawości wzięłam ją do łóżka i zaczęłam czytać. Pamiętałam, że jakiś czas temu przeczytałam *Złego*, powieść, od której zaczęła się kariera Tyrmanda, i książka nie przypadła mi do gustu. Pewnie dlatego, że nie przepadałam za literaturą kryminalną. Z kolei ciocia była *Złym* zachwycona i podkreślała, że jej egzemplarz ma autograf i osobistą dedykację autora.

20 listopada 1967, poniedziałek

Idąc rano do szkoły, miałam nadzieję spotkać po drodze Hanię, ale widocznie musiała wyjść z domu wcześniej, bo zobaczyłam ją dopiero w klasie.

– Cześć, wychodząc w piątek, zapomniałaś zabrać Tyrmanda – powiedziałam i wyjęłam z torby książkę, którą pochłonęłam w pół sobotniej nocy i jedno niedzielne popołudnie.

– No tak, nawet miałam do ciebie wpaść w niedzielę, ale pomyślałam, że będziesz dobrą koleżanką i mi ją przyniesiesz.

– A co to ma znaczyć? – usłyszałyśmy nagle za sobą oburzony głos polonisty.

– Nic takiego, oddaję koleżance książkę – odpowiedziałam, pokazując nauczycielowi trzymaną w dłoniach powieść. Mężczyzna najpierw pobladł, później poczerwieniał, a po chwili znowu krew odpłynęła mu z twarzy.

– Czy nie wiecie, że grafomania tego człowieka jest w naszym kraju zakazana? – wysyczał, patrząc z obrzydzeniem na okładkę książki.

– Ja wcale nie uważam, aby proza pana Tyrmanda była grafomanią – odpowiedziała spokojnie Hania, odbierając ode mnie książkę i chowając do swojej torby.

– Czyli uważasz, że obrażanie elit socjalistycznej inteligencji i mieszanie z błotem ludzi zasłużonych dla naszej ludowej kultury zasługuje na miano prawdziwej prozy?

– Panie profesorze, jeszcze nie przeczytałam całej powieści, ale jak dotąd widzę w niej wyłącznie niezwykle trafnie opisane postawy ludzi, którzy czasami własną wygodę stawiali ponad swoje przekonania. – Opinia Hani była moim zdaniem słuszna, ale polonista miał na ten temat inne zdanie.

– Obie natychmiast do dyrektora – rozkazał i nie czekając na naszą reakcję, ruszył do drzwi. Uczniowie, którzy jeszcze przed chwilą z uwagą obserwowali całe zajście, nagle stracili zainteresowanie i pokornie usiedli do ławek.

– Czy nie wyraziłem się jasno? – usłyszałyśmy od drzwi ponaglenie nauczyciela. Posłusznie ruszyłyśmy w jego kierunku.

– Masz za swoje, ty wredna Żydówko – wysyczała Krysia, gdy mijaliśmy jej ławkę.

Dyrektor rozmawiał właśnie przez telefon i gestem poprosił, abyśmy poczekali w sekretariacie.

– Co się stało, panie profesorze? – zapytała mimochodem sekretarka, lustrując mnie i Hanię zdziwionym spojrzeniem.

– Szkoda mówić, pani Tereso, szkoda mówić – odparł mężczyzna, jednak nie rozwinął swojej myśli.

– Zapraszam – powiedział dyrektor, stając w otwartych drzwiach. Polonista wszedł pierwszy, a my za nim.

– Słucham, panie Edwardzie, co się stało? – spojrzał pytająco na nauczyciela, a następnie przeniósł wzrok na mnie i Hanię.

– Panie dyrektorze – zaczął polonista, głęboko nabierając powietrza – przyłapałem te uczennice, jak podczas lekcji wymieniały się zakazaną literaturą.

– Przepraszam, ale to było jeszcze w trakcie przerwy – wtrąciła Hania.

– Nowik, bądź tak miła i nie przeszkadzaj, gdy nauczyciel mówi – odezwał się dyrektor, piorunując Hanię wzrokiem.

– No więc, jaka to była literatura? – zwrócił się do polonisty.

– Pokaż panu dyrektorowi, co za świństwa przynosicie do szkoły – polecił nauczyciel. Hania wyjęła książkę z torby, podeszła do biurka i położyła ją na blacie.

– No, no – mruknął dyrektor, spoglądając to na powieść, to na Hanię.

– Czy zdajecie sobie sprawę, że Tyrmand nie tylko wybrał burżuazyjne życie na Zachodzie, ale jeszcze teraz opluwa kraj, któremu wszystko zawdzięcza? – pytanie dyrektora sprawiło, że teraz to Hania poczerwieniała.

– Panie dyrektorze, a może Tyrmand nie kala swojego gniazda, tylko odkrywa prawdę o nim?

– Nawet jeśli jest tak, jak sądzisz, to ta jego prawda ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Wygląda to trochę tak, jakby patrzył na Polskę i Polaków przez przymknięte powieki.

– A mnie się wydaje, że po wielu latach oczy mu się właśnie otworzyły. Przecież w czasie wojny pisywał felietony propagandowe do sowieckich gazet, po wojnie miał możliwość pozostania na emigracji, a jednak wrócił...

– Skąd tak dużo wiesz o Tyrmandzie? – zapytał dyrektor, nie pozwalając Hani dokończyć, tego, co miała do powiedzenia.

– Jakiś czas temu słuchałam wywiadu, jakiego udzielił radiu Wolna Europa – wyznała Hania, czym wprowadziła w osłupienie obu mężczyzn.

– Dobrze, myślę, że powinniśmy skończyć tę rozmowę – oznajmił dyrektor, podnosząc się z fotela.

– A konsekwencje? – niemal krzyknął polonista.

– Panie Edwardzie teraz udzielam dziewczętom oficjalnego upomnienia, ale jeśli sytuacja się powtórzy, podejmę bardziej stanowcze kroki – ostrzegł, oddając Hani książkę. Kiedy wychodziłyśmy, kątem oka dostrzegłam, że dyrektor wskazał mnie poloniście i coś do niego cicho powiedział. Zrozumiałam wtedy, że tylko ze względu na mnie zostałyśmy tak łagodnie potraktowane.

21 listopada 1967, wtorek

Coś czuję, że moja przygoda z zajęciami tanecznymi skończy się tak szybko, jak się zaczęła. Trochę szkoda, bo przyzwyczaiałam się już do roli instruktorki. Wszystko przez Jurka, który po skończonych zajęciach, gdy zostaliśmy sami, próbował mnie pocałować. Najpierw się zdziwiłam, a w następnej chwili dotarło do mnie, że chłopak źle zrozumiał pewne moje gesty. Fakt, że pozwalałam, aby przychodził po mnie do domu i odprowadzał po zajęciach, uznał za przyzwolenie na nawiązanie bliższej relacji, o której ja nawet nie myślałam.

– Przepraszam, ale sądziłem, że zaczyna coś między nami kiełkować – bąknął speszony. W pierwszej chwili miałam ochotę wybuchnąć śmiechem, ponieważ wyrażenie kiełkować bardzo często pojawiało się w opowieściach ciotki, dotyczących jej działki, na którą od wiosny do późnej jesieni jeździła regularnie.

– Jurek, bardzo cię lubię – zapewniłam – ale o niczym więcej nie może być mowy – dodałam stanowczo.

Kiedy po przyjściu do domu opowiedziałam o wszystkim Hani, ta tylko się uśmiechnęła.

– Oj, Anka, Anka, powinnaś wyluzować i korzystać z życia. Nie mówię, że Jurek to odpowiedni kandydat na chłopaka, bo wiele słyszałam o jego podbojach, ale wokół jest tylu innych fajnych facetów. Po prostu daj sobie szansę i pozwól, aby miłość zapukała do twojego serca – poradziła.

– Może kiedyś, ale nie teraz, gdy mam na głowie maturę, Zosię i chorą ciotkę – odparłam.

– Moja babcia zawsze powtarza: „Jak się komuś nie chce, to gorzej, jakby nie mógł” – podsumowała Hania i zmieniając temat, zaczęła opowiadać swoje wrażenia po przeczytaniu powieści Tyrmanda.

Próbowałam skupić się na tym, co mówiła, ale jednocześnie zastanawiałam się, co miało znaczyć przytoczone przez Hanię

powiedzenie. Przecież to nie było tak, że nie chciałam się zakochać, tylko dotychczasowe doświadczenia w tej materii jasno wskazywały, że nie mam powodzenia. W Warszawie mimo liczego grona znajomych, wśród których przeważali chłopcy, nie wzbudzałam szczególnego zainteresowania. Natomiast ci, którzy chcieli zawrzeć bliższą znajomość, nie wiedząc czemu, szybko się wycofywali. Gdy Hania już poszła, weszłam do łazienki i spojrzałam w lustro. Zobaczyłam owalną twarz o niebieskich oczach, pełnych ustach z lekko wywiniętą dolną wargą i wysokim czołem, przesłoniętym jasną grzywką. Z pewnością nie była to twarz gwiazdy filmowej, a raczej przeciętnej dziewczyny.

22 listopada 1967, środa

Dzisiaj po przyjściu ze szkoły zatelefonowała ciocia. Umówiliśmy się jeszcze przed wyjazdem, że będzie dzwoniła w każdą środę. Musiałam jej powiedzieć o tym, co stało się w szkole. Wolałam, aby o zajściu z polonistą dowiedziała się ode mnie, a nie od sekretarki.

– Ja wiedziałam, że z tą Hanią to będą problemy, ale ty się uparłaś i teraz proszę – są tego efekty.

– Ciociu, niepotrzebnie się denerwujesz. Pan dyrektor tylko nas upomniął – wtrąciłam, gdy ciocia przerwała dla nabrania powietrza.

– Upomniął, bo po pierwsze wie, że jesteś moją bratanicą, a po drugie jeszcze szanuje pamięć o twoim ojcu. Gdyby nie to, już dawno musiałybyście szukać dla siebie nowych szkół – ciągnęła z przekonaniem. Szczerze wątpiłam, czy mogłyby czekać nas aż tak poważne konsekwencje. Jednak biorąc pod uwagę to, co spotkało uczniów, którzy urządzili Gomułce i Cyrankiewiczowi karuzelę, wszystko było możliwe. Dlatego nie polemizowałam z ciotką na ten temat, tym bardziej że była inna, znacznie ważniejsza sprawa, o której musiałam z nią porozmawiać.

– Ciociu, czy mogłabym w sobotę pojechać z Zosią do babci Ireny? – poprosiłam, choć zdawałam sobie doskonale sprawę, jak niewielkie są szanse na to, że ciocia się zgodzi.

– Anno, nie sądzisz, że kilkugodzinna podróż pociągiem z małym dzieckiem pod koniec listopada to nie jest najlepszy pomysł? – spokojny ton ciotki, którym wyraziła swoje obawy, jakoś do niej nie pasował. Nie wiedziałam tylko dlaczego zamiast stanowczego zakazu, próbowała racjonalnymi argumentami odwieść mnie od tego pomysłu.

– Oczywiście zrobisz, jak zechcesz, bo Irena ma prawo poznać Zosię, ale zastanów się, czy nie lepiej przełożyć wyjazd na wiosnę lub lato? Wtedy będzie cieplej, a i sama Zosia trochę podrośnie. – W propozycji ciotki było sporo sensu, ale biorąc pod uwagę kruchość i niepewność ludzkiego życia, uznałam, że pewnych rzeczy nie warto odkładać na później. Do Warszawy nie zamierzałam jechać sama, ale z Hanią, która chętnie zgodziła się mi towarzyszyć i pomagać przy Zosi, ale o tym wołałam cioci nie mówić.

– Zobaczę, jaką zapowiadają pogodę, i wtedy podejmę decyzję – powiedziałam, aby nieco uspokoić ciotkę.

25 listopada 1967, sobota

Hania, Zosia i ja pojechałyśmy jednak do Warszawy. Co prawda, kiedy rano szliśmy na dworzec, prószył drobny śnieg, ale gdy pociąg minął Tczew i zbliżał się do Malborka, przestało padać, a zza chmur wyjrzało słońce.

– Musimy tu kiedyś przyjechać – odezwała się Hania, wskazując na górujący nad miastem zamek. Oderwałam wzrok od czytanej właśnie książki i spojrzałam na monumentalną budowlę.

– Byłam tam z rodzicami podczas ubiegłorocznych wakacji, ale wtedy jeszcze prowadzono na zamku prace remontowe – odparłam, przypominając sobie ostatnie wspólne wakacje. Jak zwykle spędzałam je

z mamą u cioci, ale tato przyjeżdżał na każdą sobotę i niedzielę. Pojechaliśmy wtedy do Kołobrzegu, gdzie kąpaliśmy się w morzu, pływaliśmy rybackimi kutrami, a z latarni portowej podziwialiśmy okolicę. Jeszcze teraz pamiętam zachwyt ojca nad tempem, w jakim powstawały nowe sanatoria i ośrodki wypoczynkowe. Innym razem, pojechaliśmy na Hel i do Łeby, słynącej z ruchomych wydm. Natomiast którejs soboty wybraliśmy się na całodzienne zwiedzanie zamków krzyżackich. Odwiedziliśmy wtedy Malbork, Sztum, Kwidzyn i ruiny zamku w Prabutach.

Babcia Irena, uprzedzona o naszym przyjeździe, czekała na dworcu, skąd znajomy taksówkarz zawiózł nas do jej mieszkania.

– O, jaka ty jesteś śliczna i podobna do Krysi – zachwycała się babcia, patrząc na Zosię z rozczuleniem.

Ta natomiast jakby nigdy nic ssała smoczek. Do tej pory sądziłam, że małe dzieci boją się nieznanym, ale Zosia była zaprzeczeniem tej teorii. Absolutnie nikogo się nie bała. Na jednych patrzyła z zainteresowaniem, na innych z obojętnością, ale nigdy nie zdarzyło się, aby na czyjś widok płakała. Słuchając babcinych zachwytów, zastanawiałam się, czy Zosia rzeczywiście jest podobna do mamy. Ciocia Celina uważała, że usta, nos i oczy ma takie same jak tato. Ja natomiast nie dostrzegałam w Zosi podobieństwa do żadnego z rodziców. Byłam przekonana, że przypomina mnie. Czasem nawet wyjmowałam z albumu swoje zdjęcia z dzieciństwa i porównywałam je z Zosią.

– Anno, w ten sposób nie możesz doszukiwać się podobieństw, bo wszystkie małe dzieci są do siebie podobne – przekonywała ciocia.

Gdy wypiliśmy obowiązkową kawę i zjadłyśmy po pączku od Bliklego, którym Hania była zachwycona, wyrwałyśmy się na miasto. Chciałam pokazać Hani, gdzie kiedyś mieszkałam i do której chodziłam szkoły.

Jednak największe wrażenie zrobiła na koleżance wizyta w Pałacu Kultury i Nauki i wjazd na ostatnie piętro, z którego można było podziwiać całą Warszawę.

– Wiesz, pewnie się dziwisz, że tak reaguję, ale ja w Warszawie byłam tylko raz i to przejazdem w drodze do Krakowa – wyznała Hania, kiedy przechadzałyśmy się po centralnym domu towarowym. Jej ekscytację traktowałam jak coś naturalnego, bo sama, gdy sześć lat temu, zamieszkaliśmy w Warszawie, zachowywałam się identycznie. Jednak w dociekliwych spojrzeniach, którymi koleżanka omiatała mijane stoiska handlowe, dostrzegłam coś więcej, niż zaciekawienie. Hania sprawiała wrażenie, jakby kogoś lub czegoś szukała. Już miałam zapytać o powód jej dziwnego zachowania, kiedy Hania sama go ujawniła.

– Pewnie zastanawia cię moje zachowanie – zaczęła speszona – ale próbuję wyobrazić sobie, którądy Zły gonił Filipa Marynosa – dokończyła, przystając obok ruchomych schodów.

– Co takiego? – spojrzałam na nią zdziwiona.

– No w *Złym Tyrmanda* jest scena, w której Zły ściga Filipa Merynosa po centralnym domu towarowym – wyjaśniła Hania.

– No tak – potwierdziłam, przypominając sobie powieść – ale Tyrmand pisał książkę w połowie lat pięćdziesiątych, a teraz mamy rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy i to miejsce – zatoczyłam dłonią szeroki krąg – wygląda zupełnie inaczej – oznajmiłam.

– Pewnie tak – przyznała mi rację Hania.

Kiedy wróciliśmy do babci Ireny, Zosia leżała na grubym kocu, rozłożonym na podłodze, i wesoło gaworzyła. Jej melodyjne ga-ga, ma-ma-ma, ugh-ugh wypełniały mieszkanie.

– Szkoda, że już odjeżdżacie – zmartwiła się babcia, kiedy czekałyśmy na przyjazd znajomego taksówkarza, który miał nas odwieźć na dworzec. –

Aniu, czy mogę mieć do ciebie małą prośbę? – zapytała babcia w pewnej chwili.

– Jeśli będę umiała ją spełnić, to tak – odparłam ostrożnie, nie wiedząc, co to za prośba.

– Na pewno będziesz mogła – zapewniła. – Widzisz, chciałabym, abyś przekazała Bolesławowi list – wyjaśniła i podała mi białą zaklejoną kopertę. Prośba babci, choć dość dziwna, była w zasięgu moich możliwości. Wystarczyło jedynie pojechać do szpitala. Poza tym zyskiwałam pretekst, aby zamienić kilka słów z mężczyzną, który był pierwszym mężem i miłością mojej mamy.

28 listopada 1967, wtorek

Dziś jeszcze przed zajęciami postanowiłam rozmówić się z Jurkiem. Początkowo zamierzałam zrezygnować z bycia jego pomocą, argumentując swoją decyzję ostatnimi wydarzeniami. Jednak to Jurek zaskoczył mnie informacją o zawieszeniu zajęć.

– Ale dlaczego będą zawieszane? – zapytałam i z wrażenia aż przysiadłam na krześle.

– Dwie pary zostały zmuszone do rezygnacji z udziału w zajęciach – oznajmił, siadając obok.

– Jak to zostały zmuszone? – nie potrafiłam uwierzyć w to, co właśnie usłyszałam.

– Piotrek i Wojtek zostali powołani do wojska, a ich partnerki, podobnie jak ty, mają problem ze znalezieniem kogoś chętnego.

– Jak to zostali powołani do wojska? – spytałam, nie rozumiejąc, o czym Jurek mówi.

– Anka, to ty nie słyszałaś, że dwudziestego pierwszego listopada sejm przyjął ustawę o obowiązkowej służbie wojskowej?

– Nie, a skąd miałam słyszeć? – wzruszyłam ramionami. Chociaż ciocia miała telewizor, to bardzo rzadko go oglądałam. Czasami pani Jadzia wpadała obejrzeć wiadomości i z późniejszych jej relacji wiedziałam, o czym mówiono. Jednak w ostatnich dniach sąsiadka nie wspominała nic o żadnej obowiązkowej służbie wojskowej. Sporo mówiła za to o rozpoczęciu produkcji nowoczesnego samochodu na licencji włoskiego Fiata.

– No tak, was kobiet do woja nie biorą, więc nie interesujecie się takimi sprawami. Ja z kolei jestem już za stary, ale wszyscy młodzieńcy muszą od teraz na dwa lata, jak to się mówi, iść w kamasze, aby bronić naszej kochanej ojczyzny przed wrogami ustroju socjalistycznego – ironizował Jurek, nie zwracając w ogóle uwagi, że w sąsiednim pomieszczeniu przebywała kierowniczka domu kultury i mogła o jego drwinach donieść, gdzie trzeba. Słyszając o zawieszeniu zajęć, nie wspomniałam o tym, że sama chciałam zrezygnować. Tym bardziej że i w Jurku zaszła pewna zmiana. Przestał okazywać mi nadmierne zainteresowanie, tak jakby zrozumiał, że wcześniej źle zinterpretował moje gesty.

30 listopada 1967, czwartek

Od kilku dni próbowałam umówić się z doktorem Piechockim na spotkanie, ale zawsze coś stawało mi na przeszkodzie. Kiedy zadzwoniłam do szpitala we wtorek, powiedziano, że jest zajęty. Z kolei, gdy wczoraj po szkole pojechałyśmy tam z Hanią, oznajmiono nam, że nie ma go już w pracy. Zastanawiałam się nawet, czy nie zostawić listu, ale podświadomie czułam potrzebę rozmowy z człowiekiem, który, gdyby wszystko potoczyło się inaczej, byłby moim ojcem.

– Muszą panie przyjść przed południem – poradziła pielęgniarka.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić – pomyślałam, wychodząc ze szpitala.

- I co zrobisz? – zapytała Hania.
- Nie mam pojęcia. – Wzruszyłam ramionami. – Może spróbuję w sobotę – dodałam.
- A dlaczego nie jutro?
- Bo jutro mamy szkołę – przypomniałam.
- Szkoła nie zając, nie ucieknie – odparła Hania konspiracyjnym szeptem.
- O nie, na żadne wagary mnie nie namówisz – zastrzegłam, domyślając się, co Hania ma na myśli.
- Od razu wagary. Po prostu spóźnimy się godzinkę lub dwie do szkoły. Uwierz, nikt nawet tego nie zauważy – zapewniła.
- A jak nas ktoś spotka i doniesie?
- Przed południem wszyscy uczniowie i nauczyciele są w szkole, więc ryzyko jest znikome, a uwierz mi, że wiem, co mówię – słowa Hani uzmysłowiły mi, że jej częste spóźnienia do szkoły, argumentowane sytuacją rodzinną, były tak naprawdę wagarami.
- Słuchaj, gdybyśmy wcale nie przyszły do budy, to mogłaby być afera, ale spóźnienie, nawet kilkugodzinne, wygląda zupełnie inaczej – przekonywała, a ja musiałam przyznać jej rację. – Poza tym nie idziemy na plażę, tylko musimy spełnić prośbę twojej babci.
- Wątpię, aby babcia była zadowolona, gdyby wiedziała, do czego się posuwam – mruknęłam, wsiadając do autobusu, który właśnie przyjechał na przystanek.
- Czasami cel uświęca środki – skwitowała filozoficznie Hania, posyłając mi szelmowski uśmiech.
- Ciocia miała rację, mówiąc, że Hania sprowadzi mnie na złą drogę – pomyślałam, kiedy rozstawaliśmy się przed moją kamienicą.

Zgodnie z ustaleniami dzisiaj rano, zamiast do szkoły, pojechałyśmy z Hanią do szpitala. Tłum pacjentów kłębiący się przed gabinetem doktora Piechockiego wskazywał, że będziemy musiały trochę poczekać. Gdy wreszcie po dwóch godzinach weszłam do gabinetu, nagle opuściła mnie cała odwaga.

– Dzień dobry, pani Anno, czy coś z ciocią? – zapytał lekarz zmęczonym, zatroskanym głosem.

– Nie, z ciocią wszystko w porządku. Jest teraz w Ciechocinku i wraca za kilka dni.

– W takim razie, w czym mogę pani pomóc.

– Panie doktorze, babcia Irena prosiła mnie, abym przekazała panu list. – Mężczyzna nic nie powiedział, tylko w zamyśleniu pokiwał głową.

– Jak ona się czuje? – zapytał dopiero po dłuższej chwili.

– Dobrze, wciąż mieszka w Warszawie. Od kilku lat jest już na emeryturze.

– Często ją pani odwiedza?

– Właściwie to dopiero się poznajemy – wyznałam i w kilku zdaniach opowiedziałam o spotkaniu w Warszawie. – Dlaczego nie powiedział mi pan, że znał moich rodziców?

– Podobnie jak twoja babcia, byłem przekonany, że wiesz wszystko – przyznał, obracając w palcach kopertę od babci Ireny. Jadąc do szpitala, miałam w głowie kilka pytań, jakie chciałam zadać temu mężczyźnie, ale siedząc naprzeciw, nie potrafiłam zdobyć się na odwagę zadania choćby jednego.

– To ja już pójdę – bąknęłam, wstając z krzesła.

– To dobry pomysł, zwłaszcza że chyba powinnaś być w szkole – uśmiechnął się lekarz, spoglądając wymownie na zegarek.

– Dzisiaj zaczynam później – skłamałam i obawiając się dekonspirującego mnie rumieńca, ruszyłam do drzwi.

– Pani Anno, Krystyna i Tadeusz byli dobrymi ludźmi. Nie zasłużyli na to, co ich spotkało – usłyszałam za sobą przejęty głos Piechockiego. – Gdybym kiedyś mógł pani jakoś pomóc, to zrobię to z prawdziwą przyjemnością – dodał mężczyzna.

8 grudnia 1967, piątek

Jutro kończę osiemnaście lat. Jeszcze rok temu nie mogłam się doczekać tego dnia, ale teraz, gdy jest on tuż, tuż, nie ma we mnie tej dawnej niecierpliwości i ekscytacji. Może dlatego, że jeśli uważać ten dzień za wejście w dorosłość, to ja mam go już za sobą. Dorosłam w jednej chwili, gdy straciłam rodziców, a na świecie pojawiła się Zosia. Z kolei Hania, która jest ode mnie młodsza o cztery tygodnie, twierdzi, że osiemnastka to taka brama, za którą nic już nie jest takie samo. Ja traktuję wejście w pełnoletność jako formalność. Dostanę dowód osobisty, uzyskam prawo wyborcze, choć według cioci nie ma znaczenia, jak kto głosuje, ale kto i jak głosy liczy.

– Anno, gdyby wybory przeprowadzano uczciwie, to ta cała banda na czele z Wiesławem dostałaby od narodu wilczy bilet – zapewniała ciotka.

Pomijając jednak poglądy cioci, to ukończenie osiemnastu lat nie wywoła w moim świecie przewrotu Kopernikańskiego.

10 grudnia 1967, niedziela

No więc mam już osiemnaście lat, a wczoraj po raz pierwszy w życiu wypiliśmy więcej niż przysłowiowy kieliszek wina, na który od ukończenia lat szesnastu pozwalali mi rodzice. Oczywiście zawsze wiązało się to z jakąś uroczystością. Wczoraj też była okazja i to nie była jaka, jak

zauważyła Hania, wyjmując z plecaka kilka butelek średniej jakości wina. Prywatkę za zgodą ciotki mogłam zorganizować w mieszkaniu.

– Anno, tylko bardzo cię proszę, aby twoi znajomi nie zarzygali mi parkietu – ostrzegła ciotka, a słownictwo, jakiego użyła, zwyczajnie mnie zamurowało.

– Dlaczego nic nie mówisz? – zapytała ciotka. – Przecież wyraziłam się jasno i specjalnie użyłam terminologii, która dotrze nawet do licealistów – dodała.

– Ciociu, postaramy się być bardzo cicho i nie zrujnujemy parkietów – zapewniłam.

Zosia na tę jedną noc została u pani Jadzi, tak więc mieliśmy całe mieszkanie dla siebie. Prócz Hani przyszedł Jurek, Karol z Sarą, Piotrek z Magdą oraz Wojtek i Bogusia. Wszyscy prócz Hani uczestniczyli w zajęciach tanecznych, które od początku grudnia zostały zawieszane. Moja osiemnastka była dla Piotrka i Wojtka okazją do pożegnania się. Za kilka dni chłopcy mieli wyjechać do wojska. Wojtka skierowano do jednostki w Orzyszu, a Piotrek miał trafić do Świnoujścia. Kiedy wszyscy wyjęli z toreb i plecaków przyniesione wina, byłam przerażona ich ilością.

– Czy my otwieramy sklep monopolowy? – zapytałam, tocząc spojrzeniem po uśmiechniętych twarzach moich gości.

– Ty się módl, żeby nie zabrakło – ostrzegł Karol, intonując sto lat. Reszta grupy poszła w jego ślady, a po chwili poczułam, jak silne męskie ramiona unoszą mnie w górę i zaczynają podrzucać. Choć piszczałam z przerażenia, to nikt nic sobie z tego nie robił.

– No chłopcy, wyżej, wyżej! – docierały do mnie zachęcające okrzyki dziewcząt. Dopiero gdy osiemnaście razy znalazłam się niebezpiecznie blisko kryształowego żyrandola, zostałam postawiona na podłodze. Jednak nogi tak mi się trzęsły, że musiałam na chwilę usiąść. Jurek, pełniący

funkcję wodzireja rozstawił gramofon i głośniki. Karol, który oświadczył, że będzie podczaszym, chętnie i z zaangażowaniem przystąpił do napełniania kieliszków. Z głośników rozbrzmiewały piosenki Piotra Szczepanika, Czerwonych Gitar, Niebiesko-Czarnych i Czesława Niemena. Zgodnie z obietnicą daną cioci staraliśmy się zachowywać cicho. Tańczyliśmy niewiele i najczęściej wolne nastrojowe kawałki. Za to sporo piliśmy i około północy sprawdził się czarny scenariusz przepowiadany przez Karola, wszystkie butelki były puste.

– Spokojnie, spokojnie, jako podczaszycy zaraz przyniosę nową dostawę trunków – zapowiedział Karol i nim zdążyłam go powstrzymać, włożył płaszcz i wyszedł z mieszkania.

– Gdzie ten wariat poszedł? – zagadnęłam Sarę – przecież wszystkie sklepy i knajpy są już zamknięte.

– Spokojnie, Aniu, Karolek zna miejsca, w których przez całą dobę można kupić butelkę tego i owego – odparła dziewczyna wesolutkim głosem.

Rzeczywiście pół godziny później wrócił Karol i postawił na stole trzy butelki wina. Na szczęście to były trzy ostatnie butelki. Kiedy około czwartej nad ranem towarzystwo rozeszło się do domów, musiałam przez kolejną godzinę wietrzyć mieszkanie, w którym papierosowy dym przypominał gęstą mgłę. Wbrew obawom cioci parkiet nie został zniszczony, nie licząc kilku plam po winie i kawie.

Kiedy wreszcie położyłam się do łóżka, było kilka minut po piątej. Jednak nawet we śnie wciąż słyszałam aksamitny głos Szczepanika, śpiewającego o tangu na zabawie podmiejskiej, widziałam Karola i Sarę, wirujących, zatraconych w tańcu, aż w końcu przyszedł sen. Kiedy się obudziłam, przez okna wpadały do pokoju ostre słoneczne promienie, a zegar na nocnej szafce wskazywał kilka minut po południu. O minionej

imprezie przypominał tępy ból głowy i kilkanaście butelek ustawionych na stole zastawionym brudnymi talerzami, kieliszkami i szklankami.

Mimo bólu głowy zabrałam się za sprzątanie. Kiedy uprzątnęłam butelki i pozносиłam do kuchni brudne naczynia, ktoś zadzwonił do drzwi. Poszłam otworzyć i na progu zobaczyłam Hanię.

– Przyszłam ci pomóc ogarnąć ten cały bałagan – oznajmiła, wchodząc do mieszkania.

– Nie jest aż tak źle – uspokoiliam ją, wracając do kuchni.

– Mówisz o sobie czy wyglądzie mieszkania? – zachichotała przyjaciółka.

– O jednym i drugim.

– Pozwól, że przez grzeczność i dobre wychowanie nie zaprzeczę – odpowiedziała i zabrała się za zmywanie naczyń. Dopiero po dwóch godzinach w mieszkaniu zapanował względny porządek, jednak smród papierosów wciąż unosił się w powietrzu.

– Musisz wyprać firany i zasłony – poradziła Hania – bo to one absorbują zapachy, a później je uwalniają – wyjaśniła tonem kogoś, kto zna się na sprzątanii.

13 grudnia 1967, środa

Dziś ciocia wróciła z sanatorium. Już pierwsze spojrzenie wystarczyło, abym stwierdziła, że wygląda o kilka lat młodziej. Jednak jej charakter pozostał taki sam. Przez pierwszą godzinę chodziła po mieszkaniu, sprawdzając, czy aby wszystko jest w porządku.

– No, Anno jestem mile zaskoczona. Mieszkanie posprzątane, a nawet wyprałaś firanki i zasłony. – Pochwała cioci sprawiła, że w duchu podziękowałam Hani za dobrą radę.

– Jak było w tym sanatorium? – zapytałam, stawiając na stole herbatę i ciasto drożdżowe od pani Jadzi.

– A jak miało być? – Wzruszyła ramionami ciocia. – Żadnych obowiązków, nie licząc ćwiczeń, wszystko podane pod nos. Jednym słowem nuda, nuda i jeszcze raz nuda – podsumowała.

– Dziwne, ale podczas rozmów telefonicznych nie narzekała na brak zajęć – pomyślałam, przypominając sobie nasze środowe rozmowy, podczas których odnosiłam wrażenie, że ciocia ciągle gdzieś się śpieszyła, ale postanowiłam nie drążyć tego tematu. Tym bardziej że i sama ciocia nie wspominała więcej o pobycie w Ciechocinku.

22 grudnia 1967, piątek

Za dwa dni Wigilia, wokół pełno śniegu, miasto przystrojone świątecznymi ozdobami, w radio rozbrzmiewa *Z kopyta kulig rwie*, a ja wcale nie czuję tej świątecznej atmosfery. Gdy rodzice żyli, zawsze zasiadaliśmy do świątecznej kolacji. Ojciec nigdy nie nazywał jej Wigilią, tylko świąteczną kolacją. Oczywiście o pójściu na pasterkę nie było mowy, ale czasami podczas tej świątecznej kolacji zdarzyło się nawet, że mama zaintonowała jakąś kolędę. W tym roku ciocia przyjęła zaproszenie od pani Jadzi i mamy u niej spędzić ten wieczór. Całe dzisiejsze popołudnie spędziłam na poszukiwaniach prezentu dla cioci i sąsiadki. Z panią Jadzią nie było kłopotu, kupiłam jej obrus z zimowym motywem. Jednak cioci taki prezent nie przypadłby do gustu. Hania, która pomagała mi w poszukiwaniach, podsunęła pomysł z torebką. Początkowo byłam sceptycznie nastawiona, ale kiedy w jednym ze sklepów zobaczyłam komplet składający się z torebki i rękawiczek, tak mi się spodobał, że choć znacznie przekraczał sumę przeznaczoną na prezenty, kupiłam go bez zastanowienia.

28 grudnia 1967, czwartek

Dzisiaj przy śniadaniu ciocia oświadczyła, że musimy ochrzcić Zosię. Jej propozycja tak mnie zaskoczyła, że aż zakrztusiłam się herbatą. Ciocia,

która ignorowała nawet najważniejsze święta kościelne, nagle mówi o chrzcie.

– Ciociu, a dlaczego chcesz ją ochrzcić?

– Bo wszyscy są ochrzczeni. Nawet twój ojciec, choć uważał się za ateistę, był ochrzczony, przyjął pierwszą komunię świętą, a nawet przystąpił do bierzmowania. Dopiero później, zamiast Boga zaczął czcić Lenina, Stalina i innych komunistycznych diabłów.

– A ty?

– Co ja? – zdziwiła się ciocia.

– Czy przyjęłaś wszystkie te sakramenty?

– Oczywiście, że tak. Wtedy było to coś normalnego.

– Ale ja nie byłam u pierwszej komunii świętej – przypomniałam.

– Nie byłaś, bo rodzice uznali, że chrzest w zupełności ci wystarczy. Dlatego Zosię też trzeba ochrzcić – zdecydowała ciocia. – Zaraz po nowym roku zacznę się rozglądać za odpowiednim księdzem – dodała, dolewając sobie herbaty do filiżanki.

30 grudnia 1967, sobota

Jutro ostatni dzień roku. Wybieram się na imprezę sylwestrową do Hani, połączoną z jej osiemnastymi urodzinami. Kiedy zapytałam ciocię, czy mogę pójść, ta spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Anno, przecież masz już osiemnaście lat i o nic nie musisz mnie pytać. Możesz iść na imprezę, a nawet wyjść za mąż.

– Tego drugiego nie planuję – odparłam z uśmiechem i już myślami byłam w swojej szafie.

– A szkoda, szkoda – westchnęła ciocia.

Pierwszą część imprezy Hania zaplanowała u siebie w domu, a godzinę lub dwie przed północą całą paczką mieliśmy wyruszyć w miasto i nowy rok przywitać na molo. Musiałam więc odpowiednio dobrać strój. Po

namyśle zdecydowałam, że na domową część imprezy włożę czarną sukienkę przed kolana, wyszywaną cekinami, a potem, gdy pójdziemy na molo, zamienię ją na jeansy z rozszerzanymi nogawkami.

1 stycznia 1968, poniedziałek

To miał być wesoły sylwester, połączony z urodzinami Hani. Początkowo nic nie zapowiadało tego, co zdarzyło się tuż po północy. U Hani zjawiłam się około szóstej. Karol i Sara byli już na miejscu. Po chwili dołączył do nas Krzysiek, którego Hania przedstawiła jako swojego chłopaka, a ostatni przyszedł Jurek. Gdy wszystkie przyniesione przez nas butelki znalazły się już na stole, przypomniałam sobie swoje urodziny. Jednak teraz, ponieważ było tylko trzech chłopaków, zrezygnowano z tradycyjnego podrzucania jubilatki. Impreza była kameralna, a Jurek niejako automatycznie stał się moim partnerem do tańca. Korzystając więc z okazji, zapytałam go, czy pójdzie ze mną na studniówkę, a on zgodził się bez namysłu.

Atmosfera radości z nadchodzącego nowego roku udzieliła się wszystkim. Z głośników płynęły szybkie rytmy, a liczba pustych butelek zaczęła przewyższać te pełne. Kiedy godzinę przed północą, zaopatrzeni w trzy radzieckie szampany wyruszyliśmy w miasto, śmialiśmy się jak dzieci i zachowywaliśmy się jak dzieci. Karol z Sarą wpadli na pomysł ulepienia bałwana. Ukryliśmy więc szampany w śniegu i zabraliśmy się do pracy. Po kwadransie wysoki na dwa metry śnieżny stwór stanął na jednym ze skwerów. Na molo dotarliśmy kwadrans przed dwunastą. Tłumy, jakie tam zobaczyliśmy, wskazywały, że nie my jedni wpadliśmy na pomysł, aby nowy rok przywitać w tym miejscu. Na minutę przed północą Jurek z szampanem przygotowanym do wystrzelenia wskoczył na drewnianą balustradę i swoim donośnym głosem zaczął odliczać. Wszyscy zgromadzeni na molo spojrzeli w jego stronę i przyłączyli się do odliczania. Kilku śmiazków podobnie jak on, też wspięło się na drewniane

balustrady. Kiedy wreszcie wybiła północ, niebo rozbłysło tysiącami fajerwerków. Szczególnie efektownie wyglądały te wystrzeliwane z dachu Grand Hotelu. Wszyscy jak na komendę spojrzeliśmy w tamtą stronę. Świetlne kaskady tworzyły na czarnym niebie złote, czerwone, niebieskie i fioletowe fontanny.

– Czy to nie fantastyczne? – zawołałam, odwracając głowę, ale na drewnianej balustradzie, gdzie jeszcze przed chwilą stał Jurek, nikogo nie było. Zdziwiona rozejrzałam się wokół, jednak w pobliżu także go nie dostrzegłam. Jeszcze raz spojrzałam na balustradę i wtedy zwróciłam uwagę na leżącą na deskach pomostu butelkę po szampanie. Pełna złych przeczuć dopadłam do barierki, wychyliłam się i spojrzałam w dół. Po chwili go zobaczyłam. Jurek, machając rozpaczliwie rękami, próbował utrzymać się na powierzchni wody.

– Na pomoc! – wrzasnęłam, podbiegając do Karola i Krzyska. Ci w pierwszej chwili nie zareagowali. Dopiero kiedy powiedziałam, że Jurek wpadł do morza, podbiegli do balustrady. Wszyscy troje zaczęliśmy przeczesywać wzrokiem gładką taflę wody, ale po Jurku nie został żaden ślad.

– Jesteś pewna, że on tam był? – Karol wskazał ciemną zimną toń.

– Widziałam, jak machał rękami, próbując utrzymać się na wodzie – zapewniłam. Po moich słowach Krzysiek bez namysłu zaczął wspinać się na balustradę.

– Zwariowałeś, też chcesz się utopić? – zawołał Karol, łapiąc go za ramiona i ściągając na molo.

– Trzeba go ratować! – krzyknęłam, patrząc na Karola błagalnym wzrokiem. Jego twarz, jeszcze przed chwilą zaczerwieniona i roześmiana, teraz była blada i poważna.

– Jemu już nikt nie pomoże – oświadczył głosem tak zimnym, jak otaczające nas powietrze. – Jedyne, co możemy zrobić, to zgłosić sprawę odpowiednim służbom – dodał, łapiąc mnie za łokieć i prowadząc do wyjścia. Milicjant przyjmujący zgłoszenie o wypadku także uważał, że Jurek utonął.

– Kto to widział, żeby po pijanemu wchodzić na śliską balustradę? – dziwił się, spisując moje zeznania. Już chciałam powiedzieć, że Jurek nie był aż tak pijany, ale zdałam sobie sprawę, że to i tak niczego nie zmieni.

3 stycznia 1968, środa

Dzisiaj rano odnaleziono na plaży ciało Jurka. Chociaż byłam przygotowana na taką wiadomość, poczułam łzy zbierające się pod powiekami. Znałam go zaledwie kilka miesięcy i nic nas ze sobą nie łączyło prócz tańca, ale i tak jest mi źle. W pewnym sensie obwiniam siebie za ten wypadek. Gdybym powstrzymała go przed wejściem na balustradę, to wciąż by żył.

9 stycznia 1968, wtorek

Wczoraj odbył się pogrzeb Jurka. Uroczystość zgromadziła kilkanaście osób. Jakież było moje zdziwienie, kiedy okazało się, że Jurek był rozwiedziony i miał kilkuletniego syna. Nikt z naszej paczki o tym nie wiedział. Wracając po pogrzebie do domu, uświadomiłam sobie, jak słabo znałam tego chłopaka. Był doskonałym tancerzem, miał wesołe, a czasami nawet szalone usposobienie, które niestety go zgubiło, lubił flirtować, ale o jego życiu prywatnym jakoś nigdy nie rozmawialiśmy. On wiedział o mnie prawie wszystko, a ja o nim tak naprawdę nic.

20 stycznia 1968, sobota

Ciocia dopięła swego i ochrzciła Zosię. Moje zdanie, choć byłam jej siostrą, nie miało większego znaczenia. Inna rzecz, że specjalnie się nie sprzeciwiałam. Chrzest pomogła załatwić pani Jadzia, kobieta bardzo wierząca i bogobojna. To ona porozmawiała z księdzem. Pewien problem był ze znalezieniem rodziców chrzestnych, ale i ten kłopot sąsiadka rozwiązała, prosząc, aby rodzicami zostali jacyś jej krewni z Kartuz. Ja nie mogłam, bo nie przyjąłam pierwszej komunii i nie byłam bierzmowana.

26 stycznia 1968, piątek

Nareszcie ferie i dwa tygodnie odpoczynku od szkoły, co nie znaczy, że od nauki, bo do matury zostało zaledwie kilka miesięcy, więc trzeba się ostro wziąć do roboty, jak to mówi nasz polonista. Tym bardziej że przewidywania co do egzaminu z polskiego straciły na aktualności. Jeszcze na początku października, kiedy okazało się, że Teatr Narodowy planuje na listopad premierę *Dziadów*, większość maturzystów obstawiała, że *Dziady* pojawią się też na maturze. Mówili o tym głośno nawet sami poloniści. Jednak reakcja, jaką wywołało przedstawienie, oraz fakt, że kilka dni temu wydano zakaz jego wystawiania, nie pozostawiają złudzeń. *Dziadów* na maturze nie będzie.

28 stycznia 1968, niedziela

Właśnie siedzę w pociągu do Zakopanego. Razem z Karolem, Sarą, Hanią i Krzyśkiem postanowiliśmy pojechać na tydzień w góry. Nawet ciocia była zdania, że kilka dni odpoczynku dobrze mi zrobi. Sądząc po tłumach, jakie zaczęły szturmować pociąg już w Oliwie, podobnego zdania była chyba połowa uczniów z Trójmiasta, bo to oni stanowią większość pasażerów. Fakt, że mamy siedzące miejsca, zawdzięczamy tylko pomysłowości Karola. To on wymyślił, aby pojechać do Gdyni, skąd wyruszał pociąg.

– No to teraz wszyscy po kolei do kibelka – zarządził Karol, kiedy tylko pociąg opuścił Gdynię. Jeśli to miał być żart, to zamiast śmiechu, wywołał konsternację.

– Co się tak na mnie gapicie, jakbym miał ptasią kupę na głowie? Z tym kibelkiem, to na serio. Lepiej idźcie teraz, bo w Gdańsku będzie taki ścisk, że nawet z kibelków zrobią przedziały pasażerskie – ostrzegł. Postanowiliśmy więc zaufać jego doświadczeniu. Jak się okazało, Karol znowu miał rację. W Gdańsku na peronie czekało tylu ludzi, że musiano dołączyć dodatkowe wagony, a i tak na korytarzach panował ścisk. Mimo tłoku, wszystkim, nawet tym, których czekało kilkanaście godzin jazdy na stojąco, dopisywały humory. Coś czuję, że śmiechy, śpiewy i radosne okrzyki nie pozwolą mi zmrużyć oka.

29 stycznia 1968, poniedziałek

Do stolicy Tatr dotarliśmy z trzygodzinnym opóźnieniem. Szczerze współczułam tym, którzy podróżowali na stojąco. Zakopane przywitało nas słońcem, mrozem i grubą warstwą śniegu. Pierwotnie mieliśmy nocować niedaleko dworca. Kwatery załatwił Karol. Jednak po dotarciu na miejsce spotkała nas niemiła niespodzianka. Właścicielka pensjonatu zlustrowała nas przenikliwym spojrzeniem, przyglądając się zwłaszcza Hani i Sarze, po czym oznajmiła, że Żydom pokoi nie wynajmie.

– A w czym pani przeszkadza to, że ktoś ma żydowskie korzenie? – zapytał Karol, z trudem panując nad nerwami.

– Wszystko zło na tym świecie to żydowska sprawka – zaczęła gospodyni i przez kilka minut wygłaszała tyrady, żywcem wyjęte z prasy, radia i telewizji, w których od pewnego czasu trwała nagonka na osoby pochodzenia żydowskiego. – Każdego dnia modłę się do Jezusa i Maryi, aby nas od tego przeklętego narodu uwolnił – zakończyła góralka, robiąc znak krzyża.

– Nie wiem, czy pani ma świadomość, ale Chrystus i jego matka byli Żydami – oznajmił spokojnie Krzysiek. Te słowa wzburzyły kobietę do tego stopnia, że chwyciwszy stojącą przy ścianie łopatę do odgarniania śniegu, ruszyła w naszym kierunku.

– Wynocha mi stąd, bo psem poszczuję! – wrzasnęła. Posłusznie, bez wdawania się w dalszą dyskusję opuściliśmy pensjonat.

– Dobra, trzeba znaleźć jakąś knajpę, zjeść obiad i pomyśleć co dalej – zaproponował Karol, na co wszyscy chętnie przystali. W pierwszym napotkanym barze siedzieli głównie miejscowi.

– Może poszukajmy bardziej turystycznego lokalu – rzuciła Hania, rozglądając się niepewnie po wnętrzu.

– Po co szukać innego, zapraszamy do nas, lepszej kwaśnicy niż tutaj nigdzie nie zjecie! – zawołała stojąca za ladą barmanka.

Siedzący przy stolikach goście spojrzeli w naszą stronę, po czym wrócili do przerwanych rozmów. Nikt nie zwracał uwagi na Sarę i Hanię, co jasno dowodziło, że nie wszyscy mieszkańcy Zakopanego byli antysemitami. Podczas obiadu zaproponowałam, aby zapytać o nocleg gospodarza z Chochołowa, u którego kilka razy rodzice wynajmowali kwatery. Co prawda było to kilkanaście kilometrów od Zakopanego, ale reszcie to nie przeszkadzało. Pan Józef, bo tak miał na imię gospodarz, poznał mnie i bez żadnych problemów wynajął nam pokoje.

30 stycznia 1968, wtorek

Kwaterowanie poza Zakopanem ma swoje plusy i minusy. Do tych drugich trzeba zaliczyć brak rozrywek, którymi można by wypełnić wolny czas. Oczywiście nie mam na myśli górskich wędrówek, bo do tych lokalizacja naszej kwatery jest idealna. Dzisiaj wybraliśmy się do schroniska w Dolinie Chochołowskiej, a stamtąd na szczyt o wdzięcznej nazwie Grześ. Jednak nazwa wbrew pozorom nie nawiązuje do męskiego imienia, ale do

gwarowego góralskiego określenia górskiego grzbietu. Na kwaterę wróciliśmy już po zmroku i po kolacji z braku innych zajęć poszliśmy do swoich pokoi. Obie pary zajęły się sobą, co w moim pokoju było doskonale słyszalne. Gdybyśmy byli w Zakopanem, zamiast słuchać ich miłosnych wyczynów, poszłabym do miasta.

1 lutego 1968, czwartek

Chociaż nasza paczka wydaje się zgrana, to czasami czuję się jak piąte koło u wozu. Przykładem był nasz wczorajszy wypad do Zakopanego, gdzie spędziliśmy pół nocy. Chodziliśmy od lokalu do lokalu. Raz czy dwa trafiliśmy nawet na jakiś dancing. Sara z Karolem i Krzysiek z Hanią tańczyli, a ja siedziałam przy barze lub stoliku. W pewnym momencie podszedł do mnie jakiś nieznajomy i poprosił do tańca. Pomyślałam, że dlaczego nie. Mężczyzna wyglądał na trzydzieści kilka lat. Sądząc po odzieży, wrodzie kolońskiej, jakiej używał, i fakcie, że mówił z obcym akcentem, mógł być Polakiem mieszkającym na Zachodzie. Moje podejrzenia potwierdził, gdy rozmawialiśmy w tańcu. Przyznał, że choć pochodzi z Zakopanego, to od dawna mieszka w Stanach Zjednoczonych. Przez pierwsze dwie piosenki bardzo dobrze się bawiłam, ale gdy Antoni, bo tak mężczyzna miał na imię, zapytał, ile biorę za noc, poczułam się tak, jakby mnie spoliczkował. Bez słowa zesłam z parkietu i wróciłam do stolika.

– Możemy zmienić lokal? – poprosiłam Krzyśka i Hanię, którzy zrobili sobie odpoczynek.

– Anka, czy coś się stało? – zaniepokoiła się Hania, widząc moje zdenerwowanie.

– Nic, po prostu chciałam stąd wyjść – odparłam i nie czekając na pozostałych, ruszyłam do wyjścia. Reszta paczki dogoniła mnie, kiedy

odbierałam z szatni płaszcz. Dopiero gdy wróciliśmy do Chochołowa, opowiedziałam o zajściu z lokalu.

– Trzeba było od razu powiedzieć, to byśmy z Krzychem urządzili facetowi Dziki Zachód w Zakopanem – skomentował Karol.

3 lutego 1968, sobota

Dzisiaj przy śniadaniu dowiedziałam się, że moja ciotka prawdopodobnie ma adoratora. Sensacyjna nowina wyszła od Hani, która zapytała, kim jest mężczyzna, z którym widziała ciotkę w Złotym Ulu, jednym z popularniejszych sopockich lokali.

– Widziałaś moją ciotkę z jakimś mężczyzną w Złotym Ulu? – upewniłam się, nie mogąc uwierzyć w słowa przyjaciółki. Było to o tyle dziwne, że ciotka bardzo rzadko opuszczała mieszkanie, a jeśli już, to na krótko.

– No tak, poszliśmy tam pewnego dnia z Krzyśkiem. Przy jednym ze stolików siedziała twoja ciotka w towarzystwie jakiegoś jegomościa – potwierdziła Hania. – Facet wyglądał bardzo elegancko i muszę przyznać, że tak samo się zachowywał. Kiedy wychodzili, pomógł twojej ciotce włożyć płaszcz, otworzył przed nią drzwi, jednym słowem pełna kultura – dodała z podziwem.

– To mnie zastrzeżiłaś, bo ja o żadnym adoratorze nie wiem – przyznałam.

– Mnie też to zdziwiło, zwłaszcza że dochodziła dopiero jedenasta, a wtedy twoja ciotka powinna zajmować się Zosią.

– Jeśli to rzeczywiście była ona, to musiała podrzucić Zosię do pani Jadzi – wyjaśniłam, bo tylko takie rozwiązanie przychodziło mi do głowy.

– Mówię ci, że to była ona, przecież znam twoją ciotkę – zapewniała Hania. Nie miałam powodu, aby wątpić w jej słowa, ale z drugiej strony

trudno było uwierzyć, aby ciotka, podczas gdy ja byłam w szkole, chodziła na potajemne randki.

5 lutego 1968, poniedziałek

Wróciliśmy do Sopotu i to w luksusowych warunkach. Wszystko dzięki temu, że kwatery u pana Józefa były znacznie tańsze niż te w Zakopanem, zarezerwowane przez Karola. Zaoszczędzone pieniądze wydaliśmy więc na bilety w wagonie sypialnym. Dzięki temu, gdy rano wysiedliśmy na sopockim dworcu, czułam się wypoczęta. Kiedy po dotarciu do mieszkania zobaczyłam Zosię, miałam wrażenie, że siostra urosła, a przecież nie widziałam jej zaledwie kilka dni. Zmiany dostrzegłam też w cioci. Tryskała radością i znacznie częściej żartowała. Korciło mnie, aby zapytać o powód tak wspaniałego nastroju, ale nim zdobyłam się na odwagę, ciocia oświadczyła, że musi wyjść załatwić pewną sprawę i nie będzie jej dwie godziny.

8 lutego 1968, czwartek

Wieczorny telefon Hanki przypomniał mi o jutrzejszej studniówce, ale przywołał także wspomnienia o Jurku. To przecież on miał być moim studniówkowym partnerem. Chociaż przyjaciółka przekonywała, abym nie rezygnowała z balu, ja postanowiłam zostać w domu. Jej telefon miał być ostatnią próbą przekonania mnie do zmiany decyzji. Jednak nawet fakt, że jeden z dalszych kuzynów Hanki wciąż potwierdzał gotowość pójścia ze mną na bal, nie był w stanie nakłonić mnie do zmiany zdania.

13 lutego 1968, wtorek

Gdzieś, kiedyś usłyszałam, że starsi ludzie doświadczają czegoś takiego, jak druga młodość. Nie do końca wierzyłam w takie zjawisko, bo i jak miałyby ono wyglądać? Jednak wypadki ostatnich kilku dni obaliły mój

sceptycyzm. Po pierwsze okazało się, że Hania miała rację, ciocia spotykała się z mężczyzną. O ile Hania odkryła to przez przypadek, to ja obmyśliłam plan, który pomógł mi to potwierdzić. W ubiegły czwartek, gdy przed południem ciocia znowu miała do załatwienia ważną sprawę na mieście, postanowiłam ją śledzić. Oczekałam pięć minut, a następnie poprosiłam panią Jadzię o zajęcie się Zosią przez pół godziny. Przypuszczałam, że tyle czasu wystarczy, aby poznać sekret ciotki. Pamiętając, że Hania spotkała ciotkę w Żłotym Ulu, poszłam w stronę tego lokalu. Po drodze rozglądałam się uważnie, wypatrując cioci. Dostrzegłam ją w chwili, gdy wchodziła do Żłotego Ula w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Z miejsca, w którym stałam, widziałam, że jest trochę wyższy od cioci, a jego gęste, czarne włosy tu i ówdzie już siwiały. Niestety stał do mnie tyłem, więc nie dostrzegłam twarzy. Dopiero kiedy zakradłam się pod okno lokalu, mogłam mu się dokładnie przyjrzeć. Wtedy uświadomiłam sobie, że znam tego człowieka. Nie osobiście, ale kilka razy mijałam go, gdy jesienią wychodziłam z Zosią na spacer. On natomiast spacerował z biszkoptowym labradorem. Nie wiedziałam, gdzie mieszka, jednak skoro nasze drogi się przecinały, musiał żyć w pobliżu. Wracając do mieszkania, nie wiedziałam, co mam o tym wszystkim myśleć. Czy to była wyłącznie luźna znajomość? Czy oni znali się już od dawna i tylko czasami spotykali? Nawet jeśli tak było, to ciocia nigdy nie wspominała o tym mężczyźnie. Ostatecznie uznałam, że nie powinnam ciotki o nic pytać i postanowiłam udawać, że o niczym nie wiem. Dlatego kiedy następnego dnia przy kolacji ciocia powiedziała, że w niedzielę na obiedzie będziemy miały gościa, musiałam udawać zdziwienie.

– Jakiego gościa? – zapytałam, mając nadzieję, że wyglądam na autentycznie zaskoczoną.

– Zaprosiłam pewnego mężczyznę, chciałabym, abyś go poznała.

– Mężczyznę? – Spojrzałam na ciotkę szeroko otwartymi oczami. Rola, którą właśnie odgrywałam, musiała być bardzo przekonująca, bo ciocia spąsowiała.

– Tak, ma na imię Władysław i mieszka niedaleko nas – wyjaśniła, potwierdzając tym samym moje wcześniejsze przypuszczenia.

Przygotowania do niedzielnego obiadu ciocia zaczęła już w piątek. Najpierw wysprzątała całe mieszkanie, a mnie i Zosię wysłała w tym czasie do Hani. Kiedy wróciliśmy po południu, ciocia kończyła właśnie wieszanie firanek. Z kolei w sobotę rano wyszła do fryzjera, a całe popołudnie spędziła w kuchni. Ona, która zawsze mówiła, że gotowanie jest dla niej wyłącznie koniecznym obowiązkiem, nagle z nieukrywaną przyjemnością gotowała rosół, dusiła królika w śmietanie i piekła sernik z przepisu pani Jadzi. Natomiast cały wieczór spędziła na wybieraniu kreacji, co kilka minut prosząc mnie o radę. Ostatecznie zdecydowała się na długą suknię koloru przygaszonego wina, do której założyła perłowy naszyjnik i takie same kolczyki.

– Tylko nie myśl, Anno, że te perły są prawdziwe – wyznała, kiedy przyglądałam się biżuterii. – Ja tam na takie zbytki pieniędzy nie wydaję – dodała, przeglądając się w lustrze. Musiałam przyznać, że mimo swojego wieku wciąż była atrakcyjną kobietą i wyglądała na znacznie mniej lat, niż miała w rzeczywistości.

Pan Władysław zjawił się punktualnie o dwunastej. Cioci wręczył bukiet czerwonych róż, a mnie obdarował czekoladkami. Nawet Zosia dostała grzechotkę w kształcie brodatego krasnoludka.

– A my to się chyba znamy z widzenia – powiedział, składając pocałunek na mojej dłoni.

– A tak, to pan jest właścicielem tego pięknego labradora – odpowiedziałam, zaskoczona tym, że mężczyzna także mnie zapamiętał.

– Tak, to mój pies – potwierdził. – Wabi się Walter i uwielbia długie spacery – dodał, uśmiechając się serdecznie. Okazało się, że pan Władysław jest wdowcem, ma sześćdziesiąt pięć lat, a jako wojskowy od dawna przebywa na emeryturze. Z ciocią poznali się w pociągu, gdy wracała ona z sanatorium. Choć, jak oboje przyznali, czasami mijali się na ulicy, bo mężczyzna mieszkał zaledwie kilka kamienic dalej. Z czasem kolejowa znajomość zaczęła zmieniać się w coś więcej, a teraz, jak zgodnie oświadczyli, byli w sobie zakochani.

21 lutego 1968, środa

Od niedzielnego obiadu pan Władysław odwiedza ciocię codziennie. Zawsze gdy wracam ze szkoły, zastaję ich, jak dyskutują przy herbacie. To głównie z tych rozmów wiem, co dzieje się na świecie. Skupiona na nauce nie mam czasu na czytanie gazet, słuchanie radia, a tym bardziej oglądanie telewizji. Choć zdaniem pana Władysława prawdę można usłyszeć, tylko słuchając Wolnej Europy, a polskie media karmią naród jedynie propagandą. Mimo różnicy wieku, miałby z Hanią wiele wspólnych tematów. Ona, podobnie jak pan Władysław, jest przeciwna wojnie w Wietnamie i z równą pogardą odnosi się do wojsk amerykańskich, co do Wietkongu. Poza tym wierzy tylko rozgłośni z Monachium, a Nowaka-Jeziorańskiego uważa za głosiciela prawdy w czystej postaci. Przeraza mnie trochę jej zuchwałość, bo nawet podczas przerw rozmawia z innymi uczniami o swoich poglądach, a to może spowodować na nią kłopoty. Kiedy próbowałam ją ostrzec, odparła, że wcale się nie boi.

– Anka, w najgorszym wypadku poszukam innej szkoły – stwierdziła – a tak w ogóle, to dyrektor i całe szanowne grono pedagogiczne mogą mnie w dupę pocałować – dodała, prowokacyjnie kręcąc pośladkami. Jej gest spotkał się z chamską reakcją robotników pracujących na mijanej budowie,

którzy skomentowali go głośnymi gwizdami i niewybrednymi uwagami pod jej adresem.

– Wy o czymś takim możecie jedynie pomarzyć! – krzyknęła, unosząc głowę do góry, gdzie na rusztowaniach stało kilku mężczyzn.

– Hanka, przestań, bo wywołasz awanturę – syknęłam, pociągając ją za rękaw.

– Znalazła się królewna Śnieżka – usłyszałam za sobą.

– Ja mu, kurwa, dam królewnę Śnieżkę – zaperzyła się Hanka i gdyby nie moja zdecydowana postawa, wróciłaby do robotników budowlanych.

1 marca 1968, piątek

Dziś był pierwszy naprawdę wiosenny dzień. Nic więc dziwnego, że ludzie tłumnie ruszyli nad morze. Ja także skorzystałam ze słońca i zabrałam Zosię na molo. Ciocia z panem Władysławem wyjechali na kilka dni do jego córki mieszkającej w Poznaniu, więc znowu będziemy same. Jak zwykle w podobnych przypadkach wielką pomocą służy pani Jadzia. Czasami myślę, że bez sąsiadki nie dałybyśmy sobie rady. Jednak ona, kiedy tak mówię, tylko wzrusza ramionami, peszy się i bagatelizuje swój wkład w opiekę nad Zosią. Chociaż całą swoją uwagę koncentruję na nauce i zbliżającej się maturze, to nie sposób nie zauważyć tego, co dzieje się wokół, a dzieje się sporo. Plakaty nawołujące do zniesienia cenzury widoczne są niemal na każdym słupie. Ulotki żądające wolności słowa przekazywane są z rąk do rąk. Zdaniem pana Władysława balon pompowany jadem antysemitycznej retoryki kiedyś musi pęknąć, a wtedy może stać się wszystko.

9 marca 1968, sobota

Gdy dzisiaj rano bez wcześniejszej zapowiedzi wpadła do mnie Hanka i oznajmiła, że poprzedniego dnia w Warszawie odbyła się manifestacja

studentów, rozbita brutalnie przez milicję, uświadomiłam sobie, że przewidywania pana Władysława zaczynają się sprawdzać.

– Zobaczysz, Gdańsk też ruszy – zapowiedziała Hania, chodząc niespokojnie po pokoju.

– I sądzisz, że to coś zmieni? – zapytałam.

– Musi zmienić, bo tak dalej nie może być – oświadczyła przyjaciółka. – Władza powinna zrozumieć, że ludzie mają już dość kneblowania i są spragnieni wolnych mediów i swobody wypowiedzi – ciągnęła dalej z wypiekami na twarzy.

Słuchając jej, doszłam do wniosku, że Hania ma zadatki na opozycjonistkę i to taką, która będzie umieć porwać za sobą tłumy.

– Jeśli Gomułka i jego świta się nie opamiętają, to czeka ich sromotna klęska – podsumowała.

16 marca 1968, sobota

Całe szczęście, że ciocia i pan Władysław znowu wyjechali do Poznania, bo wydarzenia ostatnich kilkunastu godzin mogłyby ich przyprawić o zawał, a zwłaszcza ciotkę. Zaczęło się od tego, że wczoraj tuż po pierwszej lekcji Hania złapała mnie za rękę i wyciągnęła na boisko. Dzień nie należał do ciepłych, więc poszłam niechętnie.

– Anka, dzisiaj będzie w Gdańsku wielka manifestacja studentów i uczniów – wyszeptała, kiedy znalazłyśmy się poza szkołą.

– Skąd o tym wiesz?

– Krzysiek jest w komitecie strajkowym na uniwersytecie i o wszystkim mi powiedział.

– Chyba nie zamierzasz tam iść? – spytałam, choć doskonale wiedziałam, jaką usłyszę odpowiedź.

– No jasne, że zamierzam. Tam będzie kilka tysięcy ludzi, a im więcej, tym większa presja na tych partyjnych idiotów – przekonywała Hanka.

– Ja nie mogę – uprzedziłam, podejrzewając, że przyjaciółka będzie chciała mnie zwerbować.

– Jak to nie możesz?

– Ciotka z panem Władysławem wyjechali do Poznania, więc muszę się zająć Zosią.

– A ta wasza sąsiadka z dołu?

– Pani Jadzia też ma jakiś wyjazd na wieś – skłamałam, nie zamierzając brać udziału w żadnej manifestacji.

– Szkoda – westchnęła Hanka, przygryzając dolną wargę. Było widać, że bardzo liczyła na mój udział w manifestacji. Kiedy zegnałyśmy się przed moją kamienicą, obiecała, że wpadnie do mnie w sobotę i wszystko mi opowie. Jakież więc było moje zdziwienie, kiedy tuż przed dziewiętnastą Hania w towarzystwie dwóch nieznanych mi mężczyzn stanęła na progu mieszkania. Jednak najbardziej przerażające było to, co zobaczyłam w następnej chwili. Mężczyźni podtrzymywali jakiegoś zakrwawionego człowieka.

– Musisz nam pomóc – oznajmiła Hanka i odsuwając mnie delikatnie na bok, dała znak, aby nieznajomi weszli do środka.

– Hanka, co to ma znaczyć? Kim są ci ludzie?

– To Jacek i Wiktor – przedstawiła nieznajomych, którzy jak na komendę lekko się skłonili – a Karola to chyba poznajesz – wskazała na rannego.

– To jest Karol? – upewniłam się, bo zakrwawiony człowiek wcale go nie przypominał.

– Teraz nie wygląda najlepiej – przyznała Hanka tonem tak swobodnym, jakby nie rozumiała powagi sytuacji – dlatego też przywieźliśmy go do ciebie – wyjaśniła, zdejmując płaszcz i odwieszając go na wieszak.

– Ale dlaczego do mnie? – wyjąkałam.

– A gdzie, do cholery, miałam go zawieźć? – rzuciła wściekła Hanka, piorunując mnie wzrokiem. – Może do szpitala? Przecież tam natychmiast zawiadomiono by milicję i w pół godziny trafiłby do aresztu.

– Ale on potrzebuje pomocy, a co my w domowych warunkach możemy zrobić? – zapytałam, rozkładając bezradnie ręce. Hania zamyśliła się, jakby moje argumenty wreszcie do niej dotarły, tyle że to ja źle zinterpretowałam jej minę.

– Już mam, dzwoń do tego lekarza, który był pierwszym mężem twojej matki! – zawołała, podchodząc do komody, na której stał telefon.

– Do Piechockiego? – wykrztusiłam, uważając pomysł przyjaciółki za idiotyczny.

– No tak, przecież powiedział do ciebie, że jak będziesz w potrzebie, to ci pomoże – przypomniała Hanka, podając mi słuchawkę.

– No tak – potwierdziłam – ale wątpię, aby o takiej pomocy myślał.

– Teraz nie ma co gdybać, dzwoń i tyle – poleciła Hanka. Podczas gdy ja szukałam numeru do Piechockiego, Jacek z Wiktorem zanieśli Karola do łazienki, rozebrali i położyli do wanny. Czekaając, aż lekarz odbierze telefon, zastanawiałam się, co mam mu powiedzieć. Przecież nie mogłam otwarcie wyznać, że mam w mieszkaniu rannego manifestanta.

– Tak, słucham? – usłyszałam w słuchawce zmęczony głos.

– Dobry wieczór, panie doktorze. Z tej strony Anna Jawor – powiedziałam, próbując opanować drżenie głosu.

– Dobry wieczór, pani Anno. – Mężczyzna nie krył zaskoczenia moim telefonem. – Czy coś się stało? – zapytał, a jego głos nie był już zmęczony, tylko czujny.

– Mam wielką prośbę: czy mógłby pan do mnie przyjechać?

– Co się stało, pani Anno?

– W tej chwili nie mogę powiedzieć, ale potrzebuję pana pomocy.

– Dobrze, będę za piętnaście minut – zapowiedział, nie pytając o nic więcej.

Ten kwadrans włókł w nieskończoność. Co chwilę spoglądałam na zegarek, lecz wskazówki jakby stały w miejscu. Na szczęście Karol odzyskał przytomność, a Jacek obmył mu twarz z krwi i korzystając z domowej apteczki, oczyścił długą ranę tuż nad okiem.

– Gdzie ja jestem? Co się stało – wybełkotał nieskładnie Karol, wodząc wokół błędnym wzrokiem.

– Jesteś w mieszkaniu Anki, a za chwilę przyjedzie zaufany lekarz – wyjaśniła Hania.

– Ale po co lekarz? – zdziwił się Karol, próbując wstać.

– Lepiej się nie ruszaj – poprosił Jacek. Karol chciał coś powiedzieć, ale właśnie wtedy rozległ się dzwonek do drzwi.

– No co tak stoisz? Idź otworzyć – ponagliła Hanka.

Piechocki wyglądał, jakby właśnie ukończył maraton. Miał zaczerwienioną twarz i głęboko oddychał.

– Wszystko dobrze, panie doktorze? – zapytałam zaniepokojona. Wystarczyło, że w wannie leżał już jeden na pół żywy człowiek.

– Tak, wszystko w porządku – odparł, wchodząc do mieszkania.

– Co się stało? Coś z pani ciocią? – zapytał, rozpinając płaszcz.

– Z ciocią wszystko dobrze, wyjechała do Poznania na kilka dni, ale mój kolega został pobity podczas manifestacji – powiedziałam, prowadząc Piechockiego do łazienki. Lekarz nachylił się nad leżącym w wannie Karolem i zaczął go badać.

– Nie jest tak źle – oznajmił po chwili, oddychając z ulgą. Nasza czwórka poszła za jego przykładem.

– Ma paskudnie rozwalony łuk brwiowy, stąd tyle krwi – mówił dalej, przygotowując opatrunek. – Poza tym siniaki oraz sporo stłuczeń. Jednak najbardziej martwi mnie złamanie ręki.

– To on ma złamaną rękę? – zdziwiła się Hania, przerywając Piechockiemu.

– Niestety tak – potwierdził lekarz – ale postaram się załatwić gips i założę go bez konieczności wizyty w szpitalu – zapewnił, kończąc opatrywanie rany nad okiem Karola. – Jednak będzie musiał poczekać godzinę lub dwie – dodał.

– Może zostać tutaj – zaproponowałam.

– Dobrze, ale lepiej przenieść go do łóżka, bo wanna jest mało wygodna – stwierdził Piechocki, posyłając nam wyrozumiały uśmiech. Karol został więc przeniesiony do mojego pokoju, a lekarz przed wyjściem dał mu jeszcze przeciwbólowy zastrzyk. Chwilę po Piechockim wyszli także Jacek i Wiktor, a ja i Hania usiadłyśmy przy łóżku Karola, który po kilku minutach zasnął.

– Co się stało na tej manifestacji i kto pobił Karola? – zapytałam szeptem, aby nie obudzić śpiącego. Hania dała mi znak, abyśmy przeszły do salonu. Usiadłyśmy przy stole, jednak zamiast opowiedzenia o tym, co spotkało Karola, przyjaciółka zapytała o Zosię.

– Jest u pani Jadzi.

– A ona nie miała czasami wyjechać do rodziny na wieś?

– Tak miała, ale jak usłyszała o planowanej manifestacji, to zrezygnowała – ponownie skłamałam.

– Powiesz mi wreszcie, co tam się stało? – powtórzyłam pytanie.

Przez kolejną godzinę Hania opowiadała o manifestacji, w której oprócz studentów i uczniów brali udział również robotnicy. O tym, jak w pewnej chwili podjechało kilkanaście autokarów wypełnionych milicją,

a później zaczęło się regularne i brutalne rozpędzanie manifestantów. Niektórzy byli wyłapywani i zamykani w czekających niedaleko więźniarkach.

– W pewnym momencie kilku milicjantów wyciągnęło z tłumu Sarę i Krzyśka. Karol to zobaczył i ruszył na ratunek. Powalił dwóch gliniarzy, ale reszta rzuciła się na niego z pałami. Gdyby nie grupa studentów, którzy zaopatrzeni w elementy ławek i chodnikowe płyty przybyła z odsieczą, to by go zakatowali. Razem z Jackiem i Wiktorem przenieśliśmy Karola poza teren starć. Na szczęście kuzyn Jacka, który pracuje w pobliskiej piekarni jako kierowca, zgodził się zawieźć nas furgonetką do ciebie – zakończyła Hania.

– A co z Sarą i Krzyśkiem?

– Prawdopodobnie zostali aresztowani.

– Nie powinnaś zawiadomić ich rodziców?

– Pewnie tak – przyznała Hania – ale nie mogę cię zostawić samej z tym wszystkim – dodała.

– Ja sobie poradzę – zapewniłam – a ty poinformuj, kogo trzeba – rozkazałam. Hania jeszcze przez chwilę protestowała, ale w końcu poszła do domu. Ja w tym czasie odebrałam Zosię od pani Jadzi, nakarmiłam, wykapałam i położyłam spać. Piechocki wrócił około dziewiątej, jednak tym razem nie zadzwonił, tylko zapukał.

– Pomyślałem, że ten chłopak śpi, więc wołałem zapukać – wyjaśnił, gdy wpuściłam go do mieszkania.

– Zasnął od razu po pana wyjściu – potwierdziłam.

– Dobrze, damy mu jeszcze godzinę, a w tym czasie chętnie napiłbym się kawy, bo gdy pani zadzwoniła, to zamierzałem odespać całodobowy dyżur.

– Przepraszam, nie wiedziałam – bąknęłam zmieszana i weszłam do kuchni.

– Pani Anno, nie ma za co przepraszać – odparł Piechocki, siadając przy kuchennym stole. – Ktoś musi pomóc temu chłopakowi, a nie sądzę, aby znała pani innych lekarzy.

– Znam tylko pana – przyznałam, wyjmując z szafki pudełko z kawą.

– W szklance czy filiżance? – zapytałam.

– W szklance i jeśli nie sprawię kłopotu, to z trzech łyżeczek – poprosił mężczyzna.

– To żaden kłopot, kawy mamy pod dostatkiem – zapewniłam i wsypałam do szklanki trzy czubate łyżeczki. Dla siebie natomiast zrobiłam herbatę.

– Pani też była na tej manifestacji? – zainteresował się Piechocki.

– Nie, mnie takie rzeczy nie pociągają – odparłam zgodnie z prawdą.

– To może i lepiej, bo szpitale w całym Trójmieście pękają w szwach – westchnął mężczyzna, dodając, że ranni są nie tylko demonstranci, ale też milicjanci.

– Wie pani, dla mnie ranny to ranny i nieważne, czy jest nim manifestant, wyrażający swoje niezadowolenie z powodu ograniczania wolności słowa, czy też milicjant, któremu kazano pałować protestujących – wyjaśnił lekarz, obejmując dużymi dłońmi szklankę z gorącą kawą. Ten gest nieco mnie zdziwił, bo w mieszkaniu było ciepło. Piechocki dostrzegł moje spojrzenie i trochę się zmieszał.

– Jak byłem na Syberii, to kilka razy Sowieci połamali mi wszystkie palce. Od tamtej pory mam tak zwany syndrom zimnych dłoni. Gdy tylko robi się chłodniej, muszę zakładać rękawiczki. Owszem, udało mi się skończyć medycynę, ale do końca życia będę lekarzem bardziej

teoretycznym niż praktycznym. Co znaczy, że nigdy nie stanę przy stole operacyjnym – wyjaśnił lekarz, upijając łyk kawy.

– Babcia Irena mówiła, że na Syberii było strasznie.

– Jeśli na ziemi istnieje piekło, to z pewnością jest ono właśnie tam – odparł Piechocki, a ponieważ nie powiedział niczego więcej, ja też nie drażylałam tego drażliwego tematu.

– No dobrze, trzeba się zająć rannym, jednak będzie mi pani musiała pomóc – oznajmił, wstając z krzesła.

– Ale ja się na tym nie znam – wyjąkałam.

– Spokojnie, nie będziemy robili operacji na otwartym sercu, a jedynie zakładali gips – roześmiał się lekarz i kazał przygotować miskę ciepłej wody. Moja pomoc ograniczyła się tylko do trzymania mokrej opaski gipsowej, którą Piechocki owijał ramię Karola. Pół godziny później było po wszystkim.

– Za cztery tygodnie proszę do mnie zatelefonować, to umówimy się na zdjęcie gipsu – powiedział, pakując swoje rzeczy do lekarskiej torby.

– Panie doktorze, ile się należy? – spytałam, gdy odprowadziłam go do drzwi.

– Pani Anno, uznajmy, że nie wypowiedziała pani tych słów. W przeciwnym wypadku poczuję się obrażony.

– Przepraszam, ale poświęcił nam pan swój prywatny czas – bąknęłam zawstydzona.

– Gdyby chłopak w najbliższych godzinach zaczął gorączkować, proszę do mnie natychmiast zadzwonić – polecił Piechocki i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Wróciłam do Karola, który siedział na brzegu łóżka i jedną ręką próbował ubrać spodnie.

– A ty się gdzieś wybierasz? – spytałam, odbierając mu ubranie.

– Tak, zamierzam iść do domu. Już i tak masz przeze mnie problemy.

– Fakt, że wyglądasz znacznie lepiej, niż jeszcze cztery godziny temu, nie znaczy, że możesz tak po prostu wstać i sobie pójść – oznajmiłam twardo. – Tym bardziej że doktor Piechocki jasno powiedział, że po pierwsze gips musi zaschnąć, a po drugie trzeba poczekać i zobaczyć, czy nie będziesz gorączkował. Dlatego kładź się i spróbuj zasnąć – rozkazałam, dodając, że jeśli rano poczuje się lepiej, to pomyślimy o odtransportowaniu go do domu.

Karol niechętnie wykonał moje polecenie, jednak kiedy kwadrans później zajrzałam do pokoju, spał jak niemowlak. Ja również czułam potworne zmęczenie. Nie miałam sił nawet na to, aby się rozebrać. Poszłam do pokoju cioci, gdzie spała Zosia, i w ubraniu padłam na łóżko.

Ze snu wyrwał mnie dzwonek telefonu i płacz Zosi. Wstałam szybko, wzięłam siostrę na ręce i poszłam odebrać. Kiedy podniosłam słuchawkę, usłyszałam głos Hani.

– Wiesz, dzwonię z budki telefonicznej przy dworcu, nie chciałam, aby rodzice przypadkiem usłyszeli, o czym rozmawiamy – powiedziała na wstępie.

– To oni nie wiedzą, że brałaś udział w manifestacji?

– Anka, musiałabym być szalona, aby im o tym mówić – odparła przyjaciółka i porzucając temat rodziców, zapytała o Karola.

– Jeśli dzisiaj będzie się dobrze czuł, to można go zawieźć do domu – poinformowałam. Hanka obiecała, że wpadnie za kilka godzin, a w międzyczasie spróbuje załatwić jakiś transport. Ledwie zdążyłam odłożyć słuchawkę, a telefon znowu zadzwonił. Tym razem telefonował doktor Piechocki, aby zapytać o stan Karola.

– Powiedz, że czuję się lepiej i nie mam gorączki – usłyszałam za sobą. Odwróciłam się i zobaczyłam, że uśmiechnięty Karol stoi ubrany

w drzwiach do mojego pokoju. Wyglądał prawie normalnie, nie licząc opatrunku nad okiem, kilku siniaków na twarzy i ręki na temblaku.

– Z nim wszystko w porządku – przekazałam lekarzowi, wysłuchałam jeszcze raz zaleceń dotyczących pielęgnacji gipsu i terminu jego zdjęcia, po czym zakończyłam rozmowę.

Hanka w towarzystwie Jacka i Wiktora zjawiała się kilka godzin później. Wtedy Karol czuł się już na tyle dobrze, że sam zszedł do samochodu. Obserwując, jak furgonetka piekarni odjeżdża spod kamienicy, dziękowałam cioci i panu Władysławowi, że właśnie teraz postanowili pojechać do Poznania.

22 marca 1968, piątek

Z dnia na dzień atmosfera w kraju robi się coraz bardziej napięta. Widać to nie tylko po wybuchających w różnych miastach demonstracjach, ale nawet w naszej szkole. Dzisiaj dyrektor zorganizował apel, podczas którego zostało wyemitowane przemówienie, jakie Gomułka wygłosił dziewiętnastego marca w Sali Kongresowej. Słuchając o wrogich siłach, które oszukały studentów i sprowadziły ich na drogę awanturniczej anarchii, a posługując się metodą prowokacji, wzburzyły umysły części młodzieży, zastanawiałam się, czy to przemówienie napisał ten sam znany pisarz, który tworzył przemówienia dla mojego ojca. Doskonale pamiętałam, jak ojciec krążył po mieszkaniu z kartką, ucząc się swoich przemówień na pamięć. Po mniej więcej dwudziestu minutach w auli dało się słyszeć wyraźne pochrapywanie. Siedzący w pierwszym rzędzie dyrektor najpierw zastygł z przekrzywioną głową, nasłuchując, skąd dobiegają podejrzone odgłosy, później zaczął się uważnie rozglądać po sali, a wreszcie wszedł na scenę i kazał zatrzymać projekcję.

– Kto śmie w tak bezczelny sposób zakłócać przemówienie towarzysza Gomułki? – grzmiał, tocząc po sali nienawistnym spojrzeniem. –

Przemówienie, które jest głosem rozsądku. Jeśli ten ktoś ma w sobie chociaż trochę odwagi osobistej, niech wstanie! – krzyknął, a jego donośny głos odbił się echem od murów auli.

Jeśli dyrektor sądził, że winny przyzna się dobrowolnie, to był w głębokim błędzie. Dalsza część wystąpienia ojca narodu przebiegła już bez żadnych incydentów. Kiedy po dwóch godzinach, bo tyle zajęło Gomułce wyartykułowanie wszystkich swoich racji, opuściliśmy aulę, większość uczniów ziewała i nie była to żadna demonstracja, ale zwyczajny objaw zmęczenia.

– Jak na kogoś, kto niedawno skończył sześćdziesiąt trzy lata, to energii towarzyszowi Gomułce nie brakuje – oświadczyła z fascynacją nauczycielka historii.

– Werwy może i nie, ale rozumu to nie ma za grosz – stwierdziła idąca obok mnie Hania. Na szczęście gwar prowadzonych rozmów zagłuszył jej wypowiedź. Wolałam nie myśleć, jakie spotkałyby ją konsekwencje, gdyby ktoś usłyszał jej krytyczne uwagi pod adresem pierwszego sekretarza.

24 marca 1968, niedziela

Dzisiaj razem z Hanią, Krzyśkiem, Karolem i Sarą wybraliśmy się na molo, ale nie to w Sopocie, tylko w Orłowie. Chociaż mieszkałam w Trójmieście od ponad pół roku, a wcześniej regularnie przyjeżdżałam do ciotki na wakacje, to nigdy nie byłam w tym miejscu. Orłowskie molo nie jest co prawda tak długie, jak to w Sopocie, ale ma znacznie ciekawsze otoczenie. Największe wrażenie zrobił na mnie skalisty klif. Kolejnym plusem był brak tłumów. Prócz nas po molo spacerowało zaledwie kilkanaście osób. Rozmawialiśmy głównie o ostatnich wydarzeniach, zwłaszcza że Krzysiek i Sara na własnej skórze odczuli, co to znaczy milicyjny areszt, z którego wyszli dopiero trzy dni wcześniej. Wszyscy byliśmy zgodni, że władza nie ulegnie naciskom, bo choć według Radia Wolna Europa w gdańskiej

manifestacji wzięło udział ponad dwadzieścia tysięcy ludzi, to większość społeczeństwa była przeciwko strajkującym.

– Ojciec zakomunikował, że jeśli zwolnią go ze szkoły, to wszyscy wyjeżdżamy do Izraela – wyznała Hania w pewnej chwili.

– Chyba żartujesz? – Spojrzałam na nią z niedowierzaniem.

– Anka, mój ojciec nie ma za grosz poczucia humoru, więc jeśli mówi, że wyjedzie, to tak zrobi – oświadczyła przyjaciółka.

Gdy zapytałam, co ona zamierza, przyznała, że pewnie też wyjedzie.

– Mogłabym zostać – przyznała otwarcie – zwłaszcza że ojciec dał mi wolną rękę, ale szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie takiego życia. Oni tam w Izraelu, ja tutaj w Polsce, otoczona ludźmi, którzy nie będą we mnie widzieli człowieka, tylko Żydówkę – zakończyła smutno.

Po głębszym zastanowieniu uznałam, że Hanka ma rację. Trudno jest żyć w miejscu, gdzie traktują cię jak wroga, wytykają palcami i robią wszystko, aby uprzykrzyć ci życie.

29 marca 1968, piątek

Stało się to, o czym Hania wspominała podczas wycieczki do Orłowa. Jej ojciec został wyrzucony ze szkoły, a co za tym idzie, wkrótce mają wyjechać do Izraela. Konkretniej daty jeszcze nie ustalono, ale zdaniem przyjaciółki wszystkie formalności związane z wyjazdem powinni załatwić w ciągu dwóch lub trzech tygodni. Od Hani dowiedziałam się też, że Sara i jej rodzina także zdecydowali się na wyjazd. Jednak oni postanowili wyemigrować do Australii.

3 kwietnia 1968, środa

Do matury został jedynie miesiąc. Przypomina o tym nie tylko kalendarz, ale także nasz polonista. Jego zdaniem, kto przez cztery lata się nie uczył, ten przez miesiąc wiedzy nie zdobędzie. Choć powtarzam sobie, że wszystko będzie dobrze, to stres przedmaturalny robi swoje. Nawet ciocia i pan Władysław radzą, abym całymi dniami nie siedziała w książkach.

16 kwietnia 1968, wtorek

Wczoraj po raz pierwszy od prawie dwóch tygodni spotkałam się z Hanką. To ostatnie takie nasze spotkanie, bo za dwa dni wyjeżdża. Szłyśmy plażą w kierunku Gdyni, rozmawiając o tym, jak dalej będzie wyglądało nasze życie.

– Tak sobie myślę, że powinnam w Izraelu znaleźć bogatego męża. Uważasz, że to dobry pomysł?

– Tak, ale pod warunkiem, że prócz worka pieniędzy będzie miał jeszcze kilka worków cierpliwości – odparłam, próbując opanować rozbawienie. Pomysł z mężem zupełnie do Hanki nie pasował. Była mądra, dumna, pewna siebie i jakoś nie wyobrażałam jej sobie w otoczeniu gromady dzieciaków.

– Czy ty sugerujesz, że jestem rozkapryszonym bachorem? – rzuciła zaczepnie.

– Nie, ale nie wyglądasz na kogoś, kto chętnie się podporządkowuje czy choćby idzie na kompromisy – wyjaśniłam rzeczowo. Przyjaciółka nic nie odpowiedziała, tylko pokiwała głową.

– A ty, Anka, co zamierzasz? – zapytała po chwili. Opowiedziałam więc, że chcę studiować historię i zostać archeologiem. Gdy tak szłyśmy brzegiem morza, zdałam sobie sprawę, że pierwszy raz i pewnie ostatni

rozmawiamy o swoich życiowych planach. Do tej pory podczas spotkań poruszyliśmy zupełnie inne tematy.

19 kwietnia 1968, piątek

Gdy piszę te słowa, Hania jest już pewnie w Warszawie i czeka na pociąg do Wiednia. Kiedy żegnałyśmy się na peronie sopockiego dworca, obiecała napisać natychmiast po dotarciu na miejsce. Zdziwiła mnie nieobecność Krzyśka, ale, jak wyjaśniła Hanka, to nie było nic poważnego, a kiedy okazało się, że wyjeżdża z Polski, to chłopak całkowicie stracił nią zainteresowanie. Zupełnie inaczej zachował się Karol, który przyszedł pożegnać się z Sarą. Stali trochę na uboczu, objęci i milczący. Podejrzewałam, że dla nich musiało to być bardzo trudne rozstanie. Z błędu wyprowadziła mnie Hanka, która przyłapując mnie na tym, jak kilka razy spojrzałam w stronę pary, rzuciła niespodziewanie:

– Oni byli ze sobą tylko dla tańca.

– Jak to dla tańca? – zdziwiłam się szczerze. Za każdym razem, gdy widziałam ich razem, wydawali się tacy w siebie zapatrzeni, jakby jedno poza drugim świata nie widziało.

– Dla nich, a szczególnie dla Sary taniec jest najważniejszy, a że Karol doskonale tańczy, postanowiła upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Miała chłopaka, który jednocześnie był jej tanecznym partnerem. Może i Karol był w niej zakochany, ale ona w nim raczej nie – stwierdziła przyjaciółka, czym wprowadziła mnie w osłupienie. Do odjazdu pociągu brakowało jeszcze dziesięciu minut, gdy na peron wszedł ktoś, kogo zupełnie się tutaj nie spodziewałam. Oto ujrzałam Krystynę Wolską, tę samą, która nie chciała siedzieć z Hanią w ławce. Dziewczynie towarzyszyła jakaś para w średnim wieku oraz kilkuletni chłopiec.

– Patrz, ta, która nie lubi Żydów, przyszła kogoś odprowadzić – powiedziałam do Hani, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Oni również wyjeżdżają do Izraela – oznajmiła Hania z pewnym rozbawieniem.

– Jak to wyjeżdżają? Przecież oni nie są Żydami?

– Widzisz, Anka, jedni wyjeżdżają, bo muszą, a inni, bo chcą. Wolscy doszli do wniosku, że lepiej im będzie w Izraelu, niż w socjalistycznej Polsce, choć podobno zamierzają później wyjechać do Stanów Zjednoczonych.

– Ale jak to załatwili?

– Za pieniądze, moja droga, za pieniądze – wyjaśniła Hanka.

Kiedy pociąg wtoczył się na peron, uścisnęłam serdecznie przyjaciółkę. Ta zapewniła, że będzie pisać, i wsiadła do wagonu. Po chwili stanęła w otwartym oknie przedziału. Obok niej stała Sara, a tuż przy mnie pojawił się Karol. Gdy pociąg ruszył, szliśmy za nim aż do końca peronu.

– Dasz się zaprosić na herbatę? Strasznie dziś zimno – zaproponował Karol.

Właściwie czemu nie? – pomyślałam, nie bardzo wiedząc, co zrobić z resztą dnia. Wiedziałam, że do nauki nie będę już miała dzisiaj głowy. Poza tym Karol miał rację, rzeczywiście było zimno i także zmarzłam.

– Jak ręka? – wskazałam na wystający z rękawa kurtki gips.

– Coraz lepiej i już nie mogę się doczekać, aż mi zdejmą ten pancierz.

– A kiedy jesteś umówiony z doktorem Piechockim?

– Byłem na dzisiaj, ale przełożyłem na poniedziałek – odparł Karol. W następnej chwili bez żadnego ostrzeżenia przyciągnął mnie do siebie i mocno objął zdrowym ramieniem.

– Za nami idzie patrol gliniarzy, udawajmy parę, to może nas nie będą legitymować – wyszeptał, całując mnie w policzek. Nim się zorientowałam, co zamierza, jego usta przywarły do moich. Niemal mechanicznie odwzajemniłam pocałunek, a kątem oka dostrzegłam przechodzących

obok milicjantów. Spojrzeli na nas przelotnie i odeszli w stronę wejścia do tunelu.

– Przepraszam, ale tylko to przyszło mi do głowy – powiedział Karol, gdy zostaliśmy sami na peronie.

– Nic nie szkodzi – bąknęłam, czując jak rumieniec rozkwita na moich policzkach. Ruszyliśmy w milczeniu do schodów i gdy znaleźliśmy się w tunelu, niemal wpadliśmy na stojących tam milicjantów.

– No amory skończone, to poprosimy dowody osobiste – odezwał się jeden z nich. Byliśmy tak zaskoczeni, że bez słowa podaliśmy dokumenty.

– Anna Jawor – mruknął milicjant, kartkując mój dowód.

– Tak – potwierdziłam.

– Pani pracuje czy jeszcze się uczy?

– Jestem w ostatniej klasie liceum.

– W takim razie poproszę jeszcze o legitymację szkolną.

– Przepraszam, ale koleżanka dała już panu dokument tożsamości – wtrącił Karol. Milicjant spojrzał na niego, mrużąc złośliwie oczy.

– Po pierwsze nikt ciebie o zdanie nie pytał, a po drugie, to teraz koleżanka, a tam na peronie migdaliliście się, jakby była twoją dziewczyną – wycedził.

– Daj spokój – poprosiłam Karola, podając milicjantowi legitymację. Obejrzał ją pobieżnie i otworzył dowód Karola.

– Karol Łyzwiński – przeczytał pod nosem, a ja dopiero wtedy zauważyłam, że jeden z pozostałych milicjantów trzyma w dłoni gruby zeszyt i coś w nim sprawdza.

– Pan też chodzi do szkoły?

– Nie, studiuję na pierwszym roku – odrzekł Karol, podając legitymację studencką.

– Skoro student, to pewnie i brał udział w zamieszkach – stwierdził milicjant zaczepnym tonem.

– Nie było mnie wtedy w Gdańsku – zakomunikował Karol. Powiedział to z taką pewnością w głosie, że nawet ja, gdybym nie znała prawdy, dałabym się nabrać.

– To gdzie wtedy byłeś? – zainteresował się drugi z milicjantów, który do tej pory nie brał udziału w rozmowie.

– W Zakopanem na nartach, o czym może zaświadczyć pamiątka z gór – odrzekł Karol i postukał palcami w gipsowy opatrunek.

– Sprawdzimy, sprawdzimy – zapowiedział milicjant, oddając nam dokumenty i pozwalając odejść.

– A jeśli oni naprawdę to sprawdzą? – zapytałam, gdy siedzieliśmy w dworcowym barze.

– Anka, przecież oni nawet nie spisali naszych personaliów – roześmiał się Karol.

– Może je zapamiętali?

– Wybacz, ale w takie cuda to nawet Gomułka nie uwierzy – odparł beztrąsko Karol, nie przejmując się obecnymi w barze gośćmi.

– À propos Gomułki to znasz najnowszy dowcip z jego udziałem? – odezwał się po chwili i nie czekając na moją odpowiedź, zaczął opowiadać: – Gomułka pojechał na wieś, aby osobiście sprawdzić nastroje Polaków. Zaczepił jednego z rolników pijących piwo pod sklepem i pyta: „Gospodarzu, jak się wam żyje w Polsce?”. „Bardzo dobrze” – odpowiedział chłop. „A czy pošlecie swoje dzieci na studia, na uniwersytet?” „Nie, towarzyszu Władysławie, sam je będę bił”.

Ledwie Karol skończył opowiadać, przy stoliku zjawiała się jedna z barmanek.

– Proszę nie opowiadać tutaj takich dowcipów – poprosiła grzecznie – bo o kłopoty nietrudno – dodała, posyłając nam porozumiewawcze spojrzenie. Interwencja kelnerki uspokoiła Karola, który już więcej nie poruszał tematów politycznych. Zamiast tego zaproponował mi, abyśmy wystąpili razem w turnieju tańca towarzyskiego, jaki miał się odbyć w Gdyni na początku czerwca.

– Karol, ja mam teraz maturę na głowie – przypomniałam.

– Anka, matura to bułka z masłem.

– Może dla kogoś, kto ma ją już za sobą, ale dla mnie to w tej chwili najważniejsza sprawa i wszystko inne musi poczekać – oświadczyłam, ucinając dalszą dyskusję.

– W porządku, to poczekam, a musisz wiedzieć, że cierpliwość to moje drugie imię – zaznaczył Karol.

30 kwietnia 1968, wtorek

Nigdy nie podejrzewałam swojej ciotki o hipokryzję, choć nie wiem, czy to określenie pasuje do dzisiejszej sytuacji, ale żadne inne nie przychodzi mi do głowy. Gdy podczas kolacji ciocia oznajmiła, że muszę jutro pójść na pierwszomajowy pochód, z wrażenia aż upuściłam łyżeczkę, która z brzdękiem spadła na podłogę.

– Anno, bądź ostrożna, bo Zofia się przestraszyła – mruknęła ciotka, uspokajając siedzącą na jej kolanach Zosię.

– Przepraszam, ale to ten pomysł z pochodem – bąknęłam, sięgając po łyżeczkę.

– Musisz pójść, bo zgodnie z tradycją po zakończeniu pochodu dyrektor szkoły ogłosi listę uczniów dopuszczonych do matur, więc...

– Czyli jak nie pójde, to nie zostanę dopuszczona? – weszłam jej w słowo.

– Zostaniesz, ale powinnaś być na pochodzie. To zawsze jest lepiej postrzegane, a co ważniejsze – zapamiętywane – wyjaśniła.

Mnie pierwszy maja zawsze kojarzył się z festynami, jakie organizowano po pochodach. Natomiast nigdy nie brałam udziału w przemarszach klasy robotniczej, mimo iż mój ojciec zawsze w nich uczestniczył, a bardzo często wygłaszał nawet przemówienia. Nie rozumiałam więc, dlaczego teraz ma być inaczej, ale nie chcąc rozpętywać z ciotką kolejnej wojenki, postanowiłam pójść.

1 maja 1968, środa

Gdyby kilka dni temu ktoś mi powiedział, że amerykańska flaga może pokrzyżować moje plany maturalne, to zwyczajnie bym go wyśmiała. A jednak taki scenariusz jest całkiem realny. Wszystko przez incydent, który miał miejsce podczas dzisiejszego pochodu. Gdy kolumna zbliżała się do trybuny honorowej, przed naszą klasą pojawił się nagle człowiek wymachujący amerykańską flagą. Dla nas sytuacja była zabawna. W końcu nieczęsto podczas socjalistycznego święta można spotkać kogoś demonstrującego wartości kapitalistów zza oceanu. Jednak służby porządkowe miały zgoła odmienny pogląd na to wydarzenie. Uznały je za prowokację, a co więcej, wysunęły oskarżenie, iż nasza klasa była w zмовie z osobnikiem sabotującym robotnicze święto. W konsekwencji dyrektor nie ogłosił, kto z naszej klasy został dopuszczony do matury. Zamiast tego zarządził zebranie rodziców, na którym ten godny pożałowania występ miał być omówiony. Nad całą klasą zawisła więc groźba niedopuszczenia do matury. Choć nikt z uczniów nie miał nic wspólnego ze zdarzeniem, a fakt, że mężczyzna z gwiazdzystym sztandarem pojawił się przed naszą klasą zupełnie przypadkowo, dla władzy nie miał żadnego znaczenia.

3 maja 1968, piątek

Zebranie dotyczące haniebnego zajścia z pierwszego maja, jak prasa okrzyknęła występ człowieka, którego już zaczęto nazywać Ameryką, trwało kilka godzin, podczas których oprócz dyrektora szkoły przemawiał sam sekretarz komitetu wojewódzkiego. Ciotka wróciła ze spotkania zniesmaczona, ale w dobrym nastroju, oznajmiając, że chociaż, jak powiedział pierwszy sekretarz: „Reperkusje tego skandalicznego występu mogą mieć wymiar międzynarodowy, to biorąc pod uwagę dobro uczniów, a także fakt, że socjalistyczna ojczyzna potrzebuje dobrze wykształconych obywateli, cała klasa zostaje dopuszczona do matury”.

14 maja 1968, wtorek

Dzisiaj wreszcie przyszedł list od Hani. Napisała, że przygotowuje się do matury, że obecnie mieszkają na peryferiach Tel Awiwu, jednak rodzice szukają czegoś w centrum, bo wtedy mieliby bliżej do pracy, a ona na uniwersytet. Wspomniała także o sympatycznym chłopaku z sąsiedztwa, który już drugiego dnia zaoferował jej pomoc w poznaniu miasta.

A więc może jednak Hania znajdzie bogatego męża – pomyślałam, chowając list do koperty i wracając do nauki, bo do mojej matury został dokładnie tydzień.

20 maja 1968, poniedziałek

Dzisiejsze popołudnie postanowiłam poświęcić na pełen relaks. Wiem, że te kilka godzin nauki więcej niczego już nie zmienią. Muszę zdać się na to, czego nauczyłam się przez cztery lata, i liczyć na łut szczęścia w doborze tematów przez komisję egzaminacyjną. Po obiedzie zabrałam koc i poszłam na plażę. Majowe słońce przyjemnie rozgrzało piasek, a woda, jak na tę porę roku, była wyjątkowo ciepła. Znalazłam zaciszne miejsce z dala od innych wypoczywających i przez cztery godziny leżałam,

wsluchując się w łagodny szum fal i głośne krzyki mew. Kiedy wieczorem wracałam do domu, wiedziałam, że właśnie tego było mi trzeba. Mój nastrój poprawił się jeszcze bardziej, gdy niedaleko molo spotkałam parasolnika. Tym razem ubrany w białą koszulę, czarny frak i wysoki cylinder takiego samego koloru, spacerował z nieodłącznym parasolem, odgrywając angielskiego dżentelmena.

21 maja 1968 roku, wtorek

Pierwszy dzień matur za mną. Gdy rano wychodziłam na egzamin, ciocia nie życzyła mi powodzenia, nie powiedziała, że będzie za mnie trzymała kciuki, oświadczyła tylko, że będzie dobrze, i tak też było. Choć dzień był bardzo upalny, to w auli, gdzie mieliśmy pisać egzamin, panował przyjemny chłód. Po sprawdzeniu obecności każdy zajął swoje miejsce, a dyrektor unosząc wysoko zalakowaną kopertę z tematami, zaczął swoje tradycyjne przemówienie, o którym w szkole krążyły legendy.

– Nie wiem, co jest w środku, ale wiem, że cokolwiek by to nie było, zostaliście przez nas odpowiednio przygotowani. Od tego egzaminu tak naprawdę zaczyna się wasza droga w dorosłość. Droga, która nie zawsze jest łatwa i usłana różami, lecz wierzę, że sobie poradzicie.

Pewność, jaka była z jego głosu, podziałała na mnie jak zimny kompres na oparzenie. Nagle poczułam ogarniający mnie spokój. Kiedy po dziesięciu minutach dyrektor zakończył przemowę, otworzył kopertę i zaczął czytać tematy, przez salę przetoczyło się westchnienie ulgi. Pierwszy temat brzmiał: „Miłość ojczyzny i braterstwo ludów jako ideowe podłoże twórczości i działalności politycznej Adama Mickiewicza”. Zadanie drugie polegało na napisaniu przemówienia z okazji oddania do użytku szpitala dla dzieci. Jednak mnie zainteresował ostatni temat, w którym należało rozwinąć słowa Gomułki: „Mickiewicz nie był i nie będzie sztandarem reakcji”. Dla kogoś, kto pamiętał wystąpienie

towarzysza Wiesława w Sali Kongresowej, temat był przysłowiową bułką z masłem. Teraz w duchu dziękowałam dyrektorowi, że zmusił całą szkołę do obejrzenia tej przemowy. Ponieważ doskonale pamiętałam znaczną część wystąpienia, nie miałam najmniejszych problemów z rozwinięciem myśli pierwszego sekretarza. O ile polski uważałam za zaliczony, to najgorsze było dopiero przede mną. Szczególnie obawiałam się matematyki, bo z niej nigdy nie byłam mocna.

2 czerwca 1968, niedziela

Nareszcie koniec maturalnego maratonu. W piątek zdałam ostatni egzamin ustny i teraz mogę odetchnąć. Oficjalne wyniki za trzy tygodnie, ale jestem o nie spokojna. Jutro zamierzam pojechać na uniwersytet i dowiedzieć się o zasady przyjęć. Ciocia uważa, że studiowanie historii i zostanie archeologiem to nie jest dobry pomysł. Ja jednak wiem, co chcę robić w życiu, i tym czymś jest grzebanie w ziemi, jak z pewnym lekceważeniem mówi o archeologii ciocia.

3 czerwca 1968, poniedziałek

Wyprawę na uniwersytet mogę uznać za mało udaną. Po pierwsze, nim dostałam się do dziekanatu, musiałam odstać swoje w kolejce. Po drugie, gdy już do niego weszłam, mało sympatyczna pani, która zachowywała się tak, jakby praca w tym miejscu była dla niej karą, poinformowała mnie, że zasady rekrutacji nie zostały jeszcze ustalone i mam dowiadywać się w lipcu. Jednak, jakby na potwierdzenie przysłowia, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, po wyjściu z budynku uniwersytetu spotkałam Karola. Na mój widok wyraźnie się ucieszył, a ja przypomniałam sobie o jego propozycji wspólnego tańczenia. Teraz kiedy maturę miałam już za sobą, mogliśmy wrócić do rozmowy o tym pomysle.

– Skoro spotykam cię w takim miejscu, to wnioskuję, że matura zaliczona – powiedział na przywitanie i nim zdążyłam zareagować, pocałował mnie w policzek.

– Czy ty sobie nie pozwalasz na zbyt wiele? O ile mnie wzrok nie myli, to nigdzie w pobliżu nie ma milicyjnych patroli – zauważyłam, odsuwając się na bezpieczną odległość.

– Patroli może i nie, ale wokół pełno jest tajniaków – wyszeptał, posyłając mi szelmowski uśmiech. Odruchowo spojrzałam za siebie, ale prócz nas nie było nikogo.

– Musisz mieć zatem sokoli wzrok albo bujną wyobraźnię, bo nikogo poza tobą nie widzę.

– Więc to może ja jestem tym tajniakiem – stwierdził i ujmując mnie za rękę, poprowadził do pobliskiego parku, twierdząc, że tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Chociaż zachowanie Karola, a szczególnie jego bezpośredniość, granicząca prawie z bezczelnością, pozostawiała wiele do życzenia, to nie uwolniłam dłoni i weszliśmy do parku, trzymając się za ręce jak zakochana para.

– Myślałaś o mojej propozycji? – zapytał Karol, gdy usiedliśmy na ławce.

– Jeszcze nie – przyznałam zgodnie z prawdą. – Kilka dni temu miałam ostatnie egzaminy ustne i dopiero wracam do normalności – dodałam z przepaszającym uśmiechem.

– Zbyt wiele czasu do namysłu nie ma, bo pierwszy turniej jest za trzy tygodnie, więc jak? – naciskał Karol, wyraźnie oczekując natychmiastowej deklaracji.

Zaczęłam się zastanawiać, czy wspólne tańczenie nie jest tylko pretekstem do zawarcia bliższej znajomości. Co więcej, naszły mnie wątpliwości, czy pocałunek na dworcu nie był przypadkiem

wykorzystaniem sytuacji. Nie mogłam zaprzeczyć, że brakowało mi tańca, ale nie miałam ochoty na wchodzenie z Karolem w bardziej zażyłą relację.

– Przemyślę to i jutro dam ci odpowiedź – obiecałam po chwili zastanowienia.

– Dobra, w takim razie spotkajmy się przy molo – zaproponował.

– A gdzie konkretnie? Na jego początku, czy końcu? – rzuciłam, chcąc mu przypomnieć nasze pierwsze spotkanie. Wtedy to on miał pretensje do Sary, że musiał jej szukać po całym molo.

4 czerwca 1968, wtorek

No więc postanowiłam przyjąć propozycję Karola, jednak zamierzałam jasno określić zasady naszej tanecznej współpracy i granice znajomości. Nie chciałam ryzykować, że znajdę się w niezręcznej sytuacji, tak jak to miało miejsce w przypadku Jurka, który źle zinterpretował pewne moje gesty. Karol wysłuchał mnie cierpliwie, a gdy skończyłam, tylko skinął głową.

– Rozumiem, że wszystko jest dla ciebie jasne? – zapytałam, chcąc mieć pewność, że pojął i zaakceptował przedstawione warunki.

– Jasne jak twój promienny uśmiech – oświadczył. Powiedział to takim tonem, jakby nie brał moich słów na poważnie.

– To teraz tylko musimy znaleźć miejsce do ćwiczeń i możemy brać się do pracy – zakomunikowałam tym samym swobodnym tonem.

Był zdziwiony.

– Jak wyobrażałeś sobie próby bez sali?

– Dni są ciepłe i długie, więc możemy ćwiczyć nawet na molo – stwierdził, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy tym razem mówi poważnie, czy tylko sobie ze mnie żartuje.

6 czerwca 1968, czwartek

Ostatni rok przyniósł w moim życiu tak wiele zmian, że nie sądziłam, aby w najbliższym czasie, jeszcze jakieś mogły się w nim pojawić. Jednak los, a raczej ciocia postanowiła mnie zaskoczyć. Dzisiaj przy popołudniowej kawie, na której był obecny także pan Władysław, ciocia oznajmiła, że zamierza się do niego przeprowadzić.

– Jak to przeprowadzić? – wyjąkałam, spoglądając to na ciotkę, to na pana Władysława.

– Normalnie, zamieszkamy razem z Zosią u Władka, a ty będziesz miała to mieszkanie tylko dla siebie – odparła ciocia, dodając, że Władek mieszka zaledwie cztery domy dalej, więc Zosię będę mogła odwiedzać o każdej porze.

– Wiesz, Aniu – wtrącił się pan Władysław – uznaliśmy z Celiną, że potrzebujesz własnego lokum. Jesteś już dorosła, a my mamy to szczęście, że możemy zamieszkać u mnie.

– Oczywiście wszystko zostanie przeprowadzone formalnie – zaznaczyła ciocia, wyjaśniając, że mieszkanie otrzymam jako darowiznę, a notariusza mamy umówionego na najbliższy poniedziałek.

Miałam wielką ochotę wstać i wrzasnąć, że nikt nie pytał mnie o zdanie i wszystko zostało załatwione za moimi plecami. Jednak wiedziałam, że taka demonstracja niczego nie zmieni. Niedawne zapewnienia ciotki o tym, że teraz, gdy jestem już pełnoletnia, nie zamierza wtrącać się do mojego życia, okazały się pustymi słowami. Zdawałam sobie sprawę, że biorąc pod uwagę trudności mieszkaniowe, z jakimi zmagali się inni, byłam szczęściarą. Tyle że zostałam uszczęśliwiona na siłę i wbrew swej woli.

8 czerwca 1968, sobota

Rano zadzwonił Karol i zapytał, czy moglibyśmy się natychmiast spotkać. Gdy próbowałam dowiedzieć się o powód spotkania i pośpiech, oznajmił,

że ma dla mnie niespodziankę.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że nie lubię niespodzianek – mruknęłam, ale mimo to obiecałam, że za pięć minut będę na najbliższym skrzyżowaniu, gdzie stała budka telefoniczna, z której Karol telefonował. Kiedy dotarłam na miejsce, siedział na niskim murku i palił papierosa.

– Nie wiesz, że palenie szkodzi zdrowiu? – rzuciłam i nim zdążył zareagować, wytrąciłam mu papierosa z dłoni i przydeptałam.

– To było marlboro – obruszył się Karol, z żalem spoglądając pod moje nogi.

– Nie zamierzam tańczyć z facetem, który ma nikotynowy oddech – oświadczyłam i nie czekając na jego odpowiedź, zapytałam o powód spotkania. Zamiast odpowiedzi Karol chwycił mnie za rękę i ruszył przed siebie.

– I jeszcze jedno, nie jestem małą dziewczynką, abyś musiał mnie za rączkę prowadzić – zakomunikowałam, uwalniając dłoń.

– Chyba dzisiaj księżniczka Anna wstała lewą nogą – mruknął pod nosem, ale na tyle głośno, abym to usłyszała. Już miałam zamiar zwyczajnie zawrócić i pójść do domu, ale nagle uświadomiłam sobie, że Karol ma trochę racji. Od chwili kiedy ciotka powiedziała o przeprowadzce do pana Władysława, tłumiałam w sobie emocje, których w obecności ciotki i jej nowego towarzysza życia nie ośmieliłabym się wyrzucić. Dlatego złość wyładowałam na pierwszej napotkanej osobie i był nią Karol.

– Wybacz, rzeczywiście ostatnio nie układa mi się z ciotką – przeprosiłam i prawie wybuchnęłam śmiechem. Stwierdzenie, że nie układa mi się z ciotką, w kontekście otrzymania mieszkania zabrzmiało absurdalnie.

– To się od niej wyprowadź – poradził Karol, skręcając w jedną z bocznych uliczek.

– Za późno, to ciotka się wyprowadza.

– Uuu, to niezłe z ciebie ziółko, skoro doprowadziłaś cioteczkę do takiego stanu.

– Źle mnie zrozumiałaś – powiedziałam i w kilku zdaniach nakreśliłam mu swoją sytuację.

– Przepraszam, ale czegoś nie rozumiem. Dostajesz od ciotki mieszkanie i jeszcze grymasisz?

– Wiem, że trudno to zrozumieć, dlatego lepiej zakończmy ten temat – poprosiłam.

– Żaden problem, tym bardziej że jesteśmy już na miejscu – oznajmił Karol, zatrzymując się przed drzwiami kawiarni o słodkiej nazwie Ambrozja. – Tu będziemy ćwiczyć – wyjaśnił, widząc moje pytające spojrzenie. Gdy weszliśmy do środka, rozejrzałam się po sali zastawionej stolikami, a Karol w tym czasie zniknął na zapleczu lokalu. Po chwili wrócił w towarzystwie niskiego, łysiejącego mężczyzny z wyraźną nadwagą.

– Kazimierz Tomczyk – przedstawił się mężczyzna. – Jestem wujem tego szalonego młodzieńca – dodał, wskazując na Karola.

Układ był dość prosty, możemy korzystać z sali, ale tylko między siódmą rano a jedenastą, czyli wtedy, gdy lokal był zamknięty. Na moją sugestię, że miejsca jest zbyt mało, Karol zaczął przenosić stoliki i krzesła w kąt sali.

– Teraz powinno być dobrze – oznajmił, gdy skończył. Rzeczywiście po uprzątnięciu stolików miejsca zrobiło się znacznie więcej.

10 czerwca 1968, poniedziałek

Od teraz to ja mieszkam u ciebie, a nie ty u mnie – zauważyła ciocia, gdy podpisałyśmy akt notarialny. Miał to być zapewne rodzaj żartu, ale mi jakoś nie było do śmiechu. Wciąż miałam do cioci żal za sposób, w jaki

mnie potraktowała. Wiem, że miała dobre intencje, ale stawianie mnie przed faktem, prawie dokonanym, nie było w porządku.

12 czerwca 1968, środa

Pierwszy trening z Karolem mam już za sobą i mogę uznać go za całkiem udany. Przećwiczyliśmy tango i sambę. Moje początkowe obawy, że taniec jest tylko pretekstem, aby mnie poderwać, okazały się nieuzasadnione. Karol nie próbował żadnych niestosownych sztuczek. Co prawda podczas tańca nasze ciała były bardzo blisko siebie, a ruchy miały w sobie sporo zmysłowości, ale oboje wiedzieliśmy, że erotyzm jest dla tańca tym, czym słońce i woda dla roślin. Sztuka polegała na tym, aby nie przekraczać granicy oddzielającej taniec od tego, co poza nim.

21 czerwca 1968, piątek

Jutro mamy pierwszy występ konkursowy. Karol wydaje się zupełnie nim nie przejmować, ale ja mam tremę. Przez ostatnie kilkanaście dni ćwiczyliśmy po kilka godzin dziennie, maksymalnie wykorzystując czas, przez który mogliśmy korzystać z kawiarni, więc o przygotowanie fizyczne i techniczne jestem spokojna. Bardziej boję się o nastawienie psychiczne. Po raz pierwszy wystąpię nie tylko przed widownią, bo takie występy miałam już za sobą, kiedy trenowałam w Warszawie, ale także jurorami, którzy będą uważnie śledzili każdy mój ruch, gest, uśmiech, spojrzenie, a na koniec wydadzą werdykt. Dodatkowo dzisiejszej nocy przyśniła mi się scena z sopockiego dworca, gdy Karol mnie pocałował. Wiem, że to wyłącznie sen, a mimo to mam dziwne wrażenie, że to może coś znaczyć, i zaczynam się tego bać. Jakby tego było mało, ciocia zaczęła już pakować swoje rzeczy. Któregoś dnia, gdy byliśmy same, zapytałam, czy zamierza wyjść za pana Władysława.

– Oficjalnie jeszcze mnie o rękę nie poprosił, ale jeśli strzeli mu do głowy taki pomysł, to nie wykluczone, że powiem tak – odparła zupełnie poważnie, dodając, że powinnam się śpieszyć, bo inaczej ona weźmie ślub szybciej niż ja.

– Spokojnie, ciociu, co się odwlecze, to nie uciecze.

– Anno, lata uciekają szybciej, niż myślisz, i nim się obejrzysz, będziesz starą panną, a takim trudno znaleźć jakiegokolwiek męża – ostrzegła.

Już miałam zamiar odpowiedzieć, że jej się jakoś udało, ale przypomniałam sobie, że ciocia jest wdową.

22 czerwca 1968, sobota

Jeszcze w drodze na turniej czułam, że stres mnie paraliżuje. Jednak po pierwszych dwóch tańcach zupełnie się rozluźniłam. Nawet Karol to zauważył i pochwalił. Ostatecznie zajęliśmy trzecie miejsce, co uznałam za prawdziwy sukces, biorąc pod uwagę fakt, że większość pozostałych par, a było ich prawie dwadzieścia, tańczyła z sobą od kilku miesięcy, a nawet lat. Jednak Karol nie podzielał mojego optymizmu.

– Powinniśmy się cieszyć, a nie kręcić nosem – oznajmiłam, planując w myślach, na co przeznaczę wygraną. Nie była ona zbyt wysoka, ale dobrą sukienkę lub buty mogłam już za nią kupić.

– W tamtym roku z Sarą wygraliśmy ten konkurs – wyznał Karol i dopiero wtedy zrozumiałam, skąd wzięło się jego rozzalenie.

– Jeśli uważasz, że tańczę gorzej niż Sara, to zawsze możesz poszukać sobie nowej partnerki – oświadczyłam urażona.

– Tańczysz bardzo dobrze, jednak powinniśmy więcej trenować.

– Przecież my harujemy po kilka godzin dziennie! – przypomniałam.

– Wiem, wiem – westchnął Karol, sięgając do kieszeni po papierosa. Widząc moje karcące spojrzenie, powiedział, że on go tylko trzyma w palcach, a to go uspokaja.

4 lipca 1968, czwartek

Odebrałam dzisiaj oficjalne wyniki matur. Jedynie z matematyki, tak jak się zresztą spodziewałam, dostałam czwórkę. Z pozostałych przedmiotów były same piątki. Żeby pochwalić się przed ciocią świadectwem, musiałam pójść do pana Władysława, bo ciocia zgodnie z zapowiedzią zamieszkała tam od początku lipca.

– Gdyby nie dobry z matematyki, to byłoby idealnie – stwierdziła ciotka, oddając mi świadectwo.

– Oj, Celinko, czwórka to bardzo dobra ocena – ujął się za mną pan Władysław.

– Mój drogi, bardzo dobra ocena to piątka – zripostowała ciotka.

5 lipca 1968, piątek

Byłam dziś na uniwersytecie zanieść podanie o przyjęcie na studia. Ponownie jak za pierwszym, musiałam odstać swoje w kolejce, ale różnica polegała tylko na tym, że większość czekających stanowili maturzyści. Z podsłuchanych rozmów wyłapałam kilku chcących, podobnie jak ja, studiować historię. Pracownica dziekanatu przyjmująca moje dokumenty zerknęła na świadectwo, a potem na mnie.

– Bardzo dobre oceny – pochwaliła szczerze, dodając, że z takim świadectwem nie powinnam mieć żadnych problemów z dostaniem się na studia.

Podbudowana opinią wróciłam do Sopotu. Kiedy byłam już przy swojej kamienicy, zobaczyłam Karola niecierpliwie chodzącego po chodniku i cały mój dobry nastrój przysł w jednej chwili. Zaaferowana wizytą na uniwersytecie, zapomniałam odwołać nasz dzisiejszy trening.

– No nareszcie jesteś? – krzyknął Karol, podbiegając do mnie. Jednak w jego głosie, zamiast spodziewanej złości czy żalu, usłyszałam troskę. – Myślałem, że coś ci się stało, bo nie przyszedłeś na trening, nie odbierałaś

telefonu i w domu też cię nie zastałem. Już miałem pójść do twojej sąsiadki i zapytać, gdzie teraz mieszka twoja ciotka.

– Przepraszam, ale musiałam pojechać na uniwersytet, złożyć dokumenty na studia i na śmierć zapomniałam cię o tym poinformować – wyjaśniłam zmieszana, proponując, abyśmy teraz zrobili trening.

– Teraz kawiarnia jest już otwarta – przypomniał Karol.

– Wiem – potwierdziłam – ale możemy poćwiczyć u mnie w mieszkaniu. Jeśli przesuniemy stół w salonie, to będzie dość miejsca, a widzę, że płyty wzięłeś – wskazałam na przewieszoną przez jego ramię torbę.

– Właściwie, czemu nie – zgodził się Karol.

Zrobienie z salonu sali do ćwiczeń wymagało jednak trochę więcej pracy, niż początkowo sądziłam. Stół musieliśmy wynieść do pokoju, który zajmowała ciocia z Zosią, a komodę do mojej sypialni. Po przemeblowaniu mieliśmy kilkanaście metrów kwadratowych parkietu, co do celów treningowych w zupełności wystarczało.

– Karol, co byś powiedział na to, abyśmy od dzisiaj trenowali tutaj? – zapytałam, kiedy po wyczerpującym treningu odpoczywaliśmy, siedząc na gładkim, lśniącym parkiecie.

– No nie wiem. W kawiarni mamy jednak więcej miejsca – stwierdził po chwili zastanowienia.

– Tak, ale tutaj możemy ćwiczyć o każdej porze dnia – zauważyłam i ten argument prawdopodobnie przekonał Karola. Sama widziałam jeszcze jeden plus takiego rozwiązania, nie musiałam zrywać się wcześnie rano.

14 lipca 1968, niedziela

Wczoraj wygraliśmy turniej taneczny w Koszalinie. Do tej pory nie wiedziałam, że zwycięstwo może być tak wspaniałym uczuciem. Karol

uważa, że to zasługa ciężkiej pracy, i w tym muszę mu przyznać rację. Przez ostatnie kilkanaście dni trenowaliśmy po cztery, a czasami nawet sześć godzin dziennie. Sprzyjał temu czas wakacji oraz fakt, że ćwiczyliśmy w moim mieszkaniu. Wracając z turnieju, byłam tak zmęczona, że gdy tylko pociąg ruszył, natychmiast zasnęłam. Po przyjeździe do Sopotu Karol próbował namówić mnie na świętowanie naszego sukcesu.

– Anka, to nasza pierwsza wygrana, więc powinniśmy ją jakoś uczcić – przekonywał.

– Tak, masz rację, ale jutro, bo dzisiaj jedyne, o czym marzę, to kąpiel i łóżko – oznajmiłam, ruszając ospałym krokiem w stronę mieszkania.

– Dobrze się czujesz, bo nie wyglądasz najlepiej? – Mój stan wyraźnie zaniepokoił Karola.

– To tylko zmęczenie, muszę się porządnie wyspać i jutro będę jak nowo narodzona – uspokoiliam go, posyłając mu lekki uśmiech.

– No dobra, w takim razie świętowanie przekładamy na jutro – powiedział, gdy zegnaliśmy się przed drzwiami mojego mieszkania.

Tak jak przewidywałam, wystarczyło dziesięć godzin snu, abym znowu była sobą. Po zjedzeniu późnego śniadania zabrałam się za pisanie listu do Hani. Zastanawiałam się, czy napisać o tym, że razem z Karolem bierzemy udział w turniejach tanecznych. Po namyśle uznałam, że skoro łączy nas tylko taniec, to nie mam powodu, aby to przed kimkolwiek ukrywać. Punktualnie o dwunastej zameldowałam się u cioci i pana Władysława na niedzielnym obiedzie. Przyniosłam z sobą puchar i medal, aby pochwalić się, jednak na ciotce nasz sukces nie zrobił większego wrażenia.

– Taniec, droga Anno, nie da ci tego, co solidne wykształcenie – zauważyła ciocia.

Już miałam ochotę dodać, że lepsze od wykształcenia jest znalezienie bogatego męża, ale ugryzłam się w język. Postanowiłam, że nie pozwolę, aby ciotka popsukała moją radość z wygranej. Kiedy po obiedzie odmówiłam kawy, wymawiając się spotkaniem, ciotka nie była zadowolona.

– Celinko, Anna jest młoda i ma swoje sprawy.

– Władysławie, ja doskonale o tym wiem, ale czasami mogłaby wypić z nami kawę lub zabrać Zosię na spacer, tym bardziej że ma wakacje.

– Ciociu, z tym spacerem to bardzo dobry pomysł – przyznałam i nim ciotka zdążyła zareagować, wzięłam siostrę na rękę i ruszyłam do drzwi.

Karol, który czekał na molo, zdziwił się, widząc mnie z wózkiem.

– Będziemy musieli świętować we troje – oznajmiłam, posyłając mu przepraszający uśmiech.

– No nie wiem, czy twoja siostra może pić coś takiego – powiedział konspiracyjnym szeptem, pokazując ukrytą w torbie butelkę wina. Sposób, w jaki Karol zamierzał uczcić nasze zwycięstwo, był daleki od tego, co sobie wyobrażałam. Sądziłam, że pójdziemy na kawę, może jakieś ciacho, ale alkoholu zupełnie nie brałam pod uwagę.

– Czy ty zamierzałeś mnie upić?

– Ależ skąd, jedna butelka dobrego wina nie może doprowadzić dwojga ludzi do stanu upojenia alkoholowego – oznajmił z uśmiechem.

– Ale może zmaćcić myśli i zaburzyć zdolność trzeźwego postrzegania rzeczywistości – zauważyłam, podjeżdżając wózkiem do jednej z ławek.

– Ależ ty znasz mądre słowa: zmaćcić myśli, zaburzyć zdolność trzeźwego postrzegania rzeczywistości – powtórzył za mną Karol z tym samym uśmiechem, co wcześniej. Jego parodia wcale mnie jednak nie śmieszyła.

– Czy ty sobie ze mnie drwisz? – zapytałam ostro. Moje pytanie sprawiło, że natychmiast spowaźniał.

– Nie, wcale nie miałem takiego zamiaru. Jeśli tak to odebrałaś, to wybacz – przeprosił zmieszany.

– Powiedzmy, że ci wierzę – mruknęłam, nie wiedząc, czy jego przeprosiny były szczere. Co prawda brzmiały dość wiarygodnie, ale zdążyłam poznać Karola na tyle, aby pewne jego gesty traktować z dużym dystansem. Potrafił być naprawdę uroczym facetem, świetnie tańczył, ale jego pewność siebie czasami stawała się irytująca.

– To może jutro po treningu wypijemy po kieliszku wina za nasz wspólny sukces? – zaproponował.

15 lipca 1968, poniedziałek

Karol nie przyszedł dzisiaj na trening. Było to o tyle dziwne, że do tej pory nie opuścił żadnego. Czekałam całe przedpołudnie, przygotowałam nawet kieliszki na wino, a on się nie zjawił. Gdyby jego rodzice mieli telefon, mogłabym zadzwonić, ale nie mieli. Mogłam oczywiście do niego pójść, jednak stwierdziłam, że mógłby to odebrać jako nadmierne zainteresowanie jego osobą, a tego nie chciałam. Poza tym znał mój telefon, więc gdyby wypadło mu coś ważnego, to by zadzwonił. Właśnie ta cisza martwiła mnie najbardziej, oznaczała bowiem, że jego nieobecność spowodowana była jakąś poważną sytuacją. Doskonale wiedziałam, jak bardzo zależy mu na tańcu i że z błahego powodu nie opuściłby treningu, i to bez poinformowania mnie o tym.

16 lipca 1968, wtorek

Dzisiaj Karol również nie przyszedł na trening, ale przynajmniej zadzwonił. Tak jak podejrzewałam, miał ważny powód, aby poprzedniego dnia nie przyjść ani też nie zadzwonić. Okazało się, że jego wuj, ten sam, który przez pewien czas użyczał nam swojej kawiarni jako sali treningowej, miał zawał serca i mimo szybkiej pomocy zmarł. Ponieważ

wuj był kawalerem, wszystkie obowiązki związane z pogrzebem musieli załatwiać rodzice Karola, a on im w tym pomagał. Ta tragedia przypomniła mi, że wkrótce minie rok od śmierci moich rodziców.

19 lipca 1968, piątek

Dzisiaj wróciliśmy do treningów. Początkowo sądziłam, że śmierć wuja wpłynie na psychikę Karola, ale ten zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Przyniósł wino, abyśmy mogli po treningu wypić za nasz sukces. Podczas tańca tryskał humorem, a nawet miałam wrażenie, że zaczyna mnie podrywać.

– Wydawało mi się, że flirtowanie zostało wykreślone z naszej relacji – przypomniłam, kiedy po skończonym tangu teatralnie pocałował mnie w dłoń.

– Ależ, droga Anno, ja wcale z tobą nie flirtuję, po prostu staram się być szarmancki i miły – odparł, otwierając przyniesione wino.

– Dziwi mnie twoje zachowanie – wyznałam, kiedy z kieliszkami w dłoniach siedzieliśmy na rozgrzanym przez słońce parkiecie. Karol spojrzał na mnie przeciągle, jakby nie rozumiał, o czym mówię.

– Chodzi mi o to, że zmarł twój wujek, a ty nie okazujesz żałoby, nie wyglądasz na zrozpaczonego – wyjaśniłam, upijając łyk chłodnego wina o wyraźnie migdałowym aromacie.

– Nie mam zamiaru udawać pogrążonego w smutku siostrzeńca, który wylewa morze łez i z rozpaczy rwie włosy z głowy – oznajmił, a jego szczerłość mnie zaskoczyła. – Nie rób takiej zdziwionej miny – poprosił, zanosząc się śmiechem.

– Śmierć powinna pobudzać do refleksji – powiedziałam cicho.

– Masz rację – przyznał, poważniejąc – tyle że w tym przypadku refleksja ta sprowadza się do smutnego stwierdzenia, że kto pije na umór, ten w piachu kończy. Wuj miał słabe serce i doskonale o tym wiedział,

a mimo to dziennie pił tyle, ile ja wypijam w miesiącu. Dodatkowo kilka razy w tygodniu chodził na dziwki, więc musiało się to skończyć tak, a nie inaczej – podsumował Karol, dolewając nam wina.

– Nigdy bym nie powiedziała, że ma problem z alkoholem.

– On też tak uważał – przyznał Karol – ale to typowe dla alkoholików – dodał, obracając w palcach kieliszek. – Jakiś czas temu wpadła mi w ręce publikacja niejakiego Jellinka. Facet zawodowo zajmuje się obserwowaniem i leczeniem alkoholików. Według niego istnieją cztery stadia picia. Faza wstępna, kiedy pijemy sporadycznie. Faza ostrzegawcza, w której sami szukamy pretekstu, aby się napić. Faza ostra, gdy dzień zaczynamy klinem, bo kac z poprzedniego dnia żyć nie daje. Jest jeszcze ostatnia faza chroniczna. Wtedy alkohol jest jak powietrze, a przecież, jak napisała Pawlikowska-Jasnorzewska „Nie można żyć bez powietrza” – wyrecytował Karol.

Nagle bez żadnego konkretnego powodu zaczęłam się głupkowato śmiać. Nie wiedziałam, czy rozbawiło mnie zestawienie poezji z nałogiem, a może to trzy kieliszki wina wywołały taką reakcję? Karol najpierw spojrzał na mnie zmieszany, a następnie również wybuchnął głośnym śmiechem.

– Może my też jesteśmy już alkoholikami – powiedziałam, opanowując irracjonalne rozbawienie.

– Niewykluczone – oznajmił Karol, unosząc do góry pustą butelkę po winie.

24 lipca 1968, środa

Od poniedziałku trenujemy po kilka godzin dziennie, a wszystko przez turniej par studenckich w Warszawie. Gdy zapytałam Karola, jak wyobraża sobie nasz występ, skoro nie jestem jeszcze studentką. Ten odparł, że zapis

regulaminowy mówi, iż możliwy jest występ par, w których jedna z osób jest studentem.

– Tym razem, Anka, musimy wspiąć się na szczyty naszych możliwości, bo konkurencja będzie cholernie mocna – uprzedził Karol.

Jego żądza wygranej trochę mnie irytowała. Ja traktowałam taniec jako relaks, odskocznię od rzeczywistości. Natomiast dla niego było to coś znacznie ważniejszego. On chciał być najlepszy i to za wszelką cenę. Podczas gdy dla mnie liczył się sam taniec, a nie zdobywane miejsca i otrzymywane nagrody. Owszem cieszyłam się, kiedy zajmowaliśmy pierwsze, drugie, a nawet trzecie miejsce, ale gdy lokowaliśmy się poza podium, nie wpadałam w czarną rozpacz.

28 lipca 1968, niedziela

Ostatnie dwa dni zmieniły moje życie i chociaż brzmi to banalnie, wiem, że nic już nie będzie takie samo. Pierwszym przełomem był turniej taneczny. Karol miał rację, konkurencja była cholernie mocna. O wygranej mogły zdecydować detale, a każda z par, która popełniła poważniejszy błąd, nie miała żadnych szans na jego naprawienie. Przed ostatnim tańcem turniejowym, a było nim tango, liczyły się cztery pary, wśród których byliśmy także my. Zdawałam sobie sprawę, że tango jest naszą najmocniejszą kartą przetargową. Przecież to ono dawało nam na innych turniejach wysokie noty od sędziów. Początkowo Karol był bardzo spięty, co nie wróżyło niczego dobrego. Jednak z każdą kolejną figurą rozluźniał się i gdy skończyliśmy taniec, widziałam, że jest z nas zadowolony. Jurorzy także byli pod ogromnym wrażeniem, bo nasze noty poszybowały jak gołąbki podczas pierwszomajowego pochodu. Takiego określenia użył po turnieju Karol. Pozostałe pary, choć dawały z siebie wszystko, nie były w stanie nas pokonać. Była to pierwsza tak poważna wygrana, co dla pary, o której do tej pory nikt właściwie nie słyszał, było ogromnym sukcesem.

Nic więc dziwnego, że zwycięstwo świętowaliśmy kupionym przez Karola szampanem. Nawet fakt, że zamiast w eleganckiej restauracji siedzieliśmy w pokoju jednego z warszawskich akademików, a za kryształowe kieliszki służyły nam zwykłe szklanki, nie był w stanie umniejszyć naszego sukcesu. Siedzieliśmy przy stoliku nakrytym pstrokatą ceratą, piliśmy szampana ze szklanek, zajadaliśmy truskawki i zdaniem Karola za oknem brakowało jedynie wieży Eiffla.

– A Pałac Kultury i Nauki ci nie wystarczy? – zachichotałam, wskazując na widoczny w oddali gmach, będący darem bratniego narodu.

– Teraz musi, ale to nie to samo.

– Widzę, że marzy ci się Paryż – zadrwiłam, unosząc do ust kolejną szklankę.

– W Paryżu też kiedyś wystąpimy – zapowiedział Karol, ale w przeciwieństwie do mnie nie drwił, tylko mówił bardzo poważnie.

– A potem w Londynie, Rzymie, Nowym Yorku i oczywiście w Moskwie – kpiłam dalej i czułam, że szampan zaczyna uderzać mi do głowy. – No dobra, to ja już pójdę – stwierdziłam, kiedy opróżniliśmy całą butelkę. Wstałam i chwiejnym krokiem ruszyłam do drzwi.

– Może lepiej będzie, jak cię odprowadzę – powiedział Karol, zrywając się z krzesła.

– Nie ma takiej potrzeby, bez problemów trafię do swojego pokoju – wybełkotałam i robiąc następny krok, straciłam równowagę. Gdyby nie stojący za mną Karol, wylądowałabym na podłodze, a tak znalazłam się w jego ramionach. Z perspektywy czasu uważam, że podłoga była lepszym rozwiązaniem, ale wtedy mój umysł nie funkcjonował tak, jak powinien. Ramiona Karola były mocne, usta gorące, pocałunki zachłanne, a moja kobiecość domagała się spełnienia. Uległam więc tej tajemniczej sile, o której tyle czytałam w książkach i szczerze, choć ze wstydem muszę

przyznać, że wtedy czułam się wspaniale. Niestety nie mogę tego samego powiedzieć o poranku, gdy obudziłam się naga, na wąskim łóżku obok nagiego Karola. W pierwszej chwili chciałam ryczeć, a nawet oskarżyć go o wykorzystanie mnie, ale przecież nie byłam na tyle pijana, aby nie pamiętać, że w pewnym sensie sama jestem sobie winna. Zamiast tego ubrałam się i wychodząc, rzuciłam, że szampan mi nie służy.

– A ja mam inne zdanie na ten temat – mruknął Karol, przewracając się na drugi bok. Zignorowałam jego uwagę i poszłam najpierw do swojego pokoju, a później do łazienki. Stojąc pod prysznicem, czułam, jak gorąca woda miesza się z moimi równie gorącymi łzami. Kiedy uznałam, że zmyłam już z siebie jego zapach i swój wstyd, wróciłam do pokoju i ukryłam się pod kołdrą. Zасыpiając, marzyłam, aby ostatnie kilka godzin było tylko wytworem mojej wyobraźni, szalonym, niemoralnym snem, z którego nagle się obudzę i wszystko będzie tak jak wcześniej. Jednak rozsądek, który w tamtej krytycznej chwili zwiął, postanawiając ze mnie zadrwić, teraz znowu był przy mnie, a jego pytanie: „Co ty, idiotko, najlepszego zrobiłaś?” wrzeszczało w mojej głowie, jak stada mew nad sopockim molo.

Kilka godzin później obudziło mnie pukanie do drzwi i głos Karola, proszący, abym otworzyła. Udawałam, że nie ma mnie w pokoju, a kiedy Karol już sobie poszedł, ubrałam się szybko i wymknęłam z akademika. Całe niedzielne popołudnie, aż do późnego wieczoru, spędziłam u babci Ireny. Moje odwiedziny trochę ją zaskoczyły.

– Spodziewałam się ciebie jutro – przyznała, kiedy po powitalnej herbacie poszliśmy na spacer do łazienek.

– Tak, wiem, ale wczoraj brałam udział w turnieju tanecznym i postanowiłam już zostać, zamiast wracać dziś do Sopotu, a jutro znowu jechać do Warszawy.

– Bardzo rozsądnie – przyznała babcia.

Ciekawe, czy gdyby wiedziała, że kilka godzin temu straciłam dziewictwo z kimś, kto choć nie był przypadkowy, to z pewnością nie przypominał wymarzonego księcia z bajki, też uważałaby mnie za rozsądną – pomyślałam, próbując odgonić wspomnienia minionej nocy. Jednak te, jakby na złość, nie dawały się przepędzić. Na domiar złego, kiedy wróciłam do akademika, zobaczyłam Karola nerwowo spacerującego przed wejściem do budynku.

– Anka, gdzie ty się podziewałaś? Ja tu od zmysłów odchodziłem i już miałem iść na milicję.

– Byłam odwiedzić babcię – odparłam i wymijając go, weszłam do akademika.

– Mogłaś powiedzieć, to bym się tak nie denerwował – usłyszałam za sobą, ale nie zareagowałam, tylko ruszyłam do swojego pokoju. Karolowi zamknęłam drzwi przed nosem i oświadczyłam, iż chcę być sama i żeby dał mi spokój. Próbował przekonywać mnie do rozmowy, ale brak mojej reakcji uświadomił mu bezsens tych zabiegów. Gdy usłyszałam jego oddalające się kroki, padłam na łóżko, ukryłam twarz w poduszkę i zaczęłam płakać. Jadąc od babci do akademika, uzmysłowiłam sobie, jak poważne konsekwencje dla mojego życia może mieć to, co stało się ubiegłej nocy. Oczywiście i najmniej oczekiwanym była ciąża. Lubiłam Karola, ale to nie z nim planowałam swój pierwszy raz, a już na pewno nie potrafiłam wyobrazić go sobie w roli ojca.

Jeśli spełni się ten najczarniejszy scenariusz, będę musiała poszerzyć swoją wyobraźnię o męża i dziecko – pomyślałam, siadając na łóżku, podciągając kolana pod brodę i obejmując je rękami.

29 lipca 1968, poniedziałek

To już rok, od kiedy śmierć zabrała rodziców. Choć zdążyłam przyzwycząć się do tej pustki i nieobecności, to wciąż za nimi tęsknię. Specjalnie zostałam dłużej w Warszawie, aby móc pójść na ich grób. Karol też został, chociaż początkowo miał wrócić do Sopotu w niedzielę. Kiedy rano wyszłam z pokoju, zastałam go siedzącego na krześle przed moimi drzwiami.

– Musimy porozmawiać – oznajmił cichym, lecz stanowczym głosem, stając naprzeciw mnie.

– Tak, masz rację, musimy porozmawiać – potwierdziłam. – Rozmawiamy tutaj? – wskazałam drzwi swojego pokoju.

– Może lepiej chodźmy na spacer – zaproponował, dodając, że świeże powietrze dobrze nam zrobi.

– W porządku, ale nie mam zbyt wiele czasu – uprzedziłam, ruszając do schodów.

– Czyli ile minut możesz mi łaskawie podarować? – zapytał z ledwie wyczuwalną drwiną.

– O dwunastej jestem umówiona na Powązkach, teraz jest dziewiąta trzydzieści, więc jakieś dwie godziny – odpowiedziałam i nie zwalniając kroku, wyszłam z akademika.

– Wiesz, rzeczywiście trochę głupio to wszystko wyszło – odezwał się, gdy stanęliśmy na skrzyżowaniu, czekając na zielone światło.

– Ale co? To, że po pijanemu poszliśmy do łóżka czy że w ogóle się w nim znaleźliśmy? – rzuciłam zaczepnie.

– Chyba i jedno, i drugie – mruknął Karol. – Chociaż jeśli mam być szczery, to bardziej to pierwsze – dodał po chwili namysłu.

– Co się stało, to się nie odstanie – stwierdziłam filozoficznie i ruszyłam na drugą stronę ulicy. – Teraz mamy dziewięć miesięcy, aby

przyzwyczać się do myśli, że ty zostaniesz tatusiem, a ja mamusią – oznajmiłam, posyłając Karolowi lodowate spojrzenie.

– Co takiego? – wyjąkał, zatrzymując się na środku jezdni. Samochody, którym właśnie zapaliło się zielone światło, zaczęły wściekle trąbić i dopiero to nieco otrzeźwiło Karola. Szybko wszedł na chodnik i złapał mnie za rękę.

– To miał być żart?

– Dowiemy się tego za kilkanaście dni. Jeśli nie dostanę okresu, to powinieneś zacząć odkładać na pieluchy.

– Rozumiem – westchnął i puścił moją dłoń.

– Anka, czy ty tego chciałaś? – zapytał po chwili, patrząc mi prosto w oczy.

– Gdybym była trzeźwa, to teraz rozmawialibyśmy o wygranym turnieju, a nie o rzeczach, na które i ty i ja jesteśmy zdecydowanie za młodzi i nie mam na myśli seksu, ale dziecka.

– Czyli między nami nigdy nie będzie już tak, jak kiedyś?

– Karol, na miłość boską, ja teraz mam większe zmartwienia, niż rozmyślanie nad tym, jak ma być między nami. Dlatego nie mam zamiaru rozmawiać o tym, aż do czasu, gdy będzie to konieczne, i ciebie też o to proszę.

– Dobrze – zgodził się i przez kolejnych kilka minut szliśmy w milczeniu.

– A mogę wiedzieć, po co idziesz na Powązki? – zainteresował się, gdy przechodząc przez plac zamkowy, minęliśmy Bramę Grodzką.

– Dzisiaj jest rocznica śmierci moich rodziców – wyjaśniłam i sama nie wiedząc, dlaczego zaproponowałam Karolowi, aby poszedł ze mną na cmentarz.

2 sierpnia 1968, piątek

Powiedzieć, że uważam dzisiejszy dzień za najszcześniejszy w swoim życiu, to tak, jakby nic nie powiedzieć. Rano dostałam okres i natychmiast poczułam, jak spływa ze mnie całe napięcie kilku ostatnich dni. Nagle zaczęłam dostrzegać życie w jasnych barwach i nawet feralna noc z Karolem nie wyglądała tak odrażająco. Musiałam przyznać przed samą sobą, że to nie było aż tak traumatyczne przeżycie. Karol był troskliwy, opiekuńczy, delikatny, a ja chciałam tego, co się stało. Owszem mogłam usprawiedliwić zaistniałą sytuację wypitym alkoholem, ale czy tak naprawdę winny był jedynie szampan? Może był on przysłowiowym kluczem otwierającym drzwi, które podświadomie chciałam, aby zostały otwarte, ale na trzeźwo nie miałam odwagi się do tego przyznać? Teraz wszystko to nie miało już znaczenia, liczył się tylko fakt, że nie będę jeszcze mamą, a Karol tatusiem. Kiedy spotkaliśmy się po południu na plaży i przekazałam mu tę nowinę, zobaczyłam, że on również odetchnął z ulgą.

– Mam dzisiaj dzień dobrych wiadomości, to już druga w ciągu zaledwie kilku godzin – oznajmił, wyciągając się na gorącym piasku.

– Tak, a jaka była ta pierwsza? – zapytałam, nie kryjąc zaskoczenia. Byłam ciekawa, czy może być coś lepszego niż świadomość, że zostaliśmy uwolnieni od przedwczesnego rodzicielstwa, na które oboje nie byliśmy gotowi.

– Wyobraź sobie, że wuj postanowił zapisać mi w spadku swoją kawiarnię – zakomunikował Karol. Jednak jego ton nie wskazywał, aby uważał gest zmarłego za dobrą wiadomość. – Tak właściwie nie wiem, dlaczego to zrobił, zwłaszcza że poza mną ma jeszcze drugiego siostrzeńca i jedną bratanicę – dodał po chwili zastanowienia.

– Powinieneś się cieszyć, że wybrał właśnie ciebie. W końcu nie każdy dostaje w spadku kawiarnię – zauważyłam.

- Ty dostałaś od swojej ciotki mieszkanie – przypomniał.
- Tak, ale po pierwsze moja ciotka żyje, a po drugie to była darowizna, a nie spadek – wyjaśniłam.
- Co do kawiarni, to masz rację, powinienem się cieszyć, a jednak zamiast euforii, czuję strach.
- Strach? – zdziwiłam się.
- Tak, strach – potwierdził Karol. – Przecież ja kompletnie nie znam się na prowadzeniu kawiarni – westchnął z rezygnacją.
- To się nauczysz.
- Anka, za dwa miesiące rusza nowy rok akademicki i nie wyobrażam sobie studiowania oraz jednoczesnego prowadzenia lokalu.
- To go komuś wynajmij – poradziłam.
- Może to i dobry pomysł – przyznał, siadając i obrzucając niechętnym wzrokiem hałaśliwą grupkę kolonistów, która w towarzystwie dwóch opiekunek weszła na plażę. – Na razie w lokalu trwa remont, który nadzoruje moja kuzynka, studentka trzeciego roku malarstwa, więc aż się boję, co jej strzeli do głowy.
- Skoro studiuje malarstwo, to chyba zna się na rzeczy – wtrąciłam uspokajająco.
- Czas pokaże, a na razie pora się zmywać, bo robi się zbyt tłoczno i za głośno – stwierdził. Wyszliśmy z plaży i ruszyliśmy w stronę miasta, rozmawiając o turnieju, który za dwa tygodnie miał się odbyć w Olsztynie.

8 sierpnia 1968, czwartek

Do tej pory sądziłam, że plotki o szpiegowaniu listów, jakie Polacy otrzymują z Zachodu, są jedynie wymysłem. W końcu każdego dnia takich listów były setki, jeśli nie tysiące. Jednak kiedy dzisiaj znalazłam w skrzynce list od Hani, od razu zorientowałam się, że koperta była otwierana. Nowiny z Izraela były sensacyjne, ale tylko dla mnie, bo dla

służby bezpieczeństwa wiadomość, że jakaś tam Hanna wychodzi za mąż, raczej nie miały znaczenia.

A więc tak jak zapowiadała przed wyjazdem, znalazła sobie męża – pomyślałam, czytając o jej zaręczynach z sąsiadem, o którym wspominała już w poprzednim liście. Byłam ciekawa, czy tak jak planowała wybranek mógł się pochwalić kontem w banku o odpowiedniej liczbie zer, a może była to miłość od pierwszego wejrzenia. Odpisując wieczorem na list, zastanawiałam się, czy napisać Hani o tym, co zaszło między mną a Karolem. Po namyśle doszłam jednak do wniosku, że powinnam ten sekret zostawić tylko dla siebie. Może gdyby Hania była tu, a nie w Izraelu, zwierzyłabym się jej, ale dzieliło nas kilka tysięcy kilometrów. Poza tym nie wierzyłam w przyjaźń na odległość. Uważałam, że przyjaciele powinni się widywać, chodzić na spacer, prywatki, robić szalone rzeczy i dużo z sobą rozmawiać. Tak kiedyś było między mną a Hanią, jednak teraz pozostały wyłącznie listy. Obie doskonale wiedziałyśmy, że ani ona nie przyjedzie do Polski, ani ja nie pojedę do Izraela. Napisałam więc tylko o tym, że wygraliśmy turniej, Karol otrzymał w spadku kawiarnię, a ja dostałam się na studia.

10 sierpnia 1968, sobota

Karol złożył mi dzisiaj dziwną propozycję. Zapytał, czy nie zechciałabym pracować w jego kawiarni.

– Wiesz, po naszej ostatniej rozmowie doszedłem do wniosku, że prowadzenie kawiarni nie musi się wiązać z przesiadywaniem w niej po kilka godzin dziennie – wyjaśnił. – Zresztą wuj zaglądał do lokalu raz na kilka dni, a mimo to interes się kręcił – dodał.

– Chyba zapominasz, że dostałam się na studia – przypomniałam, biorąc łyk chłodnej wody. Ostatnie dwie godziny trenowaliśmy bardzo intensywnie i czułam się wykończona.

– Wiem, wiem, ale ja szukam kogoś na teraz. Pani Danuta, która do tej pory faktycznie kierowała kawiarnią, zgodziła się dalej ją prowadzić, lecz potrzebuje drugiej kelnerki, bo jedna nie wystarczy.

– No nie wiem, czy nadaję się na kelnerkę, a poza tym, co będzie z treningami? Jeśli uważasz mnie za siłaczkę, to jesteś w błędzie.

– Jasne, że się nadajesz – przekonywał Karol, przeciągając się leniwie jak kot. – Masz czarujący uśmiech, jesteś bystra, a noszenia tacy z tuzinem filiżanek nauczy cię pani Danuta. O taniec także nie musisz się martwić, bo ostatni turniej mamy w najbliższą sobotę, natomiast pracę zaczęłybyś od poniedziałku – podsumował, puszczając do mnie oko.

Chociaż nie szukałam pracy, bo renta, jaką otrzymywałam po ojcu, w zupełności wystarczała mi na życie, to obiecałam, że się zastanowię.

– Kochana jesteś – oświadczył, a w jego dotąd figlarnym spojrzeniu zobaczyłam niepokojące iskielki.

– Ty mi tu nie słodź – ostrzegłam, wstając z podłogi i wychodząc do kuchni.

– Nawet nie myślę. Zwłaszcza że jakiś czas temu ktoś mi powiedział, że słodczye są dobre, ale seks nie psuje zębów.

– O moje zęby nie musisz się martwić, bo znam dobrego dentystę – oznajmiłam chłodno.

12 sierpnia 1968, poniedziałek

Dzisiaj po treningu Karol pokazał mi odnowioną kawiarnię. Chociaż mówił, że zmiany są niewielkie, to ich liczba temu zaprzeczała. Pierwszą i najbardziej rzucającą się w oczy była zmiana nazwy. Teraz lokal nazywał się Mały Książę, a nie Ambrozja.

– Dlaczego Mały Książę? – zapytałam, przystając przed witryną.

– Jaki właściciel, taka nazwa – odrzekł szczerze Karol.

– Chcesz powiedzieć, że uważasz siebie za małego księcia? – upewniłam się, próbując ukryć rozbawienie.

– Tak, ja jestem małym księciem, a ty moją różą – wyszeptał, otwierając przede mną drzwi kawiarni. Wołałam nie wnikać, co miał na myśli, zmieniałam więc temat i zaczęłam wypytywać o kolejne zmiany, jakie rzuciły mi się w oczy. Teraz w lokalu było więcej stolików. Co prawda były mniejsze od poprzednich, ale cztery osoby spokojnie mogły wypić kawę. Zmianie uległ też kolor ścian. Nieokreślony beż ustąpił miejsca śnieżnej bieli, z którą kontrastowały czerwone obrusy na stołach.

– Twoja kuzynka zupełnie odmieniła to wnętrze – zauważyłam, siadając przy stoliku pod oknem.

– Bez przesady, gdyby chciała wszystko zmienić, to musiałbym mieć forsę jak śniegu zimą w Tatrach – stwierdził, przechodząc za bar – ale z jednego jestem szczególnie dumny – dodał, przywołując mnie ruchem dłoni. Kiedy podeszłam do lady, pokazał mi stojącą przy ścianie maszynę.

– Wiesz, co to jest? – zapytał, gładząc czule metalową lśniącą obudowę.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparłam zgodnie z prawdą.

– To chociaż spróbuj zgadnąć – zachęcił.

– No dobra, stawiam, że to grająca szafa.

– Pudło, ale pomysł z grającą szafą bardzo mi się podoba. Natomiast to jest ekspres do kawy. Wuj odkupił go jakiś czas temu od niemieckiej ambasady i według pani Danuty ta maszyna robi najlepszą kawę w Sopocie – oświadczył z dumą Karol.

– Rozumiem, że zostanę nauczona, jak obsługiwać to cudo techniki – zapytałam, z pewną nieufnością spoglądając na maszynę.

– Czyli zgadzasz się na moją propozycję?

– Tak, ale tylko do końca września – uprzedziłam.

18 sierpnia 1968, niedziela

Powoli zaczynam przyzwyczajać się do wygrywania turniejów. Wczoraj w Olsztynie od samego początku byliśmy faworytami. Niektóre pary gratulowały nam już w połowie zawodów. Ja podchodziłam do tych gratulacji z rezerwą, ale Karol przyjmował je bez cienia skromności. Jak okazało, wiedział, co robi, bo wygraliśmy bezapelacyjnie. Kiedy po powrocie do Sopotu odwiedziłam ciotkę i opowiedziałam jej o turnieju, ta nie okazała żadnego zainteresowania. Zamiast tego zaskoczyła mnie pytaniem o moją pracę w kawiarni Karola.

– A skąd wiesz, że będę pracowała jako kelnerka?

– Anno, tyle razy ci powtarzałam, że chociaż do Sopotu każdego roku zjeżdżają dziesiątki tysięcy turystów, to tak naprawdę jest to małe miasto, w którym każdy zna każdego, a informacje rozchodzą się lotem błyskawicy – przypomniała ciotka, posyłając mi zagadkowy uśmiech. Nie zamierzałam dociekać, skąd wie o mojej pracy, bo to w tej chwili nie miało znaczenia. Interesowało mnie natomiast, dlaczego w ogóle o to zapytała.

– Ciocia uważa, że nie powinnam tam pracować?

– Anno, jesteś dorosła i sama decydujesz o swoim życiu, a to, co ja uważam, jest wyłącznie moją sprawą. Proszę cię tylko, abyś uważała na tego Karola, bo krążą o nim różne dziwne opowieści.

– Znaczą plotki? – zapytałam, chcąc się upewnić, co ciotka miała na myśli.

– Mów na to, jak chcesz, ale w każdej plotce jest ziarno prawdy – odparła ciocia chłodnym tonem.

– A może mi ciocia zdradzić sens tych opowieści? – poprosiłam, wyraźnie akcentując ostatnie słowo.

– Ludzie mówią, że wuj Karola robił bardzo podejrzane interesy, a Karol podobno mu w tym pomagał – zaczęła ciotka, ściszej głoś do

konspiracyjnego szeptu. – Podobno też wcale nie zmarł na zawał serca, ale został zabity – dokończyła.

– I ciocia w to wszystko wierzy? – zapytałam, nie potrafiąc opanować rozbawienia. Spodziewałam się dziwnych plotek, ale nie aż tak niedorzecznych.

– Nie wiem jak ty, ale ja uważam, że to trochę dziwne, iż wuj twojego przyjaciela nie miał tradycyjnego pogrzebu, tylko został skremowany – ciągnęła ciotka, ignorując moje pytanie. – I to, moja droga, nie jest żadną plotką – zapewniła.

Wracając do domu, rozmyślałam nad tym, co powiedziała ciotka. Do tej pory nie interesowało mnie prywatne życie Karola. Głównym tematem naszych rozmów był taniec i tylko czasami rozmawialiśmy o innych sprawach. Jednak o Karolu wiedziałam znacznie mniej niż on o mnie. Postanowiłam więc przyjrzeć mu się bliżej. To, co usłyszałam u ciotki, z jednej strony brzmiało idiotycznie, bo jakoś nie potrafiłam wyobrazić sobie Karola robiącego dziwne, ciemne interesy. Jednak skoro wiedziałam o nim tak mało, to mógł przecież ukrywać przede mną pewne kwestie, zwłaszcza te, które nie chciał, aby wyszły na jaw.

20 sierpnia 1968, wtorek

Za mną pierwsze dwa dni pracy w kawiarni. Przez cały poniedziałek pani Danuta i Ewa, która jest drugą kelnerką, uczyły mnie wszystkiego, co przyda się podczas obsługi naszych gości. Najbardziej obawiałam się obsługi ekspresu do kawy, ale pani Danuta uspokoiła mnie, mówiąc, że to ona będzie przygotowywała zamówione kawy. Karol zjawił się w kawiarni tylko raz. Było to w poniedziałek tuż przed zamknięciem. Towarzyszył mu jakiś mężczyzna. Musiał być stałym bywalcem lokalu, bo przywitał się serdecznie z panią Danusią i Ewą. Na mnie spojrzał tylko przelotnie i wszedł za Karolem na zaplecze. Już chciałam zapytać Ewę, kim jest

nieznajomy, ale uznałam, że lepiej będzie poczekać, aż bardziej się poznamy. Nie chciałam, aby uznano mnie za kogoś wścibskiego i wtrącającego się w życie innych osób. Poza tym dzisiaj w kawiarni był znacznie większy ruch, niż zazwyczaj, ale biorąc pod uwagę, że za dwa dni rozpoczynał się międzynarodowy festiwal piosenki, nie było w tym nic dziwnego. Poza rodakami odwiedzali nas Anglicy, Włosi, Niemcy, a nawet zjawił się jeden Egipcjanin. W takich sytuacjach przydawał się mój angielski, bo pani Danusia i Ewa na widok obcokrajowców bledły, a później zaczynały do nich mówić podniesionym głosem, jakby to miało sprawić, że goście nagle zaczną rozumieć polski. Wizyty dewizowców, jak mówiono na zagranicznych klientów, miały tę zaletę, że tylko dzisiaj dostałam pięćdziesiąt dolarów napiwku. Było to tyle, ile po przeliczeniu Karol miał mi płacić za cały miesiąc. Jednak wspomniany już Egipcjanin otwarcie złożył propozycję, abym odwiedziła go w hotelu. Fakt, że zostałam potraktowana jak dziwka, doprowadził mnie niemal do wściekłości. Zamierzałam nawet wygarnąć klientowi, co myślę o nim, jego dwuznacznej, obrażającej mnie propozycji i pieniądzach, ale po chwili zastanowienia doszłam do wniosku, że lepiej będzie zachować klasę i nie zniżać się do jego poziomu. Odpowiedziałam więc bardzo grzecznie i spokojnie, że jestem tylko kelnerką. Na Egipcjaninie nie zrobiło to większego wrażenia. Uśmiechnął się drwiąco i odparł, że za sto dolarów mogę przestać nią być. Na szczęście podobnych ofert nikt więcej mi nie składał.

21 sierpnia 1968, środa

Egipcjanin, który wczoraj czynił mi erotyczne propozycje, dzisiaj znowu zjawił się w kawiarni. Tym razem był miły, a w ramach przeprosin za swoje niestosowne zachowanie wręczył mi bukiet czerwonych róż. Zanosząc kwiaty na zaplecze, widziałam, jak pani Danuta wymieniła z Ewą

porozumiewawcze spojrzenie. Pewnie pomyślały sobie, że skoro mężczyzna obdarowuje mnie koszem kwiatów, to między nami musi coś być. Przy najbliższej okazji miałam zamiar wyprowadzić je z błędu, ale teraz, kiedy każdy zwolniony przez klientów stolik, prawie natychmiast był zajmowany przez następnych gości, nie było na to czasu. Egipcjanin zamówił kawę i przez ponad dwie godziny wodził za mną wzrokiem. Ja natomiast jak tylko mogłam, unikałam patrzenia w jego stronę. Przy tak ogromnej liczbie klientów nie było to zbyt trudne. Zwłaszcza że większość z nich stanowili cudzoziemcy, których tylko ja mogłam obsługiwać. Gdy wreszcie mój adorator dał za wygraną i poszłam uprzątnąć stolik, przy którym siedział, pod talerzykiem dostrzegłam banknot dwudziestodolarowy oraz złożoną na czworo serwetkę. Po jej rozwinięciu moim oczom ukazał się napisany równym pismem adres hotelu, numer pokoju oraz dopisek, że za jedną noc dostanę pięćset dolarów. W pierwszej chwili pomyślałam, że facet musiał zwariować. Przecież oferowanie pół tysiąca zielonych za jedną noc z dziewczyną to istne szaleństwo. Tym bardziej że nie uważałam się za wybitną piękność. Dowodem na to był fakt, że idąc ulicą, nie czułam na sobie spojrzeń mijających mnie mężczyzn. Mnąc serwetkę, która dla wielu dziewcząt byłaby pokusą nie do odparcia, wróciłam do swoich zajęć. Jeszcze przez pewien czas rozmyślałam o Egipcjaninie, ale wkrótce coś innego zaczęło zaprzętać moje myśli. Krążąc między stolikami i zbierając zamówienia, co jakiś czas w rozmowach, dotyczących rozpoczynającego się nazajutrz festiwalu, pojawiały się wypowiedziane szeptem wzmianki o ataku na Czechosłowację. Początkowo nie rozumiałam, o co chodzi. Dopiero późno w nocy, gdy po zamknięciu lokalu Karol odprowadzał mnie do domu, dowiedziałam się, że poprzedniej nocy wojska Układu Warszawskiego wkroczyły do Czechosłowacji.

– Myślisz, że będzie trzecia wojna światowa? – zapytałam, przypominając sobie to, co o wojnie opowiadali rodzice i ciocia.

– Jestem przekonany, że Zachód nie odważy się ingerować w wewnętrzne sprawy bloku wschodniego – zapewnił Karol – a za kilka dni Czesi zrozumieją, że ich marzenia o wolności i demokracji to w obecnej sytuacji wyłącznie mrzonki – dodał smutno. Przez chwilę szliśmy w milczeniu, mijając rozśpiewanych ludzi. Noc była jasna, ledwo widoczny sierp księżyca wisiał w otoczeniu gwiazd, a znad morza napływała orzeźwiająca bryza.

– Wiesz, że dostałam dzisiaj propozycję łatwego zarobienia pięciuset dolarów – powiedziałam z lekkim rozbawieniem i pokazałam Karolowi serwetkę. Ten przystanął pod mijaną latarnią, przeczytał wiadomość od Egipcjanina, a następnie podarł ją na strzępy i wyrzucił do najbliższego kosza.

– Jebane bambusy – syknął, oddychając nerwowo. – Przyjadą tacy do nas z torbą zielonych i myślą, że im wszystko wolno – mruknął, ruszając w dalszą drogę.

26 sierpnia 1968, poniedziałek

Dziś był pierwszy luźniejszy dzień w kawiarni. Wraz z końcem festiwalu ubyła nam połowa klientów, głównie obcokrajowców. Co prawda skończyły się napiwki w dolarach, ale za to miałam teraz mniej pracy, a zważywszy, że przez ostatni tydzień zarobiłam z napiwków prawie tyle, ile za noc chciał mi zapłacić tajemniczy wielbiciel, nie mogłam narzekać. Poza tym Egipcjanin więcej się nie zjawił, więc może jego lukratywna propozycja była wyłącznie żartem, a może znalazł bardziej chętną kelnerkę?

28 sierpnia 1968, środa

Wchodząc dziś do kawiarni, ujrzałam dość niezwykły widok. Przy ladzie stało dwóch mężczyzn, którzy rozmawiali z wyraźnie wystraszoną panią Danutą. Pierwszy ubrany w mundur milicjanta, a drugi po cywilnemu. Było to bardzo dziwne, bo mundurowi nigdy nie przekraczali progu kawiarni. Nasz kawiarnia w przeciwieństwie do wielu innych sopockich lokali była miejscem wyjątkowo spokojnym. Przede wszystkim dlatego, że nie serwowaliśmy alkoholu, a to właśnie pijani goście najczęściej wszczynali awantury, brali się za łby, a czasami nawet demolowali salę. U nas żadnych takich incydentów nigdy nie było. Dlatego widok milicjanta był dla mnie zaskoczeniem. Jednak jeszcze większym była reakcja pani Danuty. Kobieta na mój widok odetchnęła z ulgą.

– O właśnie przyszła Ania, ona powie panom więcej niż ja – powiedziała do mężczyzn, którzy niemal jednocześnie odwrócili się od lady i spojrzeli na mnie. Pierwszy przemówił cywil. Powiedział, że nazywa się Brunon Szewczuk, jest porucznikiem milicji i chciałby mi zadać kilka pytań. Gdyby nie towarzyszący mu mundurowy i okazana legitymacja, nie uwierzyłabym, że stojący przede mną mężczyzna jest oficerem milicji. Przekrwiony wzrok, poplamione i wygniecione ubranie, zabłocone buty i kwaśny cuchnący oddech bardziej pasowały do któregoś z pijaczków, jacy o tej porze roku kręcili się w okolicy mola, a nie do stróża prawa. Jednak najgorsze było jego spojrzenie, które bezwstydnie prześlizgiwało się po moim ciele, tak jakbym była zupełnie naga.

– Możemy porozmawiać na zapleczu? – zaproponowałam, wiedząc, że widok milicji nie jest dla lokalu najlepszą formą reklamy. Mężczyźni skinęli głowami i przeszliśmy do pomieszczenia, które służyło Karolowi jako biuro. To tam on lub pani Danuta rozliczali się z dostawcami.

– Chciałbym wiedzieć, co łączyło panią z Kamalem Ibrahimem? – zapytał cywil, sadowiąc się na jednym z krzeseł. Milicjant w mundurze

zajął drugie krzesło, a ja usiadłam na kanapie. Choć imię i nazwisko, które wymienił, nic mi nie mówiły, od razu skojarzyłam je z tajemniczym Egipcjaninem. Wolałam jednak udawać, że kompletnie nie wiem, o kogo chodzi.

– Z kim?

– Z Kamalem Ibrahimem – powtórzył porucznik, skupiając wzrok na wysokości moich piersi.

– Ale ja nikogo takiego nie znam.

– Czyżby? – zdziwił się, a następnie podał mi wyjętą z kieszeni marynarki fotografię.

– Był w tym lokalu kilka razy i rozmawiał z tobą – oświadczył, a jego chłodny, rzeczowy i beznamiętny ton sprawił, że aż zadrżałam.

– Teraz sobie przypominam – potwierdziłam cicho, wpatrując się w twarz człowieka, który za jedną noc w swoim hotelowym pokoju oferował mi fortunę. Fotografia musiała zostać wykonana kilka lat wcześniej, ponieważ mężczyzna na zdjęciu wyglądał znacznie młodziej, niż ten, który złożył mi propozycję wkroczenia na drogę nierządu.

– Przyszedł raz czy dwa w ubiegłym tygodniu – wyjaśniłam, oddając zdjęcie – zamówił kawę, a ponieważ mówił wyłącznie po angielsku, ja go obsługiwałam – zakończyłam.

– I tylko tyle?

– Tak.

– A nie składał ci żadnych propozycji?

– Jakich znowu propozycji?

– Na przykład, żebyś poszła z nim do łóżka?

– Proszę pana, ja jestem kelnerką, a nie prostytutką – oświadczyłam, piorunując mężczyznę wzrokiem.

– Jedno nie wyklucza drugiego – mruknął Szewczuk z pewną obleśnością i po raz ostatni prześlizgując się lubieżnym wzrokiem po moim ciele, wstał z krzesła i ruszył do wyjścia.

– A mogę wiedzieć, dlaczego panowie pytają o tego człowieka? – odezwałam się, choć wiedziałam, że w ten sposób przedłużam nasze spotkanie, które jak najszybciej chciałam mieć za sobą. Poza tym moje nagłe zainteresowanie Egipcjaninem mogło wzbudzić ich podejrzliwość. Jednak ciekawość była silniejsza od rozsądku. Cywil przystanął w drzwiach i spojrzał na mnie przez ramię.

– Został zamordowany – odpowiedział, bacznie obserwując moją reakcję.

3 września 1968, wtorek

Przez ostatnie kilka dni moje myśli krążyły wokół dwóch spraw. Pierwszą było morderstwo Egipcjanina. Temat stał się głośny w całym Sopocie, choć nie pisały o nim żadne gazety. Mimo to ludzie przekazywali sobie zasłyszane wiadomości. Jedni twierdzili, że mężczyzna został zadźgany nożem, inni utrzymywali, że ktoś go zastrzelił, a kolejni mówili, że przyczyną śmierci było uduszenie. Ile prawdy kryło się w tych sensacyjnych pogłoskach, tego chyba nikt nie wiedział. Jedno było pewne, turysta z Egiptu, który przyjechał na sopocki festiwal, został zabity. Drugą sprawą było zagadkowe zniknięcie Karola. Jednak ten temat interesował wyłącznie mnie, panią Danutę i Ewę. Od kilku dni Karol przestał przychodzić do kawiarni, co wcześniej raczej się nie zdarzało. Owszem czasami nie było go przez dzień lub dwa, ale teraz od ostatniej wizyty minął ponad tydzień. Dla funkcjonowania lokalu nie miało to znaczenia, bo pani Danuta zarządzała wszystkim doskonale, ale sytuacja nie była normalna.

5 września 1968, czwartek

Dzisiaj, jeszcze przed pracą poszłam do rodziców Karola, aby zapytać, czy wiedzą, co się z nim dzieje. Przyjęli mnie bardzo miło, lecz nie potrafili albo nie chcieli odpowiedzieć na moje pytanie. Przekazali jedynie, że Karol wyjechał, ale twierdzili, że nie mają pojęcia, dokąd i na jak długo. W ich zachowaniu było jednak coś dziwnego. Odniosłam wrażenie, jakby nie byli ze mną do końca szczerzy. Być może Karol rzeczywiście wyjechał, a rodziców poprosił, aby nie mówili nikomu, gdzie teraz jest. Ich spokój zdawał się potwierdzać moje przypuszczenia, dlatego uznałam, że nie ma sensu dalej drążyć tego tematu.

8 września 1968, niedziela

Nawet nie przypuszczałam, że idąc na niedzielny obiad do ciotki Celiny i pana Władysława, właśnie tam dowiem się tego, czego nie chcieli mi powiedzieć rodzice Karola.

– Ostrzegałam cię przed tym Karolem, ale ty jak zwykle nie wzięłaś sobie moich słów do serca – zaczęła ciotka, zbierając puste talerze po zupie.

Jej przytyki dotyczące moich znajomych traktowałam jak obowiązkowy element naszych spotkań. Jednak rzadko kiedy podejmowałam polemikę z ciotką, zdając sobie sprawę, iż jej zapas argumentów był jak przysłowiowy worek bez dna. Tym razem również nie zamierzałam reagować. Jednak ku mojemu zaskoczeniu uczynił to pan Władysław.

– Celino, przestań, przecież Anna nie ma z tym nic wspólnego – powiedział tonem, w którym pobrzmiwała kiepsko skrywana złość. Reakcja mężczyzny zaintrygowała mnie do tego stopnia, że postanowiłam zabrać głos.

– Z czym nie mam nic wspólnego? – zapytałam, patrząc to na ciotkę, to na pana Władysława. Oni z kolei wymienili porozumiewawcze spojrzenia, jakby w ten sposób ustalali, kto powinien udzielić mi odpowiedzi.

– Anno, powinnaś wiedzieć, że ten cały Karol został aresztowany pod zarzutem morderstwa – oznajmiła ciotka i nie czekając na moją reakcję, wyszła do kuchni.

– Celino, co ty za bzdury opowiadasz! – zachnął się pan Władysław. – Milicja wyjaśnia dopiero jego udział w całej sprawie, więc nie opowiadaj bredni.

– Chodzi o zabójstwo tego Egipcjanina? – zapytałam, chcąc się upewnić.

– Tak, podobno Karol był widziany w towarzystwie tego mężczyzny – przyznał pan Władysław – ale z tego, co wiem, a uwierz mi, że moje informacje pochodzą ze sprawdzonych źródeł, nie ma żadnych dowodów mogących go obciążyć – dodał z pewnością człowieka, który wie, co mówi. Fakt, że Karola zatrzymano, wyjaśniał wiele spraw, między innymi skąd milicja wiedziała, że Egipcjanin przychodził do kawiarni. Uświadomiłam sobie również, że przesłuchujący mnie porucznik mógł dowiedzieć się od Karola o propozycjach, jakie cudzoziemiec mi składał. Był więc pewien, że moja odpowiedź była kłamstwem. Wracając do domu, w mojej głowie zrodziło się jeszcze jedno i chyba najgorsze pytanie: A co jeśli Karol rzeczywiście zabił tego człowieka?

20 września 1968, piątek

Dziś po południu, gdy kończyłam pracę, w kawiarni zjawił się Karol. Uśmiechnięty od ucha do ucha, gładko ogolony, ubrany w robiący ostatnimi furorę amerykański jeans, przemywany przez marynarzy, i pachnący wodą kolońską, najpewniej też z przemytu. Widząc go, odebrało mi mowę. Tym bardziej że wcale nie przypominał kogoś, kto ostatni miesiąc spędził w areszcie.

– Cześć, dziewczyny, jak tam interesy? – zapytał wesoło, zupełnie tak, jakbyśmy nie widzieli się zaledwie kilka dni.

– Bardzo dobrze – zapewniła pani Danuta.

– Czyli następnym razem mogę wyjechać na dłużej – mruknął z zadowoleniem i poszedł przygotować sobie kawę.

Raczej nie życzę ci dłuższego pobytu za kratkami – pomyślałam, kasując ostatnie zamówienie. Gdy kilka minut później opuściłam lokal, Karol czekał na mnie na zewnątrz.

– Mogę cię odprowadzić?

– Widzę, że więzienny wikt ci służył – stwierdziłam, ignorując jego propozycje.

– A skąd wiesz? – wyjąkał, rozglądając się dyskretnie wokół, ale na chodniku byliśmy sami, więc nikt nie słyszał tego, co przed chwilą powiedziałam.

– Nieważne – zbyłam jego pytanie. – Ale moja ciotka twierdzi, że Sopot to w gruncie rzeczy niewielkie miasto, w którym nic się nie ukryje – dodałam z tajemniczym uśmiechem. Nie zamierzałam zdradzać pana Władysława, szczególnie że skoro Karol opuścił areszt, to musiał być niewinny.

– To teraz milicja każdemu na odchodne daje jeansowy komplet – zakpiłam, obrzucając jego strój.

– Niestety nie, ale jak się bliżej pozna naszą kochaną władzę, to nie jest ona wcale aż taka zła.

– Ten porucznik, który odwiedził mnie w kawiarni, mógł spokojnie konkurować z miejscowymi pijaczkami – oświadczyłam, ruszając w stronę domu. Przez chwilę szliśmy w milczeniu, a ja zbierałam się na odwagę, aby zadać Karolowi pytanie, które od kilku tygodni nie dawało mi spokoju.

– Zabiłeś go? – zapytałam po prostu, rezygnując z jakichkolwiek pytań wstępnych. Karol spojrzał na mnie, ale nie udzielił odpowiedzi. Nie

wiedziała, czy w ten sposób chciał przetestować moją cierpliwość, a może zastanawiał się, czy powinien powiedzieć prawdę.

– Nie, choć gdybym musiał, zrobiłbym to bez wahania – odpowiedział w końcu, a ja poczułam, jak dziwna lekkość ogarnia mój umysł. Dobrze było wiedzieć, że idący obok mężczyzna nie jest mordercą.

28 września 1968, sobota

Za mną ostatni dzień pracy w kawiarni. Od teraz pani Danuta i Ewa będą sobie musiały radzić same. Jednak ruch po sezonie jest znacznie mniejszy, więc na pewno sobie poradzą. Tym bardziej że nauczyłam Ewę podstawowych zwrotów po angielsku, które pomogą jej, gdyby zjawił się jakiś cudzoziemiec. Teraz mogę już przygotowywać się na studia. Trudno mi uwierzyć, że za kilka dni będę pełnoprawną studentką, a jeszcze tak niedawno bałam się o swoją maturę.

10 października 1968, czwartek

Za mną pierwsze zajęcia, wykłady i ćwiczenia na uczelni, które jasno pokazały, że przez najbliższe pięć lat czeka mnie mnóstwo pracy. Według opiekuna roku każdy, kto decyduje się na studiowanie historii i zamierza specjalizować w archeologii, musi mieć do tego powołanie, bo same chęci to za mało. Być może właśnie dlatego nasza grupa liczy zaledwie piętnastu studentów, podczas gdy na innych kierunkach jest ich dwa, a nawet trzy razy więcej. Z kolei ciotka uważa mój wybór za istne szaleństwo. Jej zdaniem archeolog to zawód bez żadnych perspektyw.

– Dużych pieniędzy z tego mieć nie będziesz, szacunku tym bardziej, więc dlaczego tak się uparłaś? – drążyła, przygotowując Zosię do kąpieli.

– Moim zdaniem to ciekawe zajęcie, dzięki któremu będę mogła podróżować po świecie.

– Najpierw to ci muszą dać paszport – prychnęła ciotka.

– Ty go dostałaś – zauważyłam, przypominając, że ciotka razem z panem Władysławem i Zosią wyjeżdżają za kilka tygodni na zagraniczną wycieczkę. Gdy pierwszy raz o tym usłyszałam, byłam zaskoczona nie tylko samym pomysłem wyjazdu, ale przede wszystkim tym, że zabierają z sobą Zosię, która z takiej wyprawy nic nie zapamięta. zaproponowałam nawet zaopiekowanie się siostrą, ale ciotka oświadczyła, że powinnam skupić się na studiach. Jednak najbardziej dziwił mnie termin wyjazdu. Środek listopada to nie był czas na wojaże. Ciotka podzielała moje zdanie, lecz wyjaśniła, że nie było innego wolnego terminu.

– Tak, ale my wyjeżdżamy za ledwie na kilka dni i to tylko do NRD, a nie na Zachód, a pod Berlinem raczej nie odkopiesz żadnej tajemniczej piramidy – zadrwiła, przenosząc małą Zosię do łazienki. Siostrzyczka, która uwielbiała kąpiel i zabawę w wannie, śmiała się wesoło, a gdy już znalazła się w wodzie, zaczęła radośnie ją rozchlapywać. Ciotka nie zwracała uwagi na dzikie harce Zosi i nawet fakt, że za chwilę połowa zawartości wanny znajdzie się na podłodze, niespecjalnie ją martwił.

– Z tego, co powiedział opiekun roku, pierwsze zagraniczne wyjazdy studenci mają dopiero na trzecim roku, a do tego czasu wiele może się zdarzyć – powiedziałam, przyglądając się z rozczeniem dowodzącej Zosi.

– Nie sądzisz chyba, że komunizm upadnie? – zapytała z przekąsem ciocia, postanawiając zakończyć wodne zabawy Zosi. Mimo protestów wyciągnęła ją z wanny, zawinęła w kocik i ruszyła do drzwi. – Anno, bądź tak miła i powycieraj podłogę – poprosiła, a raczej poleciła, i nie czekając na moją odpowiedź, wyszła z łazienki. Kiedy pięć minut później weszłam do pokoju, domownicy siedzieli przed telewizorem, wpatrzni w pierwszy odcinek serialu *Stawka większa niż życie*. Tematyka wojenna przedstawiana w filmie i literaturze zupełnie mnie nie interesowała, więc wymawiając się nauką, wróciłam do siebie.

19 października 1968, sobota

Od wczoraj ja i Karol znowu trenujemy, przygotowując się do turnieju w Krakowie. Co prawda konkurs dopiero za dwa miesiące, ale zdaniem Karola i tak zaczynamy przygotowania zbyt późno.

– Anka, przecież taka Szewińska nie zaczyna trenować do olimpiady na dwa miesiące przed igrzyskami, tylko przygotowuje się przez cztery lata – zauważył, nawiązując do złotego medalu, jaki poprzedniego dnia nasza biegaczka wywalczyła w Meksyku.

– Nie porównuj nas do wyczynowych sportowców. Dla nich sport jest całym życiem, a dla nas taniec to tylko przygoda i świetna zabawa – powiedziałam, uważając, że stawianie nas w jednym szeregu z mistrzynią olimpijską jest grubym nadużyciem.

– Anka, mów za siebie. Ja traktuję taniec bardzo poważnie – oświadczył Karol. Słyszając taką deklarację, pomyślałam, że skoro nasze podejście do tańca jest tak różne, to wcześniej czy później będzie musiał poszukać nowej partnerki.

7 listopada 1968, czwartek

Wybrałam się dziś do kina na głośno zapowiadaną premierę *Lalki*. Nie, żebym powieść Prusa darzyła szczególnym sentymentem, ale w repertuarze nie było niczego ciekawszego, a poza tym chciałam zobaczyć, jak Has poradził sobie z powieścią, w której mnóstwo było monologów opisujących wewnętrzne rozterki Wokulskiego. Po seansie miałam jednak mieszane uczucia. Z jednej strony nie dostrzegłam w filmie tego, co moim zdaniem było sensem powieści, czyli problemów społecznych ówczesnej Warszawy. Jednak warstwa wizualna dzieła zrobiła na mnie pozytywne wrażenie. Podobnie jak gra aktorska Tyszkiewicz, która w roli Izabeli Łęckiej odnalazła się doskonale. Kiedy odebrałam płaszcz z szatni i skierowałam się do wyjścia, dostrzegłam w tłumie

znajomą postać doktora Piechockiego. Lekarz także mnie zauważył i ruszył w moją stronę. Przywitał się, zapytał o zdrowie ciotki, a gdy odpowiedziałam, że nic jej nie dolega, no może poza miłością, uśmiechnął się lekko.

– Jednym słowem pani Celina przeżywa drugą młodość – skwitował lekarz.

– Coś w tym rodzaju – potwierdziłam.

– A co pani sądzi o filmie? – zapytał, zmieniając temat.

– Mówiąc szczerze, mam mieszane uczucia, Chyba nie tego oczekiwałam – powiedziałam, ustawiając się w kolejce do wyjścia.

– Naprawdę? A ja myślałem, że współczesna młodzież lubi nowoczesne interpretacje klasyki.

– To zależy od sposobu, w jaki ta klasyka zostanie zinterpretowana – odpowiedziałam. Mężczyzna spojrzał na mnie badawczo, a później zrobił coś, czego zupełnie się nie spodziewałam, zaprosił mnie na kawę, wyjaśniając, że chciałby poznać moją pełną opinię o filmie.

– Z zaproszenia chętnie skorzystam – powiedziałam, uznając, że godzina spędzona w towarzystwie Piechockiego będzie miłą odmianą po rutynie ostatnich tygodni, odmierzanych przez odwiedziny u ciotki, spacerów z Zosią, dni spędzane na uczelni i treningi z Karolem. – Obawiam się jednak, że moja recenzja filmu nie będzie ani zbyt obszerna, ani tym bardziej ciekawa – dodałam, szczerzej otulając szyję szalikiem. Choć był dopiero początek listopada, zimne wieczory przypominały o mijającej jesieni i zbliżającej się wielkimi krokami zimie.

– Ośmielam się mieć inne zdanie – zaprotestował mężczyzna.

– Tylko proszę pamiętać, że ostrzegałam – wyszeptałam, gdy kilka minut później otworzył przede mną drzwi do niewielkiej kawiarni. W lokalu unosił się intensywny aromat parzonej kawy, a stoliki nakryte

białymi obrusami, na których stały zapalone świece, dodawały wnętrzu elegancji.

– Nigdy tu nie byłam – przyznałam, rozglądając się z zaciekawieniem po ścianach, na których wisiało kilka obrazów, przedstawiających morskie pejzaże.

– To szkoda, bo dają tu jedną z najlepszych kaw w Sopocie – zapewnił lekarz, dyskretnym ruchem głowy przywołując kelnera. Zamówiliśmy kawę, po porcji domowego sernika i kieliszku czerwonego wina.

– Na kawę trzeba będzie trochę poczekać, ponieważ przygotowujemy ją w tygielku – przeprosił kelner – ale wino zaraz podam – obiecał.

– Wie pani, dlaczego we Francji średnia długość życia jest o kilka lat dłuższa niż w innych państwach świata? – zapytał Piechocki, gdy kelner postawił przed nami kieliszki.

– Podobno ma to związek z winem – odpowiedziałam, przypominając sobie czytany kiedyś artykuł.

– Tak, ma pani rację, chodzi o wino, szczególnie czerwone – potwierdził lekarz. – Zawiera ono duże ilości antyoksydantów. Ma ich znacznie więcej niż wino białe. Jest to związane z procesem jego fermentacji. Nie wiem, czy pani wie, ale w procesie produkcji wina czerwonego wykorzystuje się całe grona winogron razem ze skórką, pestkami i szypułkami. To właśnie w pestkach i skórcie znajduje się najwięcej cennych polifenoli. Mają zbawienny wpływ na nasz organizm. Hamują procesy zakrzepowe i lepiej zaopatrują serce w tlen. Usprawniają również przepływ krwi dzięki silnemu działaniu rozkurczowemu. Sprzyjają też obniżeniu poziomu cholesterolu, zwalczają wolne rodniki i posiadają właściwości antynowotworowe – wyliczał Piechocki. Słuchając, z jaką fascynacją i zaangażowaniem opowiada o winie, przypominałam

sobie jednego z moich wykładowców, który w podobny sposób prowadził wykłady o historii Egiptu.

– Jednak aby skorzystać z tych cudownych właściwości wina, trzeba zachować umiar w jego spożywaniu – zakończył i z lekkim uśmiechem uniósł kieliszek do ust. Idąc za jego przykładem, również spróbowałam wina. Było chłodne i słodkie. – Może to nie klasyk z francuskich winnic – zauważył Piechocki, wymieniając nazwy win, o których nigdy w życiu nie słyszałam – ale jakie czasy, takie wino – podsumował filozoficznie.

– Ja nie znam się na winach, ale widzę, że pan jest chyba ich koneserem.

– Przed wojną mój wuj miał jedną z najlepszych winiarni w Wilnie. To tam nauczyłem się o winach wszystkiego, co wiem – zaczął mężczyzna i na kilka minut zanurzył się w przeszłość. Dopiero nadejście kelnera z kawą przywróciło go do rzeczywistości.

– Widzę, że zamiast słuchać o wrażeniach, jakie zrobiła na pani *Lalka*, zanudzam panią historiami z lamusa.

– Po pierwsze nie nudza mnie pan, a po drugie miło jest posłuchać o mieście, z którego pochodzi moja rodzina – zapewniłam, unosząc filiżankę do ust. Już pierwszy łyk uświadomił mi, że Piechocki miał rację, mówiąc, że kawa w tym miejscu jest wyjątkowo dobra. – Może mi pan powiedzieć, jaka ona była? – zapytałam nagle i choć nie wypowiedziałam imienia swojej matki, oboje wiedzieliśmy, o kogo pytam.

– Przed wojną bardzo wesoła, a nawet według niektórych nieznośna, w czasie okupacji odważna, a później chyba rozsądna – odpowiedział lekarz, uciekając spojrzeniem gdzieś w bok.

10 listopada 1968, niedziela

Wróciłam dzisiaj z Warszawy, gdzie spędziłam dwa dni. Ten wyjazd planowałam już od pewnego czasu, ale zawsze coś stawało mi na

przeszkodzie. Babcia Irena nie wygląda najlepiej. Bardzo schudła i szybko się męczy. Podejrzewam, że jest chora, choć sama uparcie twierdzi, że nic jej nie dolega. Mnie jednak nie oszuka. Mam zamiar jutro zatelefonować do doktora Piechockiego i poprosić, aby pojechał do Warszawy i zbadał babcię. Może to przecież zrobić pod pretekstem odwiedzin. Tylko nie wiem, czy będzie chciał?

11 listopada 1968, poniedziałek

Zgodnie z postanowieniem zatelefonowałam do Piechockiego. Mój telefon wyraźnie go zdziwił, jednak jeszcze bardziej był zaskoczony, gdy poprosiłam o spotkanie. Wolałam osobiście porozmawiać z nim o babci Irenie.

– Pani Anno, bardzo chętnie, ale przez cały ten tydzień pracuję na popołudniowym dyżurze.

– To możemy się spotkać do południa – zaproponowałam.

– A czy w tym czasie nie ma pani zajęć? – zapytał tak, jakbym wciąż była licealistką, a nie studentką.

– Zasadniczo tak, ale dwóch profesorów wyjechało do Warszawy na piąty zjazd PZPR, więc mamy wolne – wyjaśniłam.

– To macie na uczelni wybitnych przedstawicieli świata nauki – zauważył z ironią.

– Oczywiście, a jak znam życie, to po powrocie z wielką dumą, będą oznajmiali: „Tą dłonią uścisnąłem prawicę towarzysza Breżniewa” – zadrwiłam i nie mogąc powstrzymać rozbawienia, głośno się roześmiałam. Jednak mojemu rozmówcy nie było do śmiechu. Poważnym tonem stwierdził, że z pewnych spraw lepiej nie żartować, bo czasami ściany mają uszy. Ustaliliśmy, że spotkamy się następnego ranka na molo, a później zdecydujemy, co dalej.

12 listopada 1968, wtorek

Gdy kilka minut po dziesiątej dotarłam na molo, Piechocki już na mnie czekał. Stał przy barierce i spoglądał w morze, które tego dnia było wyjątkowo spokojne. Mimo słonecznej i bezwietrznej pogody, po molo spacerowało zaledwie kilkanaście osób. Lekarz musiał usłyszeć moje kroki, bo w pewnym momencie odwrócił się i oparł plecami o grubą drewnianą balustradę.

– Dzień dobry, miło panią widzieć – powiedział, mrużąc oczy przed ostrym listopadowym słońcem.

– Ja też się cieszę – odpowiedziałam, gorączkowo myśląc, jak dalej poprowadzić naszą rozmowę, aby skierować ją na temat babci Ireny. Ostatecznie uznałam, że najlepiej będzie zagrać w otwarte karty. – Panie doktorze, poprosiłam o spotkanie, ponieważ martwię się o babcię Irenę – powiedziałam, a następnie w kilku zdaniach opisałam swój pobyt w Warszawie i poczynione obserwacje. – Może mógłby pan z nią porozmawiać, przekonać do zrobienia badań – zakończyłam, patrząc na mężczyznę błagalnym wzrokiem.

– Irena jest bardzo uparta – stwierdził po chwili zastanowienia.

– Zdążyłam to zauważyć – wtrąciłam – ale może pana posłucha?

– No nie wiem – westchnął ciężko Piechocki. – Spróbuję – obiecał, posyłając mi pokrzepiający uśmiech.

– To może teraz, gdy najważniejsze mamy już za sobą, da się pani zaprosić na spacer?

– Bardzo chętnie – zgodziłam się bez wahania, dodając, że trzeba korzystać z pięknej pogody, bo nie wiadomo kiedy jesień znowu sprawi nam taką miłą niespodziankę.

16 listopada 1968, sobota

Dzisiaj znowu byłam w Warszawie, ale nie sama, tylko z Piechockim. Lekarz zatelefonował do mnie w czwartek i poprosił, abym towarzyszyła mu podczas wizyty u babci Ireny. Początkowo zamierzałam poszukać wymówki, sądząc, iż sam szybciej przekona babcię do zrobienia badań. Jednak jego zdaniem moja obecność mogła mu w tym pomóc. Dlatego zgodziłam się pojechać. Ustaliliśmy, że najlepszym dniem na odwiedzinę będzie sobota. Piechocki miał wtedy wolne, a ja musiałam jedynie odwołać trening z Karolem. W pierwszej chwili chłopak nie był zadowolony, a nawet zasugerował, że nie zależy mi na grudniowych zawodach w Krakowie. Jednak kiedy poznał powód odwołania treningu, okazał zrozumienie.

Z Sopotu wyjechaliśmy bardzo wcześnie i już przed dziesiątą wysiedliśmy w stolicy. Ledwie opuściliśmy dworzec, a natychmiast zostaliśmy wylegitymowani przez patrol milicji, której wszędzie było pełno.

– W jakim celu przyjechali państwo do Warszawy? – zapytał milicjant, przyglądając się nam podejrzliwie i dokładnie oglądając nasze dokumenty.

– Odwiedzić krewnych – odpowiedział Piechocki. Jednak takie wyjaśnienie nie wystarczyło. Dopiero gdy podaliśmy adres babci Ireny, pozwolono nam odejść.

– A co ich tu tyle? – zapytałam szeptem.

– Dzisiaj nasza kochana partia kończy omawianie fundamentalnych kwestii, służących rozwojowi socjalizmu – przypomniał lekarz, a jego konspiracyjny ton, przepełniony ironią, wywołał uśmiech na mojej twarzy.

Babcia Irena nie była specjalnie zaskoczona naszym przyjazdem.

– Wiedziałaś, że nie odpuścisz – powiedziała, spoglądając na mnie z lekkim wyrzutem – ale nie przypuszczałam, że poszukasz posiłków – dodała, przyglądając się uważnie Piechockiemu.

– Dzień dobry, pani Ireno – odezwał się lekarz, próbując ukryć wzruszenie. Widać było, że to spotkanie jest dla niego dużym przeżyciem.

– Witaj, Bolesławie. Od naszego ostatniego spotkania minęło sporo czasu – zauważyła babcia. Lekarz nic nie odpowiedział, tylko speszony skinął głową, jakby wzmianka o minionych latach miała być formą pretensji.

– To może ja zrobię herbatę – zaproponowałam, chcąc przerwać krępującą ciszę.

– Wykluczone! – zaprotestowała babcia, ruszając do kuchni. – To wy jesteście moimi gośćmi, a nie odwrotnie – przypomniała, prosząc, abyśmy usiedli przy stole. Piechocki usiadł na miejscu, z którego widział swoją ślubną fotografię. Nie wiedziałam, czy uczynił to specjalnie, ale dostrzegłam, że co jakiś czas przygląda się mojej matce, a swojej żonie, z którą najpierw rozdzieliła go wojna, a później odebrał mu ją człowiek, uważający się za jego przyjaciela.

– Jak ci się żyje w tym Sopocie? – spytała babcia, stawiając na stole tacę z filiżankami i czajnikiem, z którego unosił się aromat herbaty.

– Nie mogę narzekać. Mam pracę, mieszkanie i świeże morskie powietrze – odparł lekarz, swoją odpowiedzią wywołując uśmiech na pomarszczonej twarzy babci.

– Widzę, że wciąż z dużą dozą ironii podchodzisz do życia – skwitowała babcia, drżącą ręką nalewając herbatę do filiżanek.

– Staram się dopasować do sytuacji, a ta jest tak nieciekawa, że tylko ironia pozwala mi każdego dnia wstać i spojrzeć w lustro.

– Masz rację, czasy teraz są mało optymistyczne – potwierdziła babcia.

– Pani Ireno, Anna bardzo się o panią martwi i nie ukrywam, że ja także jestem zaniepokojony – zaczął Piechocki, zmieniając temat rozmowy.

– Każdy kiedyś musi umrzeć – przerwała babcia.

– To odwieczne prawo natury – potwierdził lekarz – ale obecnie większość chorób jest wyleczalna, więc warto skorzystać z szansy, jaką daje medycyna...

– I dlatego przyjechaliście, aby zmusić mnie do wizyty u lekarza – dopowiedziała babcia.

– Nie zmusić, ale przekonać – wtrąciłam, mając nadzieję, że razem z Piechockim zdołamy pokonać upór babci Ireny. Jednak staruszka nie zamierzała tak łatwo kapitulować, więc dopiero po dwóch godzinach zgodziła się na wizytę w jednym z warszawskich szpitali, gdzie pracował dobry znajomy Bolesława, który obiecał dokładnie zbadać babcię Irenę.

2 grudnia 1968, poniedziałek

Uświadomiłam sobie, że moja znajomość z doktorem Piechockim zmierza w kierunku, którego zupełnie nie przewidziałam. Od pamiętnego wyjazdu do Warszawy spotkaliśmy się kilka razy, aby porozmawiać o babci Irenie. Po badaniach okazało się, że ma ona nadciśnienie, lecz poza tym nic więcej jej nie dolega. Lekarze zalecili regularne zażywanie leków, co według nich powinno pomóc. Mimo tak optymistycznych wiadomości Piechocki nie poprzestał na jednym spotkaniu i kilka dni później zaproponował następne. Tym razem o babci nie rozmawialiśmy prawie wcale, a dwie godziny upłynęły nam na dyskusji o tym, co ostatnio czytaliśmy, oglądaliśmy i słuchaliśmy. Od tego czasu zaczęliśmy regularnie odwiedzać małą klimatyczną kawiarenkę. Jednak dopiero wczoraj, gdy podczas kolejnego spotkania wręczył mi bukiet róż, a kiedy rozstawaliśmy się przed moją kamienicą, powiedział, że jestem bardzo piękna, zrozumiałam jego zamiary. Najdziwniejsze jest jednak to, że nie mam nic przeciwko nim.

6 grudnia 1968, piątek

Podczas dzisiejszego treningu Karol zapytał, co łączy mnie z Piechockim. W pierwszej chwili zaniemówiłam, bo takiego pytania z jego strony zupełnie się nie spodziewałam.

– A skąd wiesz, że coś nas łączy? – rzuciłam, czując, jak zaczyna wzbierać we mnie złość. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że wcześniej, czy później ludzie zaczną plotkować, ale nie podejrzewałam, że Karol będzie jednym z nich. Tym bardziej że do tej pory moja relacja z Bolesławem nie wykraczała poza ramy spotkań w kawiarni, spacerów i kilku komplementów z jego strony.

– I w ogóle jakim prawem wchodzisz z butami w moje życie? – warknęłam, piorunując go wzrokiem.

– Po pierwsze nie wtrącam się do twojego życia, a tylko pytam ze zwykłej przyjacielskiej troski. Od kilku osób słyszałem, że bardzo często ty i Piechocki jesteście widywani razem. Po drugie jesteś już dużą dziewczynką i możesz robić, co tylko chcesz – odpowiedział, zachowując spokój, a nawet lekko się uśmiechając.

– Przepraszam, sądziłam, że masz zamiar mnie umoralniać albo – co gorsza – robić jakieś sceny – bąknęłam zawstydzona swoim wybuchem.

– Ja sceny? – Karol roześmiał się. – Przecież prócz przyjaźni i tańca nic nas nie łączy, więc trudno, abym był o ciebie zazdrosny – przypomniał, próbując opanować śmiech.

– Spotykamy się co jakiś czas, ale nic poza tym – potwierdziłam, nie zagłębiając się w szczegóły mojej relacji z Bolesławem.

– Uważam, że porządny z niego facet – przyznał Karol – tylko ma już swoje lata – dodał, a widząc moją nerwową reakcję, stwierdził, że miłość nie powinna zaglądać w metrykę.

7 grudnia 1968, sobota

Siedzę i próbuję odpisać na ostatni list Hani. U niej trwają gorączkowe przygotowania do ślubu, który wyznaczono na początek lutego. Jednak zamiast skreślać kolejne wersy, rozmyślam o tym, co wczoraj Karol powiedział o miłości i metryce. Początkowo uznałam jego słowa za bardzo mądre. Przecież związki młodych kobiet ze starszymi od siebie mężczyznami nie należą do rzadkości. Wystarczy wspomnieć Gombrowicza i Ritę Labrosse. Jednak to, czego doświadczyłam dziś w jednej z gdańskich restauracji, do której wybraliśmy się z Bolesławem na obiad, każe mi spojrzeć na kwestię wieku trochę inaczej. Obsługujący nas kelner był przekonany, że ma do czynienia z ojcem i córką. Gdy podawał deser, zapytał: „A dla córki które ciasto?” – czym wprowadził mnie w zakłopotanie, a Piechockiego w zażenowanie. Choć natychmiast po odejściu kelnera spróbowałam obrócić incydent w żart, to Bolesławowi nie było do śmiechu, a jego beztroski nastrój nagle prysł.

9 grudnia 1968, poniedziałek

Dziś są moje kolejne, już dziewiętnaste urodziny i spędzam je zupełnie sama. Co prawda po zajęciach odwiedziła mnie ciocia z panem Władysławem i Zosią, ale byli tylko chwilę, bo za dwa dni wyjeżdżają na wycieczkę do Berlina. Ponownie zaproponowałam, aby zostawili Zosię pod moją opieką, lecz i tym razem ciotka odmówiła. Po ich wyjściu otworzyłam czerwone wino, kupione specjalnie na tę okazję. Miałam nadzieję wypić je w jakimś miłym towarzystwie, lecz nie zjawił się nikt, kto chciałby ze mną świętować. Podświadomie liczyłam na Bolesława, ale on od niedzieli nie dał znaku życia. Napełniłam więc kieliszek i popijając cenne polifenole, zaczęłam przeglądać swój pamiętnik. Gdy dotarłam do wpisu ze swoich osiemnastych urodzin, mój nastrój jeszcze bardziej się pogorszył. Z paczki, która wtedy świętowała moją pełnoletność, jedna osoba nie żyła, kolejne dwie wyjechały daleko stąd, a z pozostałymi nawet nie wiedziałam, co się

stało. Jedynie Karol przypominał mi o kilku szalonych miesiącach ostatniej klasy liceum. Sączyłam wino, czytałam swoje przemyślenia i nim minęły dwie godziny, butelka była pusta.

10 grudnia 1968, wtorek

Dzisiejszy ranek nie zapowiadał się najlepiej. Obudził mnie ból głowy, będący zapewne konsekwencją kilku kieliszków czerwonego wina, wypitych w samotności.

Alkohol to jednak podstępny wróg – pomyślałam, przypominając sobie, że gdy kładłam się spać, głowa wcale mnie nie bolała, a sądząc po zapiskach w pamiętniku, nawet nie miałam problemów z utrzymaniem długopisu. Wiedząc, że czeka mnie kilka ciężkich godzin na uczelni, wstałam i za radą, której kiedyś udzieliła mi Hania, połknęłam dwie aspiryny. Zdaniem przyjaciółki taka dawka postawi na nogi nawet pijanego niedźwiedzia. Następnie wypiłam gorącą herbatę, zjadłam kilka sucharów i szczelnie opatulona, bo termometr za oknem wskazywał minus osiemnaście stopni, opuściłam mieszkanie. Jakież było moje zdziwienie, gdy na kłamce od strony korytarza zobaczyłam powieszony bukiet czerwonych róż. Gdy minął pierwszy szok, zdjęłam kwiaty i z powrotem weszłam do mieszkania. Domyślałam się, że róże pochodzą od Bolesława. Jednak nie miałam pojęcia, dlaczego postanowił przekazać je w tak dziwny sposób. Wyjaśnienie tej zagadki znalazłam w bileciku dołączonym do bukietu: „Dzwoniłem, ale chyba masz zepsuty dzwonek, a na pukanie też nie reagowałaś” – przeczytałam i poczułam, że ten dzień, choć zaczął się koszmarne, może się jeszcze całkiem dobrze skończyć.

11 grudnia 1968, środa

Wczoraj po zajęciach zatelefonowałam do Bolesława, aby podziękować za kwiaty i zaprosić go na spóźnioną kolację urodzinową. Niestety jego

domowy numer milczał, a w szpitalu powiedziano, że doktor Piechocki bada teraz pacjentów. Poprosiłam więc o przekazanie wiadomości i zabrałam się za przygotowywanie kolacji. Dzięki pani Jadzi, której rodzina ze wsi regularnie dostarczała mięso, mogłam ugościć Bolesława polędwiczkami duszonymi w borowikach. Największe zasługi w powstaniu potrawy miała oczywiście kochana pani Jadzia. Sąsiadka nie tylko dostarczyła produkty, ale też zdradziła przepis, a nawet instruowała, co mam robić. Danie wyglądało smakowicie, lecz cóż z tego, skoro Bolesław nie oddzwonił, a wiszący na ścianie zegar wskazywał szóstą wieczorem. Siedząc przy stole nakrytym dla dwóch osób, zaczynałam godzić się z myślą, że i dzisiaj będę musiała sama wypić otwartą już butelkę wina, a dodatkowo zjeść dwie porcje polędwiczek. Gdy już straciłam nadzieję, usłyszałam dzwonek telefonu.

– Witaj, Anno, przekazano mi, że dzwoniłaś – usłyszałam w słuchawce zmęczony głos Bolesława. – Wybacz, że oddzwaniam dopiero teraz, ale dzisiaj miałem sporo pracy – przeprosił, a jego słowom towarzyszyło ciężkie westchnienie.

– Chciałam podziękować za kwiaty i zaprosić cię na spóźnioną urodzinową kolację – powiedziałam, dodając, że zrobiłam wyśmienite polędwiczki i mam butelkę czerwonego wina.

– Bardzo miło z twojej strony, ale ja dopiero za dwie godziny kończę dyżur.

– Dwie godziny to nie wieczność, więc nie umrę z głodu – zapewniłam, dodając, że dzwonek rzeczywiście jest zepsuty i powinien głośno zapukać.

– To trochę późna pora, a ty pewnie jutro musisz wstać na zajęcia, więc...

– Możesz przestać gadać bzdury i nie traktować mnie jak jakiegoś podlotka? – wrzasnęłam, wchodząc mu w słowo. Cisza, która nagle

zapanowała, wskazywała, że takiej reakcji Bolesław się nie spodziewał. – Przyjedziesz? – zapytałam po chwili, przerywając niezręczne milczenie.

– Tak – obiecał, czym sprawił mi ogromną radość, której jednak towarzyszyło przekonanie, że nie do końca robi to z własnej woli.

Bolesław zjawił się tuż przed dziewiątą. Na powitanie pocałował mnie w policzek i wręczył małe pudełeczko, owinięte ozdobnym papierem.

– Wszystkiego najlepszego, Anno – wyszeptał, gładząc mnie po włosach. Gest choć czuły, bardziej przypominał ojcowską troskę, niż męskie zainteresowanie, a to właśnie tego drugiego oczekiwałam.

– Bardzo dziękuję – powiedziałam, przywierając mocno do Bolesława. Ten objął mnie z delikatnością, pozbawioną jakiegokolwiek zdecydowania.

– Czy ty się mnie boisz? – zapytałam, patrząc mu prosto w oczy.

– Ciebie nie.

– To kogo?

– Siebie – wyznał – a dokładniej tego, że mogę stracić głowę – dodał, odwieszając płaszcz na wieszak.

– Gilotyny nie mam, więc możesz czuć się bezpieczny – zażartowałam i poszłam zaparzyć herbatę.

– Wiesz, że wczoraj sama wypiliśmy całą butelkę wina – powiedziałam, gdy pół godziny później zasiedliśmy do kolacji.

– To teraz już wiem, dlaczego nie słyszałaś mojego pukania – mruknął Bolesław – a przy okazji musisz wiedzieć, że tylko wino pite w małych ilościach wspomaga nasze zdrowie – przypomniał, napełniając kieliszki do połowy. W miarę jak połówki zniknęły z naszych talerzy, ubywało też wina w butelce, a mój gość jakby zapomniał o wygłoszonej kilka kwadransów wcześniej zasadzie umiaru. Gdy przyszła pora na deser, Piechocki ze zdziwieniem spojrział na pustą butelkę.

– I myśmy to wszystko wypili? – zapytał, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Spokojnie, w lodówce jest jeszcze jedna – oznajmiłam, stawiając na stole pucharki wypełnione budyniem z bakaliami.

– Wino w nadmiarze, młoda kobieta i stary mężczyzna to kiepskie połączenie – oznajmił nagle Bolesław.

– Ja jestem innego zdania – zaprotestowałam i niewiele myśląc, usiadłam mu na kolanach. Moje zachowanie tak go zaskoczyło, że zareagował dopiero wtedy, gdy zarzuciłam mu ręce na szyję i zaczęłam całować po twarzy. Jednak nie była to reakcja, jakiej się spodziewałam.

– Anno, to nie jest dobry pomysł – oznajmił stanowczym i prawie trzeźwym głosem. Zaprzestałam pieszczot i spojrzałam na niego zdziwiona.

– Dlaczego tak uważasz? – wyszeptałam, zabierając ręce z jego szyi. Czułam, jak moje policzki zaczynają płonąć, ale nie z podniecenia czy pożądania, tylko ze wstydu. Piechocki milczał, a we mnie narastała niezrozumiała złość.

– Nie podobam ci się? – rzuciłam, chcąc zmusić go do odpowiedzi.

– Nie o to chodzi...

– To o co? –

– Jesteś młoda – zaczął Bolesław – i nawet za dziesięć czy piętnaście lat wciąż będziesz atrakcyjną kobietą. Ja natomiast mam już swoje lata, a każdy kolejny rok będzie odciskał na mnie swoje piętno. Dlatego uważam, że nie powinniśmy zaczynać czegoś, czego oboje za jakiś czas będziemy żałować – zakończył, a ja nie potrafiłam zrozumieć czemu, teraz gdy wystarczyło zrobić jeden krok, aby przekroczyć granicę, za którą zaczyna się miłość, on nagle postanowił uciec, zasłaniając się różnicą

wieku. Choć ja widziałam nas w zupełnie innym świetle, nie zamierzałam prosić ani błagać o uczucie.

14 grudnia 1968, sobota

Chociaż od spotkania z Bolesławem minęły już trzy dni, wciąż nie potrafię dojść do siebie. Nawet Karol podczas treningu zauważył moje rozkojarzenie i kilka razy upominał mnie, abym się skoncentrowała na tańcu.

– Ja wiem, że miłość potrafi przesłonić cały świat i zawrócić w głowie – zażartował, gdy kolejny raz pomyliłam kroki – ale za tydzień mamy turniej i chciałbym, abyśmy go wygrali – dodał znacznie poważniejszym tonem.

– To nie żadna miłość, tylko studia – skłamałam, próbując skupić się na kolejnych figurach.

– Studia? Przecież pierwszy rok jest zawsze najłatwiejszy – oświadczył, wykonując Arroje, będącą wstępem do Calesity.

– Może na dziennikarstwie, bo u nas orzemy jak średniowieczne woły – odpowiedziałam, przytaczając słowa jednego z kolegów.

– No teraz było idealnie – uznał Karol, gdy zakończyłam obrót na palcach.

– W takim razie zróbmy przerwę – poprosiłam i nie czekając na zgodę, wykończona treningiem padłam na krzesło.

– Widzę, że wybierasz się na imprezę – powiedział Karol, przysiadając obok.

– Na imprezę? – spojrzałam na niego zdziwiona.

– Skoro masz prezent – wskazał na owinięte ozdobnym papierem pudełeczko, leżące na parapecie. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że nie otworzyłam prezentu od Bolesława. Jednak rozpakowywanie go przy Karolu uznałam za nie najlepszy pomysł, zwłaszcza że nie wiedziałam, czym Bolesław postanowił mnie obdarować. Dopiero godzinę później,

kiedy zostałam sama, otworzyłam pudełko. W środku znalazłam parę złotych kolczyków w kształcie gwiazdek.

Sam na pewno tego nie wybierał – pomyślałam, chowając kolczyki do szuflady toaletki.

15 grudnia 1968, niedziela

Niedzielne obiady u cioci i pana Władysława stały się swego rodzaju tradycją, w której tylko kilka razy nie brałam udziału. Co prawda bardzo często musiałam się wtedy mierzyć z komentarzami ciotki, dotyczącymi mojego życia, ale dziś miałam nadzieję, że jej uwaga będzie skoncentrowana na wrażeniach z wycieczki do Berlina. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy po pierwszym dzwonku nikt mi nie otworzył. Najpierw pomyślałam, że odsypiają podróż i zwyczajnie nie słyszą dzwonka. Z tego, co mówiła ciocia, mieli wrócić w nocy z soboty na niedzielę. Jednak gdy przez kolejny kwadrans nikt nie odpowiadał na dzwonienie i pukanie, stało się jasne, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Sytuacja, choć dziwna, nie musiała oznaczać niczego złego. Przecież mógł się popsuć autobus, a biorąc pod uwagę aurę, nie można było tego wykluczyć. Dlatego początkowo zbytnio się nie przejmowałam. Wróciłam do siebie i zamiast pysznego domowego obiadu, zjadłam średnio smaczną jajecznicę. Później próbowałam się uczyć, ale nieobecność cioci, pana Władysława i Zosi skutecznie mnie dekoncentrowała. Dzwoniłam do nich co kilkanaście minut, jednak nikt nie odbierał telefonu. Mój niepokój wzrósł, kiedy wieczorem, idąc ponownie do ich mieszkania, zobaczyłam, że w oknach nie pali się światło. Zadzwoiłam, ale i tym razem nikt nie zareagował na dźwięk dzwonka. Korzystając z zapasowych kluczy, otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Pierwszym, co mnie zastanowiło, był dziwny zapach. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że taki zaduch panuje w niewietrzonych pomieszczeniach. Na pierwszy rzut oka

mieszkanie wyglądało normalnie, choć jedna rzecz była zastanawiająca. Z pokoju dziennego zniknął obraz Zofii Stryjeńskiej, a także kilka rodzinnych fotografii. Jednak poza tym wszystko było na swoim miejscu. Mimo to chodząc po mieszkaniu, odczuwałam coraz większy niepokój. Najgorsze było jednak to, że nie miałam pojęcia, co robić. W końcu uznałam, że muszę poszukać pomocy.

Podeszłam do stojącego na komodzie telefonu i przez chwilę zastanawiałam się, kto w tej sytuacji może mi coś doradzić. Możliwości nie miałam zbyt wielu, co z jednej strony ułatwiało wybór, ale z drugiej mocno go ograniczało. Mogłam zatelefonować do Bolesława, choć ten pomysł wydał mi się kiepski. Biorąc pod uwagę atmosferę, w jakiej zakończyło się nasze ostatnie spotkanie, wątpiałam, aby Piechocki w ogóle chciał ze mną rozmawiać. Dlatego wybór padł na Karola. Podejrzewając, że może być jeszcze w kawiarni, podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer do lokalu. Okazało się, że moje przeczucia były słuszne.

– Karol, mam pewien problem – powiedziałam, gdy poproszony przez panią Danutę podszedł do telefonu.

– Problem? – zdziwił się, a ja zaczęłam żałować, że zadzwoniłam właśnie do niego. W jego głosie nie usłyszałam żadnej nuty empatii. Jednak gdy wyluszczyłam sprawę, natychmiast okazał zainteresowanie i obiecał przyjechać. Zjawił się po dwudziestu minutach, obejrzał mieszkanie, zapytał o kilka moim zdaniem mało istotnych kwestii, a następnie oświadczył, że najpierw trzeba obdzwonić szpitale i sprawdzić, czy nie było jakiegoś wypadku. Słowo wypadek natychmiast przypomniał mi rodziców, a myśl, że ciocię, pana Władysława i małą Zosię spotkał podobny los, na moment mnie sparaliżowała. Karol, widząc moją niemoc, przejął inicjatywę i przez kolejne pół godziny telefonował do wszystkich trójmiejskich szpitali, ale ten trop okazał się fałszywy. Gdy odetchnęłam

z ulgą, uświadomił mi, że jeśli wypadek miał miejsce gdzieś na trasie lub za granicą, to na jakąkolwiek informację będzie trzeba poczekać nawet kilka dni.

– W tej sytuacji najlepsze, co możesz zrobić, to wrócić do siebie i pójść spać – poradził, proponując odprowadzenie mnie do mojego mieszkania i dotrzymanie mi towarzystwa.

16 grudnia 1968, poniedziałek

Wydarzenia dzisiejszego dnia po raz kolejny przewróciły mój świat do góry nogami. Pierwsze uderzenie nastąpiło wczesnym rankiem, gdy zbudziło mnie natarczywe pukanie do drzwi. Nim zdążyłam wstać i sprawdzić, kto przyszedł, Karol, który został na noc i spał w pokoju dziennym, był już w korytarzu.

– Czy zastaliśmy obywatelkę Annę Jawor? – usłyszałam stanowczy męski głos i od razu wiedziałam, kim są moi goście. Określenia „obywatelka” używali tylko urzędnicy i milicjanci. Niezapowiedziana wizyta mundurowych i to o tak wczesnej porze sprawiła, że wszystkie moje złe przeczucia nagle zaczęły się materializować. Jeśli do tej pory odsuwałam myśli, że cici i Zosi coś się stało, to obecność milicji kazała mi porzucić wszelką nadzieję. Pośpiesznie narzuciłam szlafrok i wyszłam z sypialni. W korytarzu zobaczyłam sześciu mężczyzn. Dwóch w mundurach i czterech po cywilnemu.

– Panowie do mnie? – zapytałam, wodząc po obecnych zdziwionym spojrzeniem.

– Rozumiem, że obywatelka Anna Jawor to pani? – upewnił się jeden z mundurowych.

– Tak, a mogę wiedzieć, o co chodzi?

– A ten obywatel to kto? – milicjant, ignorując moje pytanie, wskazał na Karola.

– Znajomy – odpowiedziałam.

– Ciekawych ma obywatelka znajomych – mruknął jeden z mężczyzn ubranych po cywilnemu, polecając Karolowi okazanie dowodu osobistego.

– Obywatel jest wolny – oświadczył po chwili. – Proszę się ubrać i opuścić mieszkanie, a obywatelka pojedzie z nami na komisariat. Dodatkowo informuję, że mamy nakaz przeszukania tego...

– Na jaki komisariat? Jakie przeszukanie? – weszłam mężczyźnie w słowo. To, co właśnie się działo, było dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Zaczęłam nawet podejrzewać, że nie ma nic wspólnego z ciotką Celiną.

– Na komisariacie wszystkiego się obywatelka dowie, a teraz proszę się pośpieszyć – ponaglił cywil. Gdy weszłam do sypialni, aby się ubrać, milicjanci zaczęli przeszukiwanie.

Przez całą drogę na komisariat próbowałam znaleźć wytłumaczenie tego, co właśnie się działo, ale żaden logiczny powód nie przychodził mi do głowy. Moje pytania zbywano odpowiedziami, że wszystkiego dowiem się w swoim czasie. Jednak kiedy wreszcie dotarliśmy na miejsce, posadzono mnie w obskurnym pokoju, na brudnej ławce i kazano czekać. Pomieszczenie musiało pełnić funkcję czegoś w rodzaju poczekalni, bo za drzwiami z prawej strony słyszałam stłumione głosy, jednak nie rozumiałam ani słowa. Dopiero godzinę później drzwi się otworzyły i wyszło z nich dwóch mężczyzn, których natychmiast rozpoznałam. Pierwszym był Brunon Szewczuk, porucznik, wypyujący mnie w kawiarni o Egipcjanina, zamordowanego w tajemniczych okolicznościach. Mężczyzna również mnie poznał, o czym świadczył lubieżny błysk w jego oczach.

– Dzień dobry i znowu się spotykamy – powiedział z obleśnym uśmiechem, błakającym się na szerokich mięsistych ustach. Obecność porucznika, choć zaskakująca, nie była niczym dziwnym. W końcu

znajdowałam się na komisariacie. Jednak kompletnie nie wiedziałam, co robi tu Bolesław Piechocki, bo to on był drugim z mężczyzn.

– Obywatelowi już dziękuję – zwrócił się do Bolesława – i, jak powiedziałem, proszę nie opuszczać miasta – przypomniał – a obywatelkę zapraszam do środka – powiedział, obracając w moją stronę nienaturalnie zarumienioną twarz. Odprowadzając wzrokiem Piechockiego, który szybkim krokiem ruszył do wyjścia, wstałam i weszłam do niewielkiego pokoju. Porucznik usiadł za biurkiem, a mi wskazał krzesło po jego drugiej stronie.

– Mogę się wreszcie dowiedzieć, dlaczego milicja nachodzi mnie o piątej nad ranem, zawozi na komisariat, a na dodatek przeszukuje moje mieszkanie? – zapytałam stanowczym tonem.

– Czy obywatelka zna Celinę Rogowską? – usłyszałam w odpowiedzi i na moment zaniemówiłam, a w ustach poczułam suchość.

– Oczywiście, że znam, to moja ciotka – odparłam, odzyskując głos. Byłam pewna, że milicja posiada pełną wiedzę na temat naszego pokrewieństwa. Dlatego nie rozumiałam, co chcą osiągnąć, pytając o tak oczywiste kwestie.

– A czy obywatelka wie, gdzie wspomniana Celina Rogowska teraz przebywa? – ciągnął Szewczuk. W tym pytaniu również nie widziałam żadnego sensu. Przecież milicja wiedziała, że ciotka wraz z panem Władysławem i Zosią wyjechała do Berlina na wycieczkę. Mimo wszystko odpowiedziałam wyczerpująco, wspominając nawet o tym, że nie wrócili w wyznaczonym czasie. Miałam nadzieję, iż dzięki temu dowiem się wreszcie czegoś konkretnego.

– I nieobecność Celine Rogowskiej wraz z małą Zofią Jawor nie zaniepokoiła obywatelki?

– Oczywiście, że wywołała we mnie niepokój – zapewniłam – dlatego wczoraj wieczorem telefonowałam do wszystkich szpitali w Gdańsku, Gdyni i Sopocie z zapytaniem, czy nie było jakiegoś wypadku – wyjaśniłam.

– Czy obywatelka w ciągu ostatnich dni była w mieszkaniu należącym do Władysława Nowaka?

– Tak, wczoraj.

– Czy obywatelka zabrała z tego mieszkania jakieś przedmioty?

– Oczywiście, że nie! – oświadczyłam, podnosząc głos, co nie zrobiło na mężczyźnie żadnego wrażenia. – Czy może mi pan w końcu powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? Czy ciotka miała wypadek? – poprosiłam, nie mogąc znieść tych bezsensownych pytań.

– Czy obywatelka ma jakąś rodzinę w krajach kapitalistycznych? – ciągnął porucznik, zupełnie nie zwracając uwagi na moje pytania.

– Nie mam, a biorąc pod uwagę, kim był mój ojciec, trudno, żebym miała.

Milicjant na chwilę przerwał, uniósł głowę znad kartki, na której zapisywał moje odpowiedzi, i obrzucił mnie kpiącym spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć: „Martwy tatuś ci nie pomoże”, a następnie wrócił do zadawania pytań.

– Czy obywatelka Celina Rogowska ma krewnych w krajach kapitalistycznych?

– Nie wiem – odpowiedziałam bez zastanowienia. Co prawda rodzice wspominali, że szwagier ciotki wraz z rodziną wyemigrował po wojnie do Francji, ale ja nie wiedziałam ani jak się nazywał, ani gdzie się osiedlił, więc przemilczałam ten wątek.

– Czy obywatelka Celina Rogowska wspominała o chęci wyjazdu do któregoś z krajów kapitalistycznych?

– Nic mi o tym nie wiadomo – skłamałam bez wahania, posyłając porucznikowi drwiący uśmiezek. Przez moment korciło mnie, aby wyznać prawdę, że ciotka bardzo często mówiła: „Gdybym mogła, to wyjechałabym na drugi koniec świata, byle nie oglądać tych parszywych, fałszywych komunistycznych pysków”. Jednak zdawałam sobie sprawę z konsekwencji, jakie mogłoby pociągnąć za sobą takie wystąpienie. Ostatnie pytanie sprawiło, że w mojej głowie zakiełkowała nedorzeczna myśl. Była tak szalona, że natychmiast postanowiłam ją zweryfikować.

– Czy moja ciotka miała czelność uciec na zgniły Zachód? – zapytałam bez ogródek. Poważny, przepelniony złością ton, jakim wypowiedziałam pytanie, oraz użycie ulubionego określenia komunistów miało pokazać siedzącemu naprzeciw mężczyźnie, jakie wartości są mi bliskie.

Fortel się powiódł i porucznik najpierw pokiwał głową, a później oświadczył, że obywatelka Celina Rogowska wraz z Władysławem Nowakiem i małą Zofią Jawor w sposób nielegalny przekroczyła granicę i zbiegła do Berlina Zachodniego.

W pierwszej chwili miałam ochotę klaskać, tańczyć i śpiewać z radości. Dopiero po chwili przyszła pora na refleksję. Czyn ciotki, choć uznałam go za bohaterski, sprowadził na mnie gniew władzy. Podejrzewałam, że za wszelką cenę będą chcieli powiązać mnie z jej ucieczką. Teraz moje nazwisko i zasługi ojca nie miały żadnego znaczenia. Co prawda ponure czasy stalinizmu, gdy całe rodziny odpowiadały za występki swoich krewnych, idąc na długie lata do więzienia, mieliśmy już za sobą, to jednak służba bezpieczeństwa i milicja nie mogły przejść obojętnie obok tak spektakularnej ucieczki. Odpowiadając na kolejne idiotyczne pytania, z których pewne słyszałam drugi, a nawet trzeci raz, zastanawiałam się, czy trafię do aresztu, czy tylko zostanę objęta dyskretną obserwacją. Po dwóch godzinach pozwolono mi wrócić do domu, z zastrzeżeniem, iż nie

mogę opuszczać miasta na dłużej niż jeden dzień, i mam stawiać się na każde żądanie milicji.

Gdy opuściłam komisariat i szłam w stronę przystanku autobusowego, z mijanej bramy wyszedł Bolesław w towarzystwie Karola.

– Wiedziałaś, co ciotka chce zrobić? – zapytałam Piechockiego, ale on stanowczo zaprzeczył, utwierdzając mnie w przekonaniu, że ucieczka została doskonale przygotowana.

– Lepiej już idźmy, bo stojąc tutaj, tylko zwracamy na siebie uwagę, a jak na jeden dzień mamy już dość kłopotów – mruknął Karol i ruszył w stronę przystanku. Propozycja była rozsądna, ponieważ przechodnie zaczęli się nam przyglądać.

Do mieszkania wróciłam zmęczona, a widząc, jaki bałagan został po przeszukaniu, miałam ochotę zakląć. Jednak obecność Karola i Bolesława skutecznie mnie powstrzymała. Tym bardziej że obaj okazali się chętni do pomocy i po dwóch godzinach wszystkie ślady obecności nieproszonych gości zostały uprzątnięte.

– Teraz jest tu nawet czystiej niż wcześniej – zauważyłam, przygotowując kanapki i herbatę.

– A tak właściwie czego oni szukali? – zainteresował się nagle Piechocki.

– Nie mam pojęcia – przyznałam, wzruszając ramionami.

17 grudnia 1968, wtorek

Korzystając z faktu, że wciąż miałam klucze do mieszkania pana Władysława, postanowiłam pójść i zobaczyć, czy tam również dokonano rewizji. Jakież było moje zdziwienie, gdy po otwarciu drzwi zobaczyłam parę w średnim wieku. Kobieta wyjmowała z szafy ubrania, a mężczyzna pakował je do dużych pudeł. Byli tak pochłonięci swoim zajęciem, że dopiero gdy zapytałam, kim są i co tutaj robią, zwrócili na mnie uwagę.

– Jesteśmy nowymi właścicielami – oznajmił mężczyzna, przerywając pakowanie.

– A pani to kto? – odezwała się kobieta, lustrując mnie badawczym spojrzeniem.

– Nowymi właścicielami? – upewniłam się zaskoczona tym, co właśnie usłyszałam.

– Tak, kupiliśmy to mieszkanie od pana Władysława Nowaka – potwierdził mężczyzna.

– Jak pani tu weszła? – zainteresowała się nagle kobieta, a jej spojrzenie stało się podejrzliwe.

– Mam własne klucze – odpowiedziałam i w kilku zdaniach powiedziałam, kim jestem i co łączy mnie z tym mieszkaniem.

– To wspaniale – zawołała kobieta, a na jej twarzy zagościł serdeczny, przyjazny uśmiech. – Właśnie zastanawialiśmy się z mężem, co mamy zrobić z tymi wszystkimi rzeczami, ale skoro ty, drogie dziecko, jesteś krewną poprzednich właścicieli, to oddamy je tobie – oświadczyła, porozumiewawczo zerkając na mężczyznę, który właśnie zamykał kolejne pudło.

– No nie wiem – bąknęłam kompletnie zaskoczona. – Tego jest bardzo dużo – dodałam, obrzucając krytycznym spojrzeniem kilkanaście pudeł, ustawionych pod jedną ze ścian.

– Spokojnie, mąż ma samochód, więc o transport nie musisz się martwić – weszła mi w słowo nowa właścicielka i poprosiła, abym pomogła im w pakowaniu. W ten oto sposób połowa mojej sypialni została zastawiona kartonowymi pudłami, a państwo Romer, bo tak nazywało się małżeństwo, któremu pan Władysław sprzedał swoje mieszkanie, pozbyli się kłopotu. Patrząc na dobytek, przyszło mi do głowy, że ponoć od

przybytku głowa nie boli. Ja jednak nie miałam pojęcia, co mam począć z całym tym dobrodziejstwem.

19 grudnia 1968, czwartek

Dziś znowu miałam wątpliwą przyjemność obcowania z władzą ludową, jak organy bezpieczeństwa publicznego nazywa towarzysz Gomułka. Kiedy po zajęciach wracałam do domu, przed kamienicą zobaczyłam zaparkowaną czarną wołgę. Siedzący w niej panowie, oczywiście po cywilnemu, grzecznie, acz stanowczo, zaprosili mnie do auta i zawieźli na komisariat. Jednak tym razem zaprowadzono mnie do gustownie urządzonego gabinetu, gdzie za pięknym secesyjnym biurkiem, pamiętającym zapewne najlepszy okres tego kierunku w sztuce, również użytkowej, siedział mężczyzna około pięćdziesiątki.

– Panie majorze melduję doprowadzenie obywatelki Anny Jawor – oznajmił mój anioł stróż.

– Dziękuję, Sokołowski, możecie odejść – odezwał się oficer. Już samo użycie przez niego słowa „dziękuję” zabrzmiało w tym miejscu nienaturalnie. Gdy zostaliśmy sami, mężczyzna wstał i wyszedł z za biurka. – Dzień dobry, nazywam się Adam Urbanowicz – przedstawił się, wyciągając na powitanie szczupłą dłoń o zadbanych paznokciach. – Jestem wdzięczny, że zechciała pani przyjąć moje zaproszenie – dodał, a widząc, że w przeciwieństwie do niego nie wyciągnęłam dłoni na powitanie, cofnął ją dyskretnie.

– Moje chęci nie miały tu nic do powiedzenia – oświadczyłam, mając dziwne przeczucie, że w jego obecności mogę sobie pozwolić na taką bezczelność.

Major przemilczał usłyszaną aluzję i gestem wskazał krzesło stojące przed biurkiem. Mebel, podobnie jak pozostałe wyposażenie, zdobyły misterne roślinne wzory. Fakt, że w milicji służyli też ludzie o odmiennej

prezencji i manierach, niż te, jakie demonstrował przesłuchujący mnie za pierwszym razem porucznik, bardzo mnie zaskoczył. Dla Urbanowicza nie byłam jakąś tam obywatelką Jawor, ale panią Anną, co uznałam za dobry znak.

– Pani Anno, napije się pani herbaty? – zaproponował, przepraszając jednocześnie, że nie może mnie poczęstować kawą, ale tej niestety nie mają.

– Bardzo dziękuję, herbata w zupełności wystarczy – zapewniłam.

Mężczyzna podniósł słuchawkę stojącego na rogu biurka telefonu i wydał odpowiednie dyspozycje.

– Zaczniemy, jak tylko przyniosą herbatę – zapowiedział, rozsiadając się wygodnie na krześle. Następnie założył ręce za głowę i przez moment uważnie mi się przyglądał.

– Jest pani bardzo podobna do swojego ojca – stwierdził.

– Pan go znał? – spytałam autentycznie zdziwiona, choć biorąc pod uwagę, jaką funkcję w aparacie rządowym pełnił ojciec, musiał mieć rozległe znajomości.

– O tyle, o ile. Też pochodzę z Wilna i przez pewien czas miałem okazję z nim współpracować – wyjaśnił major. Chciał coś jeszcze powiedzieć, a może rozwinąć ten wątek, ale przerwało mu pukanie do drzwi. Mężczyzna wstał i poszedł otworzyć. Po chwili wrócił z tacą, na której prócz dwóch filiżanek herbaty stała cukiernica oraz talerzyk z kilkoma ciastkami.

– W moim rodzinnym domu zawsze pijało się herbatę z filiżanek i koniecznie musiały być ciasteczka – oznajmił, widząc moje zdziwione spojrzenie. Ten drobny szczegół jasno wskazywał, że major nie wywodził się z klasy robotniczo-chłopskiej, ale miał mieszczańskie lub ziemiańskie, a może nawet szlacheckie korzenie. Mimo to z jakichś pobudek równość

społeczna była mu bliższa niż kapitalistyczne wzorce. – Okoliczności, w jakich się spotykamy, nie należą do najszcześniejszych – zaczął, upijając łyk herbaty. Następnie ostrożnie odstawił filiżankę na spodek i sięgnął po leżące przed nim dokumenty. – Pani ciotka zdecydowała się na bardzo radykalny krok, który jednak niesie za sobą wiele konsekwencji – zauważył, a ja miałam ochotę powiedzieć, że teraz ciotce nic już nie mogą zrobić, więc mówienie o konsekwencjach mógłby sobie darować. – Najgorsze jednak jest to, że mogą one dotknąć nie ją, ale panią – dodał, jakby czytając w moich myślach.

– Sądziłam, że odpowiedzialność zbiorowa umarła wraz ze śmiercią kultu jednostki i towarzysza Stalina? – wypaliłam bez głębszego zastanowienia. Moje słowa wywołały na twarzy Urbanowicza pobłażliwy uśmiech.

– Oficjalnie tak, ale, jak pani wie, echa historii potrafią rozbrzmiewać bardzo długo – powiedział ściszym głosem.

– Proszę powiedzieć, czego pan ode mnie oczekuje? – poprosiłam, postanawiając przerwać te podchody i przejść do konkretów.

– Oczekuję współpracy w wyjaśnieniu tego incydentu.

– Nie miałam pojęcia o planowanej ucieczce i też byłam nią zaskoczona, więc nie wiem, jak mogłabym pomóc.

– Uważamy, że ktoś musiał w tej ucieczce pomagać. Czegoś takiego nie można zaplanować i przeprowadzić samodzielnie, bez udziału innych. Tym bardziej że pani ciotka ma już swoje lata. Dlatego chciałbym, aby się pani dobrze zastanowiła i wskazała kilka osób, mogących mieć związek z tym, co się stało.

– Mam być kapusiem? – wypaliłam bez zastanowienia.

– Tak bym tego nie nazwał – powiedział major, krzywiąc się na dźwięk słowa „kapuś” – bardziej trafne wydaje się określenie „pomocny obywatel”.

– Po pierwsze, wolę nazywać rzeczy po imieniu, wtedy wszyscy wiedzą, co mam na myśli. Po drugie nie znam nikogo, kto mógłby mieć związek z ucieczką ciotki – oświadczyłam. – A nawet gdybym znała, to milczałabym jak grób – dopowiedziałam w myślach i spokojnie dopiłam swoją herbatę.

– Proszę się nad tym, dobrze zastanowić – poradził Urbanowicz, a mimo iż użył słowa „proszę”, to wiedziałam, że jest to pewnego rodzaju ultimatum – i zapraszam ponownie w najbliższy poniedziałek, gdy wróci już pani z turnieju tańca w Krakowie – dodał.

– Skoro tak dobrze zaznajomiono pana z moim życiem, to chyba pan zapomniał, że mam zakaz opuszczania wybrzeża na dłużej niż jeden dzień – przypomniałam, chcąc w ten sposób uświadomić Urbanowiczowi, że choć piastuje tak wysokie stanowisko, to nie o wszystkim wie.

– Postanowiłem na czas turnieju zawiesić ten zakaz – zakomunikował – więc proszę jechać, tańczyć i dobrze się bawić, bo nie wiadomo kiedy nadarzy się kolejna taka okazja – zakończył, a groźba, choć niewypowiedziana otwarcie, była dla mnie aż nadto czytelna. Mogła oznaczać wszystko, łącznie z tym, że zostanę aresztowana.

22 grudnia 1968, niedziela

Dobrze, że nie jestem przesądna. W przeciwnym wypadku musiałabym uznać, iż major Urbanowicz ma dar przewidywania. W końcu to on wypowiedział pamiętne słowa, które okazały się prorocze: „Proszę jechać, tańczyć i dobrze się bawić, bo nie wiadomo kiedy nadarzy się kolejna taka okazja”. Według Piechockiego, który odwiedził mnie dziś rano i obejrzał zdjęcie rentgenowskie mojej złamanej kostki, szanse, abym jeszcze kiedyś zatańczyła zawodowo, są nikłe. Gdyby moje podejście do tańca było takie, jak Karola, z pewnością płakałabym teraz rzewnymi łzami, rwała włosy z głowy i rozpaczała nad zaprzepaszczoną karierą. Dla mnie jednak taniec był wyłącznie formą relaksu, a nie sportowej rywalizacji. Fakt, że turniej

w Krakowie, mimo ogromnej konkurencji wygraliśmy bezapelacyjnie, z pewnością by tego nie zmienił. Natomiast to, że po odebraniu pucharu, schodząc ze sceny, potknęłam się i spadłam ze schodów, fundując sobie kilka siniaków i, jak to określił lekarz szpitala, do którego mnie przewieziono, paskudne złamanie prawej kostki, można uznać wyłącznie za ironię losu. Są jednak i dobre strony ostatnich wydarzeń. Przede wszystkim nie musiałam dzisiaj odwiedzać majora. Gdy podzieliłam się tą wiadomością z Bolesławem, ten poczerwieniał, jego dłonie zacisnęły się w pięści, a oczy przybrały stalowy zimny odcień.

– Skąd znasz Urbanowicza? – zapytał lodowatym tonem, który słyszałam u niego po raz pierwszy i który zupełnie do niego nie pasował. Opowiedziałam więc okoliczności, w jakich się poznaliśmy, dodając, że major znał mojego ojca.

– Zapomniał tylko wspomnieć, że to za jego sprawą na ponad pięć lat trafiłem za koło podbiegunowe, gdzie karczowałem tajgę – wyszeptał Piechocki. – Uważaj na niego, bo choć wygląda na kulturalnego i miłego faceta, to w rzeczywistości jest strasznym skurwysynem, mającym na swoich rękach krew wielu ludzi – ostrzegł, a jego słowa sprawiły, że mimowolnie zadrżałam z zimna. Gdy minął pierwszy szok, postanowiłam wypytać o szczegóły, ale przeszkodził mi dzwonek do drzwi.

– Spodziewasz się kogoś?

– Tak, Karol obiecał, że wpadnie – potwierdziłam, próbując wstać z łóżka.

– Leż, ja otworzę – powstrzymał mnie Bolesław, odbierając mi kulę i opierając ją o ścianę. Następnie wstał i ruszył do korytarza. Po chwili wrócił w towarzystwie Karola, który przyniósł obiad, przygotowany przez panią Jadzię. Zauważyłam, że zapachy dobiegające z półmiska przykrytego talerzem zrobiły na mężczyznach wrażenie.

– Nawet nie ma mowy, abyście coś dostali – oznajmiłam, widząc ich wygłodniałe spojrzenia. – Ja jestem chora, a wy możecie sobie sami coś ugotować, ewentualnie jak macie dwie lewe ręce, to w okolicy jest sporo jadłodajni – dodałam, zaglądając do półmiska. Tym razem sąsiadka zaserwowała mi pieczeń w gęstym grzybowym sosie, ziemniaki posypane koperkiem oraz surówkę z kiszanej kapusty. Za tą ostatnią nie przepadałam, ale pani Jadzia twierdziła, że ma więcej witaminy C niż cytryna.

Karol i Bolesław widząc, że raczej nie zostaną nakarmieni, pożegnali się i wyszli, obiecując odwiedzić mnie wieczorem. Po zjedzeniu wszystkiego, łącznie z solidną dawką witaminy C, wstałam i odniosłam naczynia do kuchni. Biorąc pod uwagę, że poruszałam się o kuli, nie było to łatwe zadanie, a przejście tych paru metrów kosztowało mnie sporo wysiłku i zajęło kilka minut. Wracając do łóżka, przystanąłam przy oknie, aby chwilę odpocząć. Popołudniowe słońce rozjaśniało zaspę śniegu leżące przy ulicy. Po chodniku szedł mężczyzna, ciągnąc na dziecinnych sankach ogromną choinkę, przypominającą, że za dwa dni święta. Już miałam ruszyć dalej, gdy dostrzegłam zaparkowaną pod kamienicą czarną wołgę.

A więc moi opiekunowie są na swoim posterunku – pomyślałam, zastanawiając się, jak długo jeszcze będą mnie pilnowali. O ile fakt, że w podróży do Krakowa towarzyszył mi opiekun, który specjalnie nie maskował swojej obecności, uznałam za zrozumiałą, to teraz, gdy ledwie chodziłam, takie środki ostrożności uważałam za przesadzone. Chyba Urbanowicz, bo doskonale wiedziałam, że to on o wszystkim decyduje, nie sądził, że z nogą w gipsie zdołam uciec.

23 grudnia 1968, poniedziałek

Chcąc zabić czas, którego nagle miałam w nadmiarze, postanowiłam zacząć porządkować zawartość pudeł, jakie trafiły do mnie z mieszkania

pana Władysława. W pierwszym znalazłam całą kolekcję płyt oraz zachodni gramofon, kupiony przez pana Władysława od jednego ze znajomych marynarzy. Kończyłam właśnie przeglądać płyty, gdy usłyszałam dzwonek do drzwi. Spojrzałam na zegarek i zdziwiona pokuśtykałam do korytarza. Nie mógł to być ani Karol ani Bolesław, bo obaj zapowiedzieli się dopiero na popołudnie, a teraz dochodziła dziesiąta. Rzeczywiście, kiedy otworzyłam, na progu, ubrany w krótki kozuch, stał major Urbanowicz.

– Przepraszam, że tak bez uprzedzenia, ale byłem akurat w okolicy. Postanowiłem więc złożyć pani wizytę i zapytać o zdrowie – powiedział, kierując wymowne spojrzenie na moją stopę.

– Proszę wejść – zachęciłam, otwierając szerzej drzwi. Mężczyzna wszedł, wnosząc z sobą lekki chłód i zapach perfum, które z pewnością nie pochodziły z Moskwy, ale z Paryża, Rzymu lub Londynu. Jego wizyta była ostatnią rzeczą, o jakiej marzyłam, ale odprawienie go z kwitkiem byłoby po pierwsze niekulturalne, a po drugie nierozsądne.

– Czego się pan napije? – zapytałam, dodając, że mam zarówno herbatę, jak i kawę.

– W takim razie poproszę kawę – odpowiedział, odwieszając kozuch na wieszak. Następnie ruszył za mną do kuchni.

– Może jakoś pomogę? – zaproponował, obserwując moje nieporadne ruchy. Odmówiłam, zapewniając, że już opanowałam parzenie kawy z nogą w gipsie. Urbanowicz nie nalegał, tylko usiadł przy stole. – Bardzo gustownie urządzone mieszkanie – pochwalił, rozglądając się uważnie wokół.

– To zasługa cioci, która wcześniej tu mieszkała – odpowiedziałam, kładąc na stole talerzyk z herbatnikami, będący dodatkiem do dwóch

postawionych tam wcześniej filiżanek z kawą. W następnej chwili zrozumiałam, że jego słowa nie były przypadkowe.

– Jeśli już mowa o pani cioci, to czy są od niej jakieś wiadomości?

– Nie – odparłam, wiedząc, że prawdopodobnie w mieszkaniu i telefonie mam podsłuch, moja korespondencja jest przechwytywana, a przed domem przez całą dobę stoi czarna wołga. W takich okolicznościach jakakolwiek próba nawiązania kontaktu została natychmiast odkryta. Poza tym od ucieczki minęło zaledwie kilka dni, więc trudno było oczekiwać, że w tak krótkim czasie otrzymam jakąś wiadomość od ciotki. Dlatego nie rozumiałam, dlaczego milicja tak ambicjonalnie podchodziła do sprawy.

– A czy przemyślała pani moją propozycję?

– Tak, ale moja odpowiedź brzmi nie – zakomunikowałam, starając się, aby mój głos był twardy i stanowczy. – Nie będę szpiclem, tym bardziej że z ucieczką ciotki nie mam nic wspólnego ani nie znam osób, które mogłyby być w to zamieszane – dodałam.

– Przykro mi to słyszeć – stwierdził Urbanowicz, sięgając po kolejnego herbatnika.

– Możecie mnie wsadzić do więzienia, a nawet wywieźć na Syberię, a ja i tak zdania nie zmienię – oświadczyłam z butą, która nawet mnie samą zaskoczyła.

– Więzienia są dla bandytów, a na Syberii nie ma już czego szukać – skomentował major, odstawiając na spodek pustą filiżankę. – Jednak musi się pani liczyć z innymi konsekwencjami – ostrzegł, nie precyzując jednak, jakiego rodzaju represje miał na myśli. Ja także nie zamierzałam dopytywać, wychodząc z założenia, że co ma być, to i tak będzie, więc nie ma co się na zapas przejmować. Zdziwiło mnie natomiast, że wychodząc, Urbanowicz życzył mi wesołych świąt.

24 grudnia 1968, wtorek

Przed chwilą zaopatrzona w zapas świątecznych potraw wróciłam z wigilii u pani Jadzi. Chociaż sąsiadka nalegała, abym jeszcze została, ja wolałam iść do siebie. Nie chciałam przeszkadzać jej w celebrowaniu tej rodzinnej uroczystości, szczególnie że nie byłam w świątecznym nastroju. Te święta będą pierwszymi, które spędzę zupełnie sama. Karol wyjechał z rodzicami do krewnych w Koszalinie, a Bolesław spędzał Boże Narodzenie w szpitalu. Gdyby nie gips i zakaz opuszczania miasta, pojechałabym do babci Ireny. Pogodzona z osamotnieniem rozpakowałam wiktuały i zatelefonowałam do Piechockiego, aby złożyć mu życzenia.

– Nie wiedziałem, że jesteś wierząca – zdziwił się szczerze.

– Nie jestem – wyprowadziłam go z błędu, dodając, że skoro nawet radio i telewizja emitują kolędy, a dziennikarze życzą wesołych świąt, to moje życzenia nie są wcale dalekie od obowiązującego trendu. Następnie włączyłam płytę Czerwonych Gitar, usiadłam przy oknie w ulubionym fotelu ciotki, popijałam wino i nucąc razem z zespołem, że „jest taki dzień, bardzo ciepły, choć grudniowy”, obserwowałam, jak gęsty śnieg pokrywa już i tak białą ulicę, zasypując spóźnionych przechodniów i czarną wołgę, zaparkowaną pod kamienicą.

30 grudnia 1968, poniedziałek

Dzisiaj przyszedł list od babci Ireny, z którego dowiedziałam się, że ona również była przesłuchiwana na okoliczność ucieczki ciotki Celiny, choć widziała ją zaledwie raz czy dwa razy w życiu. Po lekturze listu zaczęłam się zastanawiać, czy ta sprawa nie ma jakiegoś drugiego dna. Przecież Bolesław i babcia Irena nie byli znajomymi cioci, a mimo to zostali przesłuchani. Nawet pani Jadzia wspominała o wizycie dwóch milicjantów, wypytujących ją o ciotkę. Natomiast wobec mnie zastosowano całodobową obserwację, nie wspominając o tym, że moim osobistym przesłuchującym

stał się major Urbanowicz. Czy ucieczka dwóch starszych ludzi z małym dzieckiem mogła tak rozjuszyć władze? Tego nie wiedziałam, ale coraz bardziej skłaniałam się ku teorii, że nie chodzi tylko o ucieczkę, lecz coś jeszcze.

1 stycznia 1969, środa

To był najdziwniejszy Sylwester w moim dotychczasowym życiu, choć początkowo nic tego nie zapowiadało. Spędzałam go z Karolem, który zjawił się około czwartej po południu z zapasem dwóch win i jednego szampana. Ja przygotowywałam właśnie sałatkę warzywną.

– Spodziewasz się jeszcze kogoś? – spytał, krytycznym spojrzeniem obrzucając ilość pokrojonych warzyw.

– Raczej nie, ale uznałam, że muszę poczęstować panią Jadzię. W końcu tyle jej zawdzięczam, że miseczka sałatki to kropla w morzu wdzięczności, jaką powinnam jej okazać.

– Jakież to romantyczne porównanie – zauważył Karol, ukradkiem podbierając kilka oliwek. – A skąd ty masz oliwki? – zainteresował się nagle.

– Znalazłam w rzeczach z mieszkania pana Władysława – wyjaśniłam. – Zresztą było tam więcej takich rarytasów – dodałam.

– To znaczy?

– Kilka puszek ananasów, sardynek, oryginalna francuska musztarda, a nawet trzy paczki angielskiej herbaty.

– I nowi właściciele tego nie przytulili? – zdziwił się Karol.

– Kuchnię opróżnialiśmy już w mojej obecności, więc nie wypadało, choć widziałam w ich oczach żal, gdy te wszystkie smakołyki pakowałam do pudła – przyznałam, kończąc kroić ostatniego ogórka. Kwadrans później dwie miski sałatki znalazły się w lodówce, a Karol zabrał się za zmywanie naczyń. Ja w tym czasie poszłam zmienić ubranie. Chociaż

nowy rok mieliśmy przywitać, nie wychodząc z mieszkania, to uznałam, że w taką noc wypada ubrać coś bardziej odświętnego niż jeansy i golf. Po krótkim namyśle wybór padł na długą czarną suknię, ozdobioną haftem i cekinami. Sięgała do kostek, dzięki czemu maskowała część gipsowej skorupy. O ile dół nie wzbudzał moich zastrzeżeń, to góra już tak. Wiązanie na szyi i odkryte plecy wyglądały dość prowokująco, lecz skoro jakiś czas temu Karol zapewnił, że łączą nas tylko przyjaźń i nic poza tym, to nie powinno mu to przeszkadzać.

– Bardzo uroczo wyglądasz, ale przed północą bardziej przyda ci się poprzednia stylizacja – powiedział, gdy weszłam do kuchni.

– Czy ja o czymś nie wiem? – spytałam, przeczuwając, iż mój sylwestrowy gość zaplanował dla mnie jakąś niespodziankę.

– Dowiesz się w swoim czasie – obiecał, wyjmując z lodówki butelkę wina.

– Wolalabym teraz – mruknęłam, choć doskonale wiedziałam, że moja prośba nie zostanie spełniona.

Dopiero gdy wiszący na ścianie zegar swoim dźwięcznym tonem wybił godzinę jedenastą, zostałam poproszona o zmianę ubrania na takie, w którym będzie mi ciepło.

– Chyba nie sądzisz, że w tym stanie wyjdę na zewnątrz! – zaprotestowałam, unosząc suknię i pokazując gips.

– Będziesz musiała jedynie zejść po schodach, a dalej masz zapewniony transport – oświadczył Karol, pakując do plecaka szampana i dwa kieliszki.

– Jeśli masz zamiar zabrać mnie na molo, to zapomnij – oznajmiłam, wiedząc, że to miejsce w połączeniu z sylwestrową nocą już zawsze będzie wywoływało we mnie złe wspomnienia.

– Nie na molo – odparł, nie przestając pakować zimnych przekąsek i termosu z gorącą kawą. Pokonanie kilkunastu schodów nie było

szczególnie trudnym zadaniem, zwłaszcza że już kilka razy schodziłam do pani Jadzi. Jednak po raz pierwszy od chwili powrotu z Krakowa miałam wyjść na dwór. Po drodze wstąpiliśmy jeszcze do sąsiadki, złożyliśmy noworoczne życzenia i przy okazji zostawiliśmy sałatkę. Kiedy znaleźliśmy się obok drzwi wyjściowych, zobaczyłam, że Karol wyciąga coś ze schowka pod schodami.

– Może nie jest to kareta, jaką jeździł kopciuszek, ale niczego innego nie zdążyłem zorganizować – powiedział, pokazując mi sporych rozmiarów sanki.

– Ty chyba zwariowałaś!

– Pewnie tak – przyznał, wynosząc sanki na zewnątrz. Wbrew moim obawom były one na tyle duże, że siedziało się zupełnie wygodnie. Dodatkowo zostałam okryta ogromną baranią skórą i ruszyliśmy w drogę. Chwilę później usłyszałam odgłos uruchamianego silnika.

– Mamy towarzystwo – ostrzegłam, oglądając się dyskretnie za siebie. Czarna wołga trzymała się w odległości kilkunastu metrów.

– To nawet lepiej, nie musimy się bać, że ktoś nas napadnie – zażartował Karol.

– Powiesz mi wreszcie, dokąd mnie wiesz? – zapytałam, gdy skręciliśmy w ulicę prowadzącą do Jelitkowa. Jednak zamiast jasnej odpowiedzi zostałam poproszona o jeszcze chwilę cierpliwości. Wiedząc, że niczego z Karola nie wyciągnę, zamilkłam i obserwując mijane domy, z których dobiegała głośna muzyka, czekałam, aż dotrzemy do celu. Po kilkunastu minutach znaleźliśmy się prawie na końcu Sopotu. Dopiero wtedy skręciliśmy w lewo, między dwa niedawno wybudowane wysokie bloki. Ścieżka prowadziła do plaży, uznałam więc, że to ona jest celem naszej dziwnej wyprawy. Dlatego byłam zaskoczona, gdy Karol zatrzymał się obok jednego z budynków.

– Księżniczko, jesteśmy na miejscu – oświadczył i pomagając mi wstać, poprowadził do wejścia.

– Po co mnie tutaj przywiozłeś? – zapytałam, gdy znaleźliśmy się w windzie.

– Jeszcze troszkę cierpliwości – poprosił, posyłając mi zagadkowy uśmiech. Wkrótce wysiedliśmy na ostatnim piętrze, a Karol, wyjmując z kieszeni klucze, otworzył drzwi jednego z mieszkań.

– Czyje to mieszkanie? – spytałam, rozglądając się po niewielkim przedpokoju, w którym unosił się słaby zapach farby.

– Moje – oznajmił Karol, biorąc mój płaszcz i wieszając go na wieszak.

– Jak to twoje?

– Sprzedałem kawiarnię i kupiłem mieszkanie – wyjaśnił, wchodząc do jednego z pomieszczeń, które okazało się kuchnią. Podczas gdy on wypakowywał zawartość plecaka, ja wyruszyłam na zwiedzanie mieszkania. Składało się ono z dwóch pokoi, łazienki i kuchni. Przez okna większego pokoju było widać może, a wysokość dziesiątego piętra sprawiała, że widok był naprawdę zachwycający.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytałam, odbierając od Karola kieliszek szampana.

– To miała być niespodzianka, a poza tym jeszcze do wczoraj nie wiedziałem, czy wszystko się uda.

– Lokalizacji nie zazdroszczę, bo wszędzie daleko, ale widoku tak – przyznałam, zapatrzona w biały pas plaży, czarną taflę morza i rozświetlone kolorowymi światłami molo. W mieszkaniu nie było jeszcze żadnych mebli, więc po obejrzeniu pokazu fajerwerków, wypiciu szampana i zjedzeniu przywiezionych zapasów wróciliśmy do mnie. Czarna wołga i tym razem czuwała nad naszym bezpieczeństwem.

5 stycznia 1969, niedziela

Idąc dziś na niedzielny obiad do pani Jadzi, która od chwili wypadku opiekuje się mną prawie jak matka, nie spodziewałam się, że wrócę z niego bogatsza o pamiątkę rodzinną. Kiedy jak zwykle po obiedzie sąsiadka podała swój popisowy sernik i kawę, powiedziała ściszone głosem, że ma coś dla mnie. Nim zdążyłam zapytać, co to takiego, pani Jadzia wyszła do sąsiedniego pokoju. Wróciła po dłuższej chwili, trzymając w dłoniach prostokątny płaski przedmiot, owinięty szarym papierem. Kiedy go odwinęła, moim oczom ukazał się obraz przedstawiający słowiańskiego bożka.

– Skąd pani to ma! – zawołałam, nie mogąc uwierzyć w to, co widzę.

– Twoja ciocia przyniosła to do mnie na kilka dni przed wyjazdem do Berlina. Poprosiła o przechowanie tego przez kilka tygodni i oddanie tobie.

– A więc pani wiedziała o ucieczce?

– Skądże znowu – sąsiadka zaprzeczyła z taką gorliwością, jakby pod drzwiami stał tajniak i podsłuchiwał naszą rozmowę.

Po powrocie do siebie powiesiłam obraz Stryjeńskiej na swoje dawne miejsce, usiadłam w fotelu i wpatrywałam się w przedziwną postać bóstwa. Chociaż do tej pory dzieło nie wzbudzało we mnie szczególnych uczuć, to teraz poczułam, że w jakiś sposób łączy mnie z ciocią, o której losach nic nie wiedziałam. Pewne było tylko to, że uciekła.

7 stycznia 1969, wtorek

Dziś znowu Karol zabrał mnie do swojego nowego mieszkania. Jednak tym razem zachowywał się bardzo dziwnie. Był poważny, spięty, a gdy weszliśmy do bloku, rzucał za siebie nerwowe spojrzenia. Nawet będąc już w mieszkaniu, przez dłuższą chwilę nasłuchiwał przy drzwiach wejściowych. Następnie polecił, abym weszła do łazienki, co w pierwszej chwili wydało mi się głupie. Dopiero gdy spełniłam jego prośbę, zrozumiałam wszystko. W łazience na umywalce stał duży odbiornik

radiowy. Podobny do tego, którego rodzice Hani używali do słuchania radia Wolna Europa.

– Sądziłam, że wolisz bardziej skoczne rytmy, niż pieśni patriotyczne i pogadanki serwowane przez Jeziorańskiego – zażartowałam, siadając na krawędzi wanny.

– Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz – mruknął Karol i zabrał się za strojenie odbiornika. Po kilku minutach w głośniku usłyszeliśmy zniekształcony przez zakłócenia głos spikera: „A teraz zapraszamy na powtórkę wywiadu, jakiego naszej rozgłośni udzielił pułkownik Władysław Nowak, któremu kilka tygodni temu udało się uciec z Polski”. Pół godziny później wiedziałam, że służbie bezpieczeństwa nie zależy na ciotce Celinie, ale na panu Władysławie, który przez ostatnie piętnaście lat współpracował z zachodnim wywiadem, a gdy przeszedł na emeryturę, postanowił spędzić ją w wolnym kraju. Tym bardziej że kontrwywiad PRL-u wpadł na jego trop. Wracając do swojego mieszkania, uświadomiłam sobie, że może już nigdy nie zobaczę ani cioci ani własnej siostry.

11 stycznia 1969, sobota

Od wczoraj towarzyszy mi strach, jakiego jeszcze w swoim życiu nie doświadczyłam, a wspomnienie tych kilku minut będzie mi towarzyszyło do końca życia. Teraz wiem, że należało postąpić inaczej, ale wtedy gdy znalazłam się w niebezpieczeństwie, nie potrafiłam albo nie umiałam odpowiednio zareagować. Wczesnym rankiem bez żadnego uprzedzenia zjawił się porucznik Szewczuk. Początkowo byłam zdziwiona tą wizytą. Przecież to nie on, ale major Urbanowicz rozmawiał ze mną ostatnim razem. Niechętnie wpuściłam Szewczuka do mieszkania. Gdy przechodził obok, poczułam na ciele jego obleśne spojrzenie, a cuchnący wódką oddech owionął moją twarz.

– To sobie teraz, obywatelko Jawor, porozmawiamy – mruknął, rozsiadając się za stołem w salonie.

– Nie wiem, o czym mielibyśmy rozmawiać. Powiedziałam już wszystko, co wiedziałam – odparłam, siadając na kanapie, gdzie smród, jaki roztaczał mój niechciany gość, był mniej wyczuwalny.

– A ja myślę, że kłamiecie. Tak samo, jak z tym Arabem, z którym podobno nic was nie łączyło, ale my mamy swoje sposoby, aby wyciągnąć z was wszystko, co chcemy, a nawet więcej – wrzasnął, a w następnej chwili poderwał się z miejsca, wywrócił krzesło, podbiegł do kanapy i nim zrozumiałam, co się dzieje, zobaczyłam nad sobą jego przekrwione oczy.

– Co pan robi! – krzyknęłam, próbując go odepchnąć.

– Zaraz mi wszystko wyśpiewasz – zapowiedział, jednym szybkim ruchem rozrywając flanelową koszulę, którą miałam na sobie.

– Ratunku! Ratunku! – wrzeszczałam jak opętana, ale moje krzyki nie robiły na napastniku żadnego wrażenia.

– Krzycz, kurwo, krzycz – mruknął, rozpinając pasek od swoich spodni. W akcie desperacji spróbowałam go kopnąć, ale złapał moją nogę i wykręcił

tak mocno, że aż zawyłam z bólu.

– Powiem majorowi – zawołałam, przewyciężając ból.

– Skoro jemu dajesz dupy, to chyba porucznikowi też nie odmówisz, a ja w tych sprawach jestem lepszy od tego starego pryka – zapewnił, zanosząc się lubieżnym rechetem. Kiedy pomagając sobie wyjętym z kieszeni nożem, pozbawił mnie spodni, straciłam wszelką nadzieję. Zacisnęłam tylko powieki i czekałam na najgorsze. W następnej chwili powietrze przeszył głośny wystrzał. Szewczuk natychmiast zwolnił uścisk, a ja otworzyłam oczy. W drzwiach z twarzą wykrzywioną wściekłością stał Urbanowicz i celował do Szewczuka z pistoletu.

– Następną wpakuję ci w łeb, ty podły skurwysynie – syknął major, a mój oprawca pobladł.

– Suka nie chciała mówić – zaczął Szewczuk...

– Wypierdalaj, ale już! – rozkazał Urbanowicz i nie przestając celować do swojego podwładnego, podszedł bliżej.

– Skrzywdził panią? – zapytał, rzucając w moją stronę leżący na jednym z krzeseł pled.

– Nie zdążył – wyjąkałam, okrywając się szczelnie. Choć w mieszkaniu było ciepło, cała drżałam z zimna.

– Jeśli jeszcze raz zbliżysz się do pani Jawor na odległość mniejszą niż sto metrów, to zabiję jak psa – zagroził major, lufą pistoletu wskazując Szewczukowi wyjście. – A teraz wypierdalaj – powtórzył.

15 stycznia 1969, środa

Choć od dnia, gdy niemal zostałam zgwałcona, minęło już kilka dni, wciąż na odgłos dzwonka do drzwi ogarnia mnie strach. O piątkowym zajściu nie powiedziałam nikomu i nie wiem, czy kiedykolwiek się na to odważę. Wiem, że miałam dużo szczęścia. Gdyby nie powiedziano Urbanowiczowi, że Szewczuk pojechał mnie przesłuchać, choć takiego rozkazu nikt mu nie

wydał, sprawy mogłyby potoczyć się zupełnie inaczej. Major przeprosił, zapewnił, że nie muszę się już niczego obawiać. Strach jest jednak silniejszy od słów, nawet gdy wypowiada je ktoś, kto uratował mnie od największej z traum, jakich może doświadczyć kobieta. Niemniej w poniedziałek czarna wołga zniknęła sprzed kamienicy. Uznałam to za dobry znak, chociaż podejrzewałam, że nadal jestem pilnowana, tylko w bardziej dyskretny sposób. Pamiątką po piątkowych wydarzeniach jest dziura w ścianie po kuli, którą, chcąc uniknąć niewygodnych pytań ze strony gości, zakryłam obrazem Stryjeńskiej. Karol, który w ostatnich dniach odwiedził mnie kilka razy, dostrzegł zmiany, jakie we mnie zaszły, ale gdy zapytał o ich powód, a ja odpowiedziałam, że nie chcę o nim rozmawiać, uszanował moją wolę i nie dopytywał więcej. Zamiast tego starał się poprawić mój nastrój. Zabierał na przejażdżki sankami, a wczoraj wybraliśmy się nawet na krótki spacer, choć chodzenie z nogą w gipsie po śliskich chodnikach to sztuka wymagająca dużej koncentracji.

23 stycznia 1969, czwartek

Wreszcie się tego pozbyłam. Gipsowa kula, a raczej skorupa, która od ponad miesiąca była moim utrapieniem, przeszła do historii. Według Piechockiego złamanie zrosło się bardzo dobrze, ale nadal uważa, że o zawodach tanecznych mogę zapomnieć. Specjalnie nad tym nie boję, bo taniec zawsze był dla mnie pasją, ważną, ale tylko pasją. Nigdy nie wiązałam z nim swojej przyszłości. W przeciwieństwie do Karola, który traktuje taniec bardzo poważnie. Jednak i on zrozumiał, że nasza wspólna taneczna przygoda dobiegła końca. Stawiając pierwsze kroki bez gipsu, czułam się jakoś dziwnie, ale po kilku godzinach wszystko zaczęło wracać do normy.

28 stycznia 1969, wtorek

Po raz pierwszy w tym roku postanowiłam pójść do kina. Wybór padł na *Wszystko jest na sprzedaż* i nie był on przypadkowy. Na ten film czekałam z niecierpliwością, w końcu traktował o moim ulubionym aktorze. Może dlatego mam mieszane uczucia, co do sposobu, w jaki Wajda przedstawił postać Cybulskiego. Choć jego nazwisko w filmie się nie pojawia, to motyw aktora ginącego podczas próby wskoczenia do pociągu nie pozostawia wątpliwości, o kim lub czyjej pamięci poświęcone jest dzieło. Nawet teraz, gdy piszę te słowa, nie wiem, co reżyser miał na myśli. Z jednej strony mam odczucie, jakby Wajda sprzedawał śmierć Cybulskiego, obalając jednocześnie mity, jakimi przez ostatnie lata obrósł aktor. Z drugiej jednak strony film uderzył mnie swoją realnością. Szczególnie myśl, że w chwili śmierci szybko zapomina się o człowieku, była tragiczna i prawdziwa zarazem. Przecież doświadczyłam tego osobiście. O moich rodzicach nie pamiętał nikt, z wyjątkiem garstki przyjaciół i znajomych.

9 lutego 1969, niedziela

Dwa dni temu zdałam ostatnie egzaminy w sesji zimowej. Mogę więc kolejne trzy tygodnie poświęcić na odpoczynek. Jutro wspólnie z Karolem wyjeżdżamy w Bieszczady. On planował ten wyjazd już od dawna. Początkowo miała być to samotna męska wyprawa. Jednak po pewnym czasie doszedł do wniosku, że znacznie lepiej się wędruje, gdy ma się do kogo gębę otworzyć. To właśnie tym, może nieco prostackim, argumentem przekonał mnie, abym stała się towarzyszką jego wędrówek. Nocować będziemy w Ustrzykach Górnych, Wetlinie i Cisnej. Tamten rejon Polski znam jedynie z atlasów geograficznych. Z kolei Karol, który był już w Bieszczadach kilka razy, twierdzi, że najładniej jest tam jesienią, a najbezpieczniej zimą. Gdy zapytałam, dlaczego zimą, odpowiedział ze śmiechem, że wtedy wszystkie mieszkające w Bieszczadach niedźwiedzie śpią snem tak głębokim, że nawet lawiny nie są w stanie ich obudzić.

13 lutego 1969, środa

Powiedzieć, że Bieszczady są na końcu świata, to jakby nic nie powiedzieć. Podróż z Sopotu trwała ponad dwadzieścia godzin. Najpierw pociągiem do Sanoka z przesiadką w Krakowie, później jeszcze trzy godziny autobusem do Ustrzyk Górnych, a na zakończenie czterdzieści minut piechotą. Ja miałam już dość po pierwszym etapie, gdy wysiedliśmy w środku nocy na krakowskim dworcu. Jednak teraz, kiedy siedzę przy oknie naszego pokoju, z którego mam widok na położoną w dole wieś, wsłuchuję się w trzask ognia w piecu i obserwuję zimowy, nocny krajobraz, rozświetlony księżycowym blaskiem, wszystkie trudy podróży są wyłącznie mglistym wspomnieniem. Ośnieżone zbocza wyglądają bajecznie i już nie mogę się doczekać, aż jutro wejdziemy na Połoninę Caryńską. Karol poszedł narąbać drewna, bo według naszych gospodarzy, ta noc może być wyjątkowo mroźna.

14 lutego 1969, czwartek

Dzięki zaradności Karola przez całą noc w pokoju panowało przyjemne ciepło, a rano na stole czekało już na mnie pyszne śniadanie. Chleb upieczony przez żonę gospodarza smakował wyśmienicie. Podobnie jak sery, masło i kiełbasa, które również gospodarze sami wyrabiali.

– Życie w takiej głuszy ma jednak swoje zalety – zauważył Karol, z apetytem zajadając kolejną kromkę chleba, grubo posmarowaną swojskim masłem.

– To sprzedaj mieszkanie, rzuć studia i wyjedź na stałe w Bieszczady – poradziłam.

– Może to jest pomysł – podchwycił.

Mimo tej deklaracji nie potrafiłam wyobrazić sobie Karola mieszkającego na odludziu, hodującego zwierzęta i uprawiającego pole. Był typem mieszczucha, podobnie jak ja. Co innego przyjechać na kilka dni

jako turysta i zachwycać się życiem, jakie wiodą mieszkający tu ludzie, a co innego stać się jednym z nich. Codziennosc, która wydawała nam się prosta, niemal sielankowa, w rzeczywistości wcale taką nie była. Uświadomiłam to sobie, gdy pomyślałam, że aby mieć ciepło, trzeba narąbać drewna, aby mieć chleb, trzeba go upiec. Kiedy w drodze na połoninę, podzieliłam się z Karolem swoimi przemyśleniami, ten przyznał mi rację.

18 lutego 1969, wtorek

Wczoraj przenieśliśmy się do Wetliny z zamiarem, aby dzisiaj zaatakować jeden z pobliskich szczytów. Niestety przeszkodziła w tym pogoda. Dlatego siedzimy w pokoju, popijamy herbatę z rumem, który Karol przywiózł z sobą, i słuchamy, jak za oknem hula wiatr, przesypując zmarznięty śnieg. Zdaniem Karola dzień odpoczynku dobrze nam zrobi. Trudno się z nim nie zgodzić, bo ostatnie kilka dni były bardzo wyczerpujące. Na szczęście z moją kostką jest już wszystko w porządku i nawet długie, kilkugodzinne wędrówki nie sprawiają mi problemu.

24 lutego 1969, poniedziałek

Jutro opuszczamy krainę wymarłych wsi, jak w myślach zaczęłam nazywać Bieszczady. Nie było dnia, abyśmy nie natrafili na miejscowość, w której nie było żywego ducha, a między obejściami, zamiast poszczekiwania psów, jęczał tylko wiatr. Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że ostatni mieszkańcy opuścili wieś bardzo dawno temu. Zapomniane, chylące się ku ruinie domy, spalone cerkwie, zdziczałe sady zasypane śniegiem. Wszystko to tworzyło bardzo przygnębiający obraz. Idąc przez jedną z takich wsi, przypomniałam sobie słowa, jakie usłyszałam od majora Urbanowicza: „Echa historii mogą rozbrzmiewać bardzo długo”. Te zagubione w bieszczadzskich dolinach, zapomniane przez Boga i ludzi wsie

są właśnie takim echem historii. Parę razy byliśmy też legitymowani przez pograniczników. Patrzyli na nas nie jak na turystów, ale potencjalnych zbiegów. Miałam nawet ochotę powiedzieć im, że do Związku Radzieckiego albo do Czechosłowacji nie ma po co uciekać. Jednak wizja ewentualnych konsekwencji skutecznie mnie powstrzymała.

27 lutego 1969, czwartek

Wczoraj późnym wieczorem, zmęczeni kilkunastogodzinną podróżą, wróciliśmy do Sopotu. Otwierając drzwi swojego mieszkania, marzyłam tylko o długiej gorącej kąpiel i swoim łóżku. Dlatego dopiero idąc do sypialni, zobaczyłam na stole w salonie plik korespondencji zostawionej przez panią Jadzię, która pod moją nieobecność opiekowała się mieszkaniem i podlewała kwiaty. Pierwszy na kupce leżał list od Hani. Wiedząc, że dawna przyjaciółka nie ogranicza się do jednej kartki, ale zawsze zapisuje ich kilka, bo jak kiedyś otwarcie napisała: „Niech ci smutni panowie, którzy czytają naszą korespondencję, mają jakieś zajęcie”, postanowiłam otworzyć go dopiero rano. Kolejne dwa listy zawierały rachunki. Jednak najciekawsza była kartka pocztowa z Paryża, którą, jak wynikało z treści, wysłała mi Hania. Już pierwsze spojrzenie kazało mi sądzić, że to nie ona jest nadawcą widokówki. Po pierwsze nie zgadzał się charakter pisma, po drugie w poprzednim liście nie wspominała, aby miała zamiar odwiedzić Francję, a po trzecie kartka została wysłana piątego lutego, a list z Izraela szóstego. Jedyne logiczne wyjaśnienie, jakie przyszło mi do głowy, wskazywało na to, że kartka jest wiadomością od cioci Celiny. Szczególnie że na pocztówce znajdowała się Statua Wolności.

28 lutego 1969, piątek

Obudziłam się dziś z dziwnym uczuciem osamotnienia. Przez ostatnie kilkanaście dni towarzyszył mi Karol i już zdążyłam przyzwycząić się do

jego obecności. Byliśmy z sobą prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Bardzo często, gdy otwierałam zaspane powieki, on już nie spał, tylko siedział na swoim łóżku, a jego niebieskie lekko zmrużone oczy wpatrywały się we mnie. Teraz nie miałam nawet do kogo powiedzieć zwyczajnego „Cześć, jak się spało?”. Na szczęście sprzątanie mieszkania i lektura listu od Hani okazały się doskonałym lekarstwem na poprawę nastroju. Przyjaciółka zawiadamiała, że jest w ciąży, a za kilka tygodni przeprowadza się do nowego mieszkania, położonego bliżej centrum Tel Awiwu. Ani słowem nie wspomniała o Francji, co ostatecznie utwierdziło mnie w przekonaniu, że kartka z Paryża pochodzi od cioci. Idąc do piekarni po chleb, na chwilę wpadłam do pani Jadzi. Choć zabawiłam u niej nie dłużej niż pięć minut, sąsiadka zdążyła zrelacjonować wszystkie jej zdaniem istotne wydarzenia, jakie miały miejsce podczas mojej kilkunastodniowej nieobecności. Na szczycie listy znalazła się śmierć mieszkanki sąsiedniej kamienicy, której ciało odkryto dopiero po dwóch miesiącach.

– Tak to jest, pani Anno, że jak człowiek nie ma rodziny, to nawet po śmierci nikt się nim nie interesuje – podsumowała sąsiadka. Zmieniając temat, konspiracyjnym szeptem poinformowała, że krewni ze wsi podesłali jej świeże mięso i odłożyła dla mnie ładny kawałek szynki. Podziękowałam za pamięć i wyszłam.

3 marca 1969, poniedziałek

Otrzymałam dziś pismo informujące o odebraniu mi przydziału na mieszkanie. Decyzję argumentowano faktem, że jestem już właścicielką lokalu mieszkalnego. Ja jednak myślę, że prawdziwy powód jest zupełnie inny i ma związek z ucieczką ciotki. Zastanawiam się tylko, czy będą kolejne konsekwencje, a jeśli tak, to jakie? Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby odebrano mi rentę, jaką otrzymałam po ojcu. Co prawda przysługuje

mi tak długo, jak będę się uczyła, lecz i na to władza może znaleźć sposób, choćby wyrzucając mnie ze studiów. Według Karola powinnam się odwoływać i walczyć. Z kolei adwokat, dawny dobry znajomy rodziców, uważa, że lepiej nic nie robić.

6 marca 1969, czwartek

Od trzech dni nie widziałam Karola, który pojechał z rodzicami do Rzeszowa na pogrzeb swojej babci. Najdziwniejsze jest jednak to, że każdego dnia przyłapuję się na czymś, co przypomina tęsknotę. Brakuje mi jego obecności, żartów, a nawet tego, jak na mnie patrzy. Czyżbym zbliżyła się do granicy oddzielającej przyjaźń od czegoś więcej? Zaczynam się nawet zastanawiać, czy aby na pewno wszystko ze mną w porządku. Przecież jeszcze w grudniu pałałam wielkim, choć nieodwzajemnionym uczuciem do Bolesława. Teraz natomiast w moich myślach mieszka Karol. Czy to jest coś normalnego? Sama nie wiem.

8 marca 1969, sobota

Gdy wczesnym rankiem usłyszałam dzwonek do drzwi, znowu wróciły wspomnienia, jednak nie były one już tak paraliżujące, jak jeszcze kilka tygodni wcześniej. Poza tym po spotkaniu z Szewczukiem, które tylko cudem skończyło się tak, a nie inaczej zamontowałam w drzwiach judasza. Kiedy dzisiaj spojrzałam przez niego, zobaczyłam Karola.

– Cześć, a ty nie miałeś wrócić dopiero jutro? – spytałam, otwierając drzwi.

– Plany się trochę zmieniły – wyjaśnił, nie rozwijając tego wątku – a poza tym dzisiaj świętujemy – dodał, wręczając mi trzymany za plecami bukiet goździków.

– Urodziny mam w grudniu, a imieniny w lipcu – przypomniałam, odbierając kwiaty.

– Ale dzisiaj też jest twoje święto i w dodatku międzynarodowe – jego słowa mnie oświeciły, a jednocześnie przypomniały, jak ojciec celebrował dzień kobiet. W tym dniu ja i mama dostawaliśmy obowiązkowego goździka oraz w zależności od pomysłu ojca rajstopy albo jakieś kosmetyki. Okazało się, że Karol nie poprzestał na kwiatkach, bo gdy znaleźliśmy się w kuchni, wyjął z plecaka butelkę czerwonego wina i włoską szminkę w kolorze dojrzałych wiśni.

– Sprawdź, czy ci się spodoba – zachęcił.

– Zazwyczaj nie używam takich kosmetyków – przyznałam zgodnie z prawdą.

– Ale to nie jest jakiś tam kosmetyk, tylko oryginalna włoska szminka.

– No dobrze – uległam i podchodząc do wiszącego w korytarzu lustro, przeciągnęłam pomadką po wargach.

– Wcześniej były piękne, a teraz są *belle* – oznajmił stojący za moimi plecami Karol.

– Nie wiedziałam, że znasz włoski – mruknęłam i trochę speszona jego komplementem weszłam z powrotem do kuchni.

– To jeden z najpiękniejszych języków, w którym można opisywać piękno i wyznawać miłość.

– W takim razie musisz sobie znaleźć jakąś Włoszkę, której będziesz mógł prawić komplementy, wychwalać jej urodę i wyznawać uczucia – zażartowałam, stawiając czajnik na gazie.

– Moje podejście do kobiecej urody nazwałbym patriotycznym, więc włoskie dziewczęta mnie nie interesują, a poza tym, jak usłyszałem od jednego ze znajomych badylarzy: „Najwięcej witaminy mają polskie dziewczyny”.

– Pani Jadzia twierdzi, że najwięcej witamin ma kiszona kapusta – powiedziałam, chcąc skierować rozmowę na bardziej bezpieczne tory niż

sprawy damsko-męskie.

– To podobnie jak towarzysz Gomułka – podchwycił Karol. – On również uważa, że zamiast sprowadzać cytryny, będące jednym z symboli zgniłego kapitalizmu, powinniśmy wpieprzać więcej kiszzonej kapusty.

– Ciszej, bo jeszcze ktoś usłyszy – ostrzegłam niby żartem, choć doskonale wiedziałam, że robienie sobie drwin z pierwszego sekretarza może mieć przykre konsekwencje.

9 marca 1969, niedziela

Nadchodzi wiosna, o czym świadczą nie tylko coraz dłuższe dni, ale też wyższe temperatury. Dziś pierwszy raz włożyłam lżejszy płaszcz, a spacerując po plaży, nuciłam sobie jeden z ulubionych przebojów mojej mamy: „Idzie wiosna już w powietrzu, owoc, kwiat i ptak ją przeczuł”. Idący obok Karol popatrywał na mnie z pewnym rozbawieniem.

– Nie rozumiem, co cię tak śmieszy? – rzuciłam gniewnie, kolejny raz rejestrując jego spojrzenie.

– Twoja radość z prostych rzeczy.

– Uważasz, że to jest śmieszne?

– Nie śmieszne, tylko zabawne, a poza tym świadczy o twoim optymizmie. W końcu popatrz, ilu ludzi teraz spaceruje po plaży, ale żaden z nich nie ma w sobie odwagi, aby śpiewać o wiosnie.

– A co mnie obchodzą inni – prychnęłam i dalej nuciłam jeden ze szlagierów Kabaretu Starszych Panów. Po pewnym czasie doszliśmy do molo, które tego dnia było wyjątkowo oblegane. Karol podał mi dłoń, pomagając wejść po schodach. Jednak kiedy już znaleźliśmy się na pomoście, nie zwolnił uścisku, a ja też niespecjalnie protestowałam. Może nawet chciałam, aby trzymał mnie za rękę. Było w tym coś nowego, jakby właśnie zaczynał się kolejny etap naszej znajomości. Oczywiście nie sposób było zapomnieć, że tę najbardziej wyczekiwaną przez zakochanych chwilę

mieliśmy już dawno za sobą. Tak, zakochałam się w Karolu i trudno temu zaprzeczać. Tylko czy on odwzajemnia moje uczucie? Przecież gdy podczas jednego z naszych ostatnich tanecznych treningów, zapytał o Bolesława, a ja zrobiłam mu scenę, to wyraźnie dał mi do zrozumienia, iż łączy nas wyłącznie przyjaźń.

12 marca 1969, środa

Od kilku dni biję się z myślami i zbieram się w sobie, aby porozmawiać z Karolem. Chociaż uważam, że jestem kobietą nowoczesną, to jakiś wewnętrzny głosik, pewnie echo historii, z czasów, gdy zdanie kobiet niewiele znaczyło, podszeptuje, że pierwszy krok powinien należeć do mężczyzny. A co w sytuacji, gdy on go nie robi? Czy wtedy kobieta może, nie oglądając się na anachroniczne konwenanse, sama wystąpić z inicjatywą? Choć doskonale znam odpowiedź, to trudno mi znaleźć w sobie odwagę. Może obawiam się odrzucenia? Wiem jednak, że uparte trwanie na swoich pozycjach i czekanie, aż druga strona wykona jakiś ruch, na dłuższą metę będzie cholernie męczące.

14 marca 1969, piątek

Czasami aby zrozumieć wartość młodości, wystarczy pójść do kina na film o kimś, kto uważa, że wszystko, co osiągnął, przyszło za późno. Tak w wielkim skrócie mogłabym streścić rozterki głównego bohatera filmu *Molo*. Gdyby nie tytuł, pewnie nawet bym na niego nie poszła. Jednak Karol z powodu tajemniczego spotkania nie mógł być u mnie, więc kino wydało mi się dobrą alternatywą. Wracając do domu, uświadomiłam sobie, że inżynier Rudnicki ma w sobie coś z Bolesława, któremu również wojna pokrzyżowała plany zawodowe i zburzyła życie osobiste.

15 marca 1969, sobota

Mogę dziś napisać tylko jedno, że jestem głupia. Jeszcze do wczoraj byłam przekonana, iż Karol czuje do mnie coś więcej, niż tylko przyjaźń. W końcu prezenty z okazji dnia kobiet, spacery za rączkę czy nawet pocałunek w policzek, na który się odważył, były dla mnie jasnymi sygnałami zainteresowania. Niestety wszystkie one przestały mieć znaczenie, gdy dzisiaj po południu wybrałam się na spacer. Wyjątkowo nie towarzyszył mi Karol, który miał ważne rodzinne spotkanie. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy zobaczyłam go, jak opuszcza jedną z kawiarni w towarzystwie jakiejś dziewczyny. Nie chcąc, aby mnie zauważyli, uskokczyłam za najbliższe drzewo i stamtąd obserwowałam całą sytuację. Para przez chwilę rozmawiała, uśmiechając się do siebie bardzo serdecznie. Następnie Karol objął dziewczynę, pocałował w policzek i odszedł. Na szczęście nie ruszył w moją stronę, ale dziewczyna minęła mnie tak blisko, że mogłam się jej przypatrzeć. Była ode mnie trochę wyższa i znacznie piękniejsza. Po powrocie do domu i wypłakaniu swoich naiwnych nadziei doszłam do wniosku, że dobrze zrobiłam, ufając podszeptowi, ostrzegającemu mnie przed występowaniem przed szereg.

16 marca 1969, niedziela

Zadaję sobie dzisiaj pytanie, czy to możliwe, aby Karol był obłudny. Nie znajduję bowiem innego określenia, mogącego oddać jego postępowanie. Zjawił się przed południem, z propozycją zjedzenia obiadu na mieście. Zachowywał się, jakby jego wczorajsza randka wcale nie miała miejsca. Żartował, a w drodze do restauracji jakby nigdy nic złapał mnie za rękę. Gdy wyswobodziłam swoją dłoń, spojrział na mnie zdziwiony, lecz nie zdobył się na żaden komentarz. Atmosfera podczas posiłku nie była najlepsza, choć Karol starał się grać rolę sympatycznego faceta, co zresztą doskonale mu wychodziło. Gdyby nie fakt, że znałam jego tajemnicę, gotowa byłam uwierzyć w te wszystkie jego komplementy i czułe słówka.

Po obiedzie, wymawiając się bólem głowy, wróciłam do siebie i zamiast rozpamiętywać źle ulokowane uczucia, zajęłam się nauką. Pomysł był słuszny, bo za trzy dni mam oddać pracę na temat Babilonu.

19 marca 1969, środa

Może to wbrew etyce, ale dałam się dziś zaprosić na kawę przez młodego doktoranta, który od tego semestru ma z nami wykłady. Okazało się, że Andrzej, bo tak ma na imię, mieszka w Sopocie i to całkiem blisko mnie. Spotkaliśmy się przypadkiem w autobusie, zaczęliśmy rozmawiać, a kiedy zaproponował kawiarnię, uznałam, że nie ma żadnych przepisów, które zabraniałyby studentce wypicia kawy ze swoim wykładowcą. Już po kilkunastu minutach rozmowy uświadomiłam sobie, że Andrzej ma na punkcie historii autentycznego bzika. Przez większą część spotkania rozmawialiśmy wyłącznie o starożytnym Egipcie. Jedyne, czego dowiedziałam się o jego życiu prywatnym, to wiek. Mój wykładowca wkrótce kończył dwadzieścia osiem lat. Zdradził też, że pochodzi z Wrocławia.

21 marca 1969, piątek

Miałam wczoraj trudny orzech do zgryzienia, a wszystko za sprawą dwóch zaproszeń na urodziny. Pierwsze otrzymałam od Andrzeja, a drugie od Karola. Choć nie urodzili się w tym samym dniu, to obaj postanowili zorganizować imprezy urodzinowe w najbliższą sobotę. Po zastanowieniu wygrał Karol. Po pierwsze znałam go prawie dwa lata, a po drugie łączyło mnie z nim znacznie więcej, niż z dopiero co poznanym Andrzejem.

– Impreza będzie kameralna, nie więcej niż dwadzieścia osób – usłyszałam od Karola, gdy poprzedniego popołudnia zjawił się, aby mnie zaprosić. Naszła mnie nawet myśl, aby zapytać, ile według niego powinna liczyć impreza huczna, ale ugryzłam się w język. Gdy poradziłam sobie

z wyborem jubilatą, pojawił się problem prezentu. Kompletnie nie wiedziałam, co kupić Karolowi. Chciałam, aby było to coś oryginalnego. Jednak rekonesans po księgarniach i sklepach muzycznych nie spełnił moich oczekiwań. Dopiero gdy przechodziłam obok jednego z komisów, zobaczyłam na wystawie to, czego szukałam. Przez dłuższą chwilę stałam i wpatrywałam się jak urzeczona. Moje zachowanie musiało być dziwne, bo właściciel komisju wyszedł i zapytał, czy może mi w czymś pomóc.

– Przepraszam, czy to jest na sprzedaż? – zapytałam, wskazując niewielki obraz, przedstawiający parę tańczącą na drewnianym pomoście. Tancerz miał urodę charakterystyczną dla mieszkańców południa Europy. Czarne, lekko falujące włosy, sięgające karku, brązowe oczy, spoglądające na partnerkę z jawnym uwielbieniem, które niemal graniczyło z pożądaniem. Dziewczyna natomiast była blondynką o niebieskich oczach. Jej lekko rozchylone usta koloru dojrzałych wiśni, uniesione ku górze, zdawały się czekać, aż tańczący z nią mężczyzna pochyli się i złoży na nich namiętny pocałunek. Wnioskując po strojach tancerzy, musieli oni tańczyć tango.

– Tak – potwierdził sprzedawca, a wyczuwając moje zainteresowanie, wyjaśnił, że obraz nosi tytuł *Sopockie tango* i został namalowany przez jego żonę. Po krótkich negocjacjach, podczas których pierwotna cena została obniżona o połowę, stałam się szczęśliwą posiadaczką obrazu, który, mam nadzieję, spodoba się Karolowi. Co prawda przedstawiona na nim para wcale nie jest podobna do nas, ale sam motyw tańca i pomostu, w połączeniu z tytułem, nawiązuje do tego, co nas z sobą połączyło.

23 marca 1969, niedziela

Upokorzenie, tylko takim słowem mogę nazwać to, jak poczułam się wczoraj, przychodząc na imprezę do Karola. Zjawiłam się trochę przed czasem, ale sądząc po odgłosach, dochodzących z jego mieszkania,

większość gości zrobiła podobnie. Zabawa musiała trwać w najlepsze, bo Karol otworzył drzwi dopiero po kilkukrotnym naciśnięciu dzwonka. Wyglądał tak, jakby świętowanie zaczął kilka godzin temu. Rozanielony uśmiech, błyszczące oczy i język odmawiający posłuszeństwa.

– Witaj, moja bogini, najbardziej wyczekiwany gościu – wybełkotał, kłaniając się w pas.

– Przestań błaznować – ofuknęłam go, wchodząc do środka. Przesycone papierosowym dymem powietrze aż szczypało w oczy, a pod sufitem wisiała gęsta chmura dymu. Gdy złożyłam życzenia i wręczyłam prezent, kątem oka dostrzegłam postać, stojącą w drzwiach do dużego pokoju. O pomyłce nie mogło być mowy. Była to ta sama dziewczyna, z którą widziałam Karola wychodzącego z kawiarni. Gospodarz również musiał ją dostrzec, bo jeszcze bardziej się ożywił.

– Anka, choć muszę ci kogoś przedstawić – oznajmił, przekrzykując muzykę i pomachał do patrzącej na nas dziewczyny. Tego było już dla mnie za wiele. Obróciłam się na pięcie i bez słowa wyszłam z mieszkania. Nie czekając na windę, ruszyłam w dół schodami.

– Anka, co się stało? – usłyszałam za sobą pytanie Karola, który oparty o barierkę patrzył na mnie z góry. Jednak ja nie miałam zamiaru odpowiadać. Rzuciłam mu tylko pogardliwe spojrzenie, a widząc, że obok niego stanęła dziewczyna z kawiarni, jeszcze bardziej przyśpieszyłam kroku.

26 marca 1969, środa

Dochodzę do wniosku, że faceci nigdy nie zrozumieją kobiet. Ot, taki Karol. Zjawił się u mnie przedwczoraj, jakby nic się nie stało, a gdy powiedziałam, że nie mam dla niego czasu, bo muszę wkuwać, po prostu sobie poszedł. Choć wczoraj i dzisiaj sytuacja się powtórzyła, wcale go to

nie zastanowiło. Może według niego wszystko jest w najlepszym porządku, ale ja mam na ten temat odmienne zdanie.

28 marca 1969, piątek

Choć moje doświadczenia w randkowaniu są raczej mizerne, to jeszcze nigdy nikt nie zaprosił mnie na randkę do kina, w dodatku na film historyczny. Tak więc, gdy wczoraj po zajęciach Andrzej zapytał, czy wybiorę się z nim na premierę *Pana Wołodyjowskiego*, w pierwszej chwili pomyślałam, że mój wykładowca żartuje, i miałam ochotę wybuchnąć śmiechem.

– Mówię serio – dodał, odgadując moje myśli. Mając do wyboru spędzenie dwóch godzin w kinie lub siedzenie w domu i kolejną wizytację Karola, wybrałam to pierwsze. Już przekraczając próg kina, zrozumiałam, że nie była to dobra decyzja. W tłumie przed nami, a liczba osób chcących obejrzeć przygody małego rycerza była naprawdę imponująca, dostrzegłam dwie tak dobrze mi znane postacie.

Widocznie Karol ze swoją nową sympatią również postanowili odświeżyć sobie prozę Sienkiewicza, w filmowym wydaniu – pomyślałam, mając jednocześnie nadzieję, że nie zostanę przez nich zauważona. Niestety po seansie doszło do konfrontacji, której tak się obawiałam. Nastąpiło to w momencie, gdy już opuszczaliśmy kino. W pewnej chwili podeszła do nas towarzyszka Karola.

– Dzień dobry, panie Andrzeju – zagadnęła, posyłając wykładowcy kokieteryjny uśmiech. Mężczyzna wyglądał na speszzonego spotkaniem, ale uściśnął podaną dłoń. – Jak się podobało? – zapytała dziewczyna, przytrzymując rękę wykładowcy nieco dłużej, niż wypadało.

– Od strony artystycznej nie mam żadnych zastrzeżeń, choć z punktu widzenia historyka dostrzegłem kilka nieścisłości – zaczął mój towarzysz, a gdy wyjaśniał swoje obiekcje, podszedł do nas Karol.

– Pozwoli pan, że przedstawię. To jest mój brat – powiedziała dziewczyna, wchodząc wykładowcy w słowo. W tamtej chwili poczułam, jak moje policzki zaczynają płonąć rumieńcem wstydu. Z jednej strony miałam wielką ochotę zapaść się pod ziemię, a z drugiej odczuwałam ogromną ulgę. Karol wymienił uścisk dłoni z Piotrem, a posyłając mi serdeczny uśmiech, przedstawił swoją siostrę Weronikę.

30 marca 1969, niedziela

Wczoraj wieczorem postawiłam wszystko na jedną kartę. Wzięłam długą relaksującą kąpiel, włożyłam tę samą sukienkę, którą miałam na sobie podczas ostatniego sylwestra, spryskałam się Chanel 5, które Hania, wyjeżdżając do Izraela, oddała mi wraz z pozostałymi kosmetykami, wypiłam dwa kieliszki wina na dodanie sobie odwagi i zamówioną taksówką pojechałam do Karola. Dochodziła dziesiąta wieczorem, gdy zadzwoniłam do drzwi jego mieszkania.

– Anka, co ty tu robisz? Czy coś się stało? – zapytał, patrząc na mnie, jakbym była duchem.

– Jesteś sam? – wyszeptałam, ignorując jego zaskoczenie i troskę.

– Tak.

– A kochasz mnie? – zadałam pytanie, które przez kilka popołudniowych godzin ćwiczyłam przed lustrem, jak aktorka rolę do najważniejszego spektaklu swojego życia.

Zdziwienie Karola stało się jeszcze większe, a jego wzrok podejrzliwy.

– Czy ty coś piłaś?

– Możesz mi, do cholery, odpowiedzieć na proste pytanie, zamiast przeprowadzać jakieś dziwne śledztwo – poprosiłam, wbijając w jego twarz wyczekujące spojrzenie.

– Tak, kocham cię – oświadczył i wciągając mnie do mieszkania, zmiażdżył moje usta pocałunkiem. Oparta o zamknięte drzwi

odwzajemniałam pocałunki, rozpinając jednocześnie jego koszulę, podczas gdy on mocował się z guzikami mojego płaszcza, zamkiem od sukienki i haftkami stanika. Kiedy walka o uwolnienie naszych ciał z krępujących je ubrań zakończyła się zwycięstwem, Karol ukląkł przede mną, rozchylił moje uda i zaczął pieścić w sposób, którego się po nim nie spodziewałam. Jego zachłanny język dotykał każdego zakamarka mojej kobiecości. Odurzona rozkoszą i wypitym winem nie protestowałam, pragnąc, by ta chwila trwała bez końca. Gdy wreszcie przeniósł mnie do pokoju i położył na łóżku, jego pieszczoty stały się jeszcze bardziej zaborcze. Już nie tylko język, ale i palce muskały najbardziej wrażliwe miejsca.

– Chodź, chcę cię poczuć – poprosiłam, czując, że fala ekstazy zbliża się nieuchronnie. Karol posłusznie przerwał pieszczoty i spełnił moje życzenie. Wtedy dopiero poczułam, jak coś we mnie rośnie, aby kilka chwil później wybuchnąć zduszonym krzykiem. Tej nocy kochaliśmy się jeszcze kilka razy, ale w tych zbliżeniach nie było już aż takiej dzikości, zachłanności i żaru. Przypominały one żeglowanie po spokojnych wodach, podczas gdy pierwszy raz można było porównać do rejsu w szalejącym sztormie.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że masz siostrę? – zapytałam, gdy rankiem nadzy, siedząc na łóżku, jedliśmy kanapki z salcesonem, bo Karol tylko to miał w lodówce.

– Mówiłem, to ona zaprojektowała zmiany w kawiarni – przypomniał i dopiero wtedy mnie olśniło. – Chciałem was sobie przedstawić na moich urodzinach, ale ty uciekłaś. Wciąż zachodzę w głowę dlaczego.

– Co do głowy i zachodzenia, to widzę, że wyciągasz wnioski – zmieniłam temat, wskazując na puste opakowanie po prezerwatywach leżące pod kaloryferem. Nie zamierzałam tłumaczyć swojego zachowania,

bo niby jak miałabym to zrobić? Przyznając się do zazdrości i podejrzeń z tanich romansów, raczej nie zyskałabym w oczach Karola.

– Francuskie – wyjaśnił, podając mi czerwony kartonik z wizerunkiem kochającej się pary.

– Podobnie jak musztarda – zauważyłam, pokazując słoik, który pochodził z zapasów pana Władysława.

– To też jest francuskie – mruknął Karol i nim przejrzałam jego zamiary, leżałam z rozchylonymi udami, a on znowu doprowadzał mnie do przepaści, aby następnie strącić w tę niepojętą rozumem otchłań rozkoszy. Spadając, widziałam nad sobą obraz tańczącej pary, wiszący na jednej ze ścian.

31 marca 1969, poniedziałek

Przeczytałam w jakiejś książce, że miłość odmienia ludzi. Musi w tym coś być, bo dzisiaj podczas zajęć wiele osób przypatrywało mi się z uwagą. Nie mogąc znieść tych ukradkowych spojrzeń, podczas przerwy poszłam do łazienki, aby przejrzeć się w lustrze. Jednak wyglądałam zwyczajnie. Mimo to, gdy po zajęciach spotkałam się z Karolem, poprosiłam, aby mi się przyjrzał.

– Widzę śliczną młodą kobietę, która fantastycznie tańczy, dobrze gotuje, jest mądra i lubi seks – oznajmił po chwili zastanowienia.

– Pytałam poważnie – mruknęłam, czując wykwitający na policzkach rumieniec.

– To też poważnie odpowiedziałem – zapewnił Karol i bez uprzedzenia pocałował mnie w usta.

– Uważaj, bo dostaniemy mandat za nieobyczajne zachowanie – ostrzegłam.

– Gdyby karano mandatami wszystkich zakochanych, to Polska byłaby krainą mlekiem i miodem płynącą – skwitował Karol, ale gdy zza rogu

wyszedł milicyjny patrol, natychmiast przybrał minę szarego obywatela.

5 kwietnia 1969, sobota

Dziś gościłam u siebie kobietę, którą podejrzewałam o romans z Karolem, co teraz wydaje mi się nie tyle śmieszne, ile wręcz żałosne. Podobno gdy Weronika usłyszała od brata, że w moim mieszkaniu na ścianie wisi oryginalny obraz Stryjeńskiej, z wrażenia aż zaniemówiła.

– Wiesz, ona ma hopla na punkcie malarstwa, więc uważaj, bo może cię zanudzić – uprzedził Karol. Na szczęście jego opinia o własnej siostrze okazała się mocno przesadzona. Co prawda Weronika miała wspomnianego hopla, ale jej opowieści, głównie o Stryjeńskiej, były tak ciekawe, że o zanudzeniu nie mogło być mowy. To właśnie od Weroniki dowiedziałam się, że Zofia Stryjeńska na początku dwudziestego wieku, udając mężczyznę, pojechała do Monachium, gdzie przez ponad rok studiowała malarstwo w szkole, do której kobiety mogły mieć wstęp wyłącznie jako modelki, ale nie jako studentki. Inna ciekawa historia związana była ze statkiem Stefan Batory, którego wystrój także stanowiły obrazy Stryjeńskiej.

– Musisz kiedyś zwiedzić Batorego – poradziła Weronika. Pomysł był całkiem dobry, zwłaszcza że statek, który przez ponad trzydzieści lat pływał po różnych morzach i oceanach, stał teraz przy nabrzeżu w Gdyni i jak przeczytałam w „Wieczorze Wybrzeża”, miał zostać przerobiony na hotel. Na zakończenie spotkania Weronika z otwartością, jakiej się po niej nie spodziewałam, nawiązała do tego, co łączyło mnie i Karola.

– Aniu, widzę, że fajna z ciebie dziewczyna, dlatego uważaj na mojego kochanego braciszka. To nie jest kandydat na męża, a tym bardziej na ojca. On lubi niezobowiązujące znajomości, co nie znaczy, że krótkotrwałe – zastrzegła – ale poważne związki wykraczają poza jego możliwości – podsumowała i prosząc, abym nie komentowała jej słów, ostatni raz

spojrzała na obraz przedstawiający słowiańskie bóstwo, a następnie ruszyła do wyjścia.

7 kwietnia 1969, poniedziałek

Słowa Weroniki dały mi sporo do myślenia. Szczególnie że mówiła o swoim bracie, a przecież rodzeństwo wie o sobie najwięcej, zwłaszcza takie, które jest z sobą blisko. Co prawda mój plan na życie nie przewidywał w najbliższych latach punktu o nazwie „małżeństwo”, o dzieciach nawet nie wspominając, ale nie mogłam zlekceważyć faktu, iż Karol nawet w oczach siostry nie nadawał się ani na męża, ani na ojca. Dlatego postanowiłam zacząć stosować tabletki antykoncepcyjne. Gdy oznajmiłam to Karolowi, ten przyklasnął pomysłowi, by po chwili znowu rozprawiać o sukcesie Leopolda Teligi, który samotnie na drewnianym jachcie opłynął świat.

10 kwietnia 1969, czwartek

Echa historii znowu dały o sobie znać. Tym razem nie chodziło jednak o jakieś wydarzenia sprzed lat, ale miesięcy. Podczas zajęć z archeologii profesor zapowiedział wyjazd studentów na praktyki do Egiptu. Kiedy po zajęciach podeszłam do wykładowcy, aby zapisać się na listę, ten spojrzał na mnie wymownie i głosem tak donośnym, aby usłyszeli go wszyscy studenci, oświadczył, że „Na taki wyjazd potrzebny jest paszport, a ja go nie otrzymam. Już chciałam zapytać, dlaczego tak uważa, gdy uświadomiłam sobie, że władza nie pozwoli, aby krewna kogoś, kto uciekł z Polski, ot, tak wyjechała za granicę.

– Ale w lipcu są planowane praktyki w Biskupinie, a tam nie trzeba paszportu – dodał profesor, posyłając mi drwiący uśmiech.

– W takim razie proszę mnie zapisać, bardzo chętnie sprawdzę, jak żyli nasi przodkowie przed erą Lenina, Stalina i Gomułki – powiedziałam

równie głośno. Obecni na sali wybuchli śmiechem, a profesor, który był zagorzałym komunistą, poczerwieniał ze złości. Kiedy opuszczałam budynek uniwersytetu, podszedł do mnie Andrzej.

– Anno, lepiej nie drażnij Kosińskiego – poradził, podkreślając, że tamten bardzo dużo może.

– Szczerze mówiąc, mam w nosie tego starego komucha – prychnęłam, nie zważając, że obok nas przechodził właśnie dziekan naszego wydziału, który także należał do partyjnych dygnitarzy lokalnego szczebla. On jednak uważany był za człowieka, który na pierwszym miejscu stawia rozsądek, na drugim uczelnię, a na trzecim dopiero partię.

– Mogę cię odprowadzić? – zapytał Andrzej.

– Może innym razem, bo czeka na mnie chłopak – odpowiedziałam, machając do siedzącego na ławce Karola.

– A, rozumiem. W takim razie życzę miłego popołudnia i do zobaczenia jutro – bąknął i ruszył w stronę przystanku autobusowego.

– Mam wrażenie, że ten facet cię podrywa – mruknął Karol, rzucając za oddalającym się Andrzejem nieprzyjazne spojrzenie.

– Czyżbyś był zazdrosny?

– Każdy na moim miejscu byłby zazdrosny – oświadczył, całując mnie w rękę.

11 kwietnia 1969, piątek

Jutro jadę do Warszawy, a właściwie jedziemy, bo będzie mi towarzyszył Karol. Tego wyjazdu wcale nie planowaliśmy, ale wieczorem zatelefonowała babcia Irena i poprosiła o pilne spotkanie. Już sam fakt, że skorzystała z telefonu, aby się ze mną skontaktować, wskazywał, iż chodzi o coś naprawdę poważnego. Niestety babcia nie chciała zdradzić żadnych szczegółów, co nadawało sprawie jeszcze bardziej zagadkowy charakter.

12 kwietnia 1969, sobota

Jeszcze w drodze do Warszawy przerzucaliśmy się z Karolem pomysłami, próbując zgadnąć powód, dla którego babcia chciała mnie widzieć, ale żadne z nas nie trafiło. Trudno się dziwić, bo powodem spotkania okazały się bardzo skomplikowane sprawy rodzinne, w których dużą rolę odgrywała historia. W wielkim skrócie chodziło o ściągnięcie do Polski Leny, dalekiej krewnej, mieszkającej w Wilnie. Lena była wnuczką Róży, która z kolei była kuzynką babci Ireny. Róża po zakończeniu wojny wraz z całą rodziną pozostała na Kresach, głównie dlatego, że jej córka Stefania, matka Leny, wyszła za radzieckiego oficera. Lena dość wcześnie straciła ojca, który popełnił samobójstwo. Kilka lat później zmarła babcia Róża, a przed rokiem odeszła Stefania. Teraz gdy większość krewnych Leny już nie żyła, dziewczyna postanowiła wyjechać do Polski, aby tu rozpocząć nowe lepsze życie. Napisała więc do babci Ireny z pytaniem, czy ta może jej pomóc.

– Jedni uciekają z Polski, drudzy do Polski, a wszyscy w poszukiwaniu lepszego życia – podsumowała filozoficznie babcia, kończąc swoją opowieść. Początkowo nie rozumiałam, co mam wspólnego z daleką krewną i czego się ode mnie oczekuje. Jednak staruszka, odgadując moje myśli, przeszła do wyłuszczenia swojego pomysłu.

– Pomyślałam, że może ty mogłabyś ją zaprosić, pomóc w formalnościach związanych z kontynuowaniem studiów, bo Lena jest na pierwszym roku medycyny.

– Ja? – bąknęłam zupełnie zaskoczona taką prośbą.

– Tak, masz przecież spore mieszkanie, a Lena jest w twoim wieku, więc mogłybyście na razie, póki czegoś sobie nie znajdzie, zamieszkać razem. Myślę, że ze studiami też nie będzie problemu, ponieważ bardzo dobrze zna język polski w mowie i piśmie.

– Ja nawet nie wiem, jak to wszystko załatwić – powiedziałam, mając nadzieję, że uda mi się wykręcić od udziału w pomocy komuś, o kim do dzisiaj nie miałam pojęcia.

– To nie jest specjalnie trudne, ale wymaga czasu i siły, a ja, jak sama widzisz, jestem coraz słabsza – westchnęła babcia, a następnie z wigorem, który zaprzeczał jej ostatnim słowom, zaczęła wyjaśniać formalności, z jakimi należy się zmierzyć. W ten oto sposób zostałam wplątana w ratowanie rodzinnej polskości, jak całą akcją, patetycznie nazwała babcia.

13 kwietnia 1969, niedziela

Spotkałam się dzisiaj z Bolesławem i opowiedziałam mu o szalonym pomysle babci Ireny.

– Nie wiedziałem, że Stefa postanowiła zostać w Wilnie.

– A ty ją znałeś?

– Tak, ale dość słabo, bo była ode mnie sporo młodsza.

– I co ja mam teraz zrobić? – zapytałam, mając nadzieję, że Piechocki wskaże mi wyjście z sytuacji, w jakiej się znalazłam.

– Nie pozostaje ci nic innego jak spełnić prośbę Ireny – usłyszałam w odpowiedzi.

– Ja tej dziewczyny wcale nie znam, a będę musiała z nią mieszkać – jęknęłam.

– To poznasz, a może się nawet zaprzyjaźnicie – zasugerował Bolesław. – Spójrz też na to z innej strony – dodał po chwili zastanowienia – obie jesteście sierotami, a ona ma nawet gorzej, bo jest zupełnie sama – zauważył. Musiałam przyznać, że nie rozpatrywałam tego w takich kategoriach. Nie zmieniało to jednak faktu, iż wolałabym umyć ręce od tej sprawy.

15 kwietnia 1969, wtorek

Kiedy po skończonych zajęciach wyszłam z uniwersytetu, zobaczyłam Karola, czekającego na mnie z dużym bukietem czerwonych róż i tajemniczą miną, przyszło mi do głowy, że chce mi się oświadczyć. Właściwie to nawet nie wiem, skąd tak idiotyczna myśl zrodziła się w mojej głowie. Na szczęście powód, dla którego mój chłopak postanowił podarować mi kwiaty, a nie robił tego zbyt często, był zupełnie inny. Okazało się, że artykuł napisany przez Karola na konkurs dla studentów dziennikarstwa zyskał uznanie jurorów. Choć zajął dopiero trzecie miejsce, zaowocowało to propozycją stażu w „Głosie Wybrzeża”. Z tej okazji prócz bukietu róż otrzymałam jeszcze zaproszenie na kolację do Grand Hotelu. Nagroda, jaką zainkasował Karol, musiała być więc spora, tym bardziej że poprosił, abym zamówiła to, na co mam ochotę. Postanowiłam zatem po raz pierwszy w życiu spróbować homara. Właściwie nie wiedziałam, czego mam się spodziewać, ponieważ z owoców morza, jak dotąd, jadłam tylko krewetki, które ojciec przywiózł z jakiejś zagranicznej podróży. Wbrew początkowym obawom homar bardzo mi smakował. Miał słodko-słony smak, a jego mięso było niezwykle delikatne. Jednak to nie danie zrobiło na mnie największe wrażenie, ale fakt, że dwa stoliki dalej siedział sam Czesław Niemen.

18 kwietnia 1969, piątek

W dzisiejszym „Głosie Wybrzeża” ukazał się pierwszy artykuł Karola. Tekst dotyczył porządku na sopockich ulicach, a raczej jego braku. Karol poruszył temat, który, jak sam powiedział: „Nie dotyczy kwestii szczególnie ważnych”, ale zawarta w artykule puenta, że jak cię widzą, tak cię piszą, bardzo mi się spodobała. Aż jestem ciekawa, jak urzędnicy odpowiedzialni za utrzymanie czystości zareagują na tak jawną krytykę.

21 kwietnia 1969, poniedziałek

Całe wczorajsze popołudnie spędziłam na wypełnianiu dokumentów związanych z zaproszeniem Leny do Polski. Wbrew zapewnieniom babci wcale nie było to takie proste. Z kolei dziś spędziłam ponad trzy godziny w urzędzie wojewódzkim, aby złożyć wypełniony wniosek. Obsługująca mnie urzędniczka okazała się nie tylko miła, ale i pomocna. Podpowiedziała, jak mam wypełnić rubryki, co do których miałam wątpliwości i niczego tam nie wpisałam. Według kobiety z wydaniem zaproszenia nie powinno być problemów, bo Lena jest moją krewną. Jednak czas oczekiwania może wynieść nawet trzy miesiące.

24 kwietnia 1969, czwartek

Podobno związek, w którym bez przerwy panuje sielanka, jest nudny i z góry skazany na porażkę. Jeśli tak jest w rzeczywistości, to ja i Karol mamy przed sobą długą przyszłość, bo wczoraj wieczorem po raz pierwszy ostro się pokłóciliśmy. Najdziwniejsze, że nim doszło do kłótni, spędziliśmy cudowną godzinę w łóżku. Poszło o poglądy, które najczęściej dzielą ludzi. Wszystko zaczęło się od tego, że zostałam poproszona o ocenę artykułu Karola, dotyczącego śmierci Krzysztofa Komedy, o której kilka godzin wcześniej usłyszałam w radio. Gdyby tekst koncentrował się wyłącznie wokół dokonań muzycznych zmarłego, nie miałabym do niego żadnych zastrzeżeń. Jednak w podsumowaniu Karol zaczął insynuować, że nieszczęśliwy wypadek, spowodowany przez Marka Hłasko, w którego wyniku Komeda doznał urazu głowy, wcale nie był przypadkowy. Tak bezczelne oczernianie pisarza uznałam za zwyczajne świństwo i powiedziałam Karolowi, co o tym myślę.

– Anka, nie zapominaj, że Hłasko to zdrajca, a tacy są do wszystkiego zdolni.

– Co ty bredzisz? Jaki znowu zdrajca? Facet po prostu wybrał wolność, a ty, podobnie jak te wszystkie czerwone mordy z komitetu centralnego, każdego, kto ucieka z Polski, wrzucasz do worka z napisem „zdrajcy”.

– Mogłabyś mnie nie obrażać?

– Ja nikogo nie obrażam, tylko mówię prawdę – oświadczyłam, oddając Karolowi maszynopis, choć najchętniej wyrzuciłabym go do kosza.

– Czyli uważasz, że to w porządku, gdy młody obiecujący pisarz, który dostaje od władz szansę na rozwój swojego talentu, jego książki są drukowane, a on sam nagradzany, nagle odwraca się do tej władzy plecami? – krzyknął Karol, rzucając mi pogardliwe spojrzenie. Retoryka, którą właśnie wygłaszał, zupełnie do niego nie pasowała. Przecież zaledwie rok wcześniej protestował wraz z innymi studentami, domagając się wolności i demokracji, a teraz brzmiał jak sekretarz komitetu średniego lub niskiego szczebla.

– Uważam, że każdy powinien mieć prawo wyboru, a ta twoja władza, uzurpująca sobie rolę przodującej siły narodu, takiego prawa nam nie daje – odpowiedziałam, zrywając się z fotela i ruszając do wyjścia.

– Nie zapominaj, że ty też czerpałaś z profitów, jakimi władza obsypywała swoich ludzi – usłyszałam za sobą. Wypominanie, kim był mój ojciec, potraktowałam prawie jak policzek, jednak nie zamierzałam ciągnąć tej dyskusji. Wyszłam od Karola i wróciłam do siebie.

28 kwietnia 1969, poniedziałek

Tak jak po każdej burzy świeci słońce, tak po mojej kłótni z Karolem nastąpiły lepsze dni. Uznaliśmy, że dla dobra naszego związku powinniśmy oddzielić poglądy od uczuć i rozmawiać wyłącznie o tych drugich. Dodatkowo Karol wyszedł z pomysłem, abyśmy zamieszkali razem.

– U mnie czy u ciebie? – zapytałam, sądząc, że tylko zażartował.

– No jasne, że u mnie – oznajmił poważnym tonem, a w następnej chwili zaczął roztaczać wizję wspólnych śniadań na balkonie, z którego rozciągał się wspaniały widok na morze.

Propozycja bardziej mnie przestraszyła, niż zaskoczyła. Oznaczała bowiem, że całkowicie będę musiała zrezygnować z prywatności, którą tak sobie ceniłam. Poza tym, czym innym było wspólne spędzenie kilku dni u mnie lub u niego, a czym innym przebywanie razem przez siedem dni w tygodniu. Na taką zmianę nie byłam przygotowana. Dlatego, aby zyskać na czasie, powiedziałam, że muszę to przemyśleć, a aby on dłużej nie drażył tematu, usiadłam mu na kolanach i wolno zaczęłam rozpinać guziki jego flanelowej koszuli w zieloną, czerwoną i niebieską kratę.

– Wiesz, że tak łatwo się nie wykpisz? – wyszeptał, wsuwając dłoń pod moją bluzkę.

1 maja 1969, czwartek

Myślę, że bez kochanej pani Jadzi moja kuchnia i lodówka nie byłyby tak dobrze zaopatrzone. Głodem bym pewnie nie przymierała, ale dzięki niej mam regularne dostawy świeżego mięsa, podczas gdy w sklepach mięsnych pustki, a gdy już coś rzucą, to od razu wie o tym połowa miasta i biegnie, aby zająć kolejkę. Dzisiaj też sąsiadka zrobiła mi wielką niespodziankę, przynosząc kilogram cytryn i pomarańczy.

– Rzucili do sklepu z okazji pierwszego maja, a że moja szwagierka tam kierownikiem, to udało się kupić – wyjaśniła, widząc moje zdziwione spojrzenie. Wychodząc, poradziła, abym nie wyrzucała skórek po owocach.

– Wyparz je we wrzątku, a następnie przesmaż z cukrem i zagotuj w małym słoiczku – poinstruowała. – Do herbaty na zimę jak znalazł – zapewniła.

Kiedy po południu zjawił się Karol, on również przyniósł cytrusy, otrzymane od redaktora naczelnego, który chwalił jego teksty i wróżył mu

świetlaną przyszłość.

Dobrze, że mamy takie dobre stosunki z Kubą, bo skąd wzięlibyśmy cytryny i pomarańcze? – pomyślałam, gdy stojąc w ogonku do lodziarni, prowadzonej przez prawdziwego Włocha, obserwowałam ludzi, dźwigających siatki pełne egzotycznych owoców.

4 maja 1969, niedziela

Korzystając z cudownej pogody, postanowiliśmy z Karolem urządzić sobie dzisiaj piknik na plaży. Do koszyka zapakowałam ostatnią puszkę włoskiej szynki konserwowej, ostatni słoiczek oliwek, pochodzące z zapasów pana Władysława, kilka pomarańczy, bułki, masło, termos z kawą i butelkę czerwonego wina.

– No tak to ja mogę piknikować – oświadczył Karol, widząc, co znajduje się w koszyku. Wyposażeni w duży koc i zapas jedzenia, wyruszyliśmy na poszukiwanie odpowiedniego miejsca. Mimo doskonałej pogody plaża świeciła pustkami, więc dość szybko znaleźliśmy idealny zakątek.

– Nie wiedziałem, że lubisz taką literaturę – zdziwił się Karol, widząc najnowszą powieść Joanny Chmielewskiej pod tajemniczym tytułem *Krokodyl z Kraju Karoliny*.

– Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz – odparłam, kładąc się wygodnie na kocu.

– To kolejny powód, dla którego powinniśmy zamieszkać razem, zauważył, nawiązując tym samym do niedawno złożonej propozycji. Rozmowa o wspólnym mieszkaniu była ostatnią z rzeczy, na którą wtedy miałam ochotę, ale Karol, zgodnie z zapowiedzią nie zamierzał tak łatwo odpuszczać.

– Musimy teraz o tym rozmawiać?

– A masz jakąś lepszą propozycję? – wymruczał, wsuwając dłoń pod moją sukienkę.

- Przestań! Jeszcze ktoś zobaczy.
- Spokojnie, przecież tu nikogo nie ma – stwierdził, wsuwając palce pod materiał moich majtek.
- No dobra, to porozmawiajmy o mieszkaniu – zgodziłam się, siadając w bezpiecznej odległości od Karola.
- A mogło być tak miło – westchnął zawiedziony.
- Mieliśmy piknikować, a nie uprawiać seks w plenerze – przypomniałam, wyjmując z kosza talerze, kieliszki i sztuce.
- Jedno nie wyklucza drugiego – bąknął, odkorkowując butelkę wina – a co do wspólnego zamieszkania, to sprawa jest prosta – zaczął, kierując rozmowę na właściwe tory – pakujesz swoje rzeczy, przewozimy je do mnie i załatwione – zakomunikował, rozlewając wino do kieliszków.
- A jeśli ktoś doniesie, że mieszkam u ciebie bez zameldowania?
- Niby kto ma donieść?
- Uprzejmi sąsiedzi – wyjaśniłam, upijając łyk chłodnego wina – a poza tym niedługo przyjeżdża Lena i muszę się nią zaopiekować, przynajmniej na początku – dodałam, mając nadzieję, że ten argument przekona Karola.
- Przyjedzie albo nie przyjedzie. Sama wiesz, że minie kilka miesięcy, nim otrzyma pozwolenie – przypomniał.
- Obecny układ mi odpowiada i nie bardzo chcę go zmieniać – oznajmiłam, postanawiając zagrać z Karolem w otwarte karty.
- Czyli nie chcesz ze mną zamieszkać?
- Nie, ponieważ uważam, że każde z nas potrzebuje prywatności – wyjaśniłam i uważając temat za zamknięty, poprosiłam, aby otworzył szynkę, a ja zabrałam się za smarowanie bułek wiejskim masłem, otrzymanym od pani Jadzi.

7 maja 1969, środa

Wczoraj otrzymałam list z zarządu ogrodów działkowych z prośbą o pilny kontakt. Początkowo uznałam, że to jakaś pomyłka, jednak dla świętego spokoju zadzwoniłam dzisiaj pod podany w liście numer telefonu. Sympatyczny starszy pan, przedstawiający się jako prezes zarządu, poinformował, że na mojej działce nie zrobiono wiosennych porządków i poprosił, a raczej wezwał do ich przeprowadzenia.

– Ale ja nie mam żadnej działki – oznajmiłam, rozbawiona całą sytuacją.

– To dziwne, bo z dokumentów wynika, że przejęła pani działkę – zaczął mężczyzna, a ja natychmiast uświadomiłam sobie, że ciotka Celina podarowała mi nie tylko mieszkanie, ale także swoją ukochaną działkę.

– A do kiedy muszę uporządkować teren działki – zapytałam, gdy już kwestie własnościowe zostały wyjaśnione.

– Jak najszybciej, droga pani, bo na tle innych działek wygląda to brzydko i zakłóca estetykę otoczenia.

– Esteta się znalazł – mruknęłam, odkładając słuchawkę. Wychodząc na uczelnię, doszłam do wniosku, że najlepszym wyjściem z sytuacji będzie pozbycie się działki.

10 maja 1969, sobota

Zaopatrzeni w koszyk z prowiantem i butelkę wina, wczesnym rankiem wyruszyliśmy z Karolem na inspekcję działki. Stopień jej zapuszczenia odpowiadał temu, co przekazał mi prezes działkowców. Nic dziwnego, skoro przez ostatnie kilka miesięcy nikt się nią nie interesował. Choć nie była zbyt duża, to zgrabienie i spalenie wszystkich opadłych liści zajęło nam ponad dwie godziny.

– Teraz zaczyna to przypominać rajski ogród – powiedział Karol, wodząc wzrokiem po kwitnących drzewach owocowych. Rzeczywiście dwie jabłonie, wiśnia, śliwa i grusza, rosnące wokół niewielkiej altanki,

były całe obsypane kwiatem. To właśnie wtedy patrząc na ten cudowny, sielski obraz, postanowiłam, że zatrzymam działkę. Mój pomysł spodobał się nawet Karolowi, który już zaczął snuć wizję wyremontowania domku, aby można w nim było nocować.

11 maja 1969, niedziela

Odwiedziliśmy dziś kawiarnię, która jeszcze kilka miesięcy temu należała do Karola. W lokalu praktycznie nic się nie zmieniło. Nawet pani Danuta wciąż była tam kelnerką. Kiedy po wypiciu kawy i zjedzeniu szarlotki ruszyliśmy na molo, spotkaliśmy parasolnika, który w stroju klauna częstował dzieci cukierkami.

– Nie lubię tego gościa – burknął Karol, łypiąc złowrogo na kolorową postać.

– A dlaczego? – zdziwiłam się szczerze, bo do tej pory uważałam, że parasolnik wzbudza ogólną sympatię, nie tylko wśród turystów, chętnie robiących sobie z nim zdjęcia, ale też mieszkańców Sopotu.

– Bo on jest jakiś dziwny.

– Każdy z nas jest na swój sposób dziwny – zauważyłam.

– Ale on robi wszystko, aby wyróżnić się w tłumie – wyjaśnił Karol.

– Może zwyczajnie nie chce być jak otaczająca go szara ludzka masa – zasugerowałam, patrząc z rozczuleniem, jak parasolnik obdarowuje słodkościami małą dziewczynkę, która odwdzięcza się mu serdecznym, dziecięcym uśmiechem.

– To nie jest normalne – stwierdził mój chłopak.

– A ja uważam, że on jest w pewnym sensie najbardziej normalnym z ludzi, ponieważ nie boi się być sobą – odparłam, zazdroszcząc parasolnikowi odwagi.

15 maja 1969, czwartek

Od kilku dni niemal na każdym kroku widzę plakaty zachęcające do wzięcia udziału w wyborach do Sejmu i Rad Narodowych. Nawet jeden z naszych profesorów, który ubiega się o mandat posła, otwarcie prowadzi agitację podczas wykładów. Dzisiaj gdy znowu zaczął opowiadać, jak ważny jest udział obywateli w głosowaniu, miałam ogromną ochotę wstać i powiedzieć, że nieważne jak kto głosuje, ale kto głosy liczy. Oczywiście niczego takiego nie zrobiłam.

18 maja 1969, niedziela

Dziś znowu wybraliśmy się z Karolem na działkę, ale tym razem towarzyszyła nam jeszcze Weronika. Miała ona zaplanować odnowienie altany, choć jak się okazało, to nie był główny powód jej obecności. Podczas luźnej rozmowy zagadnęła mnie, czy nie chciałabym wstąpić do Związku Młodzieży Socjalistycznej.

– A ty należysz do tych oszołomów? – zapytałam zdziwiona, specjalnie używając określenia, jakim ciotka pogardliwie nazywała członków ZMS. Co prawda osobiście nie miałam nic przeciwko przynależności do jakiegokolwiek związku czy stowarzyszenia, ale sama nie zamierzałam do któregośkolwiek przystępować. Stąd moja negatywna i jednoznaczna reakcja.

– Tak – potwierdziła Weronika – ale widzę, że ty masz już wyrobione zdanie na nasz temat – dodała i uznając, że nie zdoła mnie zwerbować, skierowała rozmowę na remont altany.

22 maja 1969, czwartek

Dostałam dzisiaj dwa listy z zagranicy. Pierwszy z Tel Awiwu, a drugi z Wilna. O ile list od Hani nie był specjalną niespodzianką, bo przecież pisywałyśmy do siebie regularnie, to od Leny już tak. Oznaczał bowiem, że otrzymała moje zaproszenie. Najpierw otworzyłam kopertę z Izraela. List

Hani zaczynał się tak samo, jak wszystkie poprzednie. Najpierw serdecznie pozdrawiała „czerwonych recenzentów”, jak zwykła nazywać osoby, które z dużą dozą prawdopodobieństwa czytały naszą korespondencję, a dopiero później przechodziła do właściwej treści listu. Tym razem przyjaciółka rozpisywała się o tym, jak ciężko znosi ciężę, nie szczędząc mi szczegółowych opisów klęczenia nad muszlą klozetową i oddawania dopiero co zjedzonego posiłku. Poza tym wszystko inne układało się znakomicie. Dużym zaskoczeniem było zadane na końcu listu pytanie. „Czy to prawda, że ty i Karol jesteście razem i że on pisuje niskich lotów artykuły do jakiejś propagandowej gazetki?” Podjęcie przez Hanię tych kwestii oznaczało, że choć Tel Awiw dzieliło od Sopotu kilka tysięcy kilometrów, to aktualne wiadomości z naszego podwórka również tam docierały.

Ciekawe, kto jest tym uprzejmym donosicielem? – pomyślałam, sięgając po list od Leny. Pierwsze, co zwróciło moją uwagę, był charakter pisma mojej dalekiej krewnej. Staranność, z jaką pisała, wskazywał, że jako dziecko musiała sporo ćwiczyć, a kaligrafia nie była dla niej czymś obcym. Patrząc na kształtne, równe litery przypominałam sobie własne lekcje kaligrafii z podstawówki, których szczerze nie cierpiałam. Jednak teraz z perspektywy czasu, musiałam przyznać, że wyrobiły mój charakter pisma, choć do stylu Leny było mi daleko. Lena dziękowała za zaproszenie, informując, iż zgodę na wyjazd powinna otrzymać w ciągu dwóch miesięcy. Poza tym list nie zawierał żadnych osobistych przemyśleń, co akurat mnie nie zdziwiło. W końcu wcale się nie znałyśmy.

24 maja 1969, sobota

Kolejną sobotę spędziłam na działce, która z każdą kolejną wizytą wygląda coraz piękniej. Dziś bratanek pani Jadzi, z zawodu stolarz, naprawiał altanę. Pomagał mu w tym Karol, ale było widać, że o remontach może on

tylko dużo mówić, a gdy przychodzi do pracy, to ma przysłowiowe dwie lewe ręce. Po wymianie zniszczonych desek i pokryciu dachu nową papą altanka wygląda zupełnie inaczej. Stolarz poradził, że należałoby wkrótce wymienić deski podłogowe, ale na to na razie nie mam już pieniędzy, więc dalszy remont będzie musiał poczekać.

28 maja 1969, środa

Dziś wreszcie znalazłam czas, aby odpisać Lenie i Hani. List do tej pierwszej był krótki i oficjalny, a mimo to jego napisanie zajęło mi prawie godzinę. Z kolei zapisanie pięciu kartek do Hani trwało tylko trochę dłużej. Pytania o mój związek z Karolem i jego pracę potraktowałam trochę po macoszemu, pisząc, że ma bardzo dobre i aktualne wiadomości. Znacznie więcej miejsca poświęciłam działce oraz przyjazdowi Leny, a także swoim planom na wakacje. Część z nich zamierzałam spędzić w Biskupinie na praktykach studenckich, kilka dni wygospodarować na wypad z Karolem w Bieszczady, a resztę pracując w byłej kawiarni Karola, której obecny właściciel poszukiwał kelnera na sezon wakacyjny.

5 czerwca 1969, czwartek

Pomysłowość władzy na odciążenie wierzących od Kościoła z każdym rokiem coraz bardziej mnie zaskakuje. Oto dziś, gdy mamy Boże Ciało, można było się wybrać na zupełnie darmową wycieczkę po Zatoce Gdańskiej. Rejs rozpoczynał się o dziewiątej, a kończył późnym popołudniem. Namówiona przez Karola, który otrzymał od redaktora naczelnego zadanie napisania artykułu o tym, jak socjalistyczne społeczeństwo spędza dni wolne od pracy, postanowiłam skorzystać z okazji. Nie, żebym uważała się za zwolennika ustroju, w którym przyszło mi żyć, bo gdybym tylko mogła wybierać, wyjechałabym do wolnego świata. Jednak z Kościołem również nie czułam się związana, więc nie

wyobrażałam sobie udziału w procesji. Ku mojemu zadowoleniu, a wielkiemu rozczarowaniu Karola, przystań przy molo nie była tłumnie zapelniona. Tak więc na czterech statkach, jakie po nas przyplnęły, miejsca było aż nadto. Trasa wiodła przez całą zatokę, a w portach, do których zawijaliśmy, czekały na nas wędzone i pieczone ryby, bigos, grochówka i inne festynowe frykasy. Nie zabrakło też piwa, które znikало, jak cytrusy rzucone do sklepów pierwszego maja. Podczas gdy Karol przeprowadzał krótkie rozmowy z wycieczkowiczami, ja siedziałam na górnym pokładzie i wystawiając twarz do słońca, nabierałam energii przed zbliżającymi się egzaminami. Był to naprawdę mile spędzony dzień, jednak cały jego urok prysł, gdy wróciłam do domu i zobaczyłam, że drzwi do mojego mieszkania są uchylone.

– Zapomniałaś zamknąć? – zdziwił się Karol. Pytanie było retoryczne, bo doskonale pamiętałam, że wychodząc, zamknęłam drzwi na oba zamki. Gdy tylko przekroczyłam próg, zobaczyłam gorszy obraz, niż ten, który zostawili po sobie milicjanci, przeprowadzający rewizję po ucieczce ciotki.

– Nie wchodź dalej – zatrzymał mnie Karol, dodając, że trzeba wezwać milicję.

– A jeśli to była rewizja? – rzuciłam, rozglądając się po salonie. Cała podłoga zaścielona była ubraniami wyrzuconymi z szafy, książkami zrzuconymi z półek, a nawet listami i dokumentami, jakie przechowywałam w szufladach komody. To właśnie spoglądając na ten ostatni mebel, zauważyłam brak stojącego tam wcześniej telewizora. Wtedy uświadomiłam sobie, że o rewizji nie może być mowy, a do mojego mieszkania po prostu ktoś się włamał. Ponaglana przez Karola opuściłam mieszkanie, a on w tym czasie telefonował na milicję. Funkcjonariusze pojawili się dość szybko i ku mojemu zdziwieniu był wśród nich major Urbanowicz. Podczas gdy milicjanci sprawdzali ślady, jakie mogli

pozostawić złodzieje, major spisywał moje zeznania. Gdy opowiedziałam, jak spędziłam dzień, zapytał, czy z mieszkania zniknęło coś wartościowego.

– Proszę pana, jedyne, co zauważyłam, to brak telewizora, a biorąc pod uwagę, że innych cennych rzeczy nie posiadam, to wątpię, aby jeszcze coś skradziono – stwierdziłam i w tej samej chwili zrozumiałam, jak bardzo się pomyliłam. Przecież na ścianie wisiał obraz Stryjeńskiej, za który według ciotki Celiny można było kupić mieszkanie. Próbowałam sobie przypomnieć, czy gdy weszłam do salonu, był on na swoim miejscu, ale nie potrafiłam. Dopiero godzinę później, gdy milicja już odjechała, wbiegłam do mieszkania, czując, że serce podchodzi mi do gardła. Jednak moje obawy okazały się zupełnie bezzasadne. Słowiański bożek wisiał spokojnie na ścianie.

14 czerwca 1969, sobota

Kolejna kłótnia z Karolem, i to ponownie o Hłaskę, o którego śmierci poinformowało Radio Wolna Europa. Na Karolu ta tragiczna wiadomość nie zrobiła żadnego wrażenia, a gdy zapytałam, czy zamierza o tym napisać, stwierdził, że o zmarłych powinno się mówić dobrze albo wcale. Dodając po chwili, iż ludzie chętniej przeczytają o zwodowaniu jachtu Dar Szczecina, niż o śmierci jakiegoś tam pisarza. Jego wymówkę uznałam za cyniczną i powiedziałam otwarcie, co o tym sędzę. On z kolei oskarżył mnie o sprzyjanie uciekinierom. W ten sposób od słowa do słowa urządziliśmy sobie koncert pretensji i wyrzutów. Zakończony tym, że Karol wyszedł bez pożegnania. Stojąc w oknie, obserwowałam, jak z zaciętym wyrazem twarzy, szybkim krokiem idzie w stronę swojego mieszkania.

28 czerwca 1969, sobota

Od kilku dni zaczynałam oswajać się z myślą, że między mną a Karolem to już definitywny koniec. O ile po naszej pierwszej kłótni wyciągnął rękę na zgodę, to teraz najwyraźniej nie zamierzał tego robić. Ja również nie miałam takiego zamiaru. Dlatego widząc go wczoraj, jak czeka na mnie przed uniwersytetem, byłam zdziwiona.

– Cześć – rzucił, kiedy podeszłam bliżej.

– Cześć – odpowiedziałam i dopiero wtedy dostrzegłam małą paczuszkę, którą trzymał w dłoniach.

– Nie sądzisz, że czas zakończyć te ciche dni, tym bardziej że nie jesteśmy małżeństwem, ale wolnymi ludźmi? – zapytał, podając mi pudełeczko.

– Co to jest? – spytałam, ignorując słowa, które najwyraźniej miały być formą przeprosin.

– Taki mały prezent na zgodę.

– I myślisz, że dając mi jakąś tam błyskotkę, zdołasz mnie udobruchać? – mruknęłam, nie chcąc pokazać, że mi także na nim zależy.

– Po pierwsze to nie jest jakaś tam błyskotka, tylko coś bardzo praktycznego – oznajmił z tajemniczą miną. – Po drugie, powinniśmy odnowić nasz pakt o nieagresji w kwestiach poglądowych – dodał – a po trzecie zapraszam cię dziś do kina na fantastyczną muzyczną komedię – zakończył, pokazując dwa bilety na premierowy pokaz filmu *Przygoda z piosenką*.

– No nie wiem, czy twój filmowy wybór nie stanie się kością niezgody – bąknęłam, ważąc w dłoni otrzymany prezent. Pudełeczko wydawało się dość ciężkie, więc nie mogła to być biżuteria.

– Z tego, co wyczytałem, główni bohaterowie nie uciekają z Polski, ale wyjeżdżają do Paryża, aby zaprezentować swoje talenty, a później wracają do kraju – uspokoił Karol.

– Mogę otworzyć? – zmieniałam temat, spoglądając wymownie na pudełko.

– No jasne, ale pamiętaj, że to bardzo praktyczny prezent – przypomniał Karol.

– Tak praktycznego upominku jeszcze nikt mi nie dał – przyznałam, oglądając masywny, amerykański zamek do drzwi.

– Teraz już nikt się do ciebie nie włamie – zapewnił Karol, wyjaśniając, że tego zamka żaden wytrych nie pokona.

Pewnie dlatego, że jest amerykański – pomyślałam, dziękując za najbardziej oryginalny prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. Wbrew moim obawom komedia wcale nas nie poróżniła, a wręcz przeciwnie. Tej nocy kochaliśmy się z większą namiętnością, niż zazwyczaj, i nie przestaliśmy na jednym razie.

6 lipca 1969, niedziela

W piątek ogłoszono wyniki ostatnich egzaminów semestralnych. Ku mojej wielkiej radości ukończyłam pierwszy rok studiów. Natomiast jutro, wczesnym rankiem wyjeżdżam na trzy tygodnie do Biskupina. Już nie mogę się doczekać tych praktyk i nawet fakt, że ich kierownikiem będzie profesor Kosiński, ten sam, który powiedział, że nie mam szans na praktyki w Egipcie, bo nie dostanę paszportu, niespecjalnie mnie martwi. W końcu jadę tam, aby nauczyć się praktycznej strony archeologii. Jedynym minusem wyjazdu jest rozstanie z Karolem, ale obiecał, że przyjedzie do mnie w którąś sobotę.

16 lipca 1969, środa

Moje wyobrażenia o ćwiczeniach terenowych, jak formalnie nazywane są praktyki studenckie, okazały się mocno wyidealizowane. Już po kilku dniach zrozumiałam, że archeologia to profesja, która potrafi wyczerpać

człowieka fizycznie. Terenowa eksploracja daje w kość, zwłaszcza żółtodziobom z pierwszego roku. Docinki niektórych opiekunów oraz kolegów ze starszych roczników też robią swoje. Mimo to postanowiłam zacisnąć zęby, okiełznać nadgorliwy język i nie wdając się w słowne przepychanki, zwyczajnie robić to, co mi każą. Na szczęście w najbliższą sobotę ma przyjechać Karol, więc będę mogła oderwać się od obozowej rutyny.

20 lipca 1969, niedziela

Przyjazd Karola wywołał w naszym obozie spore zamieszanie. Mój chłopak postanowił upiec dwie pieczenie na jednym rożnie. Pierwszą, według jego słów, byłam ja, a drugą napisanie artykułu o pracach archeologicznych, koncentrujących się na poznaniu początków państwa polskiego. Temat musiał przypaść do gustu redaktorowi naczelnemu, bo Karol dostał samochód służbowy i to właśnie cudo włoskiej techniki, od niedawna produkowane w Polsce, wzbudziło największe zainteresowanie studentów i profesorów. Gdy po obiedzie odjeżdżaliśmy do Gniezna, odprowadzały nas zazdrosne spojrzenia.

– Mam tutaj wynajęty pokój, więc nie musisz dziś wracać do Biskupina – oznajmił Karol, gdy piliśmy kawę w hotelowej restauracji.

– A jak portier przyjdzie w nocy sprawdzić, czy obywatel Łyzwiński jest sam w pokoju, to jak wytłumaczysz moją obecność w twoim łóżku?

– Tu nie ma portiera, tylko miła pani recepcjonistka, a ona woli czytać książki, niż nadzorować moralność gości.

– Jest jeszcze profesor Kosiński – powiedziałam, wyjaśniając, że kierownik praktyk to straszny służbista i jeśli nie wrócę na noc, gotów wyrzucić mnie z obozu.

– Jak będzie się czepiał, to powiesz, że jestem ze służby bezpieczeństwa i zabrałem cię na przesłuchanie – rzucił Karol po chwili zastanowienia.

– Wątpię, aby uwierzył w coś tak absurdalnego – roześmiałam się szczerze.

– Ale zobaczyć teraz mój pokój to chyba możesz? – wyszeptał, kładąc dyskretnie dłoń na moim kolanie.

Zgodziłam się bez wahania, a kilka minut później leżeliśmy już nadzy na wąskim hotelowym łóżku. Seks w połączeniu ze zmęczeniem ostatnich dni sprawił, że w chwilę po osiągnięciu rozkoszy zasnęłam z głową opartą na piersi Karola. Musiałam spać kilka godzin, bo kiedy otworzyłam oczy, za oknem panował mrok, a wąski sierp księżyca wisiał na bezchmurnym niebie.

– Spałaś tak słodko, że nie miałem sumienia cię budzić – powiedział siedzący przy stole Karol.

– Która godzina? – spytałam, odrzucając kołdrę.

– Dochodzi jedenasta.

– No to Kosiński wywali mnie na zbity pysk – mruknęłam, zbierając w pośpiechu rozrzucone na podłodze ubrania. Przez całą drogę powrotną Karol uspokajał mnie, zapewniając, że porozmawia z kierownikiem i o nic nie muszę się martwić. Tak jak przypuszczałam, Kosiński był wściekły, jednak po krótkiej rozmowie z Karolem jego złość nagle ustąpiła.

– Tym razem jeszcze pani podaruję naruszenie regulaminu, ale więcej nie będę tolerował takiego zachowania – zapowiedział i bez pożegnania ruszył do swojej kwatery.

– Co ty mu powiedziałaś? – zapytałam Karola, gdy zostaliśmy sami.

– Że jestem oficerem SB – oświadczył, posyłając mi szelmowski uśmiech.

24 lipca 1969, czwartek

Kłamstwo o byciu oficerem SB, które według Karola było doskonałym żartem, musiało wypaść bardzo przekonująco, bo od pamiętnych

wydarzeń Kosiński stał się wobec mnie mniej czepiański, a kilka razy nawet usłyszałam z jego ust pochwałę. Pozostali opiekunowie także patrzyli na mnie jakoś inaczej. Mogło to oznaczać, że kierownik podzielił się z nimi sensacyjną informacją. Jednak ponieważ lądowanie ludzi na Księżycu było bardziej zajmujące, niż to, co działo się tu i teraz, uznałam, że wybryk Karola prędko zostanie zapomniany.

27 lipca 1969, niedziela

Jutro oficjalny koniec praktyk, a ja nawet nie wiem, kiedy minęły te trzy tygodnie. Choć o wypoczynku nie mogło być mowy, bo codziennie, nie licząc kilku wolnych dni, pracowałam po dziesięć godzin, to mogłabym tu spędzić jeszcze drugie tyle czasu. Podczas dzisiejszego, pożegnalnego ogniska większość studentów wyrażała jednak zadowolenie z końca praktyk, wesoło rozprawiając o tym, co będą robili przez pozostałą część wakacji. Jedni wyjeżdżali w góry, inni na obóz żeglarski, a było nawet kilku zamierzających autostopem dojechać do Budapesztu. Na tym tle moje wakacyjne plany wyglądały raczej mizernie. Praca w kawiarni była mniej ciekawym zajęciem, niż poznawanie tajników żeglowania czy węgierskiej kultury. Gwarantowała jednak dobre wynagrodzenie, zwłaszcza to, otrzymywane w napiwkach, co dla kogoś, kto musiał sam się utrzymywać, miało duże znaczenie. Opiekając kielbaskę nad ogniskiem, patrzyłam na innych studentów z pewną zazdrością. Oni nie musieli się o nic martwić. Żyli z dnia na dzień, korzystając z życia na własnych zasadach. W pewnej chwili przysiadł się do mnie profesor Kosiński, który, sądząc po zaczerwienionej twarzy, miał gdzieś regulamin zakazujący spożywania alkoholu.

– Pani Anno, mogę mieć do pani pewną prośbę? – zapytał, ścisząc głos do konspiracyjnego szeptu. Zaskoczona, nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć, a kierownik, uważając moje milczenie za zgodę, ciągnął

dalej: – Właściwie to mam prośbę do pani znajomego – wyjaśnił, opisując w kilku zdaniach konflikt, jaki od pewnego czasu trwał między nim a jego sąsiadem. Kosiński uważał, że interwencja oficera SB mogłaby załatwić tę sprawę w sposób dla niego korzystny i sądził, że Karol mu w tym pomoże.

– Proszę porozmawiać z Karolem osobiście – poradziłam, dodając, że jutro będzie do tego okazja, ponieważ Karol przyjedzie po mnie samochodem. Ciekawiło mnie, jak mój chłopak wypije piwo, które sam sobie nawarzył.

29 lipca 1969, wtorek

Nie ma jak to własne łóżko, w którym człowiek wysypia się najlepiej – pomyślałam dzisiaj rano, budząc się w pachnącej pościeli z Karolem leżącym obok.

– Czego chciał od ciebie Kosiński? – spytałam, nie zdradzając, że doskonale wiem, jaką sprawę miał do Karola profesor.

– Nic ważnego – odparł Karol, a ja, słysząc wymijającą odpowiedź, nie zamierzałam drążyć tematu. Zamiast tego wstałam i poszłam napuścić sobie wody do wanny. Marzyłam o długiej gorącej kąpieli, bo podczas obozu mieliśmy do dyspozycji wyłącznie prysznice. Następnie zaparzyłam sobie kawę i czekając, aż wanna wypełni się gorącą wodą, przekartkowałam kilka tygodników, które regularnie prenumerowałam. W końcu zdecydowałam się na „Film”, „Szpilki” oraz „Przyjaciółkę” i tak wyekwipowana ruszyłam do łazienki. Leżąc w pachnącej pianie, popijałam kawę i oddawałam się lekturze. Minęło zaledwie kilka minut, gdy moją poranną, tak długo wyczekiwaną chwilę relaksu, zakłócił dzwonek do drzwi.

– Możesz otworzyć? – krzyknęłam, a słysząc, że Karol idzie do korytarza, wróciłam do wywiadu z Brigitte Bardot. Zdążyłam jednak

przeczytać zaledwie kilka zdań, gdy drzwi do łazienki się otworzyły i ujrzałam w nich zupełnie nagiego Karola.

– Przepraszam, że ośmielałam się przerwać ten błogi czas przyjemności, ale otrzymała waćpanna telegram – oznajmił, kłaniając się nisko.

– Chyba nie otworzyłeś listonoszowi w tym stroju? – zapytałam, pozostawiając jego błazeństwa bez komentarza, i wyciągnęłam rękę po kartkę, którą trzymał w dłoni.

– Obawiam się, że muszę pannę rozczarować – westchnął i podając mi telegram, przysiadł na krawędzi wanny.

„Niestety plany uległy zmianie. Zamiast, jak pisałam w liście, przyjechać 2 sierpnia, będę w Warszawie 30 lipca o piątej po południu. Przyjadę pociągiem z Moskwy do Berlina. Pozdrawiam Lena” – przeczytałam wiadomość i głośno westchnęłam.

– Niech zgadnę, jakiś daleki krewny z Ameryki zostawił ci w spadku milion dolarów – rzucił Karol, niby przypadkiem gładząc moje udo. Zareagowałam dopiero wtedy, gdy jego palce musnęły moją pachwinę.

– Przestań – poprosiłam, wynurzając się z wody.

– I Bóg stworzył kobietę – mruknął, przenosząc wzrok z gazety otwartej na wywiadzie z francuskim symbolem seksu na moje spływające pianą ciało.

– Jutro przyjeżdża Lena – zakomunikowałam, szybko wycierając się ręcznikiem.

– Jak to jutro? – zdziwił się Karol.

– Podobno wysłała do mnie list, w którym informowała o swoim przyjeździe, ale z powodów, których w telegramie nie podała, musiała swój wyjazd przyspieszyć.

– Ale żadnego listu nie było – zapewnił Karol, przebiegając wzrokiem po otrzymanej depeszy.

– Jak znam życie i naszą pocztę, to przyjdzie za dwa tygodnie – prychnęłam, ubierając szlafrok i wychodząc z łazienki.

30 lipca 1969, środa

Wszystkie plany na kilka ostatnich dni lipca wzięły w łeb. Zamiast wycieczki do Białowieży, zaproponowanej spontanicznie przez Karola, czekał nas wyjazd do Warszawy. Wyjechaliśmy bardzo wcześnie, aby móc pospacerować po Łazienkach, a także, co według Karola, było obowiązkowym punktem każdej wizyty w stolicy, wjechać na taras widokowy Pałacu Kultury i Nauki. Najwidoczniej inni mieli podobne zdanie, ponieważ na windę musieliśmy czekać ponad pół godziny.

– O ile dobrze pamiętam, nigdy wcześniej tego nie robiliśmy – zauważyłam, gdy w końcu mogliśmy podziwiać panoramę rozbudowującej się Warszawy.

– Za pierwszym razem mieliśmy znacznie przyjemniejsze rzeczy do robienia. – Ton Karola oraz jego spojrzenie nie pozostawiały wątpliwości, że miał na myśli pamiętny turniej tańca, po którym lekko odurzona szampanem po raz pierwszy poszłam z nim do łóżka.

– A kiedy byliśmy tu w kwietniu – nawiązał do wizyty u babci Ireny, podczas której dowiedziałam się o Lenie – jakoś nie było na to czasu – przypomniał.

W drodze na dworzec zabraliśmy jeszcze babcię Irenę, która, podobnie jak ja, była zaskoczona wcześniejszym przyjazdem Leny. Pociąg z Moskwy nie był planowo, co babcia skwitowała stwierdzeniem, że przed wojną to można było według pociągów zegarki nastawiać.

– Droga pani, teraz zegarki są tak dobre, że wystarczy je tylko raz ustawić – zripostował stojący nieopodal mężczyzna, ale babcia nie podjęła dalszej dyskusji.

Kiedy wreszcie ekspres Moskwa – Berlin wjechał na peron, z uwagą wypatrywaliśmy dziewczyny o płomiennych rudych włosach. Lena wysiadła jako jedna z ostatnich, dźwigając w rękę ogromną walizkę. Kolejne dwie, podobnej wielkości, pomógł wynieść konduktor. Nasze powitanie nie należało do zbyt wylewnych, nie licząc oczywiście babci, która musiała wyściskać wnuczkę swojej kuzynki i uronić kilka łez. Z kolei Karol wydawał się zawstydzony, co zazwyczaj mu się nie zdarzało. Jednak biorąc pod uwagę, że Lena wyróżniała się urodą, nie mogłam mu się dziwić. Duże zielone oczy, płomienne lekko falujące włosy, sięgające niemal do pasa, jasna, przypominająca alabaster cera, kształtne, pełne usta. Takie zestawienie tworzyło zjawiskową całość i musiało przyciągać spojrzenia mężczyzn. Ja przy Lenie wyglądałam jak szara myszka. O tym, że Lena zrobiła na Karolu ogromne wrażenie, świadczył również fakt, że w drodze do Sopotu co chwilę dyskretnie spoglądał w lusterko wsteczne. Jedynym pocieszeniem było to, że Lena nie zwracała uwagi na te spojrzenia.

31 lipca 1969, czwartek

Dziwnie było spać w salonie, na kanapie, która jako mebel do siedzenia sprawdzała się znacznie lepiej niż do spania. Idąc do kuchni, postanowiłam, że trzeba będzie kupić coś bardziej praktycznego. Przechodząc obok drzwi do sypialni, zobaczyłam, że są one otwarte, a w środku nie ma nikogo. W pierwszej chwili pomyślałam, że Lena wyszła do łazienki, lecz w pomieszczeniu panowała cisza.

– Lena, jesteś tam? – zawołałam, ale nie doczekałam się odpowiedzi. Nacisnęłam więc klamkę i weszłam do środka, gdzie, zgodnie z przecuciem, nie było nikogo. Następnie podeszłam do drzwi wejściowych. Brak klucza w zamku uświadomił mi, że Lena wyszła z mieszkania. Musiała to jednak zrobić bardzo cicho, bo niczego nie

usłyszałam. Początkowo wpadłam w panikę i nie wiedziałam, jak powinnam się zachować. W pierwszym odruchu chciałam nawet wybiec i jej szukać. Jednak po chwili zastanowienia doszłam do wniosku, że lepiej zrobię, czekając w mieszkaniu. Decyzja okazała się słuszna, bo mniej więcej po godzinie, gdy kończyłam przygotowywać śniadanie, do mieszkania weszła uśmiechnięta Lena. Przeprosiła za wyjście bez uprzedzenia, tłumacząc, że nie chciała mnie budzić.

– Sopot jest bardzo piękny – oznajmiła, siadając do stołu – i macie tutaj wspaniałe kościoły – dodała, nalewając sobie herbaty.

– Kościoły? – zdziwiłam się szczerze.

– Tak, akurat trafiłam na poranną mszę i postanowiłam podziękować Bogu za szczęśliwą podróż – wyjaśniła, a jej słowom towarzyszył serdeczny uśmiech. Wyznanie Leny było dla mnie totalnym zaskoczeniem.

– Nie spodziewałam się, że jesteś osobą wierzącą – przyznałam, postanawiając być równie szczerą.

– Rzeczywiście w Związku Radzieckim wiara uważana jest za zło konieczne – potwierdziła – prawosławni mają trochę lepiej, ale katolicy traktowani są jak obywatele drugiej kategorii. Dlatego wielu z nich staje się ateistami – dodała.

– U nas pod tym względem jest różnie, ale i tak władza robi wszystko, aby odciągnąć ludzi od Kościoła – powiedziałam, zastanawiając się, czy ja, która uważałam się za osobę niewierzącą, znajdę wspólny język z Leną, dla której wiara była ważną kwestią.

6 sierpnia 1969, środa

Od pierwszego sierpnia zaczęłam sezonową pracę w kawiarni. Początkowo miałam obawy, czy przez rok nie zapomniłam, jak na jednej tacy przenieść pięć filiżanek kawy, ale okazało się, że bycie kelnerką to trochę jak jazda na rowerze, tego podobno się nie zapomina. Nowy właściciel

w przeciwieństwie do Karola bardzo dużo czasu spędzał w lokalu. Widać, że zależy mu na klientach, bo czasami podchodzi do gości i otwarcie pyta, czy im smakuje i czy są zadowoleni. Obcokrajowców nie ma zbyt wielu, ale biorąc pod uwagę fakt, że festiwal piosenki zaplanowano dopiero na ostatni tydzień sierpnia, nie ma się co dziwić. Jednak nawet po tych kilku dniach pracy zarobiłam już kilkadziesiąt dolarów w napiwkach.

Lena spędza dni na poznawaniu Sopotu. Czasami towarzyszy jej Karol, o co jestem trochę zazdrosna. Wątpię jednak, aby mimo swojego uroku zdołał ją uwieść. Lena uważa, że przelotne znajomości i romanse są wbrew nauce Kościoła. Gdy pewnego dnia na szafce w łazience zostawiłam swoje tabletki antykoncepcyjne, otwarcie powiedziała, że ich stosowanie jest grzechem. Mimo wszystko dogadujemy się dość dobrze, bez narzucania sobie swoich poglądów.

11 sierpnia 1969, poniedziałek

Gdy dziś, kilka minut po trzynastej zjawiłam się w pracy, pierwszą osobą, którą zobaczyłam, był major Urbanowicz. Siedział przy stoliku w głębi sali, popijał kawę i czytał „Głos Wybrzeża”. Ponieważ nie miał na sobie munduru, przypominał jednego z wielu klientów. Jednak podejrzewałam, że jego obecność w tym miejscu nie jest kwestią przypadku. Moje przypuszczenia potwierdziły się, gdy tylko weszłam na zaplecze.

– Pani Anno – wyszeptał wyraźnie wystraszony właściciel – ten gość – wskazał dyskretnie Urbanowicza – chciałby z panią porozmawiać – zakomunikował, próbując opanować drżenie dłoni.

Jego reakcja wydała mi się zupełnie zrozumiała. W końcu wizyta majora Milicji Obywatelskiej nie wróżyła niczego dobrego, a wręcz przeciwnie, zwiastowała kłopoty. Podziękowałam i podeszłam do stolika. Nie pytając o pozwolenie, odsunęłam krzesło i usiadłam.

– Dzień dobry – przywitał się Urbanowicz, odkładając gazetę obok opróżnionej do połowy filiżanki.

– Dzień dobry – odpowiedziałam. – Podobno chciał pan ze mną rozmawiać – dodałam, przechodząc do rzeczy.

– Bardzo miły lokal i znakomita kawa – pochwalił major.

– Przekażę właścicielowi, na pewno się ucieszy, że panu smakowała.

– Proszę jeszcze dodać, aby się nie bał, bo ja nie gryzę.

– Powiem, choć wątpię, aby uwierzył. Sam pan dobrze wie, że nie macie jako formacja zbyt dobrej opinii w społeczeństwie – stwierdziłam, mając przecucie, że w obecności tego mężczyzny mogę sobie na takie uwagi pozwolić.

– Bardzo krytyczna ocena – westchnął Urbanowicz, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Ale niestety prawdziwa – rzuciłam, zastanawiając się, czego major może ode mnie chcieć. Czyżby chodziło o ciotkę Celinę?

– Po części muszę przyznać pani rację, ponieważ nie mam dobrych wiadomości – powiedział, przekazując mi kopertę, ostemplowaną pieczętką komisariatu.

– W środku jest decyzja o umorzeniu postępowania w sprawie włamania, jakiego dokonano do pani mieszkania – wyjaśnił, nim zdążyłam zapytać o zawartość koperty. – Niestety mimo usilnych starań nie udało się wykryć sprawców – zakończył, bezradnie rozkładając ręce.

– To szkoda, bo nie mogę teraz oglądać telewizji, która jest źródłem tak cennych i pożytecznych dla obywateli informacji – zadrwiłam, nawet nie próbując ukryć swoich intencji.

– Zawsze może pani poczytać gazetę – wskazał na leżący obok filiżanki dziennik – tym bardziej że są tam artykuły kogoś, kto jest pani szczególnie bliski – dodał, a ja mimowolnie się zarumieniłam.

– Przepraszam, nie miałem zamiaru pani zawstydzić – wyszeptał, robiąc przeproszącą minę.

– Nie uważam, aby teksty Karola można było zaliczyć do wybitnego dziennikarstwa. Według mnie to zwykła propaganda.

– Widzę, że nawet najbliższych ocenia pani bardzo surowo.

– Ja po prostu nie lubię kłamać – oświadczyłam, chowając kopertę do torebki.

– Byłem u pani w mieszkaniu, sądząc, że tam panią zastanę, ale otworzyła mi dziewczyna, którą ostatni raz widziałem na pogrzebie jej ojca, czyli jakieś dwanaście lat temu, a mimo to teraz bez trudu ją rozpoznałem.

Słuchając Urbanowicza, nie potrafiłam ukryć szoku, jakiego właśnie doznałam.

– A skąd pan znał ojca Leny? – bąknęłam po dłuższej chwili.

– Służyliśmy razem w jednym oddziale – odparł major. – To był dobry człowiek, ale zgubiła go wódka – dodał, podnosząc się z krzesła.

Po wyjściu Urbanowicza zachodziłam w głowę, dlaczego obecność Leny w moim mieszkaniu tak go zaskoczyła. Przecież skoro wiedzieli o mnie wszystko, łącznie z tym że mój chłopak pisze artykuły do „Głosu Wybrzeża”, to powinni też wiedzieć o przyjeździe Leny. Zastanawiało mnie również, dlaczego nie zapytał, co łączy mnie z Leną. W końcu uznałam, że po spotkaniu z nią wykonał kilka telefonów i wszystkiego się dowiedział.

Gdy wróciłam do domu, zagadnęłam Lenę o wizytę majora. Z relacji dziewczyny wywnioskowałam, że nie przyznał się do znajomości z jej ojcem. Dlatego ja też postanowiłam przemilczeć ten fakt.

16 sierpnia 1969, sobota

Dochodzę do wniosku, że posiadanie ogródka działkowego ma swoje wymierne korzyści, a dziś miałam okazję się o tym przekonać, zjadając soczyste słodkie truskawki z cukrem i śmietaną. Co prawda sezon na te owoce już minął, ale odmiana, jaką kiedyś zasadziła ciotka, owocowała bardzo późno. Według Leny, która wydaje się mieć o ogrodnictwie większe pojęcie niż ja i Karol razem wzięci, nowych owoców można wyczekiwać nawet we wrześniu. Poza truskawkami dobrze zapowiadają się zbiory jabłek, gruszek i śliwek, a wiśni będzie chyba najwięcej, bo już teraz gałęzie uginają się pod ich naporem.

– Będziemy zbierać i sprzedawać na hali targowej – rzucił Karol, gdy głośno zastanawiałam się, co począć z taką ilością owoców.

– Może to dobry pomysł – podchwyciła Lena, odrywając wzrok od pisma świętego, z którym prawie nigdy się nie rozstawała. Od jej przyjazdu nie zauważyłam, aby czytała cokolwiek innego. Nawet kolorowe czasopisma, które prenumerowałam, niespecjalnie ją interesowały.

19 sierpnia 1969, wtorek

Z każdym dniem w kawiarni pojawia się coraz więcej zagranicznych gości, a to znak, że zbliża się kolejny festiwal piosenki, który startuje za dwa dni. Będzie to wyjątkowo gorący czas w pracy, ale także okazja do zarobienia większych pieniędzy. Obiecałam sobie, że jak tylko znajdę wolniejszą chwilę, zabiorę Lenę na zakupy, bo jej garderoba, choć nie jest zniszczona, to przypomina muzealne eksponaty. Nawet pani Jadzia, która raczej nie przywiązuje zbyt wielkiej uwagi do mody, zauważyła, że kobiety w Związku Radzieckim ubierają się bardzo dziwnie.

25 sierpnia 1969, poniedziałek

Miałam dziś wolny dzień, więc wreszcie mogłam się porządnie wyspać. Tapczan, który zajął miejsce kanapy, może nie dorównuje jej prezencją, ale

zdaniem Karola jest o niebo wygodniejszy. Uwagę te wypowiedział, gdy pewnego dnia kochaliśmy się pod nieobecność Leny, która wyszła do kościoła. Po śniadaniu oznajmiłam Lenie, że najwyższy czas zmienić jej garderobę. Dziewczyna protestowała, ale widząc moją nieustępliwość, skapitulowała. Kiedy Karol wpadł do nas na popołudniową kawę, wpatrywał się w Lenę jak w obrazek. W zwiewnej, kwiecistej sukience wyglądała naprawdę oszalamiająco. Podobną reakcję zaobserwowałam u Bolesława, którego zaprosiłam na kolację. Do tej pory, choć od przyjazdu Leny minął prawie miesiąc, jakoś nie było okazji, aby się spotkać, a przecież Piechocki również pochodził z Wilna i znał krewnych dziewczyny. Uznałam więc, że warto, aby się poznali. W końcu łączyło ich wspólne miejsce urodzenia. Lena, nawet jeśli była świadoma tego, jak oddziałuje na mężczyzn, kompletnie to ignorowała. Dopiero gdy Bolesław powiedział, że pracuje w szpitalu, spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Czy byłaby szansa, abym znalazła tam pracę jako pielęgniarka? – zapytała wprost, wyjaśniając, że ma skończone liceum pielęgniarskie i pierwszy rok medycyny, a od października zamierza kontynuować studia. – Czekam tylko na decyzję w sprawie uznania egzaminów z uniwersytetu w Wilnie – zakończyła. Już chciałam zapytać, kiedy zdążyła załatwić formalności z przyjęciem na studia, ale uznałam, że w towarzystwie Piechockiego nie wypada poruszać tej sprawy.

– Myślę, że są duże szanse – odpowiedział Bolesław po chwili zastanowienia. – Proszę się zgłosić do kadr i powołać na moje nazwisko – dodał, a w jego oczach zobaczyłam ten tak dobrze znany blask. Patrzył na Lenę w podobny sposób jak na mnie kilka miesięcy wcześniej.

Kiedy po wyjściu Piechockiego zmywałyśmy naczynia, zagadnęłam Lenę o sprawę studiów.

– Nie chciałam ci tym zawracać głowy, bo pracowałam, ale Karol pomógł mi we wszystkim – odpowiedziała, wycierając ściereczką talerze.

Ciekawe, dlaczego mi o tym nie powiedział? – pomyślałam, podając Lenie kolejny umyty talerz.

27 sierpnia 1969, środa

Wczoraj Lena pojechała do szpitala w sprawie pracy, a dziś ma już swój pierwszy nocny dyżur. Wszystko poszło tak szybko, że nawet ona sama była tym zaskoczona. Z kolei ja widziałam w tym pomocną dłoń Piechockiego, któremu dziewczyna z dalekiego Wilna ewidentnie wpadła w oko. Wątpiłam jednak, aby jego uczucia spotkały się z wzajemnością. Lena została wychowana w duchu głębokiego katolicyzmu, co biorąc pod uwagę miejsce, w którym dorastała, już było czymś niespotykanym. Wątpiłam więc, aby teraz jej światopogląd uległ zmianie. Tym bardziej że prócz wiary cechowało ją bardzo realistyczne podejście do życia. Podczas jednej z naszych rozmów wyraźnie zaznaczyła, że najpierw musi skończyć studia, a dopiero później może się rozglądać za mężem. Chociaż różniło nas bardzo wiele, to akurat w tej kwestii byliśmy do siebie podobni.

1 września 1969, poniedziałek

Otrzymałam dzisiaj przekaz pieniężny od Hani, choć podejrzewam, iż jego nadawcą jest ciotka Celina. Przemawia za tym fakt, że pieniądze zostały wysłane z Chicago, a Hania, która przecież wkrótce będzie rodzić, nie wspominała w ostatnim liście, aby wybierała się do Stanów. Rzecz jasna nie mogę zapytać wprost, czy to ona postanowiła obdarować mnie dwustoma dolarami, bo panowie czytający naszą korespondencję wbrew opinii przyjaciółki nie są wcale tacy głupi. Tak więc teraz łącznie z napiwkami, jakie otrzymałam od zagranicznych gości, posiadam ponad siedemset zielonych, czyli jak na polskie warunki jest to mała fortuna.

Oczywiście pod warunkiem, że przy wymianie na złotówki nie skorzystam z banku, tylko panów handlujących walutą. Według Karola trzymanie takiej ilości dewiz w mieszkaniu to proszenie się o kłopoty. Do momentu sprzedaży będę musiała znaleźć bezpieczną skrytkę, a na razie dolary ukryłam w kozaku. Wątpię, aby złodzieje szukali w butach kosztowności. Poza tym szansa, że moje mieszkanie znowu zostanie okradzione, jest raczej niewielka. W końcu poprzednim razem włamywacze wynieśli to, co według nich było w nim najwartościowsze, czyli telewizor o wdzięcznej nazwie Szafir, jedną z niewielu pamiątek, jakie zabrałam z warszawskiego mieszkania moich rodziców.

7 września 1969, niedziela

Od dwóch dni jesteśmy z Karolem w Bieszczadach. Tym razem zwiedzanie zaczęliśmy od Jeziora Solińskiego. Już sam spacer po zaporze robi wrażenie, a podczas płynięcia kajakiem widok jest jeszcze piękniejszy. Choć do kolorowej, pachnącej dymem jesieni wciąż daleko, bo wzgórza nad Soliną są nadal zielone, zupełnie jak w piosence Wojciecha Gąsowskiego, to chłodniejsze wieczory zwiastują nadchodzący już kres lata. Z okna naszej kwatery widać taflę jeziora i gdyby nie okrzyki dobiegające z radia, w którym właśnie trwa transmisja meczu Polska – Holandia, nastrój byłby tak romantyczny, że tylko iść do łóżka i się kochać. Niestety Karol, choć próbowałam różnymi gestami pokazać mu, na co mam ochotę, wybrał okrzyki komentatora, fascynującego się każdym dobrym podaniem i każdą podbramkową sytuacją. Natomiast gdy nasi strzelili gola, to nawet Karolowi udzieliło się szaleństwo kibiców. Dlatego ja siedzę przy oknie i piszę, a on leży na łóżku i motywuje naszych piłkarzy do kolejnej bramki. Obserwując zachowanie Karola, zadaję sobie pytanie, co dwudziestu dwóch facetów biegających za jedną piłką ma w sobie, że

nawet seks przestaje się liczyć? Na to pytanie chyba nigdy nie znajdę odpowiedzi.

9 września 1969, wtorek

Ten wyjazd jest inny od zimowej wyprawy. Nie chodzi wcale o porę roku, lecz o to, że teraz mniej chodzimy, a więcej jeździmy. Nie mam pojęcia, jak Karol tego dokonał, ale redakcja użyczyła mu czerwonego fiata. Fakt poruszania się samochodem sprawia, że jesteśmy postrzegani jak prywaciarze lub partyjni promineneci. W obu przypadkach ma to swoje plusy i minusy, a czasami prowadzi do komicznych sytuacji. Na przykład dzisiaj, gdy przyjechaliśmy do wsi Muczne, kierownik znajdującego się tam hotelu dla robotników leśnych wziął nas za inspektorów z zarządu Lasów Państwowych. Przekonany, że jesteśmy kontrolerami, zaprosił do swojego biura i bez owijania w bawełnę zaproponował łapówkę w postaci czterech butelek bimbru oraz sześciu ogromnych wędzonych szynek z dzika. Karol bardzo szybko wszedł w rolę i po godzinie odjeżdżaliśmy bogatsi o wędzonki, których w mieście nie uświadczysz.

11 września 1969, czwartek

Chyba limit dobrej pogody już się wyczerpał, bo od wczoraj leje niemal bez przerwy, a temperatura spadła do około dziesięciu stopni. Urokliwe szczyty, które przedwczoraj zapierały dech w piersiach, teraz przesłaniają nisko wiszące chmury i sięgające do nich gęste szare mgły. O jakimkolwiek wyjściu w góry nawet nie było mowy. Pozostało tylko zaparzyć gorącą herbatę, wejść pod ciepły koc i oddać się lekturze. Próbowałam więc czytać *Grę w klasy* Julio Cortáзара, ale nieustanny stukot maszyny do pisania, na której Karol przepisywał artykuł o elektrowni na zaporze w Solinie, nie ułatwiał tego zadania. Tym bardziej że książkę czytałam w oryginale, chcąc nadrobić zaległości w nauce hiszpańskiego. Dodatkową trudność

stanowiła eksperymentalna forma dzieła oraz fabuła, wymagająca ogromnego skupienia. Po godzinie dałam za wygraną, odstawiłam książkę na krzesło przy łóżku i także zabrałam się do pisania swojego pamiętnika. Ten, w odróżnieniu od tekstu Karola o elektrowni wodnej, nigdy nie zostanie opublikowany i będzie jedynie moją pamiątką z lat młodości, którą może kiedyś pokażę swoim dzieciom, o ile w ogóle będę je miała.

12 września 1969, piątek

Zaczyna być nudno, bo jak długo można słuchać radia, uprawiać seks, spać lub czytać książkę? Deszcz ciągle pada, a radiowe prognozy pogody nie napawają optymizmem. Dodatkowo płynący niedaleko naszej kwatery strumień huczy teraz jak wezbrana rzeka.

13 września 1969, sobota

Chcąc wyrwać się z ciasnego pokoiku, postanowiliśmy dzisiaj pojechać do kina. Najbliższe było w Ustrzykach Dolnych. My kwaterowaliśmy w Ustrzykach Górnych, ale obie te miejscowości dzieliło kilkadziesiąt kilometrów.

Ot, taki paradoks – pomyślałam, przypominając sobie, że Dolny Sopot od Górnego dzieli zaledwie cztery kilometry. Po dotarciu na miejsce dostrzegłam jeszcze jedną zasadniczą różnicę. Podczas gdy Ustrzyki Górne były niewielką wsią, to Dolne prawdziwym miastem. Repertuar kina był niestety bardzo ubogi. Obejmował tylko jeden film, o niezbyt zachęcającym tytule *Polowanie na muchy*, a na sam seans musieliśmy czekać aż trzy godziny. Jednak oglądając przygody Włodka, skromnego pracownika księgarni i niedoszłego absolwenta rusycystyki, uznałam, że było warto. Bohater, czując się całkowicie zdominowany przez swoją żonę oraz teściową, postanawia z tym skończyć. Dlatego pewnego dnia, pod pretekstem zakupu papierosów, wychodzi z domu, zamierzając opuścić go

na zawsze. Przez przypadek poznaje Irenę, młodą atrakcyjną studentkę polonistyki. Między parą wybucha romans. Dziewczyna, doszukując się w swoim kochanku wyjątkowych zdolności, jest przekonana, że powinien on zrobić wielką karierę. Nie licząc się ze zdaniem Włodka, czyni wszystko, aby zrobić z niego kogoś, kim w rzeczywistości nie jest.

– Nie uważasz, że Wajda przesadził w swojej wizji zmieniającego się świata? – zapytał Karol, gdy wracaliśmy z kina.

– Myślę, że dominacja kobiet, a przynajmniej dążenie do swojego zdania, jest czymś, co już od pewnego czasu ma miejsce i czego się nie da zatrzymać – odparłam po chwili zastanowienia. W spojrzeniu Karola, który odwrócił twarz w moją stronę, dostrzegłam coś na kształt zdziwienia, połączonego z niedowierzaniem.

– Lepiej patrz na drogę i zwolnij – poprosiłam, widząc, że licznik prędkościomierza zbliża się do stu kilometrów na godzinę. Karol spełnił moją prośbę i przez pewien czas jechaliśmy w milczeniu, obserwując nitki deszczu, błyszczące w świetle reflektorów. Za jednym z kolejnych zakrętów kilkanaście metrów przed maską samochodu dostrzegliśmy jakiś ciemny, masywny kształt.

– A to co? – mruknął Karol, naciskając na hamulec.

W następnej chwili z moich ust wyrwał się ochryply wrzask, który zagłuszał przekleństwa ciskane przez Karola. Szeroko otwartymi oczami patrzyłam na niedźwiedzia, który pędził w naszą stronę. Z błyszczącymi ślepiami i obnażonymi zębami wcale nie przypominał miłego misia z dziecięcych bajek. Karol natychmiast wrzucił wsteczny i choć zaczęliśmy się oddalać, bestia nie dawała za wygraną i wciąż biegła w naszym kierunku. Odniosłam nawet wrażenie, że jest coraz bliżej. Ze strachu zacisnęłam powieki i czekałam na najgorsze.

– Trzymaj się – usłyszałam polecenie Karola, więc odruchowo złapałam za uchwyt nad drzwiami. W następnej sekundzie poczułam, jak samochód obraca się wokół własnej osi. Gdy odważyłam się otworzyć oczy, jechaliśmy już w stronę, z której przybyliśmy, a strzałka prędkościomierza zbliżała się do stu dwudziestu kilometrów, ale szalona jazda po mokrym asfalcie była mniej przerażająca, niż spotkanie z bieszczadzkim misiem. Karol zwolnił dopiero po kilku kilometrach. Do Ustrzyk Górnych wracaliśmy okrężną drogą, a i tak za każdym zakrętem wypatrywaliśmy znajomego kudłatego kształtu.

14 września 1969, niedziela

Powoli zaczynam się przyzwyczajać, że każdy poranek wita mnie taką samą pogodą. Aura pod psem, choć od spotkania z królem bieszczadzkich ostępów żartujemy, że powinna się nazywać pod misiem, nie służy tej wyprawie, a zaczyna również kłaść się głębokim cieniem na naszym związku, czy raczej relacji dwóch ludzi, zamkniętych w ciasnym pokoju, spędzających z sobą niemal całą dobę. Teraz wiem, że decyzja o niemieszkanu razem była słuszna. Każdy człowiek ma prawo do prywatności, a gdy ktoś próbuje w nią ingerować, może, a nawet powinien jej bronić. Właśnie w takich kategoriach odczułam dzisiejszy występ Karola, który korzystając z okazji, że wyszłam na werandę, zaczął czytać mój pamiętnik.

– Nie wiedziałem, że chcesz zostać pisarką – powiedział, gdy po powrocie wyrwałam zeszyt z jego rąk.

– Czy pozwoliłam ci grzebać w swoich rzeczach? – rzuciłam ostro, ignorując wzmiankę o literackiej karierze.

– Ja tylko chciałem zobaczyć, co tam sobie notujesz – bąknął – a poza tym nie grzebałem, bo leżał tu – dodał, wskazując na stojące przy łóżku krzesło.

– A może ja nie mam ochoty, abyś czytał moje prywatne zapiski?

– Ale to jest naprawdę dobre – oświadczył z uznaniem.

– Znalazł się krytyk literacki – prychnęłam i zapowiedziałam, że jeszcze jeden taki numer, a dostanie po pysku.

– Widzę, że zaczynasz się zachowywać jak te wszystkie baby z filmu Wajdy – mruknął drwiąco, a dostrzegając moje mordercze spojrzenie, wyszedł z pokoju.

Chowając pamiętnik na dno walizki, słyszałam, jak na werandzie nuci piosenkę o deszczach niespokojnych, pochodzącą z *Czterech pancernych...*

15 września 1969, poniedziałek

Nareszcie zaświeciło słońce i w końcu mogliśmy wyruszyć na Tarnicę, której podczas zimowego pobytu nie udało nam się zdobyć. Co prawda obawiałam się ponownego spotkania z niedźwiedziem, ale nasz gospodarz zapewnił, że na takiej wysokości raczej misia nie spotkamy. Tak więc z duszą na ramieniu i prowiantem w plecaku po śniadaniu wyruszyliśmy w drogę. Choć przestało padać, to ścieżka, którą wiódł szlak, była grząska i śliska. W pewnym momencie mieliśmy już nawet zamiar wrócić, ale po krótkim odpoczynku i przekąszeniu jałowcowej kiełbasy, zakupionej we wsi, ruszyliśmy dalej. Gdy dotarliśmy ponad górną granicę lasu, droga stała się bardziej stabilna i szło się całkiem przyjemnie. Zgodnie z tym, co powiedział nasz gospodarz, żadnego niedźwiedzia nie widzieliśmy. Tylko kilka żmij wygrzewających się na skałach zwróciło naszą uwagę. Pierwszych turystów spotkaliśmy dopiero na szczycie Tarnicy. Była to para w średnim wieku, która najwyższe wzniesienie Bieszczadów postanowiła zaatakować od strony Wołosatego. O ile twarz kobiety nic mi nie mówiła, to w mężczyźnie dostrzegłam coś znajomego. On również patrzył na mnie w sposób sugerujący, że już kiedyś mieliśmy okazję się spotkać.

– Czy pani jest córką ministra Jawora? – zapytał w pewnej chwili.

– Tak – potwierdziłam, próbując sobie gorączkowo przypomnieć, kim może być mężczyzna o lekko zmrużonych niebieskich oczach, łagodnym uśmiechu i ciemnych włosach tu i ówdzie przyprószonych już siwizną.

– Nazywam się Adam Wróblewski – powiedział, uśmiechając się jeszcze bardziej serdecznie – a to jest moja żona Barbara – przedstawił swoją towarzyszkę. – Przez kilka lat miałem przyjemność pracować z pani ojcem.

Dopiero po tych słowach coś odblokowało się w mojej pamięci i doznałam olśnienia. Wróblewskiego widziałam zaledwie raz czy dwa razy, ale ojciec bardzo często o nim opowiadał. Uważał go za jednego z najlepszych urzędników, z jakimi kiedykolwiek pracował.

– Teraz sobie pana przypomniałam. Tato często mówił, że jest pan wzorem dla innych urzędników.

– To lekka przesada – mężczyzna zbagatelizował pochwałę – choć przyznam, że staram się wykonywać swoje obowiązki najlepiej jak potrafię – dodał i zmieniając temat, zapytał, co tutaj robię i jak teraz sobie radzę.

Przedstawiłam więc Karola, powiedziałam, że mieszkam w Sopocie i studiuję w Gdańsku. Pominęłam jednak wszystko, co dotyczyło ciotki Celiny oraz Zosi. Wróblewski nie dopytywał, a to mogło znaczyć, że wie o ucieczce.

– A jak się miewa pani Małgosia? – zapytałam, chcąc się dowiedzieć, co słyhać u sekretarki ojca. To właśnie ona po jego śmierci okazała mi dużo wsparcia, zajmując się wieloma kwestiami, do których wtedy nie miałam głowy.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, bo od roku pracuję w Ministerstwie Spraw Zagranicznych – wyjaśnił Wróblewski – ale gdy odchodziłem, miała się całkiem dobrze – zapewnił.

Porozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, a gdy wyczerpały się kurtuazyjne tematy, małżeństwo oznajmiło, że musi już ruszać, bo chcą przez Halicz i Rozsypaniec wrócić do Wołosatego. Na pożegnanie Wróblewski powiedział, że gdyby mógł mi kiedyś w czymś pomóc, to bardzo chętnie to zrobi. Podziękowałam, choć doskonale zdawałam sobie sprawę, że resort, w którym teraz mężczyzna pracuje, jest ostatnim miejscem, gdzie miałabym coś do załatwienia. Gdy zostaliśmy już sami, usiedliśmy na sąsiadujących z sobą gładzach, sprawdzając wcześniej, czy nie ma na nich zygzakowatych lokatorów, i popijając gorącą kawę z termosu, podziwialiśmy głębokie mroczne doliny, łagodne pokryte trawami grzbiety i odcinające się na tle błękitnego nieba szczyty.

19 września 1969, piątek

Ostatnie cztery dni rozpieszczały nas prawdziwie letnią pogodą. Jakby w ten sposób aura chciała wynagrodzić swoje poprzednie kaprysy. Każdego dnia wychodziliśmy wczesnym rankiem, a wracaliśmy po zachodzie słońca. Byłam więc tak zmęczona, że jedyne, na co wystarczało jeszcze sił, to szybka kąpiel w małej blaszanej wannie, w której mogłam co najwyżej usiąść z podciągniętymi pod brodę nogami, i średniej wygody łóżko. O pisaniu nawet nie było mowy, tym bardziej że nie wydarzyło się nic godnego odnotowania. Jutro opuszczamy Bieszczady i wracamy do Sopotu.

21 września 1969, niedziela

Zaczynam rozumieć powiedzenie, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Wróciliśmy wczoraj późno w nocy, a nie wiedząc, czy Lena jest w pracy, postanowiliśmy przenocować u Karola. Pierwszy raz od dwóch tygodni kąpałam się w cywilizowanych warunkach. Co prawda Karol nie ma wanny, tylko prysznic, od którego ja już się odzwyczaiłam, a przecież

gdy mieszkałam w Warszawie, uważałam go za najlepszy sposób utrzymywania higieny. Z kolei zdaniem Karola ma on jeszcze więcej zalet, a jedną z nich jest to, że można go brać razem. Chociaż sądząc po tym, co tej nocy wyprawialiśmy w jego łazience, nie chodziło mu tylko o zmycie z siebie trudów podróży. Tak czy inaczej prysznic to luksus w porównaniu z małą blaszaną wanienką, która, jak się okazało, była sprzętem uniwersalnym. Robiono w niej pranie, zagniatano ciasto na chleb, a nawet używano jej podczas świniobicia. Szczególnie ta ostatnia funkcja wywołała we mnie największe obrzydzenie. Na szczęście usłyszałam o niej dopiero w drodze powrotnej. Kiedy wreszcie dotarłam do swojego mieszkania, zastałam w nim Lenę obłożoną stosem książek do anatomii i medycyny.

– Niech zgadnę, zostałeś przyjęta na studia – powiedziałam, wskazując opasłe tomiska.

– Tak – potwierdziła Lena – a doktor Piechocki był tak miły, że pożyczył mi trochę swoich książek – dodała, wracając do lektury.

25 września 1969, czwartek

Jutro zaczynamy karierę sadowników, jadąc na targ z tym, co obrodziło na mojej działce, a jest tego sporo. Zdaniem Karola byłoby jeszcze więcej, gdyby nie okoliczne dzieciaki, które przyłapaliśmy na kradzieży jabłek. Karol chciał już wytargać amatorów darmowych owoców za uszy i gdyby nie moja stanowcza reakcja, pewnie by to zrobił.

– A ty nigdy nie chodziłeś na pachtę? – zapytałam, odprowadzając przyjaznym wzrokiem oddalającą się grupkę dzieciaków.

– Na co? – zdziwił się Karol.

– Tak w Warszawie mówiliśmy na poczęstowanie się cudzymi owocami.

– No, no, niby córka ministra, a takie rzeczy wyprawiała.

– Święty się znalazł. Ciekawa jestem, czy twój przełożony wie, że redakcyjnym samochodem będziesz wspierał prywatną inicjatywę, wożąc moje owoce na targ.

– Po pierwsze nasze owoce, bo pomysł wyszedł ode mnie, a po drugie za benzynę płacę z własnej kieszeni – zauważył Karol, pomijając jednak fakt, że korzystanie ze służbowego samochodu do celów osobistych nie było powodem do chluby.

1 października 1969, środa

– Skończył się czas bumelowania, a zaczął okres wyteźzonej pracy i nauki – takimi słowami przywitał nas dzisiaj rektor podczas inauguracji nowego roku akademickiego.

Jeśli sądził, że luźny ton wywoła spontaniczną burzę oklasków, to spotkało go srogie rozczarowanie. Przemówienia innych wykładowców były już bardziej merytoryczne. Mówili o konieczności rozwoju ludowej ojczyzny, budowaniu trwałego socjalizmu, a także obowiązkowo o braterstwie z innymi narodami Europy Wschodniej. Po gali, która trwała prawie dwie godziny, podszedł do mnie profesor Kosiński i poprosił, abym poszła do jego gabinetu. Nie miałam pojęcia, czego może chcieć, tym bardziej że nasze relacje niemal od samego początku były chłodne.

– Pani Anno – zaczął, gdy znaleźliśmy się w jego królestwie, pełnym książek i map – czy mogłaby pani przekazać panu Karolowi taki drobny dowód wdzięczności? – zapytał, wyjmując z biurka butelkę wódki o patriotycznej nazwie Polonez.

– Dowód wdzięczności – powtórzyłam za Kosińskim, nie rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi.

– Pan Karol zajął się tą sprawą, o której mówiłem pani podczas obozu w Biskupinie – wyjaśnił profesor, a ja miałam ochotę się roześmiać.

Oczywiście nie zrobiłam tego, tylko obiecując, że przekażę prezent, pośpiesznie opuściłam gabinet Kosińskiego.

Gdy wieczorem przyszedł do mnie Karol, opowiedziałam mu o całej sytuacji. Ten w pierwszej chwili trochę się zmieszał, a później oznajmił, że nic w tej sprawie nie zrobił, a jeśli problem profesora rzeczywiście został rozwiązany, to chyba dobrze.

– A teraz poloneza czas zacząć, jak mówią na studniówce – zakończył i uderzając dłonią o dno butelki, sprawnie odkręcił nakrętkę.

– Ja dziękuję, bo wiesz, że czystej nie pijam – przypomniałam.

7 października 1969, wtorek

Od rozpoczęcia roku akademickiego właściwie nie widuję Leny, która od rana do popołudnia ma zajęcia, a później dyżur w szpitalu. Chociaż zapewniłam, że z mojej renty i jej stypendium, które otrzymała z uniwersytetu, spokojnie damy radę się utrzymać, ona nie chce zrezygnować z pracy, twierdząc, iż w ten sposób nie tylko zarabia, ale przede wszystkim ma kontakt z pacjentami. Ja jednak odnoszę wrażenie, że prócz chorych interesuje ją pewien młody lekarz Janusz Wiśniewski, który, jak na mój gust, pojawia się zbyt często w naszych rzadkich rozmowach. Gdy swoimi podejrzeniami podzieliłam się z Karolem, ten nie krył zdziwienia.

– Lena i facet? To według mnie czysta abstrakcja – oświadczył z przekonaniem. – Ona widzi tylko swojego Boga, no i może jeszcze medycynę, a mężczyźni zupełnie jej nie interesują.

– A skąd to wiesz? Czyżbyś próbował ją podrywać?

– Anka, nie bądź śmieszna...

– To przecież ty za moimi plecami pomagałeś jej załatwić formalności na uniwersytecie – przypomniałam, wchodząc mu w słowo.

– No teraz to przemawia przez ciebie typowa kobieca zazdrość – skwitował, próbując mnie pocałować.

– Teraz to ty jesteś śmieszny – prychnęłam, unikając jego ust.

– No dobra, przyznaję, że Lena to super babka i podoba się chyba wszystkim facetom – wyznał ze szczerością, jakiej się po nim nie spodziewałam – ale jej światopogląd, warunkujący pójście do łóżka wcześniejszą przysięgą małżeńską, skutecznie potrafi zniechęcić – zakończył, a ja, choć byłam kobietą, musiałam mu przyznać rację.

10 października 1969, piątek

Jutro przyjeżdża do nas babcia Irena. Jej telefon zapowiadający wizytę odebrał mi mowę, co uznałam za zrzącenie losu, bo w przeciwnym razie zapytałabym otwarcie, jak taka wyprawa ma się do jej stanu zdrowia, o którym mówiła, że nie jest najlepszy. Obiecałam więc, że wyjedziemy po nią na dworzec, a później odwieziemy. Właśnie wtedy babcia Irena oświadczyła, że ma zamiar zostać w Sopocie kilka dni.

– Aniu, chyba nie masz nic przeciwko?

– Ależ skądże, ale mam zajęcia, więc nie będę mogła babci poświęcić zbyt dużo czasu – uprzedziłam.

– Spokojnie, ja sobie sama zorganizuję czas. Pospaceruję nad morzem, ugotuję obiad, zrobię pranie – zaczęła wyliczać, zaskakując mnie swoimi planami.

Karolowi przyjazd babci Ireny spodobał się z dwóch powodów. Po pierwsze liczył, że babcia robi swoje legendarne placki ziemniaczane, a po drugie wiedział, że zamieszka u niego.

14 października 1969, wtorek

Pewnych rzeczy nie sposób przewidzieć ani tym bardziej im zapobiec. Gdyby było inaczej, można by uchronić ludzkość przed wojnami, głodem,

chorobami i wszystkimi pozostałymi nieszczęściami, które toczą świat od chwili jego powstania. Tak też było z dzisiejszym dniem. Zaczął się on zupełnie zwyczajnie i nic nie przepowiadało tragedii. Rano Karol odwiózł mnie na zajęcia, a później pojechał na swój wydział. Ponieważ przypadało święto edukacji narodowej, wykłady skończyły się w południe. Miałam więc okazję spędzić z babcią Ireną trochę więcej czasu niż zazwyczaj. Zjadłam przygotowany przez nią obiad, a później zaproponowałam spacer nad morze. Dzień jak na połowę października był ciepły i bezwietrzny, co w Sopocie o tej porze roku było prawdziwą rzadkością. Gdy dotarliśmy na molo, w tłumie spacerowiczów dostrzegłam znajomą postać. Major Urbanowicz w towarzystwie jakiejś kobiety szedł w naszą stronę. Kiedy nas dostrzegł, znieruchomiał, pobladł, a następnie zawrócił, pociągając swoją towarzyszkę za sobą. Sytuacja wydała mi się komiczna, bo przecież mógł udać, że się nie znamy, i spokojnie minąć.

W pewnej chwili poczułam jednak, że i z babcią dzieje się coś dziwnego. Staruszka z szybkością, o którą jej nie podejrzewałam, pobiegła za oddalającym się Urbanowiczem. Gdy go w końcu dopadła, zaczęła okładać trzymaną w dłoni torebką, wykrzykując, że jest mordercą, sowieckim bandytą i zdrajcą. Nagle całe molo zamarło, przypatrując się tej niecodziennej scenie. W końcu widok staruszki bijącej mężczyznę w średnim wieku i wykrzykującej pod jego adresem inwektywy nie należał do częstych.

Urbanowicz nieporadnie zasłaniał się rękami, a tłum gapiów stał i patrzył. Chciałam podbiec i powstrzymać babcię, ale całe moje ciało ogarnął jakiś dziwny paraliż. Dopiero gdy babcia zanosła się histerycznym szlochem i osunęła na deski, niemoc ustąpiła, a ja popędziłam w jej kierunku. Znalazłam się przy niej niemal równocześnie z łysiejącym mężczyzną w granatowym prochowcu, który oświadczył, że jest lekarzem.

Babcia leżała na sopockim molo, jej całym ciałem wstrząsały drgawki, oddech był urywany, a wzrok wbity w stojącego nieopodal Urbanowicza.

– On zabił mojego męża – wyszeptała, kościstym palcem celując w majora i to były jej ostatnie słowa. W następnej chwili pokryta plamami dłoń opadła na deski, a z oczu uszło życie. Zaskoczona spojrzałam na Urbanowicza, który nadal był blady. Początkowo nie rozumiałam rzuconego oskarżenia, ale nagle przypomniałam sobie, co o majorze powiedział Bolesław, i wszystko stało się jasne. Według Piechockiego to major spowodował, że on i mąż babci Ireny zostali wywiezieni na Syberię, gdzie ten drugi zmarł. Klęcząc przy martwej babci, odizolowałam się od zewnętrznego świata. Choć wokół zapanowało ogromne poruszenie, ja byłam na to wszystko obojętna i głucha. Nie reagowałam, gdy pojawił się milicyjny patrol, a później także karetka pogotowia. Nie odpowiadałam na zadawane mi pytania. Dopiero czując, jak obejmują mnie czyjeś ramiona, ocknęłam się z tego dziwnego letargu. Odwróciłam głowę i zobaczyłam za sobą poważną twarz Karola.

– Co ty tu robisz? – wyszeptałam zdziwiona.

– Chodź, zabiorę cię do domu – powiedział, ignorując moje pytanie. Niemal mechanicznie skinęłam głową, pozwoliłam, aby mnie podniósł i poprowadził do wyjścia z molo. Kątem oka dostrzegłam, jak dwóch sanitariuszy układało na noszach martwe ciało babci Ireny. Emocje, jakie opanowały mnie później, były tak silne i burzliwe, że nie potrafię ich teraz opisać. Może za kilka dni znajdę na to siłę. Teraz muszę się przygotować na coś, czego doświadczyłam ponad dwa lata wcześniej. Chociaż odejścia babci nie mogę porównać ze śmiercią rodziców, to ból jest podobny.

15 października 1969, środa

Muszę to z siebie wyrzucić, przelać na papier mocnymi pociągnięciami długopisu. Oczywiście wołałabym wszystko, co jest we mnie, wykrzyczeć

na głos, ale wiem, że nawet jeśli ktoś mnie wysłucha, nie będzie umiał zrozumieć, a chyba tego potrzebuję teraz najbardziej. Obwiniam się o śmierć babci. Gdybym wcześniej przy jakiejś okazji powiedziała, że Urbanowicz pracuje teraz w Sopocie, jej reakcja nie byłaby tak gwałtowna. Po rozmowie z Bolesławem czuję, że on także ma do siebie żal. Tylko Lena podchodzi do całej sprawy w sposób, którego nie umiem, a może nawet tak po ludzku nie chcę zrozumieć. Według niej powinniśmy się modlić za babcię, aby weszła do królestwa niebieskiego, i za Urbanowicza, aby zrozumiał swoje grzechy i się nawrócił.

– Lena, ty chyba nie mówisz poważnie? – zapytałam, gdy dziś przy kolacji przedstawiła mi swój punkt widzenia.

– Aniu, modlitwa to jedyne, co ma moc. Ludzka złość, gniew i nienawiść potrafią tylko krzywdzić i burzyć, a boże słowo ma siłę budowania – oświadczyła z tym swoim spokojem, który czasami działał mi na nerwy, a tego wieczoru niemal wyprowadził z równowagi.

– Przecież to przez tego człowieka dziadek został wywieziony na Syberię, a babcia umarła prawie na moich rękach! – wrzasnęłam, zaciskając dłonie w pięści.

– Babcia nie potrafiła wybaczyć i to ją zabiło.

– Czyli uważasz, że każdy powinien być, jak ten twój święty Jezus, który modlił się nawet za swoich prześladowców? – prychnęłam, wstając gwałtownie od stołu.

– Tak, Aniu, każdy z nas powinien naśladować Jezusa – potwierdziła.

– Ja nie mam zamiaru, a Urbanowicz powinien smażyć się w piekle.

– Nie powinnaś tak mówić, bo każdy człowiek zasługuje na zbawienie, o ile sam tego chce.

– Przestań mi mówić, jak powinnam się zachowywać – warknęłam i wyszłam z mieszkania. Musiałam ochłoniąć, ostudzić emocje, a spacer był

na to najlepszym sposobem. Snując się sopockimi ulicami, rozmyślałam o wydarzeniach ostatnich dni i zaczynałam dochodzić do wniosku, że jest jakaś siła, która decyduje o ludzkich losach. Przecież gdyby ojciec wyjechał spod bloku pół minuty później lub wcześniej, nie doszłoby do wypadku. Gdybym zamiast na molo, poszła z babcią na plażę, nie spotkałaby Urbanowicza. Kiedy dwie godziny później wróciłam do domu, Lena już spała. Wiedząc, że wstanie bladym świtem, na kartce wyrwanej z zeszytu napisałam „Przepraszam” i zostawiłam ją na stole w kuchni.

18 października 1969, sobota

Wczoraj pochowaliśmy babcię Irenę. Wspólnie z Leną ustaliłyśmy, że spocznie na sopockim cmentarzu. W końcu poza nami dwiema nie miała już żadnych żyjących krewnych. Jej pogrzeb w przeciwieństwie do pogrzebu rodziców był skromny i miał religijny charakter. Za prostą sosnową trumną poza mną, Leną, księdzem i ministrantami szli jeszcze Karol, Bolesław i pani Jadzia. Nad grobem nie było żadnych podniosłych przemówień o służbie dla kraju, a jedynie krótka modlitwa za duszę zmarłej. Choć odczuwałam smutek, nie uroniłam ani jednej łzy.

21 października 1969, wtorek

Dziś od samego rana lało, zatelefonowałam więc do Karola, któremu niedawno podłączono telefon, z prośbą o podwiezienie na uczelnię.

– Księżniczko, na mnie zawsze możesz liczyć – zapewnił i choć jego lekki ton nie wpisywał się w wydarzenia ostatnich dni, uświadomił mi, że dla mnie i wielu innych osób życie wciąż trwa i trzeba dotrzymać mu kroku. W drodze na uniwersytet Karol oznajmił, że wczoraj kupił od jednego ze znajomych marynarzy najnowszą płytę The Beatles, pod tytułem *Abbey Road*.

– Jeśli chcesz, to możemy wieczorem jej posłuchać? – zaproponował. Normalnie w podobnych sytuacjach po prostu mówił, że po mnie wpadnie, a teraz szanując moje uczucia, dał mi wybór, co było miłym zaskoczeniem. Odpowiedziałam, że się zastanowię, i popędziłam na wykłady.

Gdy po zajęciach wyszłam z uczelni, z ulgą zobaczyłam czerwonego fiata i ruszyłam w jego kierunku. Nagle na mojej drodze wyrósł masywnie zbudowany brunet około trzydziestki, ubrany w krótką skórzaną kurtkę i granatowy beret z antenką, robiący w ostatnim czasie furorę.

– Czy pani Anna Jawor? – zapytał na tyle cicho, aby inni studenci tego nie usłyszeli.

– Tak, a o co chodzi?

– Proszę pójść ze mną – polecił, dyskretnie pokazując służbową legitymację Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i ruszył do czarnego mercedesa, zaparkowanego kilkanaście metrów od budynku. Wiedząc, że nie mam innego wyjścia, także ruszyłam w tamtą stronę. Kątem oka dostrzegłam, że Karol wysiadł z auta, zrobił kilka kroków w moim kierunku, ale nagle zawrócił. Mężczyzna otworzył tylne drzwi, uprzejmym gestem zapraszając mnie do środka. Już idąc do samochodu, spodziewałam się, kto może tam czekać, dlatego widok Urbanowicza nie był dla mnie zaskoczeniem.

– Dzień dobry, pani Anno. Czy moglibyśmy porozmawiać? – odezwał się tym samym co zawsze kulturalnym tonem, bardziej pasującym do intelektualisty niż oficera służby bezpieczeństwa.

– A mam jakieś inne wyjście? – mruknęłam, spoglądając wymownie na stojącego za moimi plecami goryla w berecie.

– Tak, może pani wsiąść, nic nie mówić, a ja odwiozę panią do domu – odparł major – albo skorzystać z usług tamtego dżentelmena – dodał, spoglądając wymownie na oddalonego o kilkanaście metrów czerwonego

fiata. Choć mogłam odejść, uznałam, że lepiej będzie porozmawiać z Urbanowiczem i mieć to za sobą. Dlatego wsiadłam, a kierowca majora ostrożnie zamknął drzwi.

– Czego pan chce? – rzuciłam ostro.

– Bardzo mi przykro z powodu pani babci – zaczął Urbanowicz.

– A z powodu dziadka nie? – zapytałam, wchodząc mu w słowo.

– Pani Anno, czas wojny rządzi się swoimi prawami...

– Proszę sobie darować frazesy o echu historii, dziejowej konieczności i innych podobnych bredniach – ponownie mu przerwałam – bo one niczego już nie zmieniają, a pan powinien zrozumieć, że czasami trudno jest wybaczyć doznane krzywdy – dodałam, próbując w ten sposób usprawiedliwić zachowanie babci Ireny.

– Tak wiem. Tym bardziej jest mi przykro – powtórzył tonem, w którym brzmiała autentyczna szczerłość.

– Nie wiem, czego pan ode mnie oczekuje. Jeśli wybaczenia, to jest na to za wcześnie, jeśli zrozumienia, to musi pan poszukać kogoś innego...

– Żadnej z tych rzeczy – tym razem to major wszedł mi w słowo – po prostu chciałem, aby pani wiedziała, że jest mi przykro i nic więcej – oświadczył. Następnie dał znak mężczyźnie w berecie, a ten otworzył drzwi, rozłożył nade mną parasol i odprowadził do samochodu Karola.

– Czego on chciał? – zapytał Karol, gdy potężna bryła mercedesa zniknęła za zakrętem.

– Trudno powiedzieć – westchnęłam i poprosiłam, aby odwiózł mnie do domu.

27 października 1969, poniedziałek

Całą sobotę i większą część niedzieli spędziliśmy z Leną i Karolem w Warszawie, porządkując mieszkanie po babci Irenie. Nawet nie przypuszczałam, że jedna osoba na trzydziestu metrach kwadratowych

potrafi zgromadzić tak okazały dobytek. Rzeczy było tak wiele, że nie wiedzieliśmy, co mamy z nimi począć. Książki, dokumenty, fotografie i inne pamiątki rodzinne postanowiliśmy zabrać do Sopotu, podobnie jak prześliczny serwis do kawy, który jakimś cudem bez żadnego uszczerbku przetrwał podróż z Wilna do Warszawy. Całą resztę, łącznie z ubraniami rozdaliśmy sąsiadom, którzy bardzo chętnie zabierali pościel, firany, garnki, talerze, słoiki z przetworami, zapasy cukru, mąki i kaszy, a nawet kwiaty w doniczkach.

– Pani Irenka to był anioł, nie człowiek. Ona każdemu nieba by uchyliła. Zawsze pomogła, doradziła, pocieszyła – mówiła ze łzami w oczach dozorczyńni, której oddaliśmy klucz do mieszkania.

Przed opuszczeniem Warszawy odwiedziłam jeszcze grób rodziców. I kto się teraz zaopiekuje grobem? – pomyślałam, kładąc na płycie zapalony znicz. Następnie wyjęłam z granitowego wazonu wiązankę różowych, zwiędniętych goździków i zastąpiłam ją świeżym bukietem białych róż, które mama tak bardzo kochała.

Kiedy wracaliśmy do samochodu, na murze okalającym cmentarz zobaczyłam reklamę firmy pogrzebowej, a moją uwagę zwróciła jedna z usług, wypisana potłuszczonym drukiem. „Ekshumacja zwłok”, przeczytałam w myślach kilka razy i wtedy podjęłam decyzję o przeniesieniu grobu rodziców do Sopotu.

1 listopada 1969, sobota

Dziś przy śniadaniu Lena złożyła mi życzenia imieninowe. Gdyby nie fakt, że wcale nie sięgała po alkohol, pomyślałabym, że jest po ostrej prywatce.

– Bardzo dziękuję, ale ja obchodzę imieniny w lipcu.

– Dzisiaj wszyscy mają imieniny – oświadczyła, uśmiechając się serdecznie. Zazdrościłam jej tego uśmiechu, podobnie jak urody.

Wiedziałam, że gdyby nie jej poglądy, miałyby wokół siebie wianuszek adoratorów na czele z moim Karolem.

– Jak to wszyscy? – zdziwiłam się szczerze.

– Dzisiaj Kościół czci wszystkich świętych, a każdy człowiek jest stworzony do świętości – odpowiedziała i przez następny kwadrans wyjaśniała mi zawiłości i różnice między pierwszym listopada a przypadającym jutro dniem zadusznym.

– A ja sądziłam, że dzisiaj modlimy się za zmarłych – przyznałam z pewnym zawstyżeniem.

3 listopada 1969, poniedziałek

Zaprosiłam dzisiaj Bolesława na kolację. Oczywiście była ona tylko pretekstem, bo tak naprawdę chciałam z nim przedyskutować kwestię przenosin grobu rodziców. Uznałam, że jako lekarz powinien coś o tym wiedzieć. Oczywiście temat poruszyłam dopiero po posiłku. Bolesław uważa, że to bardzo dobry pomysł. Wyjaśnił, że formalności są dość skomplikowane, ale pomoże mi je załatwić. Na pożegnanie wręczyłam mu trzy zdjęcia zabrane z mieszkania babci Ireny, na których był ze swoją żoną, a moją matką.

– Nie chcesz ich zatrzymać? – zapytał, spoglądając z przejęciem na uśmiechniętą młodą parę, trzymającą się za ręce.

– Teraz ich miejsce jest u ciebie – odparłam, wiedząc, że dla niego znaczą one dużo więcej niż dla mnie. Bolesław uśmiechnął się ciepło, podziękował, schował fotografie do teczki i wyraźnie wzruszony wyszedł.

8 listopada 1969, sobota

Musieliśmy dziś pojechać na działkę, choć gdybym mogła wybierać, spędziłabym cały dzień w domu. Jednak Karol, który od pewnego czasu stał się zapalonym ogrodnikiem, czego dowodem miał być nawet zakup kalendarza działkowca, oświadczył, że to ostatni dzwonek na jesienne porządki. Tak więc z pewnymi oporami opuściłam ciepłe łóżko i pojechałam na działkę, gdzie pracy było równie dużo, co wiosną, gdy byliśmy tu pierwszy raz. Zgrabienie wszystkich liści, podcięcie gałęzi i skrócenie malin, zajęło nam ponad trzy godziny. W drodze powrotnej Karol zdradził, że za dwa tygodnie wyjeżdża na wycieczkę do Berlina, a jej celem będzie zwiedzanie niedawno oddanej do użytku wieży telewizyjnej.

– Może chciałabyś pojechać ze mną?

Nie wiedziałam, czy jego propozycja była formą drwiny, czy też dopadła go amnezja.

– Przecież wiesz, że nie dadzą mi paszportu – przypomniałam.

– A gdyby pogadać z tym znajomym twojego ojca, którego spotkaliśmy na Tarnicy?

– Wątpię, aby Wróblewski mógł coś zdziałać – oznajmiłam, przekonana, że sprawa takiego kalibru jest poza jego kompetencjami.

– Szkoda, bo fajnie byłoby gdzieś razem wyskoczyć.

– Przyślesz mi kartkę.

– Jadę na cztery dni, więc znając szybkość poczty, nim pocztówka dojdzie, ja zdążę wrócić – zauważył Karol.

– Myślałam o kartce z Paryża, Rzymu albo Londynu – zażartowałam, chcąc w ten sposób zasugerować, że taki wyjazd to doskonała szansa na ucieczkę. Jednak Karolowi nie było do śmiechu. Gromiąc mnie spojrzeniem, oświadczył, że w Polsce jest mu dobrze i nie zamierza nigdzie uciekać.

12 listopada 1969, środa

Hania urodziła córeczkę. Dowiedziałam się o tym z otrzymanego dziś listu, do którego była dołączona fotografia maleńkiej Sary, bo takie imię nadano dziewczynce. Czytając list, miałam wrażenie, jakbym była tam na miejscu i brała udział w porodzie. Hania opisała wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, poczynawszy od tego, jak odeszły jej wody płodowe, a skończywszy na tym, jak położono jej na brzuchu noworodka. Kiedy podzieliłam się nowiną z Karolem, ten spojrzął na mnie w sposób, który doskonale znałam.

– Może my też zmajstrujemy sobie dzidziusia – wymruczał, kładąc dłoń na moim udzie.

– A będziesz mu zmieniał śmierdzące pieluchy?

– A mogło być tak romantycznie – westchnął, pokręcił głową, przewrócił oczami, a następnie wstał i poszedł wyłączyć czajnik, który głośnym gwizdaniem oznajmiał, że woda na herbatę jest już gotowa.

18 listopada 1969, wtorek

W Polsce Ludowej nawet po śmierci człowiek należy do partii. Tak w wielkim skrócie mogę streścić odpowiedź na mój wniosek o ekshumację rodziców i przeniesienie grobu do Sopotu. Urzędnicy argumentowali, że towarzysz Tadeusz Jawor był zasłużonym ministrem, a więc nie może spoczywać gdzieś w Sopocie, tylko musi pozostać na Powązkach. Nawet Bolesław, gdy pokazałam mu pismo, szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

– W tej sytuacji nie wiem, co ci poradzić – przyznał szczerze, dodając, że on nie ma żadnych znajomości wyżej niż w Komitecie Miejskim. Wzmianka o znajomościach przypomniła mi deklarację Wróblewskiego. Widząc w nim ostatnią szansę, postanowiłam poprosić go o pomoc.

19 listopada 1969, środa

Dzisiejsze próby skontaktowania się z dawnym pracownikiem ojca spełzły na niczym. Gdy zadzwoniłam rano do ministerstwa, powiedziano mi, że towarzysza Wróblewskiego jeszcze nie ma. Kolejny telefon wykonałam dwie godziny później, w przerwie między wykładami. Wtedy oświadczone, że towarzysz Wróblewski jest na naradzie i wróci za godzinę. Podczas następnych rozmów informowano o innych ważnych zajęciach towarzysza Wróblewskiego. W końcu podczas ostatniej rozmowy powiedziałam, że jestem córką ministra Jawora i poprosiłam, aby towarzysz Wróblewski pilnie do mnie zadzwonił. Sekretarka była trochę zdziwiona, gdy podałam jej swój sopocki numer, ale obiecała, iż przekaże wiadomość. Jednak skoro do tej pory, a jest już prawie dziewiętnasta, Wróblewski się nie odezwał, śmiem wątpić, czy kobieta dotrzymała słowa.

20 listopada 1969, czwartek

Podejrzewam, że od dziś wśród studentów i wykładowców zaczną krążyć różne plotki na mój temat. W końcu nie zawsze do sekretariatu uczelni dzwoni ktoś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, aby pilnie porozmawiać z jedną ze studentek. Wróblewski zadzwonił w momencie, gdy miałam wykład z Kosińskim.

– No idź, idź, przecież nie pozwolisz, aby minister czekał – ponaglił mnie wykładowca.

Bardzo bym chciała mieć znajomości na tak wysokim szczeblu – pomyślałam, wychodząc z sali. Idąc opustoszałym korytarzem, zastanawiałam się, w jaki sposób Wróblewski mnie znalazł, przecież podałam tylko swój domowy numer telefonu. Postanowiłam jednak nie pytać o takie szczegóły.

– Przepraszam, że przeszkadzam w wykładach, ale dopiero teraz znalazłem chwilę, aby oddzwonić – usprawiedliwił się Wróblewski i zaraz potem przeszedł do rzeczy, pytając, w czym może mi pomóc.

W kilku zdaniach, pomijając okoliczności śmierci babci Ireny, wyjaśniłam swój kłopot.

– Nie wiem, czy będzie mi pan mógł pomóc, w końcu takie sprawy nie leżą w gestii MSZ-u, ale w Warszawie nie znam nikogo więcej – zakończyłam. Mężczyzna przyznał, że sam nie zajmuje się takimi kwestiami, ale obiecał przekazać sprawę do kogoś kompetentnego.

22 listopada 1969, sobota

Wczoraj Karol poleciał do Berlina, zwiedzać wieżę telewizyjną, więc gdy piszę te słowa, pewnie zajada golonkę w obrotowej restauracji, będącej atrakcją tego cudu socjalistycznej techniki. Sama wieża wzbudza ogólną sensację. Prawie codziennie w drodze na uczelnię, a nawet na samym uniwersytecie, słyszę, jak ludzie o niej rozmawiają. Nic dziwnego, jest

przecież drugim najwyższym budynkiem w Europie. Pierwsze miejsce zajmuje wieża w Moskwie i pewnie tylko dlatego ta w Berlinie jest o kilka metrów niższa. Najwyraźniej Niemieccy socjaliści postanowili nie drażnić swoich radzieckich przyjaciół, u których wszystko musi być największe, co nie znaczy, że najlepsze. Zaraz zabieram się za gotowanie obiadu, bo Lena wraca za dwie godziny ze szpitala.

23 listopada, niedziela

Zabrałam dziś Lenę do Orłowa, aby pokazać jej port, molo i klif. Do tej pory jakoś nie było okazji na wycieczki poza Sopot. Gdy usiadłyśmy na ławce, wystawiając twarz do jesiennego słońca, które postanowiło zrobić ludziom miłą niespodziankę i świeciło od samego rana, Lena powiedziała, że kilka dni temu spotkała w szpitalu majora Urbanowicza.

– A co on tam robił? – zapytałam, obawiając się, czy ta wizyta nie miała związku z Piechockim.

– Przyjechał na badania – wyjaśniła Lena, pytając, czy wciąż mam do niego żal.

– Osobiście nie zrobił mi żadnej krzywdy, ale skrzywdził kilka osób mi bliskich, więc nie oczekuj, że będę darzyła go sympatią.

– Aniu, każdego trzeba kochać...

– Wiem, wiem, Jezus kazał miłować nawet swoich wrogów – weszłam jej w słowo – ale na miłość boską, to było dwa tysiące lat temu, a teraz mamy dwudziesty wiek i świat wygląda inaczej.

– Tylko tak ci się zdaje – odpowiedziała, a na jej twarzy pojawił się pobłażliwy uśmiech. – Wyobraź sobie, że ja nigdy nie czułam nienawiści do swojego ojca, choć ten upijał się regularnie, często bił moją matkę, a i mnie kilka razy się dostało – wyznała Lena.

– Ty jesteś inna. Może dlatego tak łatwo potrafisz wybaczać i zapominać – skwitowałam. – I proszę, nie mówmy już o tym – dodałam,

chcąc jak najszybciej zmienić temat. Lena jak zawsze w podobnych sytuacjach ustąpiła i nie wspominała już o szlachetnych odruchach serca. Ja natomiast pomyślałam, że pojęcie dobry człowiek, jak o ojcu Leny powiedział Urbanowicz, może mieć wiele znaczeń.

25 listopada 1969, wtorek

– A jednak wróciłeś! – przywitałam się z Karolem, który po zajęciach czekał na mnie przed budynkiem uniwersytetu.

– A dlaczego miałbym nie wrócić?

– Mogłeś przecież niczym ptaszyna przefrunąć mur berliński.

– Anka, jak nie przestaniesz...

– To co? Zabawisz się w tatę, przełożysz mnie przez kolano i zbijesz na kwaśne jabłko – zapytałam, nie pozwalając mu skończyć.

– Coś w tym rodzaju – mruknął, puszczając do mnie oczko.

– Lubieżnik – bąknęłam tak cicho, aby nikt inny tego nie usłyszał, i poszliśmy do samochodu. Gdy wsiadłam do auta, poczułam jakiś dziwny zapach.

– Faj, co tu tak śmierdzi?

– To niemiecki aromat do samochodu o zapachu zielonego jabłuszka – wyjaśnił Karol, wskazując na zawieszkę wiszącą pod lusterkiem wstecznym.

– No paryskie perfumy to raczej nie są – mruknęłam, otwierając okno.

– Według mnie pachnie całkiem przyjemnie.

– Widocznie mój nos jest stworzony do bardziej subtelnych zapachów – oznajmiłam, ale Karol nie pokusił się o żaden komentarz. Zamiast tego zaczął opowiadać o tym, jak było w Berlinie. Słuchałam bardziej z grzeczności niż zainteresowania. Dopiero kiedy wspomniał, że jednym z uczestników wycieczki był porucznik Szewczuk, drgnęłam nerwowo.

– Twierdził, że się znacie, i prosił, abym cię pozdrowił – po tych słowach poczułam chłód ogarniający moje ciało, a koszmarne wspomnienia natychmiast wynurzyły się z otchłani pamięci.

– Znamy to za dużo powiedziane. Przesłuchiwał mnie w sprawie tego zabitego Egipcjanina oraz po wyjeździe ciotki.

– Dziwny z niego facet – przyznał nagle Karol. – Ciągle tylko chodził i liczył czy wszyscy są. Zyskał nawet przydomek „matematyk”, bo prócz liczenia ludzi miał słabość do procentów – dodał ze śmiechem.

28 listopada 1969, piątek

Dziś otrzymałam kolejne pismo dotyczące przenosin grobu rodziców. Tym razem jego ton był zupełnie inny. Nie dość, że zgoda została wydana, to jeszcze zobowiązano się pokryć wszystkie koszty tej operacji. Czytając dokument, zastanawiałam się jak mam podziękować Wróblewskiemu, który zrobił znacznie więcej, niż to, o co go prosiłam. Zależało mi wyłącznie na przeniesieniu grobu i byłam gotowa pokryć wszystkie koszty, ale skoro państwo postanowiło wziąć je na siebie, nie miałam zamiaru protestować. Teraz musiałam tylko znaleźć odpowiednie miejsce na sopockim cmentarzu.

30 listopada 1969, niedziela

Spadł pierwszy śnieg, ale taki prawdziwy, który przykrył wszystko grubą warstwą białego puchu. Mimo iż padało przez cały dzień, po obiedzie postanowiliśmy wybrać się na spacer. Lena nie chciała, wymawiając się nauką. Wcale mnie to nie zdziwiło, bo pogodzenie studiów z pracą w szpitalu nie było łatwym zadaniem.

– To może pójdziemy na molo? – zaproponował Karol, gdy staliśmy przed kamienicą, nie wiedząc, dokąd pójść. W pierwszej chwili pomyślałam, że molo nie jest dobrym pomysłem. Przecież wciąż miałam

w pamięci obraz tego, co wydarzyło się tam w ciepły październikowy dzień. Wiedziałam jednak, że kiedyś trzeba będzie zmierzyć się z tym miejscem, nie mogłam przecież go ciągle unikać. Dlatego przystałam na propozycję Karola i trzymając się za ręce jak nastoletni zakochani, pobiegliśmy w stronę molo. Pomost był zupełnie pusty, ale biorąc pod uwagę coraz mocniej padający śnieg, nie było to niczym dziwnym. Ludzie woleli siedzieć w ciepłych mieszkaniach, niż włóczyć się po mieście.

– Czy mogę panią prosić do tańca? – zapytał nagle Karol, wyciągając do mnie dłoń.

– Zwariowałeś! Przecież tu się nie da tańczyć – parsknęłam, pokazując na moje kozaki, które do kostki były pogrążone w śniegu – a poza tym nie ma muzyki – dodałam.

– Muzyka to akurat jest, tylko musisz się dobrze wsłuchać – zauważył Karol. Rzeczywiście, gdy zaczęłam nasłuchiwać, dotarły do mnie ciche dźwięki melodii, dochodzące prawdopodobnie z restauracji w Grand Hotelu. Po chwili muzyka stała się głośniejsza, tak jakby ktoś uchylił okno. Rozpoznałam wtedy tak dobrze znane słowa: „Tango za pół złotego, kto chce tańczyć, ten płaci. Spojrzenia dziewcząt są gorące, można się w tańcu zatracić”.

– „Po co mi ściany, po co dachy, wystarczy sufit z gwiazd” – Karol zaintonował kolejne wersy, tworząc tym samym duet z Piotrem Szczepanikiem. Nim się spostrzegłam, tańczyliśmy już tango na zaśnieżonym sopockim molo. Pomyślałam, że gdyby nie gęste chmury wiszące nad miastem, byłoby prawie jak w piosence.

4 grudnia 1969, czwartek

Byłam dziś na cmentarzu wybrać miejsce na grób rodziców. Pierwotnie zamierzałam pochować ich obok babci Ireny, ale po namyśle doszłam do wniosku, że skoro babcia za życia nie pałała sympatią do mojego ojca, to

nie ma co zbliżać ich do siebie po śmierci. Wystarczy, że będą spoczywali na tym samym cmentarzu. Dlatego zdecydowałam się na zakątek pod bukowym drzewem. Co prawda pracownik cmentarza odradzał, argumentując, że jesienią będzie tam mnóstwo liści, lecz widząc moje zdecydowanie, nie powiedział już ani słowa.

9 grudnia 1969, wtorek

Mam już dwadzieścia lat, choć odnoszę wrażenie, jakby moje szesnaste, siedemnaste, osiemnaste, a nawet dziewiętnaste urodziny były zaledwie wczoraj. Od Karola dostałam bukiet dwudziestu róż i pierścionek z dużym oczkiem, na szczęście, jak sam zastrzegł, niemający nic wspólnego z zaręczynami.

– Ale ten kamień to mi wygląda na dwadzieścia karatów – zażartowałam, oglądając pierścionek pod światło. Lena podarowała mi książkę Wojciecha Żukrowskiego pod tytułem *Kamienne tablice*. Jeśli sądziła, że tytuł nawiązuje do Biblii, a książka to uduchowione rozważania religijne, to była w błędzie. O powieści Żukrowskiego słyszałam już jakiś czas temu. Z pewnością nie była to lektura dla Leny. Nie dość, że akcja rozgrywała się w odległych Indiach, to kilka scen było mocno erotycznych. Bolesław wpadł tylko na chwilę, w drodze do szpitala na nocny dyżur. Wręczył mi wedlowskie czekoladki, a składając życzenia, konspiracyjnym szeptem poinformował, że w środku jest jeszcze recepta. Podziękowałam za jedno i drugie. Recepta ucieszyła mnie, tym bardziej że kończyły mi się pigułki antykoncepcyjne. Od kilku miesięcy, zamiast wystawać w kolejkach do ginekologa, wołałam brać recepty od Piechockiego, który nie miał problemu z ich wystawianiem. Oczywiście jako lekarz ostrzegł, że kiedyś mogą pojawić się skutki uboczne stosowania hormonów, ale z jego ust nie padło ani jedno słowo trącające moralizmem.

17 grudnia 1969, środa

Wczoraj odbyła się ekshumacja, a dziś trumny z ciałami rodziców spoczęły na cmentarzu w Sopocie. Ich powtórny pogrzeb, podobnie jak pochówek babci Ireny, zgromadził tylko kilka osób, a ponieważ temperatura spadła grubo poniżej zera, cała uroczystość trwała bardzo krótko. Od dziś Warszawa będzie więc dla mnie tylko wspomnieniem, echem historii, jak o czasach wojny wyraził się kiedyś major Urbanowicz. Dochodzę jednak do wniosku, że to sformułowanie ma w sobie coś uniwersalnego. Równie dobrze pasuje do okresu okupacji, jak i tego, co wydarzyło się w moim życiu przez ostatnie trzy lata.

24 grudnia 1969, środa

Kolejna Wigilia, inna niż wszystkie poprzednie. Dwa lata temu bez rodziców, rok temu bez cioci i Zosi, a teraz z Leną. Tym razem wieczerzę wigilijną, bo Lena nie uznaje słów „kolacja świąteczna”, zorganizowałyśmy w naszym mieszkaniu. Pani Jadzia wyjechała do rodziny na wieś, więc nie mogłyśmy pójść do niej. Za to do nas przyszło kilka osób, z których większości nie znałam. Prócz Karola i Bolesława zjawił się zaproszony przez Lenę doktor Wiśniewski, kilkoro kolegów i koleżanek ze studiów, a nawet ksiądz z duszpasterstwa akademickiego. Atmosfera, choć świąteczna i religijna, była bardzo wesoła, a wręcz żartobliwa. Gdy każdy spróbował dwunastu dań, jakie od wczesnego ranka przygotowywałyśmy, i przyszła kolej na kawę i ciasto, Lena z Januszem wstali, prosząc o uwagę. Już wtedy przeczuwałam, że nagle stanie się coś, czego nikt, ale to absolutnie nikt nie przewidział. Całe towarzystwo nagle zamilkło, a mieszkanie wypełniały słowa kolędy o cichej nocy, płynące z ustawionego na komodzie gramofonu.

– W waszej obecności – zaczął Janusz, wiodąc spojrzeniem po obecnych – chciałbym cię, Leno, prosić o rękę – powiedział spokojnym,

choć lekko drżącym z emocji głosem. – Czy zechcesz, droga i kochana Lenko, zostać moją żoną? – powtórzył oświadczyny, patrząc prosto w błyszczące oczy dziewczyny, która jeszcze niedawno mówiła, że najpierw studia, a dopiero później mąż, dzieci i rodzina.

Teraz powinna odmówić – pomyślałam, przypominając sobie scenę z jakiejś powieści, w której młoda kobieta o poglądach podobnych do Leny, odrzuciła oświadczyny syna bogatego fabrykanta. Jednak my byliśmy w Polsce, a nie w Anglii, gdzie rozgrywała się akcja książki, a Janusz nie miał bogatego tatusia. Pochodził z małej wsi pod Kościerzyną i gdyby nie upór oraz ciężka praca, nie skończyłby studiów medycznych i nie został lekarzem. Lena powiedziała „tak”, wszyscy zaczęli wiwatować i tylko ja jakoś nie potrafiłam cieszyć się ich szczęściem.

– Ale numer – mruknął Karol, gdy wszyscy prócz nas poszli na pasterkę.

– Skoro jest przekonana, że właśnie tego chce, to lepiej nie mogła trafić – odparłam, sprzątając ostatnie naczynia ze stołu i wynosząc je do kuchni.

– A gdybym ja zaproponował ci małżeństwo – usłyszałam cichy szept Karola, a jego dłonie wślizgnęły się pod moją sukienkę i szybko dotarły do majtek.

– To byś dostał kosza – wyjęczałam, czując jak całe moje ciało ogarnia dzikie podniecenie.

29 grudnia 1969, poniedziałek

Stojąc dziś przed szafą, stwierdziłam, że nie ma w niej niczego, w czym mogłabym pójść na sylwestra. Nie chodzi o zwykłą domówkę, gdzie można wystąpić w czymkolwiek, a i tak będzie dobrze, ale o bal sylwestrowy i to taki z prawdziwego zdarzenia. Jakiś czas temu Karol przebąkiwał, że może tym razem wybierzemy się do jakiegoś lokalu, jednak nie brałam jego słów

poważnie. Dlatego, gdy wczoraj oznajmił, że tegorocznego sylwestra spędzimy w Grand Hotelu, zwyczajnie go wyśmiałam.

– Marzy się klasie robotniczej wejście na salony – dodałam drwiąco, próbując opanować śmiech.

– Masz i patrz, niewierna Anno – prychnął, rozzłoszczony moją reakcją. Dopiero widząc w jego dłoni zaproszenia, uwierzyłam, że nie żartował.

– Ale skąd ty je masz? – bąknęłam, spoglądając to na Karola, to na bilety.

– W końcu pracuję w poczytnej gazecie, więc też mam prawo spędzić sylwestra wśród elit – wyjaśnił, dodając, abym ubrała coś szalowego.

Szalowego, dobrze powiedzieć – pomyślałam, przesuwając kolejne wieszaki. Jednak żadna z wiszących tam kreacji, których, prawdę mówiąc, nie było zbyt wiele, nie wzbudziła mojego zachwytu. Po pierwsze wszystkie miały już swoje lata, bo najnowszą kupiłam na swoje osiemnaste urodziny. Po drugie kolory większości z nich były ciemne i przygaszone, a obecnie królowały pastele.

No nic, trzeba będzie rozejrzeć się po komisach – pomyślałam, wyjmując ze skrytki w bucie dwadzieścia dolarów. To, czego szukałam, znalazłam w trzecim komisie. Jasnoróżowa, rozkloszowana sukienka, sięgająca tuż za kolana, pasowała na mnie idealnie. Co prawda sprzedawca chciał za nią trochę więcej, niż po wymianie u waluciarzy dostałabym za swoje dolary, ale gdy powiedziałam, że płacę w zielonych, obniżył cenę. Lena, widząc mój nabytek, stwierdziła, że sukienka jest ładna, jednak bardziej rozbudowanej pochwały się nie doczekałam. Z kolei Karol, który zatelefonował do mnie wieczorem, chciał o kreacji wiedzieć wszystko.

– Zobaczysz dopiero na balu – oświadczyłam twardo.

– Podobno takie przesady dotyczą tylko sukien ślubnych – zaprotestował, lecz ja pozostałam nieugięta.

2 stycznia 1970, piątek

Noworoczny poranek, choć równie dobrze mogłabym napisać popołudnie, bo obudziłam się o trzynastej, a wstałam godzinę później, musiałam zacząć od sprawdzonego leku na kaca, który kiedyś poleciła mi Hania. Jednak tym razem zamiast dwóch tabletek aspiryny połknęłam trzy.

Nigdy więcej szampana, a na pewno w takich ilościach – pomyślałam, chowając do torebki resztę tabletek. Spojrzałam na Karola, śpiącego w hotelowym łóżku, a następnie podeszłam do okna, z którego roztaczał się widok na morze oraz sopockie moło. O tym, że mamy zarezerwowany pokój w Grand Hotelu, dowiedziałam się na początku balu, podczas drugiego lub trzeciego tańca. Sylwester w takim miejscu musiał kosztować fortunę, a gdy do tego doliczyć nocleg, to robiła się jeszcze większa kwota, a przecież Karol nie był żadnym prywaciarzem, tylko studentem trzeciego roku dziennikarstwa, dorabiającym w gazecie. Skąd więc miał pieniądze na takie szaleństwa? Kiedy go o to zapytałam, spojrzał na mnie rozbawionym, lekko błyszczącym wzrokiem.

– Anka, człowiek ma tylko dwie ręce, ale jeśli dobrze nimi zakręci, to da się żyć. Ja stosuję sprawdzoną zasadę Izraelitów. Tanio kupię, drożej sprzedam i już mnie nie gryzie bieda – odpowiedział, unosząc ramię. Odczytując jego gest, wykonałam pełen obrót, a gdy znowu nasze twarze znalazły się na odległość dłoni, postanowiłam odpowiedzieć zasłyszana kiedyś rymowanką.

– Tylko pamiętaj, że kto w Polsce jest bogaty, bardzo szybko wacha kraty.

– Spokojna głowa, ja nie zamierzam dorabiać się majątku, który mógłby władzę kluczyć w oczy – wyjaśnił szeptem, gdy po skończonym tańcu wracaliśmy do naszego stolika.

Ponownie chciałam wyprowadzić jakąś ripostę, ale to, a raczej kogo zobaczyłam po przeciwnej stronie sali balowej, odebrało mi mowę. Przy jednym ze stolików siedziały dwie pary. Bez trudu rozpoznałam Adama Wróblewskiego i jego żonę Barbarę. Ich widok specjalnie mnie nie zdziwił, w końcu do Grand Hotelu chętnie przyjeżdżali liczący się towarzysze z Warszawy. Zupełnie inaczej było w przypadku majora Urbanowicza i towarzyszącej mu kobiety. Zaskoczyła mnie nie tyle jego obecność, bo przecież panowie ze służb bezpieczeństwa równie często gościli w tym hotelu, ile fakt, że siedzi przy stoliku z Wróblewskim. W dodatku odniosłam wrażenie, że dobrze się znają.

– Coś się stało? – zapytał Karol, którego zaniepokoił wyraz zaskoczenia, jaki pojawił się na mojej twarzy.

– Nie, nic – zapewniłam, próbując wykrzesać uśmiech, i ruszyłam dalej. Siedząc przy stoliku, lustrowałam dyskretnie salę w poszukiwaniu kolejnych osób, które znałam, ale nikogo więcej nie dostrzegłam. Przekonałam się natomiast, że większość pań ma na sobie sukienki podobne do mojej, a połowa z nich jest w kolorze różowym.

Może to i lepiej, dzięki temu nie wyróżniam się w tłumie – pomyślałam, sięgając po kieliszek szampana. Na godzinę przed północą moje przeświadczenie o anonimowości zostało brutalnie zweryfikowane.

– Czy mogę panią prosić do tańca? – usłyszałam nad sobą tak dobrze znajomy głos.

Drgnęłam nerwowo i błagalnie spojrzałam na Karola, który mógł jednym zdaniem w stylu: „Ta pani tańczy tylko ze mną”, uratować mnie od Urbanowicza. Choć takie zachowanie stawiałoby mnie w położeniu kogoś, kto jest zniewolony przez swojego faceta, to teraz wręcz o tym marzyłam. Niestety Karol zachował się kulturalnie i nowocześnie.

– Nie mam nic przeciwko – stwierdził, a major w szarmanckim geście podał mi dłoń, którą niechętnie przyjąłem. Oczywiście mogłam odmówić, ale robienie takich scen w trakcie balu sylwestrowego z pewnością zwróciłoby uwagę innych gości, szczególnie że orkiestra dopiero przygotowywała się do zagrania kolejnego utworu i na sali, nie licząc pojedynczych rozmów, było dość cicho.

– Oczywiście nie tańczę tak świetnie, jak pani partner – szepnął Urbanowicz, spoglądając wymownie na Karola, który wychylał kolejny kieliszek wódki – ale poprosiłem orkiestrę o coś stonowanego, abym sobie nóg nie połamał – dodał, prowadząc mnie na środek sali. Rzeczywiście tym razem zamiast skocznej cha-chy, muzycy zagrali spokojnego walczyka, a wokalista, próbując naśladować Jerzego Połomskiego, co zresztą bardzo dobrze mu wychodziło, zaśpiewał o tym, że jest mu szkoda lata. Okazało się również, że wbrew temu, co mówił o swoich umiejętnościach tanecznych, major tańczył całkiem poprawnie.

– Nie ukrywam, że pani obecność w tym miejscu bardzo mnie zaskoczyła – oznajmił, uznając zapewne, że taniec w ciszy jest wątpliwą przyjemnością.

– Ja w tym nic dziwnego nie widzę. Przecież partia ciągle powtarza, że chce być z ludźmi, więc w pewnym sensie wypełniam jej prośbę.

– Wątpię, aby towarzysze z Warszawy mieli na myśli wspólne zabawy. Im raczej chodzi o wspólną pracę dla dobra narodu – w słowach Urbanowicza wyczułam ledwie słyszalną nutę drwiny, co w przypadku człowieka tak oddanego sprawie było trochę dziwne.

– Widzę, że dobrze zna się pan z towarzyszem Wróblewskim – zmieniłam temat.

– Z Adamem – poprawił, wyjaśniając, że są dawnymi przyjaciółmi. Kiedy wreszcie piosenka dobiegła końca i major odprowadził mnie do

stolika, odetchnęłam z ulgą.

– Było aż tak źle? – spytał Karol, podając mi kieliszek szampana.

– Mogło być lepiej, gdybyś nie zachował się jak pieprzony angielski dżentelmen, tylko nadzorca niewolników z Teksasu – rzuciłam, upijając spory łyk alkoholu.

– Kto?

– Nieważne i tak nie zrozumiesz – mruknęłam, nie zamierzając tłumaczyć czegoś, co dla mnie było oczywiste.

Na pięć minut przed północą wszyscy goście wyszli na taras, skąd mieliśmy obserwować pokaz sztucznych ogni.

– Popatrz Anka, dwa lata temu byliśmy tam – Karol wskazał tłumy kłębiące się na molo – a teraz jesteśmy tutaj – zatoczył dłonią po ludziach zebranych na tarasie. Czy chciał w ten sposób pokazać, jak bardzo awansowaliśmy w hierarchii społecznej? Tego się nie dowiedziałam, bo wystrzały fajerwerków zagłuszyły moje pytanie. W kilka minut później podszedł do nas Wróblewski z żoną.

– Pani Anno, życzę, aby ten nowy rok był łaskawszy od poprzedniego – powiedział, stukając się ze mną lampką szampana. Gdy Wróblewscy zniknęli w tłumie, z niepokojem poszukałam wzrokiem Urbanowicza, ale majora nigdzie nie było.

5 stycznia 1969, poniedziałek

Otrzymałam dziś propozycję pracy w charakterze tłumacza. Złożył mi ją Wróblewski, wyjaśniając, że za kilka dni przyjeżdża do Warszawy delegacja z Wenezueli, a ich etatowa tłumaczka hiszpańskiego nagle zachorowała. Początkowo próbowałam odmówić, doskonale zdając sobie sprawę, że mój hiszpański jest zwyczajnie słaby. Przecież ja wcale nie rozmawiałam w tym języku, a jedynie czytałam i pisałam,

a w tłumaczeniach, zwłaszcza na żywo, potrzebne jest doświadczenie, którego nie miałam.

– Pani Anno, wierzę, że sobie pani poradzi, a poza tym oni znają trochę angielski – uspokoił, informując, że za godzinę zadzwoni ktoś z ministerstwa, aby przekazać mi wszystkie szczegóły. Nie miałam pojęcia, na czym opierała się wiara Wróblewskiego w moje zdolności językowe, ale ja byłam przerażona. Wiedziałam jednak, że mam wobec niego pewien dług wdzięczności i chyba tylko dlatego nie zdobyłam się na stanowczą odmowę, a jedynie próbowałam zniechęcić go do tego pomysłu. Po godzinie rzeczywiście zatelefonowała pracownica ministerstwa. To od niej dowiedziałam się, że pobyt gości z Wenezueli będzie trwał cztery dni i przez ten cały czas muszę być w Warszawie. Bilet na samolot miałam odebrać na lotnisku w Gdańsku, a noclegi zarezerwowano mi w hotelu Bristol.

12 stycznia 1970, poniedziałek

Właśnie siedzę w samolocie do Warszawy. Gdyby nie fakt, że wylot nastąpił bardzo wcześnie rano, mogłabym podziwiać wybrzeże. Kiedyś, gdy jeszcze z rodzicami podróżowaliśmy samolotem, lubiłam latać do Gdańska, bo widok morza z lotu ptaka jest naprawdę wspaniały. Karol, gdy zegnał się ze mną na lotnisku, powiedział, że będzie tęsknił. To słowo usłyszałam z jego ust po raz pierwszy, odkąd jesteśmy razem. Mam tylko nadzieję, że nie przyszło mu do głowy, aby zrealizować swój szalony plan poproszenia mnie o rękę, o którym wspominał, gdy po Wigilii próbowaliśmy zmywać naczynia, a zamiast tego na kuchennym stole, między talerzami z sałatkami, półmiskami pierogów i smażonych ryb a paterami z ciastami i owocami, uprawialiśmy dziki seks. Jeszcze teraz na wspomnienie tamtej chwili czuję wypieki na policzkach i mrowienie

między udami. Jednak udane życie erotyczne to jeszcze nie powód, aby brać z kimś ślub.

13 stycznia 1970, wtorek

Za mną pierwsze dwa dni pracy jako tłumacz. Myślę, że nie jest źle, a to biorąc pod uwagę, że wobec siebie jestem bardziej surowa, niż w stosunku do innych, oznacza bardzo dobrą ocenę. Widzę, że goście z Wenezueli również są zadowoleni, nie mówiąc o Wróblewskim, który nawet zaczął przebąkiwać o stałym etacie. Nie chcąc jednak robić mu złudnych nadziei, natychmiast ucięłam ten temat, mówiąc, że najpierw muszę skończyć studia.

– No tak, doskonale to rozumiem, edukacja jest najważniejsza – przyznał mi rację.

Hotel, o którym tyle słyszałam i czytałam, wygląda obecnie zupełnie inaczej. Na każdym kroku są widoczne ślady realizmu socjalistycznego, według którego wystrój wnętrza powinien być narodowy w formie i socjalistyczny w treści.

14 stycznia 1970, środa

Gdy dziś po kolacji otworzyłam swój dziennik, bo słowo pamiętnik jakoś mi do niego nie pasuje. spomiędzy kartek wypadła na podłogę koperta, której wcześniej z pewnością tam nie było. Gdy ją podniosłam, odkryłam, że jest zaadresowana na mój sopocki adres, co jeszcze bardziej mnie zaskoczyło. Jednak największy wstrząs nastąpił, gdy uświadomiłam sobie, czyją ręką list został zaadresowany. O pomyłce nie mogło być mowy. Zbyt dobrze znałam ten charakter pisma, aby się mylić. Siedząc na hotelowym łóżku, tępy wzrokiem patrzyłam na kształtne, nieco pochyłe litery i gorączkowo próbowałam pozbierać myśli. Jednego byłam pewna w stu procentach – kopertę zaadresowała ciotka Celina. Jednak nie miałam

pojęcia, jakim sposobem znalazła się ona w moim dzienniku. Podobnie jak nie wiedziałam, co jest w środku. Tego ostatniego mogłam dowiedzieć się, otwierając list. Choć sprawa wydawała się prosta, zrobiłam to dopiero po dłuższej chwili. W kopercie znalazłam kartkę, której treść niczego nie wyjaśniła, a wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej zmąciła mi w głowie.

„Jesteśmy bezpieczne, a wkrótce postaramy się, abyś dołączyła do nas” – przeczytałam kilka razy, próbując zrozumieć sens otrzymanej wiadomości. Jej enigmatyczność sprawiła, że zaczęłam wątpić w jego autentyczność. O ile kopertę zaadresowała ciocia, a przynajmniej tak uważałam, to na pewno nie napisała ona samego listu, bo charakter pisma był zupełnie inny. Czy więc miałam do czynienia z pewnego rodzaju prowokacją urządzoną przez polskie służby bezpieczeństwa? Jeśli tak, to jaki był jej cel? Przecież kontrolowali oni całą moją korespondencję, a więc wiedzieli, że jedyne listy, jakie otrzymywałam z zagranicy, pochodziły od Hani. Po kolejnej godzinie analizowania sytuacji uznałam, że najlepiej będzie zniszczyć list i o wszystkim zapomnieć.

15 stycznia 1970, czwartek

Biorąc dziś do ręki swój dziennik, obawiałam się kolejnej niespodzianki, ale żadnego nowego listu nie było. Za mną ostatni dzień pracy i chyba najbardziej intensywny. Prócz oficjalnej części towarzyszyłam gościom z Wenezueli na bankiecie, wydanym z okazji ich przyjazdu, a raczej wyjazdu, bo jutro odlatują do Pragi. Nie przeszkodziło im to jednak w dokładnym zapoznaniu się z wachlarzem trunków, jakie oferują Polskie Zakłady Spirytusowe. Bankiet skończył się grubo po pierwszej w nocy. Na szczęście mój lot do Gdańska jest dopiero o czternastej, więc będę mogła się wyspać.

16 stycznia 1970, piątek

W drodze z lotniska Karol zaproponował, abym pojechała z nim jutro do Kołobrzegu, gdzie będzie robił reportaż o budowie nowego sanatorium dla górników. Ja jednak miałam inne plany. Zamierzałam w sobotę i niedzielę przepisywać notatki z wykładów i uczyć się do pierwszych egzaminów sesji zimowej, które czekają mnie za dwa tygodnie. Moja odmowa wyraźnie go rozczarowała, ale mimo miny zbitego psa, jaką prezentował przez resztę drogi do Sopotu, postanowiłam być twarda.

18 stycznia 1970, niedziela

Dziś Lena i Janusz wręczyli mi zaproszenie na ślub. Ich pośpiech tak mnie zdziwił, że niewiele myśląc, postanowiłam przetestować ich poczucie humoru.

– A wy chcecie się pobrać czy musicie? – zażartowałam, ale mój żart nie przypadł Lenie do gustu. Zupełnie inaczej zareagował Janusz, twierdząc, że muszą, bo bardzo tego chcą. Termin zaślubin został wyznaczony na sobotę, dwudziestego siódmego czerwca.

22 stycznia 1970, czwartek

Od kilku dni odnoszę wrażenie, że jestem śledzona. Być może to tylko taki rodzaj paranoi, będący efektem znalezionego w dzienniku listu, a może rzeczywiście ktoś za mną chodzi. Przyłapuję się na tym, że w drodze na uczelnię, w autobusie, w pociągu, a nawet w sklepie, dyskretnie obserwuję otoczenie, wypatrując podejrzanych osobników. Szczególną uwagę zwracam na osoby, które wydają mi się znajome, ale w tym sensie, że widziałam je kilka razy w tym samym miejscu. Wiem, że moja amatorska zabawa w kogoś na wzór agenta 007 to zwykła dziecinada. Przecież sympatyczny brunet w garniturze z aktówką, którego często spotykam w autobusie, to nie żaden tajniak, a urzędnik.

14 lutego 1970, sobota

Za mną kolejna udana sesja egzaminacyjna. W związku z tym przez najbliższe dwa tygodnie mogę z czystym sumieniem odpoczywać. W tym roku nigdzie z Karolem nie wyjeżdżamy. Po pierwsze wspólnie doszliśmy do wniosku, że zima i góry to połączenie dobre dla narciarzy, a my na dwóch deskach jeździć nie potrafimy. Po drugie Karol znalazł się w zespole tworzącym nowy program gdańskiej telewizji. Będzie się on nazywał Panorama, a pierwszy odcinek planowany jest na początek marca. Dlatego o jakimś dłuższym wyjeździe nie może być mowy. Nie znaczy to jednak, że będzie wiało nudą. Mam do przeczytania dwie zaległe książki, w tym *Kamienne tablice*, otrzymane od Leny na urodziny, a także *Rozmowa w „Katedrze”* Mario Vargasa Llosy, którą bez okazji podarował mi Karol, abym jak to określił, jeszcze bardziej podszlifowała swój hiszpański. Gdy go zapytałam, czy ostatnimi czasy nie odwiedził jakiejś fabryki, aby napisać artykuł o szlifierkach, skoro używa tak technicznej terminologii, najpierw spiorunował mnie swoim niebieskim spojrzeniem, a później zapowiedział, że mnie... Nie napiszę, co dokładnie powiedział, ale wspomnę, że to samo wykonuje się przy użyciu piły.

18 lutego 1970, środa

Dziś na zakupach w Gdańsku spotkałam Bolesława, który został wysłany na zaległy urlop. zaproponował kawę, a ja chętnie skorzystałam z zaproszenia. Dopiero gdy usiedliśmy przy stoliku, przypomniałam sobie, że jesteśmy w tym samym lokalu, w którym kiedyś jedliśmy obiad, podczas którego usługujący nam kelner wziął nas za ojca i córkę. Piechocki, nawet jeśli również się zorientował, nie dał tego po sobie poznać. Zainteresowała go jednak książka, jaką kupiłam w Empiku.

– Uczysz się włoskiego? – zapytał, wskazując na oryginalne wydanie *Ojca chrzestnego*, głośnej powieści Mario Puzo, opowiadającej o losach

włoskiej rodziny mafijnej, mieszkającej w Ameryce.

– Ja nie – zaprzeczyłam z uśmiechem – mi wystarczy angielski i hiszpański, ale Karol zna ten język, więc pomyślałam, że dobrze mu zrobi poobcowanie z włoskim słowem. Tym bardziej że tematyka jest typowo męska – zakończyłam.

– Wiesz, Anno, nie żebym się wtrącał w twoje życie osobiste – zaczął Bolesław – ale skoro już wspomniałaś o swoim chłopaku, to muszę ci powiedzieć, że widziałem go ostatnio w dość nieciekawym towarzystwie – dodał, wrzucając do filiżanki z kawą kostkę cukru.

– To znaczy?

– Niedaleko szpitala ma willę niejaki Czarnecki. Facet zajmuje się różnymi ciemnymi interesami, począwszy od handlu walutą, a skończywszy na paserstwie. Podejrzewam, że ma jakieś wtyki w milicji, bo raczej się ze swoim procederem nie kryje, a mimo to służby jakby były ślepe. Mniej więcej przed tygodniem, gdy wracałem z dyżuru i przechodziłem obok jego domu, zobaczyłem wychodzącego z niego twojego Karola. Wyglądało jakby się bardzo dobrze znali, bo Czarnecki za coś podziękował i powiedział, że chętnie weźmie tego więcej.

Słuchając Bolesława, przypomniałam sobie słowa Karola o kręceniu rękami, jakie wypowiedział podczas balu sylwestrowego.

– Dziękuję, będę musiała sobie z nim porozmawiać.

– Tylko proszę...

– Oczywiście o tobie ani słowem nie wspomnę – zapewniłam, wchodząc Bolesławowi w słowo.

Przez całą drogę do domu zastanawiałam się, jak powinnam podejść do rozmowy z Karolem, ale najbardziej ciekawiło mnie, jakie interesy robi on z tym Czarneckim. W końcu uznałam, że najlepiej będzie zapytać wprost. Niestety dziś Karol nie przyszedł, usprawiedliwiając się naradą w redakcji.

20 lutego 1970, piątek

Porozmawiałam sobie dzisiaj z Karolem, choć określenie „rozmowa” jest trochę na wyrost. Karol potwierdził, że zna Piotra Czarneckiego, przyznał, iż robi z nim czasami interesy, ale oświadczył, że mi nic do tego. Po tych słowach kazałam mu się wynosić, co, o dziwo, chętnie uczynił. Ja natomiast usiadłam przy ciepłym kaloryferze z kieliszkiem czerwonego wina, aby przemyśleć kilka spraw, a konkretnie tylko jedną. Musiałam zdecydować, czy nadal chcę być w związku z facetem, o którym wiem bardzo mało, a właściwie tyle, ile sam mi powie. Prawdą było, że jego szemrane interesy nie rzutowały bezpośrednio na naszą relację, a ta, nie licząc tych ciemnych spraw, układała się niemal wzorcowo. Jednak fakt, że mój chłopak zadawał się z półświatkiem, nie był niczym przyjemnym.

23 lutego 1970, poniedziałek

Zaopatrzona w butelkę wina, złożyłam dzisiaj Karolowi niezapowiedzianą wizytę. Gdy otworzył, na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie, zmieszane z niedowierzaniem, które z każdą sekundą przeistaczało się w zadowolenie.

– Powinieneś zamontować judasza, wtedy wiedziałbyś, kto stoi przed drzwiami, i otwierał tylko wybrancom – poradziłam i mijając go, weszłam do mieszkania.

– U mnie każdy jest mile widziany – zapewnił – zwłaszcza jak przynosi wino – dodał, widząc szyjkę butelki wystającą z mojej torebki.

– Wino dla ciała, a to dla umysłu, abyś podszlifował swój włoski – powiedziałam, wręczając mu kupioną kilka dni wcześniej książkę.

– Jeśli w ten sposób chcesz mi uświadomić, że obracam się w złym towarzystwie, to niepotrzebnie – oznajmił, kończąc czytać notę od wydawcy.

– Po pierwsze kupiłam ją, jeszcze zanim doszły mnie słuchy o twoich szemranych znajomościach. Po drugie wiem, że nie jesteśmy w Ameryce, tylko w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej i u nas władza nie pozwoli na takie ekscesy – wyjaśniłam, nawet nie próbując ukryć drwiny. – A skoro wywołałeś temat półświatka, to musimy jeszcze raz, ale tym razem konstruktywnie o tym porozmawiać – zakomunikowałam, rozsiadając się wygodnie w fotelu, z którego miałam cudowny widok na wzburzone morze, uderzające grzywiastymi falami o zaśnieżoną plażę.

– Nie mam zamiaru do tego wracać – rzucił ostro Karol.

– Ty nie musisz nic mówić, masz mnie tylko wysłuchać – wyjaśniłam, zachęcającym gestem wskazując drugi fotel.

– Dziękuję, ale postoję – usłyszałam w odpowiedzi.

– Jak chcesz – skwitowałam, zaplatając dłonie na karku. – Więc według mnie sytuacja wygląda tak – zaczęłam, głęboko nabierając powietrza. – Od teraz nie interesuje mnie to, co robisz ze swoim życiem – oznajmiłam – o ile to nie będzie odbijało się na naszym związku – zastrzegłam. – Jednak jeśli wpadniesz w jakieś tarapaty, to na moją pomoc nie masz co liczyć. Możesz gnić w więzieniu, a ja nawet palcem nie kiwnę – zapowiedziałam, patrząc mu prosto w oczy. – Rozumiesz? – zapytałam, chcąc mieć absolutną pewność, że moja deklaracja jest dla niego jasna.

– Tak, zrozumiałem – odpowiedział cicho.

– To dobrze, a teraz przynieś to wino, bo zaschło mi trochę w gardle – poprosiłam, zdejmując brązowy golf, pod którym nic nie miałam.

26 lutego 1970, czwartek

Przyjechaliśmy dzisiaj do Kołobrzegu. Pomysł wyszedł od Karola, który miał dwa dni wolnego i uznał, że siedzenie w mieście to strata czasu. Co prawda Kołobrzeg to też miasto, ale jego zdaniem tu morze jest piękniejsze i trudno się z nim nie zgodzić. Szczególnie zjawiskowo

wyglądał zachód słońca, widziany z okien hotelu, w którym się zatrzymaliśmy. Jeszcze nigdy nie widziałam śniegu barwionego pomarańczowymi promieniami gasnącego dnia. Nawet teraz, gdy Karol słodko śpi, ja wolę czytać o rozmowie prowadzonej przez dwóch przyjaciół w podrzędnej knajpie o nazwie „Katedra”. Gdy chcę odpocząć od lektury, spoglądam na pofałdowaną taflę morza, zalaną księżycowym blaskiem, a gdy i tego widoku mam dość, zapisuję w dzienniku chwile, które nigdy już się nie powtórzą, bo przecież „Nic dwa razy się nie zdarza”.

28 lutego 1970, sobota

Faceci to jednak są jak małe dzieci, które niby rozumieją, co się do nich mówi, a i tak robią po swojemu. Myślę oczywiście o Karolu, bo generalizowanie, jak mówiła moja nauczycielka biologii z liceum, jest dobre w przypadku natury. Według niej można sobie pozwolić na stwierdzenie, że wszystkie drzewa owocowe kwitną od kwietnia do czerwca, ale w odniesieniu do zachowania człowieka należy się trzymać zasady indywidualizmu.

Pierwszym sygnałem, że Karol coś kręci, było jego poranne zniknięcie. Kiedy wyszedł, tego nie wiedziałam, ale gdy obudziłam się kilka minut po ósmej, już go nie było. Wrócił dopiero około dziewiątej, a na moje pytanie, gdzie się podziewał, odpowiedział, że wybrał się nad morze na spacer. Od razu wyczułam kłamstwo. Przecież on, gdy tylko mógł, wolał leżenie w cieplej pościeli, a nie przechadzki po zimnej plaży. Choć wiedziałam, że skłamał, postanowiłam tego nie roztrząsać. Po pierwsze byłam głodna i chciałam jak najszybciej zejść na śniadanie. Po drugie, jego tajemnicze zniknięcie mogło mieć przecież związek z jakąś niespodzianką, którą chciał mi zrobić, więc lepiej było poczekać. Niespodziankę odkryłam, ale dopiero gdy po powrocie do Sopotu, chciałam wyjąć swoją walizkę z bagażnika. Okazało się wtedy, że zamiast dwóch walizek, jakie

zabraliśmy do Kołobrzegu, w bagażniku są trzy. Właśnie wtedy mnie olśniło, że ten niby romantyczny wyjazd tak naprawdę był przykrywką dla ciemnych interesów Karola.

– Możesz mi powiedzieć, co to jest? – zażądałam, wskazując na nadprogramowy bagaż.

– Walizka – odpowiedział Karol, budząc tym samym moje najgorsze cechy charakteru.

– Przecież, kurwa, widzę, że nie rakietą kosmiczną – warknęłam, próbując otworzyć walizkę, ale zamki były zamknięte. – Co jest w środku? – zapytałam, czując, jak moje emocje buzują niczym czajnik z wodą, pozostawiony bez opieki na gazie.

– To nie powinno cię interesować – uciął Karol, wyjmując moją walizkę i zatraskując klapę bagażnika.

– Wydawało mi się, że ustaliliśmy pewne zasady – przypomniałam, próbując opanować wzburzenie. Staliśmy na ulicy, więc mimo wściekłości, nie zamierzałam wywoływać awantury w tym miejscu.

– Wiem, przepraszam i obiecuję, że to się więcej nie powtórzy – oświadczył, jednak jego ton nie miał w sobie ani odrobiny skruchy. Zrobił krok, jakby chciał mnie objąć, lecz widząc moje mordercze spojrzenie, zrezygnował z tego zamiaru.

– No jasne, że się nie powtórzy, bo następnym razem osobiście doniosę, gdzie trzeba – syknęłam i nie czekając na jego reakcję, zabrałam swój bagaż i weszłam do kamienicy. Gdy już w mieszkaniu, wyrzłam przez okno, czerwony fiat właśnie odjeżdżał, kierując się w stronę centrum Sopotu.

2 marca 1970, poniedziałek

Dziś miała premierę Panorama, program, którego współtwórcą jest Karol. Co prawda to nie on występuje w roli prezentera, ale pisze część tekstów,

odczytywanych przez prowadzącego. Sama audycja zrobiła na mnie pozytywne wrażenie, głównie dzięki sporej liczbie wiadomości lokalnych. Oczywiście nie zabrakło wszechobecnej propagandy sukcesu, jednak ta w odpowiedniej dawce musi pojawić się w każdym programie telewizyjnym i radiowym oraz prasie. Na szczęście odnoszę wrażenie, że ludzie zaczynają ją traktować z większą dozą rezerwy, a czasami nawet wyśmiewać.

5 marca 1970, czwartek

Po powrocie z uczelni w skrzynce na listy znalazłam awizo, co było dość dziwne, bo z panem Józkiem, listonoszem na nasz rejon, miałam zawartą cichą umowę, że wszystkie przesyłki wymagające podpisania zostawiał pod moją nieobecność u pani Jadzi. Wstąpiłam więc zapytać, czy był u niej listonosz. Mogło być przecież tak, że sąsiadka na chwilę gdzieś wyszła. Okazało się jednak, że pan Józek był, a awizo zostawił celowo.

– Powiedział, że dostałaś jakąś ogromną i cholernie ciężką paczkę ze Szwajcarii. Pudło podobno jest tak duże, jak telewizor, i dlatego musisz ją osobiście odebrać w urzędzie – wyjaśniła pani Jadzia, na której wiadomość o tajemniczej przesyłce zrobiła równie wielkie wrażenie, co na mnie. Choć w kraju słynącym z zegarków, banków i czekolady nikogo nie znałam, podejrzewałam, że za paczką stoi ciotka Celina.

6 marca 1970, piątek

Żeby przenieść paczkę do samochodu, Karol musiał poprosić o pomoc jednego z pracowników poczty. Jeśli wierzyć etykietce adresowej, przesyłka ważyła pięćdziesiąt kilogramów.

– A jak wniesiemy ją do mieszkania? – zapytałam, gdy zaparkowaliśmy przed kamienicą.

– Spokojna głowa, zaraz się kogoś załatwi – uspokoił Karol, sięgając do schowka i wyjmując z niego butelkę czystej wyborowej, która w pewnych sytuacjach była lepszym środkiem płatniczym niż gotówka. Następnie wysiadł i poszedł w kierunku pobliskiego skweru, a po pięciu minutach wrócił w towarzystwie trzech średnio trzeźwych jegomości, którzy mieli jednak na tyle przytomności i siły, że bez większego trudu wnieśli pudło na pierwsze piętro.

Gdy po godzinie spojrzałam na stół, miałam wrażenie, jakbym znalazła się w sklepie dewizowym.

– No to teraz przez kilka miesięcy będziesz mogła żyć jak bankier z Zurychu – zażartował Karol. – Chyba że chcesz, abym to wszystko spieniężył na bardzo dobrych zasadach – dodał z chytrym błyskiem w oczach i cwaniackim uśmiechem.

– Lepiej niech to tu zostanie. Jak cię przymkną, to przyślę ci paczkę do więzienia – mruknęłam – a przy okazji powąchaj, jak pachnie zielone jabłuszko – zaproponowałam, podtykając mu pod nos odkręconą butelkę szamponu do włosów.

– No prawie tak, jak mój zapach w samochodzie – oznajmił, mocno pociągając nosem.

– Twoje samochodowe śmierdzidełko nawet się do tego nie umywa – oświadczyłam, odkładając kilka puszek szynki konserwowej, czekoladę, obłudnie pachnące kolorowe mydełko i kilka innych produktów, jakie miałam zamiar podarować pani Jadzi.

– Ale przecież zapowiedziałas, że palcem nie kiwniesz? – przypomniał Karol.

29 marca 1970, niedziela

Wczoraj Karol skończył dwadzieścia dwa lata. Z tej okazji zorganizował imprezę urodzinową, która, jak zapowiadał, miała być małą, skromną

uroczystością. Jakież więc było moje zaskoczenie, gdy na tej kameralnej prywatce doliczyłam się dwudziestu pięciu osób. Gdyby przyszli wszyscy zaproszeni, ta liczba wzrosłaby do czterdziestu. Lena i Janusz, którzy także otrzymali zaproszenie, od razu uprzedzili, że ich nie będzie. Impreza wypadła w Wielką Sobotę, która z racji wiary była dla nich jednym z najważniejszych dni w roku. Podejrzewałam, że spora część nieobecnych również przeżywała Święta Wielkanocne. Klucząc między tańczącymi parami, zastanawiałam się, czy mieszkanie zdołałoby pomieścić jeszcze kilka osób. Co prawda większość mebli została na czas imprezy wystawiona na korytarz, ale i tak było ciasno. Kiedy dotarłam do kuchni, gdzie urządzono bufet, zastałam tam Weronikę nalewającą sobie wina.

– Chcesz? – wskazała na butelkę.

– Tak, chętnie – powiedziałam, lustrując leżące na talerzach i półmiskach przekąski, których wybór był imponujący. Prócz królowej imprezowych stołów, jak nazywano sałatkę jarzynową, Karol postarał się o jajka w majonezie, zimne nóżki, koreczki z kielbasy, żółtego sera i marynowanych grzybków, a nawet kanapki z pastą jajeczną. Po namyśle sięgnęłam po koreczek.

– Tam jest coś na ciepło – rzuciła Weronika, pokazując dwa duże garnki ustawione na kuchence gazowej.

– Sądząc po zapachu, flaczki i bigos – skrzywiłam się, ponieważ żadna z tych potraw mi nie smakowała. Odbierając kieliszek z winem, usłyszałam, że w pokoju, gdzie odbywała się zabawa, nagle zapadła cisza, którą po chwili przerwał tubalny głos jednego z gości:

– A teraz wszyscy piją zdrowie młodego wojaka Szwejka i śpiewają mu... – Po tych słowach z kilkadziesiątu gardeł wyrwały się pierwsze słowa najpopularniejszej obecnie piosenki żołnierskiej. „Przyjedź, mammo, na

przysięgę, zaproszenie wysłał szef. Syn ci wyrósł na potęgę. Przyjedź, zobacz, twoja krew”.

– O kogoś czeka zakucie w kamasze – rzuciłam, upijając łyk wina.

– Tak, Karol dostał powołanie – zakomunikowała Weronika, a ja poczułam, że alkohol zatrzymuje mi się w przełyku. Odruchowo odstawiłam kieliszek na stół i zaczęłam nerwowo kasłać.

– To ty nie wiedziałaś?

– Nie – wycharczałam, próbując opanować kaszel.

– Oto cały mój braciszek – westchnęła Weronika, przewracając oczami. – Pamiętasz, jak przestrzegałam, że to nie jest facet dla ciebie – przypomniała, ale w jej głosie nie było słyhać złośliwej satysfakcji w rodzaju: „A nie mówiłam”.

Resztę imprezy przesiedziałam, a raczej przestałam przy oknie, popijając wino i wpatrując się w księżyc, który co chwilę przesłaniały chmury. Karol kilka razy próbował poprosić mnie do tańca, lecz za każdym razem odpowiadałam, że nie mam ochoty. Był już tak pijany, że moje odmowy nawet go nie zastanowiły. Korzystając z okazji, że kilkoro gości szło w kierunku Grunwaldzkiej, dołączyłam do nich i do domu dotarłam kilka minut przed czwartą nad ranem.

30 marca 1970, poniedziałek

Wracając wczoraj z imprezy urodzinowej u Karola, zastanawiałam się, dlaczego nie powiedział mi o powołaniu do wojska. Przecież nie mógł się o tym dowiedzieć w ostatniej chwili, a telefonując do mnie w piątek, zachowywał się tak, jakby temat nie istniał. Jednak jeszcze bardziej zabolął fakt, że byłam jak ten zdradzony mąż z dowcipów, który o niewierności żony zawsze dowiaduje się na końcu. Podczas gdy wszyscy goście wiedzieli, ja jedna żyłam w błogiej nieświadomości.

Karol raczył zatelefonować dopiero dziś późnym popołudniem, co mogło oznaczać, że całą niedzielę i połowę poniedziałku odreagowywał skutki sobotnio-niedzielnej balangi.

– Myślałem, że wpadniesz do mnie wczoraj albo dzisiaj – powiedział głosem, w którym nadal pobrzmiwało zmęczenie i kac.

– A niby po co? Może, żeby cię przytulić, pogłaskać po główce i pocieszyć, że w armii nie jest wcale tak źle? Gdybym wiedziała, to zamiast dzinsowej koszuli podarowałabym ci onuce, które w wojsku bardziej ci się przydadzą...

– Chciałem ci powiedzieć – Karol wszedł mi w słowo.

– Ale jakoś nie było okazji – dopowiedziałam z drwiną, nie pozwalając mu dokończyć myśli.

– Właśnie tak – potwierdził – i nie musisz być taka sarkastyczna, bo naprawdę chciałem – dodał, czym jeszcze bardziej mnie rozjuszył.

– Dobrymi chęciami to diabeł sobie piekło wybrukował – rzuciłam i rozłączyłam się, nie czekając na jego ripostę. Przypuszczałam, że spróbuje zadzwonić ponownie, ale telefon milczał. Zamiast niego pół godziny później odezwał się dzwonek do drzwi. Nawet bez patrzenia w judasza, wiedziałam, kto stoi po drugiej stronie.

– Za taki wygląd w wojsku dostałbyś burę od sierżanta – stwierdziłam, lustrując Karola od stóp do głów.

– Sierżant w porównaniu z tobą to anioł – odciął się, posyłając mi szelmowski uśmiech.

– Nie przeginaj, żołnierzyku – pogroziłam mu palcem – a teraz proszę mi wyjaśnić, jak to się stało, że zapomnieliście mi zameldować o tak ważnej sprawie – rozkazałam, ruszając do kuchni.

– Ty miałaś się dowiedzieć jako pierwsza. Chciałem ci to powiedzieć dopiero po urodzinach – zaczął, siadając przy stole.

– Ale byłam ostatnia, zapewne w myśl biblijnej zasady, że ostatni będą pierwszymi i na odwrót – wtrąciłam, nalewając wody do czajnika.

– Gdyby nie drobny wypadek, wszystko poszłoby zgodnie z planem, ale podczas wnoszenia mebli na korytarz z komody wypadła koperta z pieczętką Wojskowej Komendy Uzuppełnień – ciągnął, ignorując moją uwagę. – Zobaczył ją jeden z kumpli i sprawa się ryła. Co prawda obiecał, że będzie trzymał język za zębami, ale widocznie, gdy mu wódka zaszumiała w głowie, to i język się rozluźnił. Najpierw poinformował Weronikę, a później, już na samej imprezie, wyskoczył z tym toastem i piosenką – zakończył Karol, sięgając po kawałek bloku czekoladowego, który dostałam od pani Jadzi.

– Pokrętne te wasze tłumaczenia, szeregowy – mruknęłam, stawiając na stole dwa kubki z kawą – ale powiedzmy, że wam wierzę – przyznałam, bo nawet jeśli historyjka była zmyślona, to miała ręce i nogi. – A teraz chcę usłyszeć, gdzie cię wysyłają – poprosiłam.

– Dostałem przydział do marynarki wojennej.

– No to do domku będziesz miał rzut beretem – pocieszyłam.

– Wątpię, aby ktoś potrafił rzucić beretem ze Świnoujścia do Sopotu – oznajmił, posyłając mi blady uśmiech.

– Zawsze możesz zrobić to, co Hłasko. On przed służbą wojskową uciekł do Paryża – przypomniałam.

– Anka, tym razem to ty nie przeciągaj struny – mruknął, zaciskając palce na kubku z kawą.

2 kwietnia 1970, czwartek

Jeszcze nigdy, na żadnym filmie nie śmiałam się tak głośno, jak na przygodach Franka Dolasa, który był przekonany, że to on rozpętał drugą wojnę światową. Początkowo wcale nie chciałam iść na ten film. Tematyka wojenna nieszczerze mnie interesowała, ale Karol tak długo prosił,

a właściwie, dosadniej mówiąc, marudził, abym z nim poszła, że dla świętego spokoju uległam.

– A nie mówiłem, że będzie przednia zabawa – powiedział Karol po wyjściu z kina, przedrzeźniając głównego bohatera komedii, przedstawiającego się niemieckiemu oficerowi jako Grzegorz Brzęczyszczukiewicz.

– Ty w tym wojsku uważaj, abyś nie rozpętał trzeciej wojny światowej – przestrzegłam Karola, nie mogąc opanować rozbawienia, spowodowanego jego aktorskim popisem.

20 kwietnia 1970, poniedziałek

Zrobiłam dziś sobie studenckie wagary, ale musiałam przecież odprowadzić swojego faceta na pociąg, wiozący go do wojska. Karol nie wyglądał najlepiej, lecz biorąc pod uwagę, że dwa dni wcześniej kumple zrobili mu męskie pożegnanie, trudno było się dziwić. Wśród podróżnych wypatrzyłam jeszcze trzy pary, podobne do nas, więc nie ja jedna żegnałam chłopaka.

– Będę za tobą tęsknił – wyszeptał, mocno mnie przytulając.

– Za dwa tygodnie zaprzyjaźnisz się z bronią i to ona będzie twoją kochanką – spróbowałam zażartować, choć czułam, że oczy robią mi się wilgotne. Gdy pociąg ruszył i szłam za oddalającym się wagonem, przypominałam sobie bardzo podobną scenę sprzed dwóch lat. Wówczas też był kwiecień, a nawet pogoda była podobna. Wtedy idąc po peronie sopockiego dworca, odprowadzałam znikający we mgle pociąg, którym Hania, Sara i jeszcze kilka innych znanych mi osób odjeżdżało do lepszego, wolnego świata. Oczywiście oba te pożegnania oznaczały coś zupełnie innego. Wtedy żegnałam się prawdopodobnie na zawsze, a teraz tylko na kilka tygodni. Z Karolem mieliśmy się spotkać podczas przysięgi. Natomiast Hani najpewniej nigdy więcej już nie zobaczę. Kiedy czerwone

światła ostatniego wagonu rozplynęły się w oddali, otarłam kilka łez i ruszyłam do dworcowego baru, tego samego, w którym Karol zaproponował mi, abyśmy razem tańczyli. Zamówiłam herbatę, zajęłam stolik przy oknie i wpatrzona w przechodniów, zanuciłam w myślach słowa piosenki, nadawanej właśnie w radio: „I ja zęgnalam nieraz kogo, i powracałam już nie taka, choć na mej dłoni lśniła srogo, obręczka srebrna, jak u ptaka”.

– Przepraszam, czy można się przysiąść? – usłyszałam nagle za sobą tak dobrze znany głos i zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Podobno żyjemy w wolnym kraju, czyli mogłabym odmówić, ale z pewnymi ludźmi lepiej nie zadzierać, więc proszę siadać – powiedziałam, patrząc na Urbanowicza obojętnym wzrokiem.

– Mam wrażenie, że uważa mnie pani za swojego wroga, podczas gdy jest zupełnie inaczej – stwierdził major, siadając po przeciwnej stronie stolika.

– Czy pan mnie śledzi? – spytałam, upijając łyk herbaty.

– A czemu miałbym to robić?

– Właśnie nie wiem, ale odnoszę wrażenie, że wszędzie, gdzie się pojawię, spotykam pana.

– Z tym wszędzie to lekka przesada. W Warszawie, gdy pracowała pani jako tłumacz, nie było mnie, podobnie podczas krótkiego wypoczynku w Kołobrzegu.

– A jednak szpiegują państwo każdy mój krok.

– Z tym szpiegowaniem to też przesada. Po prostu troszczymy się o pani bezpieczeństwo. Myślę, że...

– Czyli to taki parasol ochronny – wtrąciłam, wchodząc majorowi w słowo.

– Można tak to nazwać – przyznał.

– To ja już chyba wolę zmoknąć – rzuciłam i zostawiając niedopitą herbatę, wyszłam z baru. Chwilę później poczułam na włosach pierwsze krople deszczu.

No to sobie wykrakałaś – pomyślałam, przyśpieszając kroku.

4 maja 1970, poniedziałek

Byłam dziś z Leną na pierwszej przymiarce sukni ślubnej. Już w drodze do zakładu krawieckiego, w którym zamówiła swoją kreację, odniosłam wrażenie, jakby przygotowania do ślubu wcale jej nie cieszyły. Teraz gdy Karol jest w wojsku, więcej czasu spędzam w domu, a tym samym częściej widzę Lenę i dostrzegam zmiany, jakie zaszły w niej przez ostatnie kilka miesięcy. Najbardziej widoczna to brak uśmiechu, który przecież jeszcze do niedawna był jej wizytówką.

– Czy coś się stało? – zapytałam, gdy wracałyśmy od krawcowej.

– Nie – zaprzeczyła Lena. – A dlaczego pytasz? – dodała po chwili.

– Pytam, bo widzę, że nie jesteś tą samą dziewczyną, którą poznałam. Gdzie twój uśmiech, twoja radość, pozytywne podejście do życia?

– Mam sporo nauki, praca i jeszcze ten ślub – westchnęła ciężko, a ja uświadomiłam sobie, że to westchnienie nie dotyczyło ani pracy, ani studiów, tylko ślubu.

– Tu niedaleko jest taka kameralna kawiarnia, chodź, pójdziemy na kawę – zaproponowałam i nim Lena zdążyła zaprotestować, skręciłam w boczną uliczkę. Pięć minut później wchodziliśmy już do Małego Księcia. Pani Danuta uśmiechnęła się na mój widok. Przyjmując zamówienie, wymieniliśmy kilka nowin. O powołaniu Karola do wojska już wiedziała, co specjalnie mnie nie zaskoczyło. W końcu, jak zwykła powtarzać ciotka Celina: „Sopot to w gruncie rzeczy małe miasto, gdzie każdy każdego zna i wszyscy wszystko o sobie wiedzą”.

– No dobra co jest z tym ślubem? – zapytałam, gdy dostałyśmy już kawę i szarlotkę.

– A skąd wiesz, że coś jest?

– Bo nie jestem ślepa, potrafię wyciągać wnioski i widzę, że coś cię gryzie.

– Nie wiem, czy chcę tego małżeństwa i czy Kocham Janusza – oznajmiła Lena, a w jej oczach zalśniły łzy. Czegoś takiego absolutnie się nie spodziewałam. W pierwszej chwili nie miałam pojęcia, jak powinnam zareagować.

– Przede wszystkim nie płacz – poprosiłam, podając jej serwetkę, i dodałam, że są poważniejsze powody do płaczu.

– Ale Janusz tak bardzo czeka na ten ślub – zaszlochała Lena.

– A kiedy ci się oświadczał, kochałaś go?

– Wtedy chyba tak, ale w ciągu tych kilku miesięcy, jakie minęły od zaręczyn, on bardzo się zmienił.

– To znaczy?

– Stał się strasznie zazdrosny, kilka razy sugerował nawet, że flirtuję z innymi lekarzami, a ostatnio niby w żartach zapowiedział, że po ślubie mam zrezygnować z pracy i studiów, siedzieć w domu i wychowywać pięcioro naszych dzieci, bo właśnie tyle chce ich mieć.

– A to męski szowinista – syknęłam, oburzona postawą faceta, który wydawał się miłym, kulturalnym i rozsądnym panem doktorem.

– I co ja mam zrobić? – zapytała bezradna Lena, która zapewne nie tak wyobrażała sobie małżeństwo.

– Masz dwa wyjścia – powiedziałam po dłuższej chwili zastanowienia – pierwsze to zerwać zaręczyny, kopnąć pana Janusza w dupę i poczekać na prawdziwego rycerza na białym koniu. Drugie, znacznie bardziej skomplikowane, to wyjaśnienie mu, że jeśli szuka kury domowej, to źle

trafił i albo zmieni swoje oczekiwania, zachowanie i poglądy, albo nici z waszego małżeństwa. Wszystko zależy od tego, czy choć trochę ci na nim zależy – zakończyłam.

– Zależy mi – wyszeptała Lena.

– To spróbuj go przekonać do wizji związku partnerskiego, gdzie potrzeby każdego z małżonków są tak samo ważne – podsumowałam.

Gdy opuściliśmy kawiarnię Lena była już w zupełnie innym nastroju i znowu przypominała tę dawną, roześmianą i radosną dziewczynę.

8 maja 1970, piątek

Dostałam dziś pierwszy list od Karola. Nie wiem, czy korespondencja rekrutów podlega cenzurze, ale jego zachwyty jest dziwnie podejrzanym. Wszystko chwali, na nic się nie skarży.

Normalnie raj na ziemi – pomyślałam, odkładając list do szuflady.

10 maja 1970, niedziela

Janusz okazał się nie tylko męskim szowinistom, ale, co gorsza, damskim bokserem. Wiem, że siniak na policzku Leny to nie wynik uderzenia o niedomknięte drzwi, choć ona upiera się przy swojej wersji. Wiem też, że muszę jakoś zareagować, bo w przeciwnym razie ten cham całkowicie podporządkuje sobie Lenę. Jeszcze nie mam pomysłu, jak do tego podejść, ale na pewno mu nie odpuszczę.

12 maja 1970, wtorek

Sprawa Leny, a dokładniej rzecz ujmując, wrednego Januszka, jak w myślach zaczęłam go nazywać, nie dawała mi spokoju. Chociaż nie znałam nikogo, kto musiałby żyć z tyranem, to wiele się na ten temat nasłuchiwałam w kolejce podmiejskiej i autobusach. Niektóre z tych opowieści normalnie mroziły krew w żyłach. Dlatego za wszelką cenę

chciałam Lenie oszczędzić takiego życia. Miała dobre serce, zdolne do wybaczenia, a to zwyczajnie mogło ją zgubić. Wreszcie wczoraj, wracając z wykładów, podслуchałam na przystanku rozmowę, która podsunęła mi pewien pomysł. Jednak do jego realizacji niezbędna była pomoc Bolesława, a konkretnie znajomości, jakie miał w szpitalu. Zatelefonowałam więc dziś do niego z prośbą o spotkanie. Początkowo wymawiał się pracą, ale gdy powiedziałam, że chodzi o bardzo poważną sprawę, zgodził się, obiecując, że wpadnie do mnie po dyżurze. Na szczęście Lena była w pracy, więc mogliśmy spokojnie porozmawiać. Kiedy powiedziałam o wątpliwościach Leny oraz swoich podejrzeniach, Bolesław otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

– Jesteś pewna, że on ją uderzył?

– Świadkiem nie byłam, ale biorąc pod uwagę, co jej poradziłam, uważam, że sukinsyn to zrobił – oświadczyłam.

– No dobra, nawet jeśli masz rację, to ja w tej sytuacji niewiele mogę – westchnął Bolesław, bezradnie rozkładając ręce.

– A właśnie, że możesz i to bardzo dużo – zapewniłam.

– Jeśli chcesz, abym odgrywał rolę mediatora lub kogoś w tym rodzaju, to nie ma mowy. Nie zamierzam się mieszać w ich życie – zastrzegł Piechocki. – Oni się pogodzą, a ja zostanę tym złym – dodał.

– Wciąż masz znajomości w dyrekcji szpitala? – zapytałam, ignorując jego słowa.

– Jakieś tam mam – przyznał.

– To załatw, proszę, aby Janusz otrzymał nakaz pracy w innym szpitalu – poprosiłam. – Niech go wyślą do Łodzi, Krakowa, Łomży czy nawet Rzeszowa – dodałam – byle jak najdalej od Leny – zakończyłam, posyłając Bolesławowi błagalne spojrzenie.

– Sama to wymyśliłaś?

– Nie, podsłuchałam na przystanku, jak jakaś nauczycielka żaliła się, że dostała nakaz pracy w Koszalinie, a ona jest z Gdyni.

– To nie jest takie proste, jakby się mogło...

– Ale da się załatwić? – zapytałam, przerywając mu w pół słowa.

– Tak – potwierdził niechętnie.

– W takim razie, proszę, zrób to – powtórzyłam.

16 maja 1970, sobota

Przedwczoraj wczesnym rankiem, nim jeszcze zdążyłam wyjść na zajęcia, zatelefonował do mnie prezes działkowców z pretensjami, że mamy już połowę maja, a moja działka jeszcze nie jest posprzątana. Przeprosiłam i zapewniłam, że w najbliższym czasie zrobię tam porządek. Odkładając słuchawkę, żałowałam, że Karol jest tak daleko. Z pomocą przyszła Lena, oznajmiając, że całą sobotę ma wolną, bo do pracy idzie dopiero na nocny dyżur, a w związku z tym może mi pomóc. Mimo nie najlepszej pogody wybrałyśmy się więc dzisiaj rano na działkę.

– Ten kierownik trochę przesadził – zauważyłam, obrzucając spojrzeniem bajecznie ukwiecone drzewa, pod którymi zalegało tylko trochę zeschniętych liści z ubiegłego roku. Pracy rzeczywiście nie było zbyt wiele i już przed południem mogłyśmy wrócić. Lena poszła do mojego mieszkania, a ja odwiedziłam po drodze mieszkanie Karola, aby je przewietrzyć. Na szczęście nie miał żadnych kwiatów, bo wtedy musiałabym tam chodzić co kilka dni.

– Jak tam panu Karolowi w tym wojsku? – zagadnęła mnie sąsiadka, mieszkająca piętro niżej, która także czekała na windę.

– Chyba dobrze, bo w liście wszystko chwalił – zaspokoiliam ciekawość starszej pani.

– W to akurat bym nie wierzyła. Mój wnuk też pisał, że jest wspaniale, a jak pojechałam na przysięgę, to pani sobie wyobrazi, był o osiem

kilogramów chudszy – słysząc to, spróbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądałby Karol po straceniu takiej masy. Ta wizja bardziej pasowała do szkieletu niż żywego człowieka.

Po wejściu do mieszkania uderzył mnie imprezowy zapach wiszący w powietrzu, będący mieszaniną papierosowego dymu oraz różnego rodzaju alkoholi. Po otwarciu wszystkich okien usiadłam w fotelu i zapatrzyłam się w wiszący na ścianie obraz, przedstawiający parę tańczącą na molo. W pewnej chwili uświadomiłam sobie, że obraz, na który patrzę, wisi krzywo. Gdy podeszłam, aby go poprawić, zza ramy wypadł cienki niebieski zeszyt.

A to co? – pomyślałam, podnosząc go z podłogi i otwierając. Już pierwszy rzut oka pozwolił stwierdzić, że mam do czynienia z poezją. Myśl, że Karol, pisujący teksty propagandowe, robiący ciemne interesy z podejrzanymi typami, w domowym zaciszu pisze wiersze, wydała mi się absurdalna. Jednak charakter pisma przypominał pismo Karola, więc może mój facet nie miał jednej twarzy, tylko kilka? Niewiele myśląc, wróciłam na fotel i zaczęłam czytać.

“Gdy twojej skóry słodkim krajem,
wędruję nagi oraz bosy.
odwiedzam grzesznych zmysłów gaje,
smakuję owoców rozkoszy.

Twe ciało wonną jest świątynią,
bezwstydných snów ciemnym kanionem.
Gdzie rozpalone rzeki płyną,
A ja w tych wodach tonę, tonę.

Niesiony dzikich żądz kaskadą,

Pragnę dogonić twoje zmysły.
Nim wyrzucone krzyku falą,
Dopłyną do szczęśliwej wyspy”.

Już pierwszy wiersz wywołał rumieńce na mojej twarzy, a przy następnych czerwieniłam się jeszcze mocniej, oddychałam szybciej, a moje ciało płonęło. Kiedy wreszcie skończyłam lekturę niebieskiego zeszytu, musiałam przyznać, że mi się podoba, choć na poezji wcale się nie znałam.

20 maja 1970, środa

Bolesław spisał się na medal, ale do działania skłonił go sam Janusz, który podczas jednego z dyżurów zrobił Lenie karczemną awanturę o to, że niby ta za jego plecami umawia się ze stażystą z chirurgii. To zdarzenie przekonało Piechockiego, że miałam rację. Na faktyczne przeniesienie doktora Wiśniewskiego trzeba będzie jeszcze poczekać tydzień lub dwa, ale maszyna biurokratyczna już ruszyła.

22 maja 1970, piątek

Dziś Lena poinformowała mnie o zmianie daty ślubu. Oficjalnym powodem jest choroba matki Janusza, ale z tego, co wiem, gdy któreś z rodziców jest chore, to ślub się przyśpiesza, a nie odkłada. Jednak bez względu na przyczynę samo odsunięcie w czasie tej katastrofy bardzo mnie cieszy, bo daje nadzieje na całkowite jej uniknięcie. Pewnie, gdybym była wierząca, pomodliłabym się za to, ale nie jestem, więc pozostaje tylko trzymanie kciuków.

11 czerwca 1970, czwartek

Jutro wieczorem wyjeżdżam na przysięgę do Karola, a dziś po kolacji zatelefonował do mnie Bolesław z dobrą nowiną. Od pierwszego lipca doktor Janusz Wiśniewski będzie pracownikiem szpitala w Jeleniej Górze.

Gdy tylko to usłyszałam, zrozumiałam, dlaczego od dwóch dni Lena chodzi smutna, zamyślona i bez uśmiechu. Oczywiście nie mogę jej zdradzić, że to ja uknułam całą tę intrygę. Lepiej, aby uznała, że tak chciał Bóg, a z jego wyrokami, jak sama mówi, trzeba się godzić i przyjmować je z pokorą.

14 czerwca 1970, niedziela

Podróż do Świnoujścia zajęła nam całą noc. Jechałam wspólnie z rodzicami Karola oraz jego siostrą, więc nawet w pociągu było nam rażniej. Karol schudł, może nie osiem kilogramów, ale cztery na pewno. Mimo to w mundurze marynarskim prezentował się bardzo dobrze. Po przemowie dowódcy, który nie szczędził pochwał dla rodziców poborowych, za wychowanie tak mężnych i dzielnych Polaków, nastąpiła uroczysta chwila przysięgi. Widziałam, że niektóre matki rzeczywiście miały łzy w oczach.

Po przysiędze przyszedł czas na tradycyjny piknik z nieodłączną grochówką i pitą w ukryciu wódeczką, bo oficjalnie alkohol był zabroniony, choć nawet sam dowódca, gdy podszedł przywitać się z rodzicami Karola, załatywał wonią czystej wyborowej. O jakiegokolwiek chwili sam na sam nie było mowy, ale nawet możliwość spojrzenia sobie w oczy znaczyła dla mnie bardzo wiele.

20 czerwca 1970, sobota

Korzystając z cudownej pogody, wybrałam się dziś na działkę, aby na świeżym powietrzu i w bajecznym otoczeniu powkuwać do ostatnich egzaminów. Aż trudno mi uwierzyć, że za mną już dwa lata studiów. Próbowałam namówić Lenę, aby pojechała ze mną, lecz podziękowała, tłumacząc, że woli uczyć się w domowym zaciszu, a poza tym spodziewa się gościa. Korciło mnie, by zapytać, kto ma być tym gościem, ale nie chciałam wyjść na wścibską. Pierwsze podejrzenie padło na Janusza i okazało się słuszne, bo gdy wróciłam kilka godzin później do mieszkania,

Wiśniewski siedział z Leną przy stole w kuchni. Nie chcąc im przeszkadzać, zamknęłam się w salonie, lecz wizyta widocznie dobiegała już końca, bo chwilę później usłyszałam, że gość wyszedł. Zastanawiałam się, jak sprowokować Lenę do rozmowy o jej związku, ale przy kolacji to ona sama wyszła z inicjatywą rozmowy, informując o przeniesieniu Janusza do Jeleniej Góry. Miałam tylko nadzieję, że zdziwienie, jakie okazałam, wyglądało na autentyczne i szczere.

– Poprosił, abym z nim pojechała – wyznała Lena, a mi prawie nóż wypadł z ręki. W całym swoim, jak mniemałam, genialnym planie nie przewidziałam tego jednego drobnego szczegółu. Przecież jeśli przekona Lenę do wyjazdu, to na drugim końcu Polski nikt jej nie obroni.

– I co, zgodziłaś się? – zapytałam, udając obojętność.

– Jeszcze nie i chyba raczej się nie zgodzę. Tutaj mam pracę, studia, mieszkanie, ciebie, a tam będę zupełnie sama, w obcym mieście i wszystko będzie trzeba rozpoczynać od początku.

– Moim zdaniem, lepiej zrobisz, zostając – powiedziałam, ciesząc się w duchu z decyzji Leny.

24 czerwca 1970, środa

Za mną ostatni egzamin, a przede mną ponad trzy miesiące wakacji, które w tym roku prawie całe przepracuję jako kelnerka. Na obóz do Biskupina tym razem nie chciałam jechać, a samotne wyprawy mnie nie pociągają. Karol napisał, że pierwszą przepustkę dostanie we wrześniu, lecz te kilka dni to za mało, aby planować dalszy wypad.

26 czerwca 1970, piątek

Otwierając dziś swój dziennik, zobaczyłam w nim kolejną kopertę, zaadresowaną tak dobrze znanym charakterem pisma. Na samą myśl, że pod moją nieobecność ktoś obcy wszedł do mieszkania, wzdrygnęłam się,

a po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Kimkolwiek był włamywacz, musiał wykorzystać moment, gdy dosłownie na pół godziny wyszłam do sklepu. Poza tym skoro pokonał amerykański zamek, jaki dostałam od Karola, nie mógł być amatorem. Tym razem wiadomość była jeszcze krótsza niż poprzednio. Zgodnie z otrzymaną instrukcją miałam dziewiętnastego sierpnia polecieć samolotem do Warszawy, następnie pójść do Łazienek i usiąść na ławce przy bramie głównej.

Ciekawe, kto bawi się moim kosztem – pomyślałam, drąc list na drobne kawałki i splukując w muszli klozetowej. Nie miałam zamiaru latać do żadnej Warszawy.

29 czerwca 1970, poniedziałek

Chyba jutro kupię butelkę wina i upiję się ze szczęścia. Wszystko z powodu Leny, której fatalny związek nareszcie i definitywnie został zakończony. Najlepsze w tym wszystkim jest to, że nie przez nią, tylko samego Janusza. Wiśniewski przyszedł dziś po kolacji, aby porozmawiać z Leną. Próbował nakłonić ją do wyjazdu, a robił to tak głośno, że chyba cała kamienica słyszała jego argumenty w stylu: „Jeśli mnie naprawdę kochasz, to musisz ze mną wyjechać” albo „Skoro nie chcesz jechać, to znaczy, że masz tutaj kogoś”. Gdy Lena stanowczo odmówiła wyjazdu, Janusz oznajmił, że w takim razie on zrywa zaręczyny.

– Przepraszam za niego – powiedziała zawstydzona Lena, gdy za Januszem z trzaskiem zamknęły się drzwi.

– Nie masz za co przepraszać – zapewniłam, przytulając ją serdecznie.

2 lipca 1970, czwartek

Po dwóch dniach pracy dochodzę do wniosku, że gdyby nie zainteresowanie archeologią, to mogłabym pracować jako kelnerka. Wiem, że dla wielu jest to zbyt prosty plan na życie, jednak nie wszyscy muszą być

lekarzami, inżynierami czy archeologami. Ktoś przecież musi wykonywać mniej wymagające, co nie znaczy, że gorsze zajęcia.

5 lipca 1970, niedziela

Będąc dziś w mieszkaniu Karola, odkryłam, że oprócz mnie ktoś jeszcze musi tam przychodzić. Świadczyły o tym pościerane kurze na meblach i nowe firany w oknach. Pomyślałam, że to nawet lepiej, jeśli dwie osoby doglądają mieszkania, bo ja nie zawsze mam czas, szczególnie teraz, gdy prawie całe dnie spędzam w kawiarni. Czekaając, aż się wywietrzy, sięgnęłam za obraz po zeszyt z wierszami Karola. Ich ponowna lektura, tym razem bardziej uważna, pozwoliła mi wychwycić pewne dziwne odniesienia, pojawiające się w utworach. W jednym z nich pod tytułem: *Nagość*, znalazłam intrygujący fragment: „Zaróżowiony policzek, otulony rudawym kosmykiem”. Jedyłą dziewczyną o rudych włosach, jaką znałam, była Lena.

A więc Karol fantazjował o Lenie – pomyślałam, czując ukłucie zazdrości.

15 lipca 1970, środa

Od kilku dni w drodze do pracy spotykam na swojej drodze plakaty reklamujące Musicorame, czyli nowoczesną salę taneczną, stworzoną na wzór zachodnich przybytków tego typu. Zastanawiam się, czy fakt, że władza pozwoliła na takie przedsięwzięcie, oznacza otwarcie na świat. Gdyby Karol był w Sopocie, na pewno byśmy tam poszli, bo on nie przepuszczał żadnej okazji do tańca.

21 lipca 1970, wtorek

Właśnie jadę do Świnoujścia na spotkanie z Karolem. Wymyśliliśmy, że skoro może wychodzić na miasto na kilka godzin dziennie, to przyjadę

i spędzimy je razem. Noclegi mam zarezerwowane w małym pensjonacie niedaleko jednostki, który utrzymuje się z wynajmowania pokoi dla osób odwiedzających żołnierzy. Mam tylko nadzieję, że wysiadając, znajdę jakąś dobrą silną męską duszyczkę, która pomoże mi z walizką, pełną konserw i słoików, o które Karol tak bardzo prosił w liście.

24 lipca 1970, piątek

To były szalone i niezapomniane trzy dni. Większość czasu, jaki byliśmy razem, spędzaliśmy oczywiście w łóżku. Dopiero widok nagiego Karola uświadomił mi kilogramy zabrane przez armię. Zażartowałam nawet, że z kościotrupem to jeszcze seksu nie uprawiałam. W odpowiedzi usłyszałam, że kiedyś musi być ten pierwszy raz. Kiedy Karol wracał do koszar, ja zwiedzałam miasto, pełne turystów i kuracjuszy. Ostatniej nocy Karol na dwie godziny urwał się z jednostki, co było nie tyle szalone, ile niezgodne z regulaminem, i gdyby go przyłapano, mógłby nawet dostać karcer, czyli wojskowy areszt.

7 sierpnia 1970, piątek

Dziś po prawie trzech tygodniach dostałam list od Karola. Już pierwsze słowa: „Nie pisałem, bo siedziałem”, uświadomiły mi, że jego nocna wyprawa do pensjonatu została odkryta, a on spędził dziesięć dni w areszcie. Jednak według niego było warto i mógłby nawet to powtórzyć. Będę musiała mu napisać, że jest idiotą.

20 sierpnia 1970, czwartek

Po powrocie z pracy natychmiast rzuciłam się na swój dziennik i zaczęłam przeglądać wpisy. Kiedy znalazłam ten z dwudziestego szóstego czerwca, zamarłam z dłonią na ustach. Zawsze byłam sceptyczna, gdy ktoś mówił o zbiegu okoliczności, przypadku lub czymś podobnym. Uważałam, że

wszystko ma swoje logiczne wytłumaczenie i nic nie dzieje się bez przyczyny. Jeśli więc wierzyć tej teorii, to wczorajsze porwanie samolotu lecącego z Gdańska do Warszawy było planowane od dawna. Gdybym poważnie potraktowała listy, jakie ktoś zostawiał mi w dzienniku, teraz nie siedziałabym w sopockim mieszkaniu, ale chodziła po ulicach Kopenhagi, Paryża, Londynu, a może nawet Nowego Jorku. Jednak ja uznałam je za prowokację i zwyczajnie zignorowałam. Dostałam szansę, z której przez własną głupotę nie skorzystałam. Podejrzewam, że kolejnej już nie będzie.

24 sierpnia 1970, poniedziałek

Przez ostatnie kilka dni pilnie czytałam wszystkie gazety, chcąc jak najwięcej dowiedzieć się o porwaniu samolotu, na którego pokładzie powinnam być. Jednak władza, zgodnie ze swoją ideologią, której pierwsza zasada brzmiała: „Obywatele nie muszą wiedzieć o wszystkim”, skutecznie eliminowała z gazet, radia i telewizji niewygodne fakty. Porwaniu samolotu poświęcono tylko krótką wzmiankę w „Ekspresie Wieczornym”. Dowiedziałam się z niej, że dziewiętnastego sierpnia doszło do porwania rejsowego samolotu Ił-14, lecącego z Gdańska do Warszawy. Porywaczem okazał się dziewiętnastoletni Krzysztof Kryński, który po sterroryzowaniu załogi zażądał lotu na Bornholm.

28 sierpnia 1970, piątek

Od dwóch dni trwa kolejny festiwal piosenki, a że jest to jubileuszowa, dziesiąta edycja imprezy, to i gości znacznie więcej niż w poprzednich latach. Dotyczy to również cudzoziemców, którzy chętnie odwiedzają kawiarnię. Na czas festiwalu na kontuarze został zamontowany telewizor, dzięki czemu goście nie tylko mogą napić się kawy, ale też obejrzeć występy artystów. Oglądając rozdanie nagród, z pewnym zaskoczeniem

zauważyłam, że zwycięzca, młody wesoły chłopak o bujnej czuprynie, poprzedniego dnia pił u nas popołudniową kawę.

4 września 1970, piątek

Jutro Karol przyjeżdża na przepustkę. Z tej okazji poprosiłam panią Jadzię, aby upiekła swój fenomenalny sernik, a sama przygotowałam sałatkę jarzynową z prawdziwą szynką, którą otrzymałam w paczce ze Szwajcarii. Pomagająca mi w krojeniu jarzyn Lena wyznała, że jakiś czas temu dostała bardzo nieprzyjemny list od Janusza. Chwalił się w nim swoją nową dziewczyną.

5 września 1970, sobota

Chyba jeszcze nigdy nie widziałam na twarzy Karola takiego szczęścia, jak dziś, gdy wysiadł z pociągu. Przytulał mnie tak długo i całował tak namiętnie, że aż ludzie zaczęli na nas popatrywać.

– Wariacie, przestań, bo ludzie patrzą – wyszeptałam.

– To niech się gapią i zazdroszczą – odparł i biorąc mnie na rękę, zaczął maszerować w stronę schodów. Dopiero karcące spojrzenie milicjanta patrolującego dworzec sprawiło, że postawił mnie na ziemię. Kiedy wyszliśmy z dworca, Karol ponownie przyciągnął mnie do siebie i oznajmił, że nie wraca do jednostki.

– To tym razem trafisz do karczeru na miesiąc.

– Nigdzie nie trafię, bo oficjalnie zakończyłem służbę wojskową, a dokładniej rzecz biorąc, wykryto u mnie wadę serca uniemożliwiającą dalsze odbywanie służby – oświadczył Karol, a jego poważny wyraz twarzy uświadomił mi, że to nie są żarty.

– Jak to wadę serca? – zapytałam, bardziej zaskoczona, niż wystraszona.

– Normalnie, pewnego dnia poczułem silne bóle w klatce piersiowej. Po przeprowadzeniu szeregu badań orzeczono, iż z takim sercem do wojska się nie nadaję, a do marynarki to już w żadnym wypadku.

– Dobrze, że pracujesz jako dziennikarz, a nie murarz, piekarz czy górnik, bo zostałbyś bez pracy – skwitowałam, podejrzewając, że cała ta sprawa z chorobą to jeden wielki przekręt, ale na głos tego nie powiedziałam. Kiedy dotarliśmy do mieszkania Karola, zaraz za progiem rzuciliśmy się na siebie bez opamiętania.

– Na pewno ci nie zaszkodzi? – upewniłam się, walcząc z paskiem od jego spodni.

– Kochanie, z miłości jeszcze nikt nie umarł – mruknął, unosząc moją sukienkę i jednym ruchem rozrywając majtki. Byliśmy tak spragnieni siebie, że te kilka metrów dzielących nas od łóżka, było niczym odległość z Ziemi na Księżyc.

– Jak ja za tobą tęskniłem – wyszeptał Karol, podnosząc mnie za pośladki.

– Ja też – potwierdziłam, oplatając jego biodra nogami. Pierwsza rozkosz przyszła szybciej, niż tego chciałam, ale nie mogłam już powstrzymać ani tej fali, zalewającej mnie od środka, ani głośnego krzyku, który wyrwał się z moich ust.

– Jak na ciężko chorego człowieka, jesteś dość jurny – zachichotałam, gdy leżeliśmy już w łóżku, a za oknem pomarańczowa kula słońca wolno spadała do morza.

16 września 1970, środa

Od trzech dni jesteśmy z Karolem w Karpaczu. Chociaż tu także możemy podziwiać przystrojone w jesienne barwy góry, to są one zupełnie inne niż Bieszczady. Tutaj na każdym kroku spotykamy ludzi, a w Bieszczadach prawie wcale ich nie było. W Karpaczu i okolicznych miejscowościach bez

trudu można wynająć pokój z łazienką, podczas gdy w Ustrzykach kwatery nie miały bieżącej wody. Nawet chodzenie po Karkonoszach jest zupełnie inne, bo dzięki wyciągowi krzeselkowemu można wjechać prawie na ich najwyższy szczyt, co też wczoraj zrobiliśmy. Od górnej stacji wyciągu po czterdziestu minutach szybkiego marszu dotarliśmy na śnieżkę, a właściwie kilka metrów pod jej szczyt, bo na wierzchołku trwała budowa obserwatorium meteorologicznego. W pewnej chwili Karol szepnął mi do ucha, abym dyskretnie spojrzała w prawo. Kiedy to zrobiłam, zobaczyłam niedosłego męża Leny w towarzystwie niskiej, niepozornej brunetki. Przez chwilę miałam nawet ochotę podejść i się przywitać, ale według Karola to nie był dobry pomysł. Wiśniewski, nawet jeśli nas rozpoznał, to się z tym nie zdradził.

– Obecna wybranka pana doktora nie ma w sobie nic z Leny – zauważył Karol, gdy okrężną drogą, prowadzącą obok schroniska Strzecha Akademicka, schodziliśmy do Karpacza.

– No tak, ona nie ma zaróżowionego policzka, otulonego rudawym kosmykiem – przyznałam, celowo używając fragmentu wiersza z niebieskiego zeszytu, który tak dobrze zapamiętałam.

– Co ty powiedziałaś? – zaskoczony Karol przystanął w pół kroku.

– W poetycki sposób oddałam urodę Leny.

– A mnie się zdaje, że myszkowałeś po moim mieszkaniu, jak nie przyrównując złodziej.

– Po pierwsze nie jak złodziej, bo niczego nie ukradłam – obruszyłam się aluzją Karola. – A po drugie, chciałam tylko poprawić obraz, bo krzywo wisiał – dodałam.

– Ty się, dziewczyno, marnujesz. Ze swoimi zdolnościami powinnaś pracować w wywiadzie.

– Nie, dziękuję. Wolę grzebać w ziemi, niż w czyimś życiu – oświadczyłam.

27 września 1970, niedziela

Wczoraj Bolesław zasłabł na dyżurze i z pracownika zmienił się w pacjenta. Według Leny, która mnie o tym poinformowała, wszystkiemu winne jest zmęczenie.

– Wyobraź sobie, Aniu, że on brał po kilkanaście dodatkowych dyżurów miesięcznie. Tego nawet młody organizm nie wytrzyma, a doktor Piechocki ma już swoje lata.

– I po co on się tak zaharowuje? – zapytałam bardziej siebie niż Lenę. Przecież z tego, co wiedziałam, zarabiał na tyle dobrze, że dla kawalera w zupełności wystarczało. Zagadka pracy ponad siły wyjaśniła się dzisiejszego popołudnia, gdy pojechałam go odwiedzić. Po wejściu na salę zobaczyłam, że przy łóżku Bolesława siedzi jakaś blondynka w okularach. Wyglądała na mniej więcej trzydzieści pięć lub czterdzieści lat, a więc była sporo starsza ode mnie, ale dużo młodsza od Piechockiego.

– Jak widać, szewc bez butów chodzi – zażartowałam, podchodząc bliżej.

Moje odwiedziny wyraźnie go zaskoczyły, ale nie wyglądał na zawstydzonego. Od razu dokonał prezentacji, przedstawiając kobietę jako Grażynkę. Już samo zdrobnienie imienia sugerowało, że łączy ich coś więcej, niż tylko zwykła znajomość. Nie zamierzając im przeszkadzać, zapytałam o samopoczucie, zostawiłam owoce, które poprzedniego dnia Karol przywiózł z działki, i życząc szybkiego powrotu do zdrowia, zadowolona opuściłam szpital. Cieszyłam się, że Bolesław znalazł bratnią duszę. Miałam tylko nadzieję, że zacznie bardziej dbać o siebie.

2 października 1970, piątek

Dostałam wczoraj list od Hani, która z radością poinformowała, że znowu jest w ciąży. Gdy dzisiaj powiedziałam o tym Karolowi, ten stwierdził, że bardzo dobrze, bo potomstwo to najlepsza inwestycja rodziców. Dodał jeszcze, iż sam chciałby mieć sześcioro dzieci.

– To w takim razie będziesz musiał poszukać sobie Matki Polki Rodzicielki, bo ja nie zamierzam całego życia spędzić w pieluchach – oświadczyłam.

– Przecież jako przyszły archeolog musisz wiedzieć, że już w starożytności na matkach spoczywał obowiązek odchowania potomstwa.

– Ale teraz mamy czasy nowożytne i kobiety mogą same decydować, czy chcą mieć dzieci, a jeśli tak, to ile.

– A ty chcesz mieć? – zapytał, gładząc opuszką wewnętrzną stronę moich ud.

– Może chcę, może nie – odpowiedziałam nieco przewrotnie. – Teraz marzę o czymś zupełnie innym – dodałam, układając się wygodnie w pościeli i pozwalając, aby palce Karola pieściły mnie w sposób, który tak uwielbiałam.

14 października, 1970 środa

Minął rok od śmierci babci Ireny, a ja mam wrażenie, jakbym jeszcze kilka dni temu z nią rozmawiała. Ta świadomość umykania czasu, który nie wieciec, jak i kiedy przecieka nam przez palce, pobudza mnie do smutnych refleksji natury egzystencjalnej. Gdzieś kiedyś przeczytałam, że z życia zapamiętujemy jedynie chwile, zarówno te dobre, jak i złe, ale są to tylko chwile. Musi w tej myśli tkwić jakaś prawda. Przecież gdybym miała powiedzieć, co robiłam jedenastego czerwca, to nie potrafiłabym. Z kolei czternasty października już zawsze będzie mi się kojarzył ze śmiercią babci, a dziewiąty grudnia z moimi urodzinami i dniem, w którym po raz ostatni widziałam ciocię Celinę i Zosię.

1 listopada 1970, niedziela

Odnoszę wrażenie, że wszyscy jesteśmy inwigilowani. Może na to wskazywać choćby dzisiejsza sytuacja. Siedzieliśmy przy obiedzie w moim mieszkaniu, gdy nagle zadzwonił telefon. Odebrała Lena i oznajmiła, że ktoś chce rozmawiać z Karolem. Kiedy zaskoczony Karol podszedł do telefonu, okazało się, że tajemniczym rozmówcą jest jego szef. Redaktor naczelny poinformował o zamachu na Przewodniczącego Rady Państwa Mariana Spychalskiego, do którego doszło przed dwiema godzinami na lotnisku w Karaczi. Sam marszałek uszedł z życiem, ale były inne ofiary i ranni. Zadaniem Karola było napisanie tekstu do jutrzejszego wydania gazety. Gdy wieczorem zadzwoniłam do Karola i zapytałam, skąd jego szef znał mój numer i wiedział, że będzie u mnie na obiedzie, zapewnił, że on nikomu numeru nie dawał, a o obiedzie nikomu nie wspominał.

10 listopada 1970, wtorek

Dziś rano w wiadomościach radiowych poinformowano o śmierci Charlesa de Gaulle'a, człowieka, którego miałam okazję widzieć na własne oczy, a nawet podać mu rękę. Spiker przypomniawszy, że był prezydent Francji darzył Polskę wielkim sentymentem. Wspomniawszy też o jego wizycie w naszym kraju.

19 listopada 1970, czwartek

Dostałam dziś zaproszenie na ślub. Wiadomość, że Bolesław się żeni, wcale mnie nie zaskoczyła. Odwiedzając go w szpitalu, widziałam, jak patrzył na Grażynkę, a ona odwzajemniała się takim samym zakochanym spojrzeniem. Jednak gdy Lena dodała, że zostanie ojcem, to z niedowierzania aż pokręciłam głową.

Stąd pewnie taki pośpiech – pomyślałam, patrząc na datę uroczystości, wyznaczoną na siedemnastego grudnia. Reakcja Karola była podobna, ale

poza zdziwieniem dostrzegłam, że przez jego twarz przemknął cień zazdrości.

– Jakoś coraz więcej naszych znajomych ma lub będzie miało dzieci – zauważył, posyłając mi wyczekujące spojrzenie. – Nie uważasz, że to coś znaczy? – zapytał, gdy nie podjęłam tematu.

– To bardzo dobrze, niech oni bawią się w króliki, zaludniają planetę, a my skoncentrujmy się na studiach i pracy – oświadczyłam, ucinając ewentualną dyskusję o planowaniu rodziny.

2 grudnia 1970, środa

Gdy usłyszałam dziś od Karola, że jako jeden z czterech studentów dziennikarstwa otrzymał półroczne stypendium zagraniczne i na początku stycznia leci do Rzymu, miałam ochotę kłąć na czym świat stoi. Chociaż moja średnia ocen z każdego roku studiów była powyżej 4,80, to nie miałam szans na podobne wyróżnienie, a on ze swoim marnym wynikiem 4,31 miał sześć miesięcy spędzić we Włoszech.

– I ty uważasz, że to sprawiedliwe? – syknęłam, odtrącając jego dłonie, próbującę wślizgnąć się pod moją bluzkę.

– Nie, ale cóż mogę na to poradzić? – odpowiedział ze szczerością, której się po nim nie spodziewałam.

– Ale jak będę wracał, kupię ci tuzin kompletów najbardziej seksownej włoskiej bielizny – zapewnił, podejmując kolejną próbę sforsowania mojej odzieży. Jednak złość, którą we mnie obudził, skutecznie odpędziła całą moją ochotę na amory.

9 grudnia 1970, środa

Z roku na rok odczuwam, że kolejne urodziny cieszą mnie coraz mniej. Jest to o tyle dziwne, że nie mam przecież osiemdziesięciu, ale dwadzieścia jeden lat. Od Karola standardowo otrzymałam bukiet róż, których liczba

zgadzała się z moją metryką, oraz śliczny komplet francuskiej koronkowej bielizny. Gdyby był włoski, pomyślałabym, że to pierwszy z tych obiecanych dwunastu. Z kolei Lena podarowała mi płytę Marka Grechuty.

12 grudnia 1970, sobota

Pamiętam, jak ojciec powtarzał, że Polska to jeden z nielicznych krajów, gdzie ceny ustala państwo, a nie rynek, i jego zdaniem była to słuszna polityka, zapobiegająca nierównościom społecznym. Ciekawe, czy dzisiaj, gdy ogłoszono podwyżkę niemal wszystkich produktów spożywczych o kilkadziesiąt procent, miałby takie samo zdanie.

14 grudnia 1970, poniedziałek

Rozpoczęły się zamieszki, ale z tymi sprzed dwóch lat nie mają nic wspólnego. Teraz nie protestują studenci, żądający wolności słowa, ale robotnicy domagający się godziwego życia. Zdaniem Karola wszystko może się zdarzyć.

16 grudnia 1970, środa

Niestety zaczyna się spełniać scenariusz przewidziany przez Karola. Władza wybrała rozwiązanie siłowe i już są pierwsze ofiary. Dowiedziałam się tego od Bolesława, który zatelefonował, aby zawiadomić o zmianie daty ślubu. Rozmawialiśmy krótko, ale zdążył mi powiedzieć, że do szpitala przez cały czas przywożeni są ranni, a w kostnicy jest już kilku zabitych. W Sopocie na razie spokój, bo starcia trwają głównie w Gdańsku i Gdyni, lecz czy tak będzie nadal, tego nie wiem. Karol poradził, abym nie jeździła na uczelnię. Tylko kto zda za mnie egzamin u profesora Kosińskiego?

18 grudnia 1970, piątek

Po tym, co wczoraj wydarzyło się w Gdyni, gdzie milicja oraz wojsko strzelały do robotników, Karol kategorycznie zabronił mi wychodzenia

z domu. Ponieważ egzamin u Kosińskiego zdałam na piątkę, uznałam, że nie warto kusić losu i nie poszłam na zajęcia. Lena, która wróciła rano z nocnego dyżuru, miała łzy w oczach.

20 grudnia 1970, niedziela

Wiele wskazuje na to, że zastąpienie Gomułki Gierkiem pomoże w zakończeniu protestów. Jednak czy nowa, stara władza wyciągnie wnioski z ostatnich krwawych dni, w to raczej wątpię. Niemniej na ulicach jest już spokojniej, choć nadal obowiązuje godzina milicyjna.

24 grudnia 1970, czwartek

To była wyjątkowo smutna Wigilia, zupełnie inna, niż ta przed rokiem. Wtedy w moim mieszkaniu zgromadziło się kilkanaście osób, a dziś przy stole z trzema przygotowanymi na szybko potrawami siedziałam tylko ja i zmęczona Lena, która wróciła ze szpitala. Karol większość czasu spędza w redakcji, a pani Jadzia, jak tylko zaczęły się protesty, wyjechała do rodziny na wieś.

28 grudnia 1970, poniedziałek

Idąc rano do piekarni, spotkałam przed kamienicą mieszkającego piętro wyżej sąsiada. Pan Henryk był emerytowanym szewcem i czasami naprawiał moje buty, ale bardziej zażyłych relacji nie utrzymywaliśmy. Dlatego zaskoczył mnie, gdy zapytał, czy mój narzeczony, czyli Karol, bo wiele osób nie uznawało określenia „chłopak”, dalej pracuje w „Głosie Wybrzeża”. Kiedy potwierdziłam, sąsiad wyciągnął spod płaszcza zwinięte dzisiejsze wydanie gazety, mówiąc, że trzeba mieć odwagę, aby coś takiego napisać. Początkowo myślałam, że dostanie mi się za jakiś propagandowy tekst Karola, ale gdy mężczyzna rozłożył gazetę, zrozumiałam, że jestem w błędzie. Na pierwszej stronie, poniżej symbolu PZPR, widniał

wytluszczony tytuł: *Obraz wydarzeń – szczegółowa relacja z tragedii na Wybrzeżu*. Niestety nie miałam czasu zapoznać się z całym tekstem, bo sąsiad ruszył do siebie, ale jego ostatnie słowa, aby pogratulować narzeczonemu, kazały mi przypuszczać, że artykuł przedstawia prawdziwy przebieg zdarzeń. Natychmiast pobiegłam do pobliskiego kiosku, jednak sprzedawca oświadczył, że „Głosu Wybrzeża” już nie ma. W kolejnych dwóch było to samo. Dopiero w czwartym kiosku usłyszałam od kioskarza, że oficjalnie gazety nie ma, a nieoficjalnie może mi ją sprzedać, ale pięć razy drożej, niż kosztuje normalnie. Widząc moje oburzenie, sprzedawca dodał, że obecnie nawet prawda kosztuje. Łamiąc swoje zasady uczciwości, zapłaciłam i jeszcze obok kiosku przeczytałam cały artykuł. Podawano w nim dokładnie, gdzie i kiedy były starcia, opublikowano nawet liczbę rannych oraz zabitych.

Gdy kończyłam lekturę nadeszła jakaś staruszka, która również chciała kupić gazetę. Jednak słysząc cenę podaną przez kioskarza, zrezygnowała. Wręczyłam więc jej swój egzemplarz i szybkim krokiem wróciłam z zakupami do domu. Próbowałam dzwonić do Karola, ale nie odbierał telefonu. Początkowo uznałam, że jest w pracy, ale kiedy o siedemnastej także nie odebrał, zaczęłam się niepokoić. Zdawałam sobie sprawę, jak artykuł obnażający brutalność służb, opublikowany w oficjalnym dzienniku partii, podziela na dygnitarzy. Konsekwencje mogły dotknąć całą redakcję, nawet Karola, który prawdopodobnie nie miał z tekstem nic wspólnego.

W końcu kilka minut po dwudziestej ubrałam się i poszłam do jego mieszkania. Musiałam z nim porozmawiać nie tylko o artykule, lecz przede wszystkim o tym, że coraz bardziej spóźniał mi się okres, a to mogło oznaczać... Wołałam nawet nie myśleć, bo ciąża była ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowałam. Stojąc przed drzwiami i nerwowo raz po raz

naciskając dzwonek, czułam, że ogarnia mnie coraz większa panika. Przecież Karol mógł zostać aresztowany. Nagle drzwi mieszkania po lewej stronie otworzyły się i na korytarz wyjrzał zaskoczony sąsiad. Wiedziałam, że ma na imię Krzysztof i pracuje w jednym z gdańskich hoteli jako recepcjonista.

– Panie Krzysztofie, nie widział pan dzisiaj Karola? – zapytałam, podchodząc do mężczyzny.

– Widziałem – potwierdził sąsiad. – Około jedenastej wychodził z mieszkania. Spytałem nawet, czy się gdzieś wybiera, bo niósł walizkę. Odpowiedział, że jedzie z panią do Zakopanego przywitać nowy rok. Dlatego pani widok tutaj o tej porze bardzo mnie zdziwił – powiedział, baczenie mi się przypatrując.

Podziękowałam za informację i pozostawiając kwestię Zakopanego bez odpowiedzi, sięgnęłam do torebki, wyjęłam zapasowe klucze i weszłam do mieszkania Karola. Wnętrze wyglądało normalnie, nie licząc otwartej szafy, w której brakowało większości ubrań. W pierwszej chwili pomyślałam, że Karol uciekł, ale po namyśle uznałam, że to niedorzeczne. Gdzie niby mógłby uciec? Przecież służbom wystarczy kilka dni, aby go znaleźć. Moje rozważania przerwał dzwonek do drzwi. Sądząc, że to sąsiad chce mi jeszcze coś powiedzieć, otworzyłam, nawet nie patrząc przez wizjer. Jednak to nie był pan Krzysztof, ale ktoś, kogo się kompletnie nie spodziewałam.

– Co pan tu robi? – wyjąkałam, patrząc na majora Urbanowicza.

– To samo co pani, szukam Karola – odparł spokojnie mężczyzna i wymijając mnie w drzwiach, wszedł do mieszkania.

– A dlaczego go pan szuka?

– Bo podobnie jak pani martwię się o niego – usłyszałam drwiącą odpowiedź. Fakt, że służba bezpieczeństwa poszukiwała Karola, oznaczał,

że tamten gdzieś się ukrył.

– Rozumiem, że nie wie pani, gdzie może przebywać pan Łyżwiński? – zapytał Urbanowicz oficjalnym tonem.

– To bardzo dobrze pan rozumie – potwierdziłam, posyłając mu lodowate spojrzenie.

– To szkoda – westchnął major – ale proszę mi wierzyć, że z pani pomocą czy bez niej i tak go znajdziemy – zapewnił, dla pewności sprawdzając wszystkie miejsca w mieszkaniu, w których można by się ukryć.

– Nie wątpię, bo akurat w takich sprawach jesteście dobrzy – prychnęłam i ostentacyjnie usiadłam na jednym z foteli.

– Pani Anno, sytuacja jest poważna, a my nie chcemy żadnego dalszego rozlewu krwi. Dlatego pewne zachowania niepokornych dziennikarzy muszą się spotkać z odpowiednią reakcją.

– Kula w łeb i załatwione – rzuciłam, wiedząc, że właśnie mogłam rozdrażnić Urbanowicza.

– Tamte czasy już minęły – odpowiedział, nie tracąc opanowania. – I proszę pamiętać, że jestem pani przyjacielem – dodał, ruszając do wyjścia.

Gdy znowu zostałam sama w mieszkaniu, podeszłam do obrazu przedstawiającego tańczącą parę i lekko go odchyliłam. Tak jak przypuszczałam, zeszyt z wierszami zniknął.

30 grudnia 1970, środa

Nadal nie wiem, co dzieje się z Karolem, i wciąż nie mam okresu. Zaczynam się zastanawiać, która z tych dwóch rzeczy bardziej mnie przeraża. W przypadku Karola, a także innych „niepokornych dziennikarzy”, jak nazwał ich Urbanowicz, odbędzie się pokazowy proces

i dostaną po kilka lat odsiadki. W przypadku ciąży urodzę dziecko, ale tatusia nie zobaczy ono zbyt prędko.

1 stycznia 1971, piątek

Jeszcze nigdy w życiu nie przepłakałam całej nocy. Nawet po śmierci rodziców nie czułam takiego bólu. Ból, który wówczas odczuwałam, był innego rodzaju. Wtedy dotknęło mnie nieszczęście, którego nie sposób porównać z niczym innym. Teraz natomiast zostałam oszukana, zdradzona i porzucona. O tym wszystkim dowiedziałam się wczoraj, lecz dopiero dzisiaj mam siłę, aby o tym napisać. Około szóstej obudził mnie dzwonek telefonu. Zaspana, bo kolejną noc z rzędu rozmyślałam o wszystkich swoich problemach, usłyszałam, jak telefonistka anonsuje połączenie z Rzymu, a w następnej chwili dotarł do mnie zniekształcony głos Karola.

– Anka, jestem w Rzymie i już tutaj zostaję.

– Jak to jesteś w Rzymie? – zapytałam, wiedząc, że do Włoch miał wylecieć dopiero piątego stycznia.

– Po aferze z tym artykułem przebukowałam bilet i jeszcze tego samego dnia opuściłem Polskę – wyjaśnił, dodając, że wystąpił o azyl polityczny i nigdy nie wróci.

Miałam ochotę zwzywać go od najgorszych skurwieli, ale zamiast tego trzasnęłam słuchawką o widełki telefonu i zalałam się łzami.

EPILOG

Karolina siedziała bez ruchu, wpatrzona w ostatnie przeczytane zdanie. Otaczał ją chłód, bo ogień w kominku już dawno wygasł. Przez okna wlewały się pierwsze promienie wstającego słońca. Chcąc się rozgrzać, sięgnęła po pełen kubek kawy, ale ta podobnie jak węgle w kominku była zimna. Dopiero spojrzenie na wiszący na ścianie zegar uświadomił jej, ile czasu spędziła na czytaniu pamiętnika. Przez ostatnie siedem godzin poznała blisko cztery lata życia swojej matki. Lata, o których nic nie wiedziała. Podobnie jak o dramatycznej historii dziadków oraz pradziadków. Odkładając przeczytany zeszyt, sięgnęła po drugi brulion. Jednak zmęczenie wygrało z ciekawością.

– Nie, on będzie musiał poczekać, aż trochę się prześpię – powiedziała półgłosem. Następnie wstała, przeszła do swojej sypialni, zaciągnęła grube zasłony, odgradzając pokój od jasnego poranka i wsunęła się pod kołdrę.

POSŁOWIE

Drogi czytelniku, skoro dotarłeś aż do tego miejsca, to znaczy, że znalazłeś w sobie motywację, aby poznać losy Anny Jawor. Jest to oczywiście postać fikcyjna, podobnie jak inni bohaterowie tej powieści. Jednak w książce poza fikcją literacką znajduje się wiele autentycznych miejsc, zdarzeń i postaci, a ich obecność jest motywowana konstrukcją fabuły. Próbowałem tak, jak potrafiłem, oddać klimat czasów, w których umiejscowiłem akcję powieści. Jak dalece ta próba jest udana, to musisz, Czytelniku, ocenić sam. Epilog sugeruje, że to nie koniec tej historii i tak jest w rzeczywistości. Drugi tom nabiera powoli kształtu, a przed Anną Jawor dużo zmian, trudnych decyzji i wyborów, które zaważą na jej dalszym powieściowym życiu.

POLECAMY RÓWNIEŻ

Tomasz Wandzel

- *Chłopiec z Kresów – historia prawdziwa*
- *Hycel*
- *Dom w chmurach*
- *Blanka L – Sława, pieniądze i seks*
- *Kłamstwa i sekrety – historia Róży Wittelsbach*
- *Chwila prawdy – niewiarygodna historia Krystyny Górskiej*
- *Chłopiec, który przeżył Auschwitz – historia prawdziwa*
- *Grzeczna dziewczynka*
- *Żółty długopis*
- *Córka zakonnika*
- *Zwłoki przy molo.*

Komisarz Andrzej Papaj

- *Dotrzeć do prawdy, tom 1*
- *Uciec od prawdy, tom 2.*

Róża Wielopolska

- *Czyste zło, tom 1*
- *Święte zło, tom 2.*

Sopockie tango

- *Sopockie tango*, tom 1
- *Ostatnie tango w Sopocie*, tom 2.